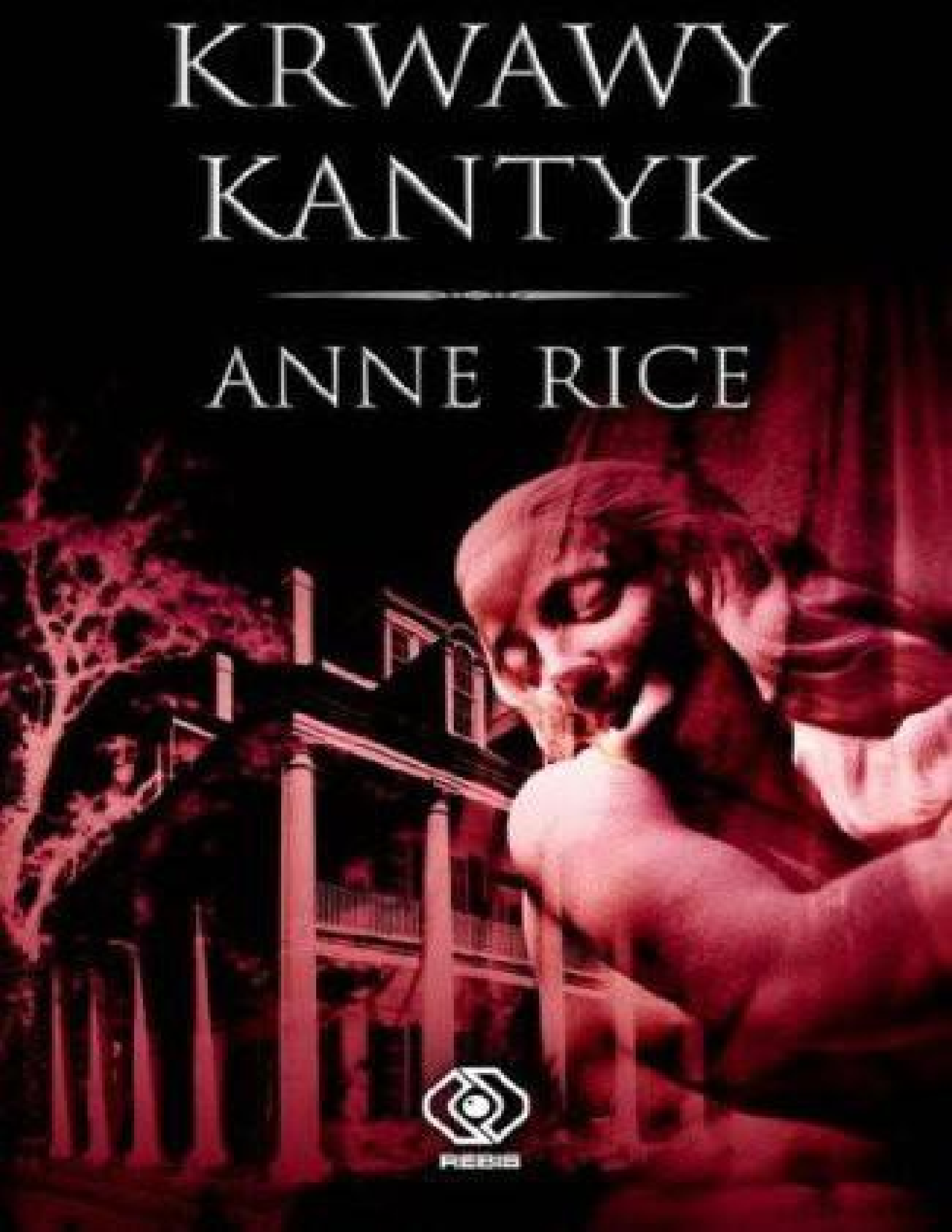


KRWAWY KANTYK

ANNE RICE



PERIOD



KRWAWY

KANTYK

ANNE RICE

Przekład

Paweł Korombel

DOM WYDAWNICZY REBIS

Poznań 2007

Tytuł oryginału

Blood Canticle

Copyright © 2003 by Anne O'Brien Rice

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2007

Redaktor

Katarzyna Rażniewska

Opracowanie graficzne serii i projekt okładki

Zbigniew Mielnik

Fotografie na okładce

© Ted Streshinsky/Hearst Castle/CA Park Service/CORBIS

© Robert Holmes/CORBIS

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-020-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 0-61-867-47-08, 0-61-867-81-40; fax 0-61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Skład ZAPIS

Gdańsk, Tel. 0-58-347-64-44

Stanowi Rice'owi

(1942–2002)

...miłości mojego życia

Ciesz się, młodzieńcze, w młodości swojej,

a serce twoje niech się rozwesela za dni młodości twojej.

I chodź drogami serca swego,

i za tym, co oczy twe pociąga;

lecz wiedz, że z tego wszystkiego

będzie cię sądził Bóg!

Księga Koheleta*

* 11, 9; ten i następne przekłady Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia, Pallottinum, Poznań-Warszawa 1971.

(Wszystkie przypisy tłumacza.)

Spis treści

<u>1</u>	<u>7</u>
<u>2</u>	<u>20</u>
<u>3</u>	<u>33</u>
<u>4</u>	<u>40</u>
<u>5</u>	<u>50</u>
<u>6</u>	<u>64</u>
<u>7</u>	<u>70</u>
<u>8</u>	<u>73</u>
<u>9</u>	<u>79</u>
<u>10</u>	<u>88</u>
<u>11</u>	<u>100</u>
<u>12</u>	<u>113</u>
<u>13</u>	<u>121</u>
<u>14</u>	<u>124</u>
<u>15</u>	<u>136</u>
<u>16</u>	<u>142</u>
<u>17</u>	<u>144</u>
<u>18</u>	<u>165</u>
<u>19</u>	<u>179</u>
<u>20</u>	<u>183</u>
<u>21</u>	<u>192</u>
<u>22</u>	<u>203</u>
<u>23</u>	<u>213</u>

24	228
25	234
26	256
27	272
28	288
29	298
30	301
31	305

Chcę być świętym. Chcę zbawiać dusze milionami. Chcę czynić dobro jak świat długi i szeroki. Chcę zwalczać zło! Chcę, żeby moje posągi stały w każdym kościele. Mam na myśli figury naturalnej wielkości, metr osiemdziesiąt z hakiem, włosy blond, oczy niebieskie...

Zaraz, zaraz.

Wiesz, z kim masz do czynienia?

Bo może jesteś moim nowym czytelnikiem i nigdy o mnie nie słyszałeś?

No, jeśli tak, to pozwól, że ci się przedstawię, bo co jak co, ale autoprezentacja na początku każdej książki to dla mnie największa frajda.

Jestem Lestat, najpotężniejszy, najurokliwszy wampir, jakiego ziemia nosiła, nadprzyrodzone zjawisko liczące sobie dwieście lat, ale na wieczność utrwalone w postaci dwudziestolatka o takich rysach i takiej figurze, że można skonać - tu i teraz.

Jestem nieskończenie zaradny i nieodparcie czarujący. Śmierć, choroby, czas, grawitacja nic dla mnie nie znaczą.

Mam tylko dwóch wrogów: światło słońca, ponieważ trafiony jego promieniami padam bez życia, i sumienie. Innymi słowy, jestem skazany na wieczną noc i wieczną pastwę wyrzutów sumienia, udręczony krwi poszukiwacz.

Czy słysząc takiego ktosia, można się mu oprzeć?

Zanim pobiegniemy w głąb ogrodu mojej wyobraźni, zapewniam cię jeszcze, że: Cholernie dobrze wiem, jak być w pełni rozwiniętym, postrenesansowym, postdziewiętnastowiecznym, postmodernistycznym, postpopularnym pisarzem.

Dekonstruować to nie ze mną, skarbie. Z tego wniosek, że ode mnie dostaniesz powieść jak się patrzy - z początkiem, środkiem i zakończeniem. Sięgając po mój produkt, możesz liczyć na wątek, krwiste (tak!) postaci, napięcie, pełny pakiet.

Ze mną będzie ci jak w raju. Więc wyluzuj i łykaj stronkę za stronką. Nie pożałujesz. Myślisz, że nie pożądam nowych czytelników? No, to się dowiedz, skarbie, że na drugie imię mam „Pożądliwy”. Muszę cię mieć!

Ponieważ jednak robimy sobie krótką przerwę od tego mojego idée fix, jakim jest bycie świętym, dajcie mi powiedzieć parę słów moim zaprzysięgłym zwolennikom. A wy, świeżo przybyli chłopcy i dziewczęta, dołączcie. Na pewno dacie radę. Czemu miałbym wam utrudniać życie? To jakbym strzelał sobie samobójczą bramkę, no nie?

Teraz do tych, którzy mnie wielbią. Wiecie... milionów.

Podobno chcecie się dowiedzieć, co u mnie słychać... Wtykacie herbaciane róże w kraty mojej rezydencji w Nowym Orleanie, zostawiacie liściki w stylu: „Lestacie, odezwij się. Wyczaruj nam nową książkę. Lestacie, uwielbiamy «Kroniki wampirów»».

Lestacie, czemu nie dajesz znaku życia? Lestacie, błagamy, wróć”.

Ale że was zapytam, wielbiciele ukochani (tylko się nie zatratujcie z odpowiedzią), co się, do jasnej cholery, stało, kiedy dostaliście *Memnocha*? Hmm? To ta ostatnia część „Kronik wampirów” spisana przeze mnie w pierwszej osobie.

Och, kupiliście ją, nie narzekam, moi czytelnicy ukochani. Więcej, nakład pobił na głowę całą resztę Kronik; szczególnie może prostacki, ale wymowny. Czy jednak przyjęliście *Memnocha* w waszych sercach? Czy go zrozumieliście? Czy sięgnęliście po niego po raz drugi? Czy uwierzyliście w to, co w nim stoi?

Byłem na dworze Boga Wszechmogącego i w niezgłębionych otchłaniach Zatracenia, chłopcy i dziewczęta, i powierzyłem wam moją spowiedź, do ostatniego jęku zagubienia, nędzy i rozpacz, bo założyłem, że lepiej niż ja zrozumiecie, dlaczego uciekłem przed tą przerażającą możliwością, żeby n a p r a w d ę zostać świętym, a wy co na to? Kręciliście nosem!

„Gdzie Lestat, gdzie nasz wampir?!”

Tylko to was interesowało. Gdzie Lestat w jego szykownym fraczku, odslaniający w uśmiechu igielki kłów, przemierzający w oficerkach pretensjonalnie wystawny świat podziemia waszych mrocznych i modnie skrojonych metropolii, szczelnie wypakowanych wijącymi się ofiarami, z których większość zasługuje na wampiryczny pocałunek, gdzie ten Lestat? Tylko to wam było w głowie!

Gdzie Lestat, zabójczy złodziej krwi i kat dusz, Lestat mściciel, Lestat przebiegły, Lestat... hm... no, żeby tak nie skłamać... Lestat Wspaniały.

Oooch, to jest jazda, Lestat Wspaniały. To dla mnie odpowiedni tytuł w tej książce.

Jestem, jak się dobrze nad tym zastanowicie, wspaniały. I chyba jasne, że ktoś musiał

to głośno powiedzieć. Ale wróćmy jeszcze do waszych wydziwiał na temat *Memnocha*.

„Nie chcemy nędznych popłuczyn po szamanie z Bożej łaski!”, powiedzieliście.

Chcemy naszego bohatera. Gdzie jego klasyczny harley? Niech kopnie rozrusznik i z rykiem przemknie przez ulice i zaułki dzielnicy francuskiej. Niech wiatr rozniesie jego śpiew do wtóru muzyki przez minisłuchawki, niech zdejmie fiołkowe okulary, niech rozpuści blond loki.

No, spoko, aha, niczego sobie obrazek. Pewnie. Nie odstawiłem harleya do dilera. I tak, uwielbiam fraczki, wciąż je zamawiam; w tych sprawach nie usłyszycie ode mnie żadnych sprzeciwów. I oficerki na glans, zawsze. Chcecie wiedzieć, co teraz noszę?

Nie powiem!

No, chyba że później.

Ale pogłówkujcie trochę nad tym, co chcę wam przekazać.

Ja podsuwam wam pod nos metafizyczną wizję stworzenia świata i wieczności, całą (mniej więcej) historię chrześcijaństwa i furę medytacji na temat najwznioślejszych chwil kosmosu i co w zamian słyszę? „A co to niby za powieść? Kto ci kazał się pakować do nieba i do piekła?! Masz być kabaretowym czartem!” *Mon Dieu!* Życ się odehciewa! Mówię poważnie i nie zatykajcie sobie uszu.

Choćbym nie wiem jak was kochał, choćbym nie wiem jak was potrzebował, choćbym nie wiem jak bardzo nie mógł bez was żyć, to co to za życie!!!

No, śmiało, wywalcie tę książkę. Oplujcie mnie. Obrzućcie błotem. Śmiało.

Wyrzućcie z waszej intelektualnej orbity. Wyrzućcie z waszych plecaczków. Ciśnijcie do kosza na lotnisku. Zostawcie mnie na ławce w Central Parku!

Co mnie to obchodzi?

Nie. Nie chcę, żebyście to zrobili. Nie róbcie tego.

NIE RÓBCIE!

Chcę, żebyście przeczytali każdą stroniczkę, którą napisałem. Niech moja proza was otuli. Wypiłbym waszą krew, gdybym mógł, i przypiął was do każdego wspomnienia, które we mnie żyje, każdego uderzenia serca, otoczki skojarzenia, chwilowego triumfu, błahej porażki, mistycznej chwili kapitulacji. I, niech będzie, zaraz się na tę okazję ubiorę. Czy kiedykolwiek nie byłem ubrany stosownie do okazji?

Czy ktokolwiek wyglądał lepiej w łachmanach niż ja?

Eeech.

N i e n a w i d z ę mojej poetyki!

Co to za draństwo, że choćbym czytał książki wagonami, to i tak płodzę rzygowiny?!

Oczywiście, jak ktoś ma obsesję mojego kalibru i rodzaju, to chce nawiązać kontakt z każdym czytelnikiem i marzy, żeby jego książki były czytane i w barakach, i bibliotekach uniwersyteckich, więc taki efekt być musi. Jasne, nie? Mogę chłonać kulturę i sztukę wszystkimi porami, ale ulubieńcem elit nigdy nie będę. Nie wpadliście na to?

Kolejne eeech.

Zbyt wiele od siebie wymagam! Motor duszy wibrujący na najwyższym biegu, ot, los myślącego wampira. Powinienem być gdzieś tam, wykańczać jakiegoś marnego typa, zlizywać jego krew jak

lody z patyka. A ja nie. Książkę piszę.

To dlatego nie ma takich zasobów bogactwa i władzy, które mogłyby na długo mnie ukoić. Jestem piłeczką tańczącą w fontannie desperacji. Przecież to wszystko może nie mieć znaczenia. Te wykwintne francuskie mebelki z okuciami ze złoconego brązu i skórzanymi wstawkami tak naprawdę mogą się nie liczyć w wielkim planie stworzenia. Desperacja może cię dopaść i w komnatach pałacu, i rotacyjnej kawalerce.

O trumnie nie wspominając! Ale daj sobie spokój z trumną, skarbie. Już nie jestem trumiennym wampirem, jak się to mówi. To bzdura. Chociaż nie twierdzę, że nie lubiłem tak sypiać, bynajmniej. Pod pewnymi względami nic nie może się równać z hardcore'owym posłaniem... ale co to ja...?

Ach, tak, już do tego przechodzimy, tylko...

Proszę, zanim poruszymy sprawy istotne, pozwólcie mi się wyzalić, wyliczyć szkody, które konfrontacja z Memnochem wyrządziła mojej psychce.

Teraz skupcie się wszyscy czytelnicy, nowi i starzy.

Zaatakowały mnie boskie siły, widzialne i niewidzialne! Mówi się na to „dar wiary”, a ja wam mówię, że to bardziej przypominało samochodowe bum! Doznałem gwałtu na psychice. Być w pełni dojrzałym wampirem po tym, jak się zobaczyło ulice nieba i piekła, to ciężki kawałek chleba. I wy, chłopaki, powinniście mi dać trochę metafizycznego luzu.

Od czasu do czasu dopada mnie pragnienie, żeby NIE CZYNIĆ WIĘCEJ ZŁA!

Nie odpowiadajcie mi wszyscy naraz: „A my chcemy, żebyś był czarnym charakterem, obiecałeś!”

Kojarzę. Kojarzę. Ale zrozumcie, nacierpiałem się, że głowa mała. Jakaś sprawiedliwość mi się należy.

I oczywiście, nie od dziś wiadomo, że jestem naprawdę niezły w czynieniu zła. Jeśli jeszcze nie umieściłem tego na koszulce, umieszczę. Tak naprawdę to nie chcę pisać niczego, czego nie można by tam umieścić. Tak naprawdę chciałbym pisać tylko na koszulkach. Tak naprawdę to chciałbym pisać całe powieści na koszulkach. Tak, żebyście, chłopaki, mogli mówić: „Ja noszę rozdział ósmy Lestata, to mój ulubiony; ach, widzę, ty nosisz szósty...”

„A ja od czasu do czasu noszę...” Och, przestań!

CZY NIE MA OD TEGO UCIECZKI?

Zawsze musisz szeptać mi do ucha, co?

Wlokę się Pirates' Alley, męt okryty moralnie niestrzepywalnym kurzem, a ty wyskakujesz mi pod boki i mówisz: „Lestacie, obudź się”, a ja okręcam się na pięcie, i wiuuu, jak Superman wpadam do pierwszej lepszej, najzwyklejszej budki telefonicznej i proszę! Jestem, przyodziany od stóp do głów, znowu w aksamitach, i łapię cię za gardło. Jesteśmy w sieni katedry (a niby gdzie miałem cię

zawlec? Nie chcesz umrzeć na poświęconej ziemi?) i błagasz mnie o to przez całą drogę; uuups!

zagalopowałem się, to miał być łyczek, nie mów, że nie ostrzegałem. Ale że się spytam.

Ostrzegałem? Czy nie?!

W porządku, okej, uhm, dajmy temu spokój, i co z tego, nie załamujmy rąk, pewnie, pewnie, dajmy sobie siana, nie ma o czym mówić, odłóżmy to, he?

Poddaję się. Oczywiście, że będziemy się tu tarzać w czystej nieprawości!

I kim ja jestem, żeby się wypierać swojego powołania? Zaprzeczać temu, że jestem katolickim gadułą par excellence? Chodzi o to, że „Kroniki wampirów” to MÓJ

pomysł, i tylko wtedy NIE JESTEM potworem, kiedy się do was zwracam, i zresztą dlatego to piszę, to znaczy, potrzebuję was, nie mogę bez was oddychać. Bez was jestem bezradny...

...I wróciłem!, eeech, brrr, ha–ha–ha, dana–dana i jestem niemal gotowy wziąć w swoje ręce konwencjonalne ramy tej powiastki I skleić je niezawodnym klejem skazanej na sukces narracji. Wszystko będzie się trzymało kupy, przysięgam wam na zjawę mojego nieżyjącego ojca. Technicznie biorąc, w moim świecie nie ma czegoś takiego jak dygresja. Wszystkie drogi prowadzą do mnie.

Cisza.

Pauza.

Zanim przeskoczmy do czasu teraźniejszego, pozwólcie mi na skromny odlot. Bez tego nie dam rady. Nie samym wdziękiem i czarem Lestat żyje, chłopcy i dziewczęta, nie widzicie tego? Nic na to nie poradzę.

A tak w ogóle, jak nie macie siły tego czytać, to od razu hop!, do następnego rozdziału. Śmiało, biegusiem!

Natomiast dla tych, którzy mnie naprawdę kochają, którzy chcą zrozumieć każdy niuans czekającej ich opowieści, mam zaproszenie. Chodźcie ze mną. Proszę, czytajcie:

Chcę być świętym. Chcę zbawiać dusze milionami. Chcę czynić powszechne dobro.

Chcę mieć swoje gipsowe posągi w każdym kościele na całym świecie. Oto ja, sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości, szklane niebieskie oczy, długa szata z purpurowego aksamitu, głowa pochylona, rozchyłam dłonie wyciągnięte ku wiernym, którzy modlą się, dotykając moich stóp.

„Lestacie, ulecz mnie z raka, znajdź mi okulary, pomóż mojemu synowi rzucić narkotyki, spraw, żeby mąż mnie kochał”.

W Meksyku młodzieńcy przychodzą do drzwi seminarium, ściskając w rękach moje posążki, podczas gdy matki łkają przede mną w katedrze: „Lestacie, uratuj moje maleństwo. Lestacie, uwolnij mnie od

bólu. Lestacie, ja chodzę! Patrzcie, posąg się rusza, widzę łzy!”

Handlarze narkotyków w Bogocie składają przede mną broń. Mordercy padają na kolana, szepcząc moje imię.

W Moskwie patriarcha trzyma w ramionach kalekiego chłopca i bije pokłony przed moim wizerunkiem. Chłopiec odzyskuje władzę w rękach i nogach. We Francji za moim wstawiennictwem tysiące wracają do Kościoła, ludzie szepczą, stając przede mną: „Lestacie, pogodziłem się z moją siostrą złodziejką. Lestacie, odsunąłem się od grzesznej kochanki. Lestacie, obnażyłem machinacje nieuczciwego banku, pierwszy raz od lat jestem na mszy. Lestacie, idę do zakonu i nic mnie nie powstrzyma”.

W Neapolu po wybuchu Wezuwiusza rusza procesja z moim posągiem i ratuję nadmorskie osady przed zalaniem lawą. W Kansas City tysiące studentów suną rzędem przed moim posągiem i ślubują, że będą uprawiać tylko bezpieczny seks albo wcale. Moje imię jest wzywane w wyjątkowej intencji podczas mszy w Europie i Ameryce.

W Nowym Jorku grupa naukowców ogłasza całemu światu, że dzięki mojemu wstawiennictwu udało się stworzyć bezwonny, bezsmakowy, nieszkodliwy narkotyk, po którym ma się odlot jak po kokainie i heroinie razem wziętych i który będzie ogólnie dostępny i całkiem legalny! Koniec z handlem narkotykami raz na zawsze!

Na te wieści senatorzy i kongresmani łkają i padają sobie w objęcia. Mój posąg natychmiast zostaje wstawiony do narodowej świątyni, waszyngtońskiej katedry Świętych Piotra i Pawła.

Wszędzie powstają hymny na moją cześć. Nabożne wiersze. Opis mojego świątobliwego życia (kilkadziesiąt stron) pełen barwnych ilustracji rozchodzi się w dziesiątkach milionów egzemplarzy. Ludzie tłoczą się przed nowojorską katedrą Świętego Patryka, by składać do koszyków karteczki z prośbami.

Moje posążki stoją na toaletkach, blatach kuchennych, biurkach, stanowiskach pracy na całym świecie. „Nie słyszałaś o nim? Módl się do niego, twój mąż zamieni się w baranka, matka przestanie cię gnębić, dzieci będą cię odwiedzać w każdą niedzielę, a potem prześlij w podzięcie datek Kościołowi”.

Gdzie są moje szczątki? Wszędzie. Rozczłonkowano całe moje ciało i relikwie rozproszyły się po świecie, kawałki wyschłych mięśni i ścięgien, kości i włosów złożono do złotych relikwiarzy, pojemników różnych kształtów, krzyży, monstrancji, niektóre fragmenty do wydrążonych krucyfiksów, inne do medalionów do noszenia na szyi. Czuję je wszystkie. Pograżony w głębokim śnie, czuję ich moc. „Lestacie, pomóż mi rzucić palenie. Lestacie, czy mój syn pójdzie do piekła? (W żadnym wypadku.) Lestacie, umieram. Lestacie, nic nie przywróci życia mojemu ojcu. Lestacie, ten ból nigdy się nie skończy. Lestacie, czy Bóg naprawdę istnieje?” (Tak!) Odpowiadam każdemu. Napełniam ludzi pokojem, wzniosłością, nieprzepartą radością wiary. Wszelki ból ustępuje, a to, co pozbawione znaczenia, zostaje strącone w przepaść.

Zajmuję ważne miejsce w ludzkim życiu. Jestem powszechnie i cudownie znany.

Nie można o mnie nie wiedzieć! Nurt historii nie może mnie obejść! Informacje o mnie widnieją na stronach „New York Timesa”.

A na razie jestem w niebie z Bogiem. Jestem z Panem Światłości, Stwórcą, Boskim Źródłem całego stworzenia. Mam dostęp do wszystkich tajemnic. Czemu nie? Znam odpowiedzi na wszystkie, ale to wszystkie, pytania.

Bóg powiada: „Winienes ukazać się ludziom. Taka jest właściwa droga wielkiego świętego. Ludzie oczekują tego od ciebie”.

Tak więc opuszczam Światłość i powoli opadam ku niebieskiej planecie.

Bezwiednie tracę pełnię wiedzy, gdy wślizguję się w ziemską atmosferę. Żaden święty nie może zanieść pełni wiedzy ziemskiemu światu, gdyż świat by jej nie pojął.

Odziewam się w moją dawną ludzką postać, tak to nazwijmy, ale że jestem wielkim świętym, szykuję się do objawienia. I gdzie się udaję? Jak myślicie?

W Watykanie, najmniejszym królestwie na Ziemi, panuje cisza jak makiem zasiał.

Jestem w sypialni papieża. Przypomina celę mnicha; prycza, twarde krzesło.

Ubóstwo i prostota.

Papież ma osiemdziesiąt dwa lata, ból zbyt głęboko usadowił się w kościach, by starzec mógł spać, drżenie rąk spowodowane chorobą jest zbyt silne, reumatyzm zbyt zaawansowany, słabości wieku są zbyt bezlitosne.

Powoli rozchyła powieki. Pozdrawia mnie po angielsku.

- Święty Lestacie - powiada. - Czemu ty do mnie przyszedłeś? Czemu nie ojciec Pio?

Niezbyt miło mnie wita.

Spokojnie! Nie zamierzał mnie obrazić. Jego pytanie jest zupełnie zrozumiałe.

Papież uwielbia ojca Pio. Do tej pory kanonizował setki świętych. Pewnie kocha ich wszystkich. Nikogo jednak nie ukochał tak mocno jak ojca Pio. Co się tyczy mojej świętej osoby, to nie wiem, czy kanonizował mnie z miłością, ponieważ jeszcze nie napisałem tej części opowieści, w której zostaję kanonizowany. Gdy to piszę, mija tydzień od kanonizacji ojca Pio.

(Oglądałem cały ceremoniał w telewizji. Wampiry przepadają za telewizją.) Wracając do teraźniejszości.

W papieskich komnatach, niesłychanie surowych i ubogich mimo pałacowych rozmiarów, zastygł wszelki ruch. Świece płoną w prywatnej kaplicy. Ojciec święty jęczy z bólu.

Nakładam na niego moje dłonie uzdrowiciela i uwalniam go od męki. Spokój przenika jego członki. Spogląda na mnie jednym okiem, drugie mruży, jak to ma w zwyczaju, i nagle między nami przedzie się nić porozumienia, czy też raczej zaczynam dostrzegać w nim coś, co cały świat dawno powinien ujrzeć: Jego głęboka bezinteresowność, jego głęboka duchowość nie płyną jedynie z całkowitego oddania Chrystusowi, ale z doświadczeń przeżytych pod brzemieniem komunistycznej władzy. Ludzie zapominają. Tak, komunizm, to koszarne nadużycia władzy i okrucieństwa, ale również szczytny kodeks moralny*. I zanim tamte wielkie purytańskie formy rządzenia przesłoniły młode lata papieża, żył otoczony gwałtem, przemocą i przerażającymi okrucieństwami drugiej wojny światowej. Tak uczył się

* Wiedza autorki nt. imperium sowieckiego wydaje się niezbyt ściśle przystawać do minionej rzeczywistości.

poświęcenia i odwagi. Ten człowiek zawsze, ale to zawsze, żył w świecie duchowym.

Umartwienia i ubóstwo spłotły się w jego biografii jak łańcuchy spirali DNA.

Nic dziwnego, że nie potrafi się pozbyć głęboko zakorzenionej podejrzliwości wobec chaotycznego przesłania, jakie ślą żyjące w dobrobycie państwa kapitalistyczne. Po prostu nie potrafi pojąć, że dobroczynność może być naturalnym owocem obfitości, że wysublimowany ogrom wizji jest możliwy z punktu obserwacyjnego zbudowanego na fundamencie zdrowego zbytku, a bezinteresowność i wielka potrzeba niesienia pomocy innym rodzi się wtedy, gdy zaspokojono w nadmiarze wszystkie potrzeby.

Czy mogę poruszyć z nim ten temat w tak cichym momencie? Czy też jedynie powinienem go zapewnić, że nie musi się martwić „chciwością” Zachodu?

Przemawiam do niego cicho i łagodnie. Zaczynam mu rozjaśniać te sprawy. (No, wiem, że to papież, a ja wampir piszący tę powieść; ale w tej opowieści jestem wielkim świętym. Nie mogę się dać spętać ograniczeniom własnego dzieła!) Przypominam mu, że zasady greckiej filozofii zrodziły się dzięki zamożności ówczesnego społeczeństwa, i po chwili kiwa głową na znak zgody. Jego wiedza filozoficzna jest godna podziwu. (Masa ludzi nie ma bladego pojęcia o gruntownym wykształceniu papieża w tej dziedzinie.) Ale muszę go przekonać do czegoś o wiele poważniejszego.

Widzę to jasno. Widzę wszystko.

Naszym największym i wiecznym błędem, który popełniamy jak świat długi i szeroki, jest postrzeganie każdego kroku naprzód jako kulminacji lub zwieńczenia.

Mówimy, że „w końcu”, że „osiągnęliśmy szczyt”. Wrodzony nam fatalizm nieustannie się zmienia i przystosowuje do wiecznozmiennej terażniejszości. A równocześnie przemożna alarmistyczna postawa sprawia, że nerwowo reagujemy na każdy kolejny etap rozwoju. Od dwóch tysięcy lat „sytuacja wymyka się nam z rąk”.

Oczywiście, ten punkt widzenia jest spowodowany obsesją apokalipsy, zakorzenioną w nas od chwili wniebowstąpienia Chrystusa, traktowaniem terażniejszości, jakby była końcem czasu. Musimy

dać sobie z tym spokój! Musimy dostrzec brzask epoki wysublimowania! Koniec z podbojami. Wróg będzie wchłaniany i przemieniany.

Muszę wszakże podkreślić ważną sprawę: modernizm i materializm - prądy, których Kościół obawiał się przez wiele lat - są dopiero w filozoficznych i praktycznych powijakach! Ich moc łaski dopiero zaczyna się ujawniać!

Nie przejmujcie się tymi infantylnymi bluźnierstwami! Rewolucja elektroniczna zmieniała uprzemysłowiony świat w stopniu wykraczającym poza wszelkie przewidywania dwudziestego wieku. Nadal cierpimy bóle porodowe. Rozwijajmy się dalej! Do roboty! Do zabawy!

Codzienne życie milionów w krajach uprzemysłowionych jest nie tylko wygodne, ale łączy graniczące z cudem wspaniałości. I tak powstają nowe duchowe potrzeby, nieskończenie odważniejsze niż misjonarskie cele z przeszłości.

Musimy przyznać, że polityczny ateizm zakończył się totalnym fiaskiem.

Zauważcie. Cały system do kosza. Może Kuba jest wyjątkiem. Ale co takiego udowodnił Castro? I nawet najbardziej świeccy decydenci w Ameryce uważają, że duchowa cnotliwość jest czymś oczywistym. To dlatego mamy skandale w wielkich korporacjach! I to dlatego tak bulwersują ludzi! Nie ma moralności, nie ma skandali.

Prawdę powiedziawszy, być może będziemy musieli ponownie zdefiniować wszystkie obszary życia społecznego, które tak pochopnie nazwaliśmy świeckimi. Kto tak naprawdę jest pozbawiony głębokich, niezachwianych i altruistycznych przekonań?

Judeo-chrześcijaństwo jest religią zsekularyzowanego Zachodu, choćby nie wiem ile milionów twierdziło, że nie przywiązuje do niego żadnego znaczenia. Jego głębokie zasady wchłonęli nawet najbardziej oporni i światli agnostycy. Jego cele i zasady wpływają zarówno na posunięcia na Wall Street, jak i na zwykłe uprzejmości wymieniane czy to na kalifornijskiej plaży, czy na spotkaniu szefów rządów Rosji i Stanów Zjednoczonych.

Niebawem pojawią się techno-święci - jeśli już się nie pojawili - i zlikwidują biedę milionów zalewem odpowiednio rozdzielonych dóbr i usług. Łączność doprowadzi do likwidacji nienawiści i podziałów, kafejki internetowe nadal będą wyrastać jak kwiaty w slumsach Azji i Dalekiego Wschodu. Telewizja kablowa dostarczy nowe niezliczone programy rozległemu światu arabskiemu. Nawet Korea Północna nie oprze się świeżemu trendowi.

Znajomość obsługi komputera pozwoli na pełną i owocną asymilację mniejszości w Europie i Ameryce. Jak już wspomniałem, medycyna doprowadzi do wynalezienia tanich, nieszkodliwych substytutów kokainy i heroiny, w ten sposób eliminując całkowicie handel narkotykami. Wszelka przemoc niebawem ustąpi nieskończenie bardziej wyrafinowanym metodom wyrażania odmiennych opinii - debatom i wymianie wiedzy. Akty terroru będą uznawane za ohydne właśnie z powodu swojej sporadyczności, aż całkowicie ustaną.

Co do seksualności, to rewolucja w tym względzie jest tak szeroka, że nam, dzieciom tej epoki,

daleko do uświadomienia sobie choćby zwiastunów zmian, które zachodzą w tej dziedzinie. Minispódniczki, krótkie fryzury, pieszczoty w samochodach, kobiety pracujące ramię w ramię z mężczyznami, prawa homoseksualistów - zawrót głowy już na wejściu. Naukowa wiedza na temat kontroli urodzin daje nam swobodę, o której ani marzyły uprzednie stulecia, a jej bezpośredni wpływ na nasze życie to blady cień w porównaniu z tym, co nas czeka. Musimy szanować niebywałe tajemnice plemnika i jajeczka, sekrety atrakcyjności płci przeciwnej i doboru partnera. Wszystkie Boże dzieci będą korzystały pełnymi garściami z rosnącej wiedzy, ale że się jeszcze raz powtórzę: to tylko początek.

Musimy być odważni. Musimy ogarnąć cuda nauki w imię Pana.

Papież słucha. Uśmiecha się.

Kontynuuję.

Wizerunek Boga wcielonego w człowieka, owoc boskiego zafascynowania własnym aktem stworzenia, zatriumfuje w trzecim milenium jako najwyższy symbol boskiego poświęcenia i niezgłębionej miłości.

Twierdzę, że potrzeba tysięcy lat na zrozumienie ukrzyżowania Chrystusa. Na przykład dlaczego zstąpił na ziemię i przeżył tu trzydzieści trzy lata? Czemu nie dwadzieścia? Czemu nie dwadzieścia pięć? Przez wieczność można sobie łamać nad tym głowę. Dlaczego Chrystus musiał zacząć od ośeska? Co to za przyjemność być ośeskiem? Czy bycie ośeskiem to część naszego zbawienia? I czemu wybrano właśnie tamtą epokę? I tamto miejsce?!

Zwietrzała gleba, żwir, piasek, wszędzie kamienie - w życiu nie widziałem tyle kamieni co w Ziemi Świętej - ludzie na bosaka, w sandałach, wielbłądy; wyobraźcie sobie tamte czasy. Nic dziwnego, że kamienowali! Czy to, że Chrystus pojawił się w tamtej epoce, ma jakiś związek z ówczesną prostotą stroju i uczesania? Myślę, że tak.

Przelećcie jakąś książkę poświęconą historii ubioru - no, wiecie, naprawdę dobry album, który przeprowadzi was od starożytnego Sumeru do butików Ralphi Lauren: nigdzie nie znajdziecie prostszych ubiorów i zwykleszego uczesania niż w Galilei pierwszego wieku.

Mówię serio, wyjaśniam ojcu świętemu. Chrystus to rozważył, musiał rozważyć.

Jakże inaczej? Musiał wiedzieć, że Jego wizerunki zaleją świat w setkach milionów egzemplarzy.

Co więcej, myślę, że Chrystus wybrał ukrzyżowanie, ponieważ od tamtej chwili miał

być oglądany, gdy wyciąga ramiona, gotowy objąć każdego pełnym miłości uściskiem.

Kiedy raz się spojrzysz na ukrzyżowanie pod tym kątem, cała perspektywa ulega zmianie. Widzimy, że On jest gotów objąć cały świat. Wiedział, że Jego wizerunek musi zachować siłę oddziaływania przez wieki. Wiedział, że musi mieć jednoznaczny wyraz. Wiedział, że musi być na tyle prosty, aby można go było łatwo wytwarzać. To nie przypadek, że możemy sięgnąć po wizerunek tamtej upiornej śmierci i nosić go na szyi. Bóg myśli o wszystkich takich rzeczach, no nie?

Papież nadal się uśmiecha.

- Gdybyś nie był świętym, wyśmiałbym cię - mówi. - A jak już tak rozmawiamy, to kiedy się spodziewasz tych techno-świętych?

Jestem szczęśliwy. Wygląda jak dawny papież, który jeździł na nartach, jeszcze gdy miał siedemdziesiąt trzy lata. Warto było zadać sobie ten trud i odwiedzić *Pappę*, żeby go oglądać w takim świetnym humorze.

A poza tym, nie każdy może być ojcem Pio albo Matką Teresą. Ja jestem świętym Lestatem.

- Pozdrowię od ciebie ojca Pio - szepczę.

Papież zapadł w drzemkę. Zachichotał i zasnął. To byłoby na tyle z moim mistycznym oddziaływaniem. Gadaniną uspiłem staruszkę. Ale czego się spodziewałem, zwłaszcza po tym papieżu? Pracuje niezwykle ciężko. Cierpi. Medytuje.

Tego roku był już w Azji i Europie Wschodniej i wkrótce wybiera się do Toronto, Gwatemali i Meksyku. Nie mam pojęcia, skąd bierze na to siły.

Kładę mu dłoń na czole. Potem wychodzę.

Schodzę schodami do Sykstyń. Oczywiście, jest ciemno i pusto. I zimno. Nie mam się jednak czego obawiać, moje oczy świętego są równie dobre jak oczy wampira i widzę roje wspaniałych fresków.

Samotny - odcięty od całego świata i wszystkich stworzeń - stoję w tym cudownym otoczeniu. Pragnę położyć się na podłodze jak ksiądz w dniu wyświęcenia. Chcę być księdzem. Chcę dokonać konsekracji hostii! Chcę tego tak bardzo, że to aż napawa mnie bólem. NIE CHCĘ WIĘCEJ CZYNIĆ ZŁA.

Tak po prawdzie to daję spokój fantazjom o świętym Lestacie. Wiem, ile są warte, i nie potrafię przejść od marzeń do przekuwania ich w rzeczywistość.

Wiem, że nie jestem świętym, nigdy nim nie byłem i nie będę. Żadna chorągiew z moim obrazem nie rozwinie się na placu Świętego Piotra w promieniach słońca.

Żaden wielotysięczny tłum nie będzie wiwatował w dniu mojej kanonizacji. Żaden sznur kardynałów nie będzie towarzyszył takiej ceremonii, bo ona nigdy się nie odbędzie. I nie mam recepty na środek, który zastąpiłby kokainę plus heroinę, więc nie mogę zbawić świata.

Nawet nie stoję w Kaplicy Sykstyńskiej. Jestem daleko od niej, w ciepłym zakątku, chociaż tak samo samotny, jak to sobie tuż przed chwilą wyobrażałem.

Jestem wampirem. Zachwycało mnie to przez dwieście lat i wciąż zachwyca.

Jestem tak pełen krwi innych, że niemal tryska mi uszami. Jestem nią skażony.

Jestem tak wyklęty jak cierpiąca na krwotok kobieta, zanim dotknęła frędzli płaszcza Chrystusa! Żyję dzięki krwi. Jestem rytualnie nieczysty.

I jestem zdolny tylko do jednego cudu. Nazywamy go mroczną sztuczką i właśnie zamierzam ją wykonać.

Myślicie, że całe to poczucie winy może mnie powstrzymać? *Nada*, nigdy, *mais non*, puknijcie się w czołko, dajcie sobie siana, w życiu, byyyłagam, no, co wy, mofffy nie ma.

Mówiłem, że wrócę, no nie?

Jestem niespożyty, nie do powstrzymania, bezwstydnym, bezmyślnym, beznadziejnym, bez serca, hultaj, dzikus, nieprzemakalny na krytykę, niepoprawny, nie do odratowania i nie zasługuję na wybaczenie.

I, skarbie, oto kolejna opowieść.

Słyszę dzwony piekła. Wzywają mnie. Czas w tany!

NO, TO WIUUU! I OTO, GDZIE JESTEŚMY.

POSIADŁOŚĆ BLACKWOOD, NA DWORZE, WIECZOREM

Oto wiejski cmentarzyk na krawędzi zarosłych cyprysami bagien, kilkanaście starych grobowców, z których czas dawno temu wytarł inskrypcje, jeden z nich czarny od sadzy niedawno wygasłego ogniska, a całość otoczona niskim ogrodzeniem z kutego żelaza i czterema ogromnymi dębami, uginającymi się pod ciężarem konarów, niebo w kolorze lila, żar lata słodko pieści skórę, i...

...no pewnie, że włożyłem fraczek z czarnego aksamitu (z bliska widać wcięcie w talii i mosiężne guziki), buty harleyowca i świeżutką lnianą koszulę wykańczaną koronkami (biada temu żaloszemu brudasowi, który pozwoli sobie na szyderstwo na widok tego stroju!), dziś wieczór nie przyciąłem opadającej na ramiona blond grzywy, co czasem robię dla odmiany, i nie włożyłem fiołkowych przeciwsłonecznych okularów, bo nie ma nikogo, kogo kolor moich oczu mógłby oszołomić, a moja skóra jest niebywale opalona od czasu próby samobójstwa sprzed kilku lat, gdy na pustyni Gobi wystawiłem się na działanie promieni słońca, i myślę sobie, że...

...mroczna sztuczka, tak, czyni cuda, oni cię potrzebują, tam w tym dworze, ciebie, smarkatego księcia, ciebie, szejka między wampirami, przestań rozpaczać i rozpamiętywać, idź do nich, we dworze jest delikatna sytuacja i PRZYSZEDŁ CZAS

OPOWIEDZIEĆ WAM, CO SIĘ WYDARZYŁO, WIĘC OPOWIADAM.

Przechadzałem się, dopiero co opuściwszy moją kryjówkę, i oplakiwałem gorzko pewną krwio pijaczkę, która przepadła właśnie na tym cmentarzu, na już wspomnianym szerniałym grobowcu, w wielkim ognisku i z własnej woli, całkiem niespodziewanie zostawiając nas poprzedniej nocy.

Była to Merrick Mayfair, która przebywała między nami, mniej czy bardziej żywymi zmarłymi, zaledwie trzy lata. Zaprosiłem ją do Blackwood, by pomogła mi przepędzić złego ducha od dzieciństwa prześladowającego Quinna Blackwooda. Ten dopiero co dostał zastrzyk mrocznej krwi i przybył do mnie, szukając pomocy. Po transformacji Quinna ze śmiertelnika w wampira ów duch nie tylko nie dał mu spokoju, ale wręcz przeciwnie, stał się silniejszy i jeszcze złośliwszy, a na dodatek przyczynił się do śmierci najdroższej chłopakowi śmiertelniczki - jego ciotecznej babki, liczącej sobie osiemdziesiąt pięć lat cioci Queen: potracił ją tak, że upadła i wyzionęła ducha na miejscu. Nie mogłem się obejść bez Merrick Mayfair, jeśli chciałem na zawsze przepędzić tego prześladowcę. Miał na imię Goblin.

Jako że Merrick Mayfair w swojej śmiertelnej postaci była zarówno uczoną, jak i czarownicą, uznałem, iż będzie miała dość siły i się go pozbędzie.

No cóż, przybyła i przejrzała Goblina, rozwikławszy zagadkę jego pochodzenia, po czym wzniosła wysoki stos z węgla i drewna i podpaliwszy go, zniszczyła nie tylko złego ducha, ale również sama wstąpiła w płomień. Duch odszedł na zawsze, na zawsze odeszła też Merrick.

Oczywiście, próbowałem ją wyciągnąć z gorejącego stosu, ale jej dusza uleciała i choćbym wylewał

hektolitry własnej krwi na szerniałe szczątki, nie dałoby się ich przywrócić do życia.

Kiedy chodziłem w kółko, kopiąc z furią cmentarną ziemię, przyszła mi do głowy myśl, że nieśmiertelni, którym wcześniej się wydawało, iż pragną mrocznej krwi, giną dużo prędzej niż ci, którzy nigdy o nią nie prosili. Może to gniew z powodu dokonanego na nas gwałtu daje nam siły przetrwać wieki.

Jak powiedziałem, we dworze się coś działo.

Chodząc, obracałem w głowie jedną myśl: mroczna sztuczka, tak, mroczna sztuczka, trzeba stworzyć kolejnego wampira.

Lecz czemu coś takiego w ogóle nie dawało mi spokoju? Mnie, który potajemnie pragnął zostać świętym? Krew Merrick z pewnością nie krzyczała z ziemi o kolejnego nowo narodzonego, należało z góry skreślić takie przypuszczenie. A przy tym wszystkim była to jedna z tych nocy, gdy każdy wciągany przeze mnie oddech zdawał

się punktować kolejną miniaturową metafizyczną katastrofę.

Spojrzałem na dwór, jak nazywano ten dom, rezydencję na szczycie niewielkiego wzniesienia, na wysokie białe kolumny i rzędy rozświetlonych okien, budynek, który przez ostatnie kilka nocy był skarbcem mojego bólu i szczęścia, i próbowałem ustalić, jak należy to rozegrać - z korzyścią dla wszystkich zainteresowanych stron.

Głównie należało wziąć pod uwagę obecność wielu niczego nie podejrzewających, drogich memu sercu mimo krótkiej znajomości śmiertelnych, a mówiąc, że niczego nie podejrzewali, mam na myśli, iż nigdy nie przemknęło im przez głowę, że ich ukochany Quinn Blackwood, młody dziedzic, czy też jego tajemniczy przyjaciel, Lestat, są wampirami. To dlatego Quinn pilnował się ze wszystkich sił, ogarnięty lękiem, aby jakimś nieprzemyślanym uczynkiem nie wyrządzić komuś zła. To był jego dom i nie zamierzał zrywać z nim więzów.

Wśród tych śmiertelników była Jasmine, ciemnoskóra, wszechstronnie utalentowana gospodyni o oszałamiającej urodzie (mam nadzieję, że uda mi się więcej o niej powiedzieć w miarę rozwoju akcji, bo aż mnie język świerzbi) i przez jedną noc kochanka Quinna; ich synek, Jerome, oczywiście poczęty przez Quinna śmiertelnika, mający cztery lata i biegający dla zabawy w górę i w dół kręconych schodów, przebierający dziarsko nóżkami w nieco za dużych białych tenisówkach; Baba Ramona, babka Jasmine, królewskiej postaci Murzynka z siwymi, zaczesanymi w kok włosami, kręcąca głową, mówiąca do nie wiedzieć kogo, i jej wnuk, Cłem, szczupły Murzyn o muskulaturze dzikiego górskiego kota, w czarnym garniturze i krawacie, stojący tuż za progiem wielkich frontowych drzwi i patrzący w górę schodów, szofer niedawno zmarłej pani tego domu, cioci Queen, za którą nadal z bólem rozpaczamy, dręczony, i nie bez powodu, podejrzewani na temat tego, co się wyprawia w sypialni Quinna.

W głębi, na piętrze, siedział w swoim pokoju stary nauczyciel Quinna, Nash Penfield, razem z trzynastoletnim Tommym Blackwoodem, tak faktycznie wujem Quinna, ale w istocie raczej jego adoptowanym synem - ci dwaj rozmawiali przed zimnym kominkiem, gdy Tommy, niezwykle uroczy

młody człowiek, każdy musiał to przyznać, cicho oplakiwał śmierć wielkiej damy, o której dopiero co wspomniałem, a z którą przez trzy lata podróżował po całej Europie, „dorastając męskiego wieku”, jak opisałby to Dickens.

Z tyłu posiadłości przebywali fornale, Allen i Joel, którzy siedząc w otwartym i oświetlonym pomieszczeniu baraku i przeglądając „Weekly World News”, zarykiwali się ze śmiechu, zagłuszając dolatujące z telewizora odgłosy meczu futbolowego. Przed domem stała gigantyczna limuzyna, za - druga.

Pozwólcie, że dwór opiszę szczegółowo. Jestem w nim zakochany. Uważam, że ma idealne proporcje, co nie zawsze można powiedzieć o starych amerykańskich budowlach, ale ten dumny dom o wielkich oknach z obu stron, królujący na wyniesieniu terenu jest więcej niż piękny i trudno się mu oprzeć, jemu i długiej hikorowej alei.

Wnętrze? Jak je nazywają Amerykanie, gigantyczne pokoje. Pyłka kurzu, wszędzie idealny porządek. Mnóstwo kominkowych zegarów, luster, portretów, perskich dywanów i nieuniknione połączenie dziewiętnastowiecznych hebanowych mebli oraz replik klasycznych hepplewhite'ów i ludwików XIV, w sumie styl nazywany tu tradycyjnym lub antycznym. Podoba się? I nigdy nie uciekniesz przed buczeniem ogromnych klimatyzatorów, które nie tylko czarodziejskim sposobem schładzają powietrze, ale kreują twoją własną strefę dźwięku, której nie naruszają żadne hałasy z zewnątrz, co w niezwykle sposób zmienia atmosferę i nastrój starego Południa.

Wiem, wiem. Powinienem opisać scenerię, zanim przystąpiłem I do opisu ludzi.

Ale co z tego? Nie myślałem logicznie. Zaciekle biłem się z myślami. Nie mogłem się oderwać od historii życia i śmierci Merrick Mayfair.

Oczywiście, Quinn twierdził, że widział, jak Światłość obejmuje zarówno niechcianego przezeń ducha, jak i Merrick, i dla niego scena na cmentarzu była teofania - dla mnie była czymś zupełnie innym. Ja widziałem tylko, jak Merrick spala się żywcem. Płakałem, wrzeszczałem, kłąłem.

Okej, dość o Merrick. Nie zapominajcie o niej jednak, bo z pewnością jeszcze do niej wrócę. Kto wie? Niewykluczone, że za każdym razem, kiedy mi się zachce. Tak w ogóle, to kto rządzi tą książką? Nie, nie bierzcie tego poważnie. Obiecałem wam opowieść i będzie opowieść.

Chodzi, czy raczej chodziło, o to, że z powodu tego, co właśnie wstrząsnęło dworem, nie miałem czasu porządnie się wypłakać. Utraciliśmy Merrick. Utraciliśmy pełną życia, niezapomnianą ciocię Queen. Żałoba spowiła przeszłość i przyszłość. Ale właśnie zaszło zupełnie niespodziewane wydarzenie i mój skarb, Quinn, niezwłocznie mnie potrzebował.

Oczywiście, nikt mnie nie zmuszał, żebym ingerował w to, co działo się w Blackwood! Równie dobrze mogłem się po cichutku wy tasować.

Quinn, wampirze piskłę, wezwał Lestata Wspaniałego (uhm, lubię ten tytuł), żeby załatwił Goblina, i skoro Merrick zabrała ze sobą ducha, niby nie miałem nic więcej do roboty, mogłem dosiąść rumaka i niespiesznym kłusem oddalić się w kierunku zachodzącego słońca, zegnany szeptami służby:

„A tak w ogóle, to kto to był ten wystrojony przystojniak?”, ale nie miałem serca zostawić Quinna własnemu losowi.

Quinn niełicho się zaplątał w życie tych śmiertelnych. A ja po uszy zakochałem się w Quinnie. Miał dwadzieścia trzy lata, gdy został ochrzczony krwią, miał niezwykle wizje i niezwykle sny - niewymuszenie czarujący i nieskończenie dobry, cierpiący nocny łowca, łasy tylko na krew potępionych i towarzystwo kochających i wspierających na duchu.

(Kochających i wspierających na duchu??? Takich jak ja na przykład??? Więc dzieciak błędził. Poza tym tak się w nim zakochałem, że odstawiłem niełichy teatr na jego użytek. Czyż można mnie potępiać za kochanie tych, którzy przychodzą do mnie z miłością? Czy to takie straszne, chociaż jestem potworem pełną gębą? Wkrótce zrozumiecie, że cały czas mówię o mojej moralnej ewolucji! Ale teraz - wątek opowieści.)

Mogę „zakochać się” w każdym - mężczyźnie, kobiecie, dziecku, wampirze, papieżu.

Osoba nie gra roli. Jestem idealnym chrześcijaninem. Widzę dary Boga wszędzie.

Prawie każdy byłby jednak gotów pokochać Quinna. Kochanie takich jak Quinn przychodzi łatwo.

Teraz do spraw bieżących, a skoro o nich mowa, to należy wrócić do sypialni Quinna, zajętej w tej delikatnej chwili przez jej właściciela.

Zanim któryś z nas wstał tej nocy - a wcześniej zabrałem ze sobą tego wysokiego, niebieskookiego, kruczowłosego chłopca do jednej z moich kryjówek - śmiertelna dziewczyna przybyła do dworu i przeraziła wszystkich.

To dlatego Clem nie spuszczał z oka schodów, Baba Ramona mruczała, a Jasmine zamartwiała się, chodząc w kółko i załamując ręce. Nawet mały Jerome był

podniecony, i to dlatego biegał w górę i w dół po schodach. Nawet Tommy i Nash wcześniej przerwali swoje lamentsy, by rzucić okiem na przybyłą i zaproponować pomoc, która ulżyłaby jej zmartwieniu.

Bez kłopotu zajrzałem do ich umysłów i dowiedziałem się, co się w nich kryje, tak że znałem całe tło tego dziwnego zdarzenia, a jak już mowa o zaglądaniu w te miejsca, to uświadomiłem sobie też, jaki wpływ cała afera wywarła na Quinna.

Przeprowadziłem też rodzaj włamania do głowy śmiertelnej dziewczyny, gdy siedziała na łóżku Quinna, wśród całej masy rozrzuconych kwiatów, doprawdy cudownej płataniny ciśniętych byle jak kielichów, łodygi listków, rozmawiając z nim.

Od samego początku otaczała mnie kakofonia myśli, wrażeń i emocji. A cała sprawa wzbudziła w mojej niezwykle odważnej duszy drobną falę paniki. Zrobić mroczną sztuczkę? Dodać do naszej rzeszy jeszcze jedną wampirzycę? Piekło i szatani!

Rozpacz i smutek! Na pomoc, morderstwo, policja!

Czy naprawdę to mnie zależy na wykradzeniu z nurtu losów ludzkości kolejnej duszyczki? Mnie, który chce być świętym? I który kiedyś zadawał się z aniołami?

Mnie, który twierdził, że widział Boga we własnej postaci? To ja mam wprowadzić kolejną lokatorkę do - uwaga, uwaga! - królestwa żywych umarłych?

Komentarz: cudownie było kochać Quinna, między innymi dlatego że to nie ja stworzyłem go wampirem. Chłopiec trafił mi się gratis. Czułem się tak, jak musiał się czuć Sokrates, kiedy uroczy greccy młodzianie przychodzili do niego po radę, przynajmniej do chwili, w której za nauki poczęstowano go przymusowym drinkiem z cykuty.

Wracamy do teraźniejszości: jeśli w tym świecie miałem jakiegoś rywala do serca Quinna, była nim tamta śmiertelniczka, tamta dziewczyna, z którą siedział na górze, szepcząc gorączkowe obietnice, że przekaże jej naszą krew, że złoży jej pokraczny dar naszej nieśmiertelności. Tak, zgadza się, dokładnie taka właśnie oferta padała z ust Quinna. Dobry Boże, dzieciaku, weź się trochę w garść! - pomyślałem. Ostatniej nocy widziałeś światłość niebios!

Dziewczyna nazywała się Mona Mayfair. Nigdy jednak nie poznała Merrick Mayfair ani nawet nie słyszała o niej. O żadnym pokrewieństwie nie mogło więc być mowy.

Merrick była w jednej czwartej Murzynką, Mulatką urodzoną wśród mieszkających w centrum „kolorowych Mayfairów”, Mona natomiast należała do białych Mayfairów z Garden District i pewnie nigdy w życiu nie słyszała słowa o Merrick ani o jej kolorowych bliskich. Z kolei Merrick nigdy nie wykazywała żadnego zainteresowania swoją sławną białą rodziną. Chodziła własnymi ścieżkami.

Jednakże Mona była autentyczną czarownicą - podobnie jak bez wątplenia była czarownicą Merrick. A kim jest czarownica? No cóż, jest to ktoś, kto potrafi czytać w myślach, przyciąga duchy i zjawy i posiada pewne okultystyczne umiejętności. W

ostatnich dniach dość się nasłuchałem od Quinna o przesławnym klanie Mayfairów, by zdawać sobie sprawę, że kuzyni Mony, sami czarownicy, jeśli się nie mylę, niewątpliwie tropią teraz z językiem na brodzie Monę, z pewnością przerażeni i wystraszeni losem tego dziecka.

Powiem więcej, wcześniej widziałem przelotnie troje z tego przesławnego plemienia (w tym księdza czarownika, ni mniej, ni więcej, tylko księdza czarownika!

Nawet nie chcę o tym myśleć!) na mszy za duszę cioci Queen i teraz zachodziłem w głowę, czemu się tak ociągają z dopadnięciem Mony, chyba że celowo rozgrywają to powolutku, a powód tej zwłoki niebawem stanie się jasny.

My, wampiry, nie lubimy czarownic i czarowników. Wiecie czemu? Każdy szanujący się wampir, nawet jeśli ma trzy tysiące lat, potrafi oszukać śmiertelników, przynajmniej na chwilę. A młodzieńskim wampirom, takim jak Quinn, idzie to już wręcz jak z płatka. Jasmine, Nash, Baba Ramona - wszyscy brali Quinna za śmiertelnika. Ekscentryk? Umysłowo chory? Tak, to prawda. Ale człowiek. I Quinn mógł żyć między nimi jeszcze sporo czasu. Jak już wytłumaczyłem, myśleli, że ja też jestem

człowiekiem, chociaż zapewne nie mogłem liczyć na to, iż to przekonanie utrzyma się długo.

Natomiast czarownice i czarownicy nie są tak naiwni. Bezbłędnie rozpoznają wszystkie stworzenia, z którymi mają do czynienia. Ich moc, chociaż często działa bezwiednie, nigdy nie spoczywa. Wyczułem to podczas mszy, wystarczyło tylko, że oddychałem tym samym powietrzem co doktor Rowan Mayfair, jej mąż, Michael Curry, a także ksiądz Kevin Mayfair. Na szczęście odbierali jednocześnie tak wiele bodźców, że nie musiałem dawać drapak.

No, dobra, o czym to ja... Ach, spoko. Mona Mayfair to również wiedźma, a jej umiejętności były najwyższego rzędu. Tak więc, gdy tylko jakiś rok temu Quinn został

napojony mroczną krwią, poprzysiągł, iż nigdy więcej nie spotka się z Moną, gdyż nawet na łożu śmierci mogła wyczuć zło, które pozbawiło go życia, a poza tym nie chciał jej skazić.

Jednakże z własnej woli i ku wielkiemu zdumieniu wszystkich... przybyła tu jakąś godzinę temu, prowadząc rodzinną limuzynę. Porwała ją spod Mayfair Medical Center, w którym gasła od ponad dwóch lat. (Szofer spacerował wokół budynku, nieszczęsny gamoń, pałac papierosa. Kiedy odjeżdżała pełnym gazem, widziała we wstecznym lusterku, jak biegnie za nią.)

Potem odwiedziła wiele kwiaciarni, w których nazwisko Mayfair cenione jest tak samo jak złoto, zabierając gigantyczne wiązanki kwiatów albo luźne bukiety, wszystko, co tylko wpadło jej w ręce, pokonała Twin Span, jak nazywa się tu długi most nad jeziorem, dotarła do dworu Blackwood, wysiadła z samochodu bosa i w szpitalnej koszuli, istna postać z horroru - szkielet na rozdygotanych nogach, z sinymi wybroczynami, obwisłą skórą i strzechą rudych włosów - i rozkazała Jasmine, Clemowi, Allenowi oraz Nashowi zanieść kwiaty do pokoju Quinna, zapewniając ich o jego pozwoleniu i uzgodnieniu, że należy je rozrzucić na wielkim staromodnym łożu z baldachimem. Niech się nie boją.

Byli wystraszeni, ale zrobili, jak im kazała.

Przecież każdy wiedział, że Mona Mayfair była największą miłością Quinna, zanim jeszcze jego ukochana ciocia Queen, podróżniczka, która zwiedziła cały świat, i bohaterka wielu opowieści, zmusiła go, by pojechał z nią do Europy „w ostatnią podróż jej życia”, która jakoś rozciągnęła się na całe trzy lata, a gdy Quinn wrócił do kraju, okazało się, że Mona leży w izolatce w szpitalu Mayfair, i jest nieosiągalna.

Następnie podstępem i gwałtem została mu przekazana mroczna krew i minął

kolejny rok, podczas którego Mona przebywała pod szpitalnym kloszem, zbyt słaba, by choćby napisać list czy popatrzeć na kwiaty, codzienny prezent Quinna...

Wróćmy teraz do czeredy poruszonych pomocników, którzy wnieśli kwiaty do pokoju.

Sama wycieńczona dziewczyna, a mówimy tu o dwudziestolatce, to ją nazywam

„dziewczyną”, w żadnym wypadku nie potrafiła się wspiąć po kręconych schodach, tak więc dworny Nash Penfield, stary wychowawca Quinna, z laski Boga ideał

dżentelmena (któremu Quinn zawdzięcza wielką część swojego ostatecznego szlif), zaniósł ją na górę i złożył w „kwietnej altance”, jak ją nazwała - to dziecko zapewniło go, że róże są bez kolców - i spoczęła, splatając szczątki fraz szekspirowskich i swoich, a mianowicie:

„Błagam, złożcie mnie do tak przystrojonego małżeńskiego łoża, za czym ustąpcie i ze zgonem niech ono przybranie ozdobi wieczne postanie”.

W tym momencie trzynastoletni Tommy wyrósł w drzwiach sypialni i tak się przejął widokiem Mony, już poruszony niedawną utratą cioci Queen, że zaczął się trząść. Zdumiony Nash zabrał go stamtąd, podczas gdy Baba Ramona pozostała i oświadczyła scenicznym szeptem godnym mistrza ze Stratfordu: „Ta dziewczyna umiera!”

Na co młodzianka rudowłosa Ofelia roześmiała się w głos. Co innego jej pozostało?

I poprosiła o puszkę dietetycznej coli.

Jasmine początkowo myślała, że dziecko wyzienie ducha na miejscu, co wcale nie byłoby niczym dziwnym, ale ono rzekło: „Nie, czekam na Quinna”, po czym poprosiło wszystkich, żeby wyszli, a gdy Jasmine przybiegła z zimną colą w szklance z bąbelkowego szkła ze słomką, pociągnęło z niej ledwo łyczek.

Możesz przeżyć całe życie w Ameryce i nie zobaczysz człowieka w takim stanie.

W osiemnastym wieku, kiedy się urodziłem, takie widoki były jednak całkiem powszechne. W tamtych czasach ludzie umierali na ulicach Paryża. Potykałeś się o zwłoki. Taka sama sytuacja panowała w dziewiętnastowiecznym Nowym Orleanie, kiedy zaczęli przyplływać głodujący Irlandczycy. Widywało się masę żebraków, sama skóra i kości. Teraz musisz udać się w „zagraniczną misję” albo zabłąkać do pewnych szpitali, jeśli chcesz ujrzeć ludzi tak cierpiących jak Mona Mayfair.

Baba Ramona wygłosiła kolejne oświadczenie, oznajmiła wszem i wobec, że to jest właśnie łoże, w którym umarła jej córka (Mała Ida), i że nie jest to miejsce dla chorego dziecka. Ale jej wnuczka, Jasmine, powiedziała babce, że ma być cicho, na co Mona dostała takiego ataku śmiechu, że mało nie umarła, bo zaczęła się dusić. Jakoś przetrwała.

Kiedy stałem na cmentarzu, przeglądając te wszystkie odbicia niedawnych wydarzeń, ujrzałem, iż Mona ma nieco ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, delikatną budowę ciała i niewątpliwie kiedyś była piękna, ale choroba - jej zapalnikiem był traumatyczny poród, którego mimo mojej mocy nie potrafiłem dojrzeć - dokonała w niej tak poważnych spustoszeń, że ważyła mniej niż trzydzieści pięć kilogramów, a gęste rude włosy tylko podkreślały makabryczny wygląd i kompletne wycieńczenie. Była tak blisko śmierci, że trzymała się życia tylko siłą woli.

To właśnie wola i czarodziejskie umiejętności - wrodzona wiedźmom siła przekonywania - pomogły jej zebrać kwiaty i nakłonić tak wielu ludzi w Blackwood, by jej posłuchali.

Teraz zaś, kiedy Quinn się pojawił, kiedy Quinn był u jej boku i to, co kiedyś było tylko śmiałym pomysłem - umrzeć w domu ukochanego - zaczęło przybierać realne kształty, bóle układu trawiennego i stawów stały się nie do zniesienia. Poza tym straszliwie bolała ją cała skóra. Sam dotyk kwiatów, które tak kochała, przyprawiał ją o cierpienie.

Muszę przyznać, że nie byłem specjalnie zdziwiony, iż mój dzielny Quinn odrzucił

wszelką odrazę, którą niegdyś żywił wobec uwarunkowań swojego losu, i zaproponował jej mroczną krew, ale całym sercem wolałbym, aby do tego nie doszło.

Oczywiście trudno patrzeć, jak ktoś umiera, kiedy masz w sobie tę złą, paradoksalną moc i wiesz o jej własnościach. A on na dodatek był w niej naturalnie i nienaturalnie zakochany i nie mógł znieść jej cierpienia. Zresztą kogo byłoby na to stać?

Jednakże, jak już wyjaśniłem, Quinn dopiero co, zeszłej nocy, przeżył teofanię, widział, jak Merrick i jego własny duch sobowtór wkraczają w Światłość. Czemuż więc, na litość boską, nie zadowolił się jedynie trzymaniem Mony za rękę i udzieleniem jej duchowego wsparcia, podczas gdy przekraczała ostatni próg? Z

pewnością miała nie dożyć północy.

Tak po prawdzie, był na to zbyt słaby. Nie potrafił pozwolić jej umrzeć. Oczywiście wcześniej nigdy nie zjawiłby się na jej progu, powinienem dodać, dzielnie walczył sam z sobą, nie wyjawiając swojej tajemnicy, ale oto ona przybyła do niego, właśnie do tego pokoju, błagając o śmierć na jego łóżku. A on był wampirem, mężczyzną w skórze wampira, i to było jego terytorium, jego leże, że tak powiem, i nie miało znaczenia, kim jest, wampirem czy niewampirem, pewne hormony nie dawały mu spokoju, a ona była w jego ramionach i monstualna chęć posiadania i niesłychanie pociągająca wizja uratowania jej zawróciły mu w głowie.

Jednak równie dobrze jak wiedziałem o tym wszystkim, wiedziałem też, że w tym przypadku nie może być mowy o mrocznej sztuczce. Nigdy wcześniej jej nie robił, a Mona była zbyt krucha. Tylko by ją zabił. A o tym nie mogło być mowy. Więcej, gdyby mała zagłosowała za mroczną kwią, po czym zgasła w trakcie nieudanej próby jej przekazania, wylądowałyby w piekle! Musiałem iść tam, na górę. Wampir Lestat na ratunek!

Wiem, co myślicie. Myślicie: „Lestacie, to jakaś komedia? Nie chcemy komedii”.

Nie, to nie komedia!

Chodzi tylko o to, że znikają wszelkie poniżające pozory zakrywające moje prawdziwe „ja”, nie rozumiecie tego? Przestań wybałuszać ślepią na tę olśniewającą otoczkę, która mi towarzyszy, skarbie, zwróć uwagę na tego, który jest w niej w środku! Odrzucamy tylko te elementy, które spływają naszą rozmowę i budują barierę... sztucznej oryginalności, tak ją nazwijmy.

Okej. Naprzód. Pokonałem dystans ludzkim sposobem, mijając frontowe drzwi, zamek TRZASK, zaskakując Cierna, rzuciłem przymilny uśmiezek, „Kumpel Quinna, Lestat, no, zgadza się, hej, i

Clem, przygotuj wózek, potem jedziemy do Nowego Orleanu, okej, chłopie?”, i poszedłem na górę, szeroko uśmiechając się po drodze do małego Jerome’a, przelotnie ściskając stojącą na korytarzu zdenerwowaną Jasmine, a potem samą siłą woli przekręciłem zamek w drzwiach sypialni Quinna i wkroczyłem do środka.

Wkroczyłem? Czemu nie „wszedłem”? Ta sztuczna oryginalność musi zniknąć.

Teraz rozumiecie, o co mi chodzi? Tak naprawdę to wpadłem do tamtego pokoju, jeśli już musicie wiedzieć.

A teraz zdradzę wam pewien sekret. Nic, co wampir ogląda telepatycznie, nie jest nawet w jednej dziesiątej tak żywe i barwne jak to, co ogląda na własne oczy.

Telepatia to świetna sprawa, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale to, co widzimy bezpośrednio, tego prawie się nie da opisać, takie jest żywe. I to dlatego telepatia nie odgrywa wielkiej roli w tej książce. Zresztą i tak zmysłowe ze mnie zwierzę.

A na widok siedzącej w nogach wielkiego, imponującego łoża Mony pękało serce.

Cierpiała większy ból, niż Quinn był sobie w stanie uzmysłwić. Nawet jego uścisk sprawiał jej ból. Wolałbym tego nie wiedzieć, ale machinalnie obliczyłem, że powinna nie żyć od jakichś dwóch godzin. Nerki przestały pracować, serce ledwo kołatało się w piersiach, a ilość powietrza, która wpływała do płuc, była niewystarczająca.

Lecz gdy spojrzała na mnie, wielkie zielone oczy były szeroko otwarte, a przenikliwy, żwawy umysł rozumiał na jakimś zupełnie mistycznym poziomie, całkowicie poza zasięgiem słów, to, co Quinn usiłował jej powiedzieć, mianowicie, że można całkowicie odwrócić proces umierania, że powinna dołączyć do nas, powinna stać się nasza na wieki. Wampiryczny stan, żywy umarły. Nieśmiertelna zabójczyni.

Outsiderka po kres czasu.

Powiedziałem jej w duchu: *Znam cię, mała więdźmo. My żyjemy wiecznie.* Prawie się uśmiechnęła.

Czy mroczna sztuczka mogła odwrócić szkody, które zostały zadane jej mizernemu ciału? Pewnie.

Dwieście lat temu w sypialni na Wyspie Świętego Ludwika, w centrum Paryża, widziałem, jak wyniszczone ciało mojej matki uwalnia się ze szponów starości i suchot, gdy mroczna krew doszła do głosu i czar zadziałał pełną mocą. A tamtymi nocami byłem jedynie marnym błagalnikiem, którego do czynu popychały wyłącznie miłość i strach, nie siła. To był mój pierwszy raz. Nawet nie wiedziałem, jak się to nazywa.

- Pozwól mi zrobić mroczną sztuczkę, Quinn - powiedziałem bez wstępów.

Widziałem, jak ogarnia go ulga. Był jeszcze zbyt niewinny, zbyt niepewny siebie.

Oczywiście, wcale mi się to nie podobało, że był dziesięć centymetrów ode mnie wyższy, ale to nie

miało znaczenia. Kiedy mówiłem do niego „młodszy braciszku”, naprawdę tak myślałem. Niemal nie było rzeczy, której bym dla niego nie zrobił. A poza tym przecież chodziło o Monę. Jeszcze dziecko, już wiedźma, piękna, zawzięty duch, prawie sam duch, podczas gdy ciało rozpaczliwie walczyło o przeżycie.

Przytulili się do siebie. Zacisnęła dłoń na jego dłoni. Czy czuła, że dotyka niezwyklej istoty? Jej wzrok spoczywał na mnie.

Przeszedłem przez sypialnię. Wziąłem sprawy w swoje ręce. Z wielką pompą przedstawiłem jej rozwiązanie. Tak, jesteśmy wampirami, ale cudowne maleństwo, jest wybór. Czemu Quinn nie opowiedział ci o Światłości? Widział ją na własne oczy.

Poznał niebiańskie wybaczenie w szerszym wymiarze, niż było mi to dane.

- Ale możesz wybrać Światłość kiedy indziej, *chérie* - dodałem. Wybuchnąłem śmiechem. Nie potrafiłem się powstrzymać. To było zbyt cudowne.

Była chora od tak dawna, cierpiała od tak dawna. A wcześniej przeszła koszmar, urodziła dziecko, które zostało jej zabrane. Zdawałem sobie z tego sprawę, chociaż nie potrafiłem zgłębić wszystkich szczegółów. Mniejsza z tym. Jej wyobrażenie wieczności to było spokojnie przeżyć jedną godzinę, oddychać przez jedną błogosławioną godzinę, nie czując bólu. Jaki miała wybór? Nie, dla tej dziewczyny nie było wyboru.

Zobaczyłem długi korytarz, który nieubłaganie wsysał ją od wielu, wielu lat, igły, po których miała siniaki na ramionach, siniaki na całym ciele, lekarstwa, po których trawiły ją mdłości i traciła siły, pogrążone w bólu półsenne noce, gorączkę, płytkie koszarne sny, utratę błogosławionego skupienia, gdy książki, filmy i listy szły w ką i nawet ciemność zniknęła w nieznającym pór roku oślepiającym blasku szpitalnych lamp, brzękach i hałasach, przed którymi nie było ucieczki.

Wyciągnęła ku mnie ręce. Skinęła głową. Wysznięte popękane wargi. Strąki rudych włosów.

- Tak, chcę tego - powiedziała.

A z ust Quinna padło nieuniknione:

- Ratuj ją.

Ratować ją? To niebiosy jej nie chciały?

- Jadą po ciebie - wyrwało mi się. - Twoi krewni.

Czy rzuciła na mnie jakiś urok, gdy patrzyłem jej w oczy? Ale wyraźnie słyszałem nadjeżdżających pędem Mayfairów. Karetka z wyłączoną syreną gnała hikorową aleją, tuż za nią limuzyna.

- Nie, nie chcę, żeby mnie zabrali! - wykrzyknęła. - Chcę być z wami.

- Pączuszkę, to na wieczność - ostrzegłem ją.

- Tak!

Tak, wieczny mrok, tak, klątwa, rozpacz, samotność, tak.

Och, Lestacie, a ciebie korci wciąż to samo, ty diable, chcesz to zrobić, chcesz, chcesz to zobaczyć, ty łapczywa bestyjko, nie potrafisz oddać jej aniołkom, a wiesz, że one czekają! Wiesz, że Bóg, który może uświęcić jej męki, oczyścił ją i przebaczy jej te ostatnie wołania.

Przysunąłem się do niej, łagodnie odpychając Quinna.

- Puść ją, braciszku - poleciłem. Uniosłem rękę, przegryzłem skórę napiętka i podsunąłem jej pod wargi źródło krwi. - Tak właśnie trzeba to zrobić. Ja pierwszy muszę jej dać krew. - Ucałowała krew. Zacisnęła kurczowo powieki. Zadygotała.

Przeżyła wstrząs. - Inaczej nie dam rady jej przeprowadzić na drugą stronę. Pij, śliczna. Zegnaj, śliczna, zegnaj, Mona.

Piła ze mnie krew z taką zachłannością, jakby się wdarła do głównego obwodu, dostarczającego mi energii, jakby zamierzała mnie zabić. Wiedźma zniewoliła mnie poprzez krew. Zatchnęło mnie, wyciągnąłem rękę, szukając kolumnienki baldachimu.

Nie znalazłem jej i niespiesznie opadłem wraz z Moną na kwietne posłanie. Rude włosy zaplątały się w róże. Tak jak jasne włosy.

Runął ze mnie krzyczący strumień i poczułem, jak moje życie wypełnia jej istotę -

mroczny wilgotny zamek, Paryż, bulwarowy teatrzyk, porwanie, kamienna wieża, stworzenie przez Magnusa, pożar, samotność, łkająca sierota, skarb; co, wybuchnęła śmiechem? Widziałem jej kły w moim sercu, dokładnie w sercu. Wyrwałem się oszołomiony i przyłgnałem do kolumnienki, patrząc na nią.

Mała wiedźma!

Przyglądała mi się szklistymi oczami. Miała krew na wargach, zaledwie smuzkę, i wszelki ból ustał, i przyszedł moment wolności - od bólu, walki, strachu.

Po prostu nie mogła w to uwierzyć.

W mrocznej strefie między człowieczeństwem i wampirycznością oddychała głęboko i powoli, głodna hybryda, potępiona hybryda, jej skóra nabierała cudownej sprężystości i słodycz rozlewała się na twarzy, gdy nabrzmiewały policzki i wargi, znikwały kurze łapki, piersi pęczniały pod bawełnianą koszulą, ramiona stawały się krągłe, cudownie krągłe, ależ ze mnie szatan, i znów westchnęła, westchnęła, jakby ogarnięta ekstazą, nie mogąc oderwać ode mnie oczu, uhm, zgadza się, jestem boski, wiem, i teraz mogła przetrzymać mroczną sztuczkę. Quinn był oszołomiony. Zbyt zakochany. Zjeżdżaj. Odepchnąłem go. To moje dzieło!

Porwałem ją spośród kwiatów. Naczynie mojej krwi. Opadły płatki. Wersy poezji zaszeleściły na jej ustach.

- I wtedy nieboga, jakby nie znając swego położenia, śpiewała. Przytuliłem ją do siebie. Chciałem mojej krwi, która w niej krążyła. Chciałem jej.

- Mała wiedźmo - zasyczałem jej do ucha. - Wydaje ci się, że poznałaś wszystkie moje moce! - Niemal miażdżyłem ją w uścisku.

Śmiała się lekko, łagodnie.

- Śmiało, pokaż, co potrafisz! - powiedziała i dodała w myślach skierowane do mnie słowa: „Nie umrę!”

Quinn był wystraszony. Objął ją, dotykając mnie. Starał się objąć nas oboje. Był

niesłuchanie ciepły. Kochałem go. I co z tego? Posiadłem ją.

Przejechałem kłami po jej szyi.

- Zaraz się do ciebie dobiorę, dziewczynko! - szeptałem. - Zasmakujesz prawdziwej zabawy, dziewczynko!

Serce biło jej jak szalone. Nadal balansowała nad przepaścią. Zanurzyłem kły w ciele i poczułem, jak sztywnieje. Uroczy paraliż. Powoli sączyłem jej krew, jej słoność i moja słoność razem. Odślaniała się przede mną: piękne dziecko, nimfетка, szkolny urwis, wszystkowiedząca, oznaki geniuszu, opiekunka rodziców pijaków, piegi i uśmiechy, wieczna zabawa i zawsze w marzeniach, palce biegające po klawiaturze komputera, nominowana do miliardów Mayfairów, pochówek ojca i matki, dość zawracania sobie nimi głowy, kochanka niezliczonych mężczyzn, ciąża - teraz to ujrzałem! - koszmarne poród, dziecko monstrum. Morrigan, „Spójrz na nie, kobieta niemowlę!” Dolly Jean: „Dorośle niemowlę”. Co to za ludzie? Co ty mi pokazujesz?!

„Myślisz, że jesteś jedynym potworem, jakiego znam?” Morrigan znika na zawsze, dziecko monstrum. Co to za mutant, który jest dojrzałą kobietą w dniu urodzenia, i chce twojej piersi? Taltos! Przepada porwane, jej zdrowie zniszczone na zawsze, jej śmierć się zaczyna, muszę znaleźć Morrigan, szmaragd na szyi Mony, ach, to ten szmaragd...! Mona przywiązuje się do Quinna, zakochuje głęboko w Quinnie, powiedz, Quinn, nie, poezja, Ofelia, dodaje sił jej duszy, jej sercu, łapie oddech, za długo umierała... „Nie zdajesz sobie sprawy, co to jest? Zdaję sobie sprawę, zdaję! Nie przerywaj! Nie odtrącaj mnie! Kto to próbuje mi cię zabrać? Znam tego upiora!

Julien!”

Rzucił się na mnie. Rozzłoszczony fantom! W środku mojej wizji! Był wcześniej w sypialni? Ten wysoki, siwy mężczyzna atakuje mnie, próbuje cię wyrwać z moich objęć! Kim jesteś, u diabła? Odpycham go, znika, staje się malejącym punkcikiem. Do diabła z tobą, puść ją!

Spoczywamy w kwietnej altance, objęci ramionami, ona i ja, poza czasem, spójrz na niego, znów wraca, Julien! Byłem ślepy. Wysunąłem się z objęć, znów rozerwałem sobie nadgarstek, przysunąłem go do jej ust, niezdarnie, rozlewając krew, straciłem zdolność widzenia, czułem, jak wzdryga się jej tężejące ciało. „Wuju Julienie, wynoś się!” Piła i piła. Wściekłość na twarzy Juliana. Twarz się rozmywa. Znika.

- Przepadł - szepnąłem. - Julien przepadł! - Czy Quinn to słyszy? - Quinn, przepędź go.

Mdlałem, ukazując jej moje życie, „Widzę je, widzę całe, widzę zniszczony rdzeń, daj spokój żalom, dalej”, jej ciało nabiera sił, dłonie z żelaza, palce wbijają się w ramiona, gdy pije z mojego przegubu, „Dalej, bierz, wbij zęby w moją duszę, zrób to, teraz to ja jestem sparaliżowany, brutalna dziewczynko, dalej, o czym to ja...” Pozwoliłem jej pić w nieskończoność. „Nie mogę”. Przytuliłem twarz do jej szyi, otworzyłem usta, bez sił, aby...

Nasze dusze stapiały się ze sobą, nieunikniona ślepotą między twórcą i pisklciem oznaczająca, że została stworzona. Nigdy więcej nie poznamy już naszych myśli.

Wyssij mnie na wiór, piękna, jestem zdany na twoją łaskę i niełaskę.

Zamknąłem oczy. Śniłem. Julien łkał. Ach, to takie smutne, co? Stał w królestwie mroku, ukrywając twarz w dłoniach, i łkał. Co to ma być? Symbol wyrzutów sumienia? Nie rozśmieszajcie mnie.

I tak świat namacalny się rozplywa. Ona pije bez końca.

Samotny śnię, popełniam samobójstwo w wannie, podcięte żyły krwawią, śnię.

Widzę idealnego wampira, duszyczkę niezrównaną, nauczonego odwagi, zawsze patrzącego tylko przed siebie, wolnego od rozpacz i słabości, wszędzie szukającego cudów nieskażonych złą wolą i opłakiwaniem. Widzę absolwentkę szkoły cierpienia.

Widzę ją.

Upiór powraca.

Wysoki, rozzłoszczony. Julienie, czy będziesz moim ogarem niebios? Ramiona skrzyżowane na piersiach. Czego tu chcesz? Czy ty wiesz, z kim się mierzysz? Mój idealny wampir cię nie widzi. Odejdź, senna maro. Odejdź, upiorze. Nie mam dla ciebie czasu. Wybacz, Julienie, ona została stworzona. Przegrałeś.

Wypuściła mnie z objęć. Musiała. Straciłem przytomność.

Kiedy otworzyłem oczy, stała obok Quinna i oboje patrzyli na mnie.

Leżałem wśród kwiatów i nie było kolców na różach. Czas się zatrzymał. Dalekie domowe hałasy nie miały znaczenia.

Była skończonym cudem. Ona, wampir z mojego snu. Ideał. Dawne wierszyki Ofelii się rozpierzchły. Była idealną perłą, cud odebrał jej mowę i wpatrywała się we mnie, dziwiąc się tylko temu, co mi się przydarzyło, jak dawno temu inny mój pisklak -

kiedy dokonałem mrocznej sztuczki na samym sobie, równie żarliwie, równie starannie i w równym stopniu narażając się na unicestwienie. Wiedźcie jednak, że Lestatowi grożą tylko przelotne niebezpieczeństwa. Nie ma się czym przejmować, chłopcy i dziewczęta. Spójrzcie na nią.

Więc to jest ta znakomita istota, w której Quinn tak bezpowrotnie się zakochał.

Księżniczka Mona z Mayfairów. Mroczna krew przeniknęła ją po korzonki długich rudych włosów i teraz były bujne i błyszczące, twarz miała owalną, pełną, śmiejące się policzki i usta, a jej oczy były wolne od gorączki, te bezdennie głębokie zielone oczy.

Och, oczywiście, była oszołomiona, widząc nieskończenie więcej dzięki krwi, a w jeszcze większym

stopniu dzięki wampirycznej mocy, która przeniknęła wszystkie komórki jej ciała.

Ale stała pewna siebie i czujna, wpatrzona we mnie, tak pełna energii, jak niewątpliwie zawsze przed chorobą, jej szpitalna koszula teraz przykrótka i naprężona. Całe ciało stało się takie samo jak nigdyś, soczyste i seksowne.

Otrzeptałem się z płatków, które do mnie przyłgnęły. Powstałem. Nadal miałem zawroty głowy, ale szybko wracałem do siebie. Widziałem jak przez mgłę, ale widok rozmytych świateł sypialni i ciepło były niemal miłe. Poczulem głęboką miłość do Mony i Quinna i uświadomiłem sobie, że długo będziemy razem, tylko my troje. My troje.

W gorączkowym widzeniu świata Quinn wydawał mi się świetlisty i nieugięty. Tym oczarował mnie już na początku naszej znajomości, ten przypisany ziemskiej domenie królewicz, nieskończenie otwarty i pewny swojej wartości. Miłość zawsze była ostatnią ucieczką Quinna. Mimo że utracił ciotkę, nie ugiął się pod brzemieniem losu, wspierany miłością, która przetrwała próbę śmierci. A tego jedyne, którego nienawidził - zabił.

- Mogę jej dać swoją krew? - spytał. Wyciągnął rękę, uścisnął mi ramię, schylił się z wahaniem, po czym mnie pocałował.

Jak zdołał oderwać od niej oczy, nie mam pojęcia.

Uśmiechnąłem się. Odzyskiwałem siły. Julien zniknął z widoku.

- Zniknął - zawtórował mi Quinn.

- Co mówisz? - spytała promienista nowo narodzona.

- Widziałem twojego wuja, Juliana. - Nie powinienem był tego mówić.

Cień nagle okrył jej twarz.

- Wuja Juliana?

- Ale było mu pisane... - rzekł Quinn. - Widziałem go na pogrzebie cioci Queen i miałem wrażenie, że mnie ostrzega. Taki był jego obowiązek, ale teraz jakie to ma znaczenie?

- Nie dawaj jej swojej krwi - poradziłem mu. - Nie zamykajcie przed sobą swoich umysłów. Oczywiście, bez względu na to, ile wyczytacie w swoich myślach, będziecie musieli również porozumiewać się ustnie, ale nie wymieniajcie się krwią. Jej nawałnica zmiecie pomost telepatycznego zrozumienia.

Wyciągnęła ku mnie rękę. Objąłem ją, mocno uściskałem, podziwiając moc, którą już posiadała. Krew raczej napawała mnie pokorą niż dumą, bez względu na to, do jakich wyżyn doprowadziłem proces przemiany. Całując ją, roześmiałem się lekko, z uznaniem, na co odpowiedziała takim samym wybuchem śmiechu.

Jeśli jakaś cecha jej urody zniewoliła mnie bardziej niż inne, to blask jej zielonych oczu. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia zaćmiła go choroba.

Teraz, gdy się odsunąłem, ujrzałem szczyptę piegów rozsianą na jej twarzy i błysk pięknych, odsłoniętych w uśmiechu zębów.

Czary przysporzyły jej zdrowego wyglądu i odzyskała siły, ale w dalszym ciągu była drobnutkim stworzeniem. Budziła we mnie czułość. Niewielu ludziom się to udało.

Nastał wszakże czas położyć kres tej rapsodii. Choćbym nie wiem jak się przed tym bronił, życie, ten praktyczny intruz, domagało się swoich praw.

- Okej, kochana - powiedziałem. - Zaraz poznasz ostatni płomień bólu. Quinn pomoże ci go znieść. Zabierz ją pod prysznic, Quinn. Ale najpierw przygotuj jej jakieś ubranie. Zresztą zostaw to mnie. Powiem Jasmine, że potrzebuje džinsów i koszuli.

Mona roześmiała się niemal histerycznie.

- Wciąż jesteśmy zmuszeni łączyć magię z codziennością - wyjaśniłem. -

Przyzwyczaisz się.

Quinna przepelniały powaga i niepokój. Podszedł do biurka, zadzwonił do kuchni i wydał Babie Ramonie dyspozycje co do ubrań, każąc zostawić je pod drzwiami. Okej, dobrze. Dwór Blackwood funkcjonował jak należy.

Wtem oszołomiona i rozmarzona Mona spytała, czy mogłaby włożyć białą sukienkę, czy w dolnym pokoju cioci Queen nie wisi biała sukienka.

- Biała sukienka - powtórzyła, jakby zaplątana w jakąś poetycką sieć, tak mocną jak jej wizje tonącej Ofelii. - I czy jest koronkowa, Quinn, ale nie nazbyt śmiała, tak żeby nikt nie miał zastrzeżeń, gdybym ją włożyła...

Quinn znów się połączył z kuchnią, wydał polecenia, tak, jedwabie cioci, przygotujcie wszystkie.

- Wszystko w bieli - wytłumaczył Babie Ramonie. Jego ton był łagodny i cierpliwy. -

Wiesz, że Jasmine nie będzie nosić bieli. Tak, dla Mony. Jak ich nie zużyjemy i tak skończą w pakach na strychu. Ciocia Queen kochała Monę. Przestań płakać. Wiem.

Wiem. Ale Mona nie może chodzić w tej obrzydliwej szpitalnej koszuli. Kiedyś, za pięćdziesiąt lat, Tommy i Jerome rozpakują te wszystkie ciuchy i nie będą mieli pojęcia, co z nimi zrobić... Po prostu przynieś coś na górę.

Odwracając się do nas, zatrzymał wzrok na Monie i zamarł, jakby nie mogąc uwierzyć w to, co widzi, i jego twarz przybrała wyraz okropnego przerażenia, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co się wydarzyło, co zrobiliśmy. Zamruczał coś o białych koronkach. Nie chciałem czytać mu w

myślach. Zbliżył się i wziął Monę w ramiona.

- Przeżyjesz śmierć na modłę śmiertelnych, Ofelio, a to nic wielkiego - obiecał. -

Wejdę z tobą do strumienia. Będę cię obejmował. Razem będziemy recytować wiersze.

A potem ból cię nie dosięgnie. Pragnienie tak. Ale ból nigdy. - Ścisnął ją tak, jakby nie miał dosyć jej bliskości.

- I zawsze będę widziała tak jak teraz? - spytała. Słowa o śmierci nie miały dla niej żadnego znaczenia.

- Tak.

- Nie boję się. - Nie kłamała.

Nadal nie potrafiła jednak ogarnąć tego, co się wydarzyło. I w głębi serca, tej części, którą zamknął przed Quinnem i do której również ona nie potrafiła zajrzeć, wiedziałem, że tak naprawdę nie przyzwoliła na to. Nie mogła.

Jakie to miało dla mnie znaczenie? Dlaczego robiłem z tego taką sprawę? Bo zamordowałem jej duszę, dlatego.

Przykułem ją do ziemi na taką modłę, na jaką my jesteśmy przykuci, i teraz musiałem zadbać, by stała się takim wampirem, jakiego widziałem w gmatwaniu mojego snu. A kiedy w końcu miała przejrzeć na oczy, mogła oszaleć. Jak to powiedziałem o Merrick? Ci, którzy sami zapragnęli przemiany, wpadali w szaleństwo o wiele częściej niż ci, których zniewolono tak jak mnie. Ale nie było czasu na takie rozważania.

- Oni są tutaj - powiedziała. - Na dole. Słyszycie ich? - Była poruszona. Jak to zawsze bywa z pisklętami, nie potrafiła kontrolować swoich emocji.

- Nie bój się, piękna - uspokoiłem ją. - Zajmę się nimi.

Mówiliśmy o hałasach we frontowym salonie. Mayfairach w posiadłości.

Niespokojnej Jasmine chodzącej od ściany do ściany. Małym Jeromie zjeżdżającym po poręczu. Quinn też to słyszał.

To była Rowan Mayfair i ojciec Kevin Mayfair, kapłan z łaski niebios. Przybyli karetką z pielęgniarką. Mieli zamiar zabrać Monę i odwieźć ją z powrotem do szpitala, a przynajmniej się dowiedzieć, czy żyje.

W tym rzecz. Zrozumiałem. To dlatego się nie spieszyli. Myśleli, że już nie żyje.

I mieli rację. Nie żyła.

Otworzyłem drzwi sypialni. Za nimi stała Baba Ramona, trzymając stos białych ubrań.

Quinn i Mona zniknęli w łazience.

- O to wam chodziło dla tego biednego dziecka? - spytała Baba Ramona.

Drobnokoścista siwa kobieta o słodkich rysach, w białym wykrochmalonym fartuchu.

(Babka Jasmine.) Była bardzo niespokojna. - Tylko niech nie przymierza tego na łapu–capu, dopiero co wszystko ładnie poskładałam!

Zrobiłem jej przejście, tak że wmaszerowała do pokoju i złożyła stos na zarzuconym kwiatami łożu.

- I staniczek dorzuciłam, i majtki - oznajmiła. Pokręciła głową. Z łazienki dobiegał

szum prysznic. Wyszła, mamrocząc po swojemu. - W głowie się nie mieści, że ta dziewczyna wciąż oddycha. To jakiś cud. A ta jej rodzina sprowadziła ojca Kevina ze świętymi olejami. Wiem, że Quinn kocha tę dziewczynę, ale gdzie to stoi w Piśmie Świętym, że masz wpuścić do domu kogoś, kto chce umrzeć w twoich ścianach, nie mówiąc o tym, że matka Quinna jest chora, on ma pojęcie?, uciekła nie wiedzieć gdzie, on sobie wyobraża, Patsy zabrała się i znikła...

(Przebitka na Patsy, matkę Quinna: piosenkarka country and western, natapirowane włosy i karminowy lakier na paznokciach, umierająca na AIDS w sypialni naprzeciwko, już niezdolna się wbić w kusy skórzany kostiumik z frędzelkami i kozaczki, nałożyć wyzywającego makijażu i wyskoczyć do miasta, polegiwała w wyzywającej pozie na kanapie, ubrana w biały szlafroczek, kiedy widziałem ją ostatni raz, przepełniona irracjonalną i przemożną nienawiścią wobec Quinna, jeden kłębek zawiści, ta kobieta, która urodziła Quinna, mając szesnaście lat, i traktowała go jak rywala - bliźniaka, zazdrosna o względy rodziców i otoczenia. Obecnie zagubiona.)

- ...i że nie zabrała ani jednego lekarstwa, chociaż przecież taka słaba. Och, Patsy, Patsy, a ciotka Queen ledwie co spoczęła w grobie, kiedy ta mała ruda tu zjechała, to ci dopiero!

- No cóż, może Mona zmarła - powiedziałem - i Quinn obmywa trupa pod prysznicem.

Wybuchnęła śmiechem, zasłaniając usta ręką.

- Ale czart z ciebie - powiedziała. - Gorszyś niż Quinn. - Omiotła mnie bladymi oczami. - Nie myśl sobie, że nie wiem, co oni tam wyrabiają jedno z drugim. No, ale co będzie, jak ona tam kipnie, no co, wytrzymy ją do sucha ręcznikami i położymy na łóżku jakby nigdy nic, czy jak i...

- Hm, będzie czyściutka jak nigdy - rzekłem ze wzruszeniem ramion.

Potrząsała głową, tłumiąc śmiech, ale zaraz spoważniała, i znów się zaśmiała, oddalała się korytarzem, chichocząc pod nosem i mamrocząc do nie wiedzieć kogo:

- ...a co z tym, że jego matka uciekła i przecież ci Mayfairowie czekają na parterze, to cud, że nie przywieźli szeryfa. - I tak gadając, weszła, anioł gorącej kawy, do kolejnej sypialni, w której Nash i Tommy rozmawiali cicho, przy czym ten ostatni opłakiwał stratę ciotki Queen.

Nagle uświadomiłem sobie z niezwykłą siłą, że za bardzo polubiłem tych wszystkich ludzi, że rozumiem, dlaczego Quinn tak bardzo się upierał przy pozostaniu z nimi, udając śmiertelnika tak długo, jak się tylko dało, dlaczego cała ta posiadłość miała na niego taki przemożny wpływ.

Nastał jednak czas obowiązkowego czarodziejstwa. Trzeba wygospodarować parę chwil dla Mony, postarać się o to, by wiedźmy i czarownicy na dole jakoś przełknęli jej nieobecność.

Poza tym byłem ciekaw tych stworów w wielkim salonie, tych przemysłnych spirytystycznych mediów, które potrafiły zwodzić śmiertelnych równie skutecznie jak wampiry, udając czerstwych, zdrowych, rumianych i banalnych ludzi, podczas gdy skrywały masę tajemnic.

Popędziłem na dół, w sam czas zgarniając z poręczy małego Jerome'a i ratując go przed upadkiem na marmurową podłogę z wysokości trzech metrów. Oddałem go w oczekujące ramiona bardzo zaniepokojonej Jasmine, po czym, dając jej znaki, że wszystko będzie dobrze, wszedłem w chłodniejsze powietrze frontowego pomieszczenia.

Doktor Rowan Mayfair, założycielka i szefowa Mayfair Medical, siedziała w jednym z mahoniowych fotelików (wyobraźcie sobie XIX-wieczną wersję rokoka, lakierowane na czarno drewno i aksamitne obicie) i kiedy wszedłem, gwałtownie odwróciła głowę jak szarpnięta za sznurek marionetka.

Tak się składa, że, jak już zauważyłem, widzieliśmy się na pogrzebie ciotki Queen w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Więcej, siedziałem niebezpiecznie blisko, ławkę przed Rowan. Wtedy jednak miałem lepszy kamuflaż, zwykłe ubranie i okulary przeciwsłoneczne. Teraz ujrzała przed sobą smarkatego księcia we fraczku i ręcznie robionych koronkach, a na dodatek nie nałożyłem okularów, idiota.

Poprzednio nie przyjrzałem się jej uważnie. Teraz natychmiast mnie zafascynowała, tak że nie czułem się zbyt komfortowo, ponieważ to moją rolą było fascynować, gdy rozmawialiśmy.

Szczupła owalna twarz Rowan miała delikatne, wyraziste rysy, jak u dziewczynki, i nie musiała jej podkreślać nawet śladowym makijażem. Wielkie szare oczy i zimne, nieskazitelnie zarysowane usta. Nosiała prosty spodniom z szarej wełny i czerwoną apaszkę, której rogi znikwały za klapami zakietu. Krótkie włosy barwy spopieliałego papieru zawijały się naturalnie tuż poniżej łagodnej linii szczęki.

Była niesłychanie przejęta i natychmiast spróbowała wysondować moje myśli.

Odgradziłem się od niej i ciarki przebiegły mi po plecach. To była jej sprawka.

Liczyła na to, że bez kłopotu dowie się, co myślę, a tymczasem okazała się bezradna. I nie mogła dociec, co wyprawia się na górze.

Nie była tym zachwycona. Wyrażając się bardziej staroświeckim językiem: była głęboko zatroskana.

Nie mogąc pokonać otaczających ją mroków, starała się zrozumieć, co oznacza mój wygląd, zupełnie nie przejmując się ekscentrycznymi elementami, fraczkiem i zmierzwioną fryzurą, ale analizując elementy czysto wampiryczne - subtelne lśnienie skóry i neonowy błękit oczu.

Musiałem szybko przystąpić do rozmowy, ale najpierw pozwólcie mi opisać wrażenia z pierwszego rzutu oka na innego Mayfaira - księdza Kevina - który stał przy kominku, jedyny towarzysz doktor Rowan.

Natura dała mu te same przymioty co Monie - głęboką zieleń oczu i płomieniste włosy; rzekłbym nawet, że mógłby uchodzić za jej brata, tak byli podobni. Był mojego wzrostu, sto osiemdziesiąt centymetrów, i równie dobrą budowę. Nosił księżą czerń i koloratkę. Nie był czarownikiem jak Rowan, ale był niezłym jasnowidzem, a przy tym dość łatwo potrafiłem go przejrzeć; brał mnie za dziwadło i miał nadzieję, że Mona już nie żyje.

Przywołałem wspomnienie jego osoby podczas mszy, ubranego w powłóczyste szaty i trzymającego kielich w dłoni. I z jakichś niepojętych przyczyn nagle cofnąłem się wspomnieniami do lat dzieciństwa we francuskiej wiosce, proboszcza trzymającego kielich w dłoni, wymawiającego tę samą formułę, i na chwilę zgubiłem się w czasie.

Pochłonęły mnie inne obrazy z przeszłości, idealnie wierne i łudząco żywe.

Zobaczyłem klasztor, w którym studiowałem przeszczęśliwy, w którym chciałem zostać zakonikiem. Och, flaki się od tego skręcały.

Poczuwszy kolejny wyraźny dreszcz, zdałem sobie sprawę, że doktor Mayfair wypatrzyła te obrazy w mojej głowie, zanim kolejny raz się od niej odgradziłem.

Odrąciłem tamte wspomnienia, chwilowo rozdrażniony faktem, że ten wielki salon jest tak pełen cieni. Mój wzrok padł na ostro zarysowaną postać Julię, obcą w tym środowisku, trójwymiarową i całkowicie nieprzejrzystą. Stał w kącie naprzeciwko, ubrany w popielaty garnitur, złożył ramiona na piersi i oceniał mnie wrogim spojrzeniem. Wydawał się niezwykle żywy i niezwykle inteligentny.

- Źle się pan czuje? - spytała doktor Rowan Mayfair. Głos miała głęboki, chrapliwy i zmysłowy. Nie przestała przeszywać mnie wzrokiem.

- Nie widzisz tu żadnej zjawy, co? - palnąłem bez zastanowienia. Tymczasem upiór ani myślał wyjść i rozumiałem jasno, że poza mną nikt go nie widzi. Ta lśniaca, opanowana i groźna postać miała pretensje tylko do mnie.

- Nie, nie widzę - odparła ze spokojem Rowan. - Czy w tym pokoju jest jakaś zjawy, którą powinnam widzieć?

Taka lekka kobieca chryпка to cudowny oręż. Nie ma mężczyzny, który by mu nie uległ.

- Faktycznie macie tu duchy - rzekł ze zrozumieniem ojciec Kevin. Miał akcent ze Wschodniego Wybrzeża. Bostoński. - Myślałem, że skoro jesteś przyjacielem Quinna, wiesz o tym.

- Och, ależ wiem. Nigdy jednak do nich nie przywykłem. Upiory napawają mnie lękiem. Aniołowie też.

- A nie upierałeś się przy egzorcyzmach, żeby się pozbyć Goblina? - spytał

niespodziewanie.

- Tak, i zadziałały - powiedziałem, zadowolony ze zmiany tematu. - Goblin zniknął

z tego domu i Quinn pierwszy raz w życiu się od niego uwolnił. Zastanawiam się, jakie to będzie miało dla niego znaczenie.

Julien ani drgnął.

- Gdzie ona jest? - spytała Rowan, mając na myśli Monę, kogóż by innego?

- Chce tu zostać. Wiesz, to proste. - Przeszedłem przez salon, mijając ją, i usiadłem na fotelu, tyłem do lampy, tak że znalazłem się nieco w cieniu i mogłem wszystkich obserwować, nawet moją nemesis. - Nie chce umrzeć w szpitalu. Zdobyła się na ten wysiłek i sama przyjechała aż tu. Znać Monę. Jest teraz z Quinnem, na górze.

Zaufajcie nam. Zostawcie ją z nami. Zaopiekujemy się nią. Możemy zadzwonić do dawnej pielęgniarki ciotki Queen i poprosić ją o pomoc.

Rowan wpatrywała się we mnie takim wzrokiem, jakbym oszalał.

- Czy zdajecie sobie sprawę z trudności, jakie was czekają? - spytała. Westchnęła i dało o sobie znać jej wielkie znużenie, ale tylko przez chwilę. - I o ile wzrosną?

- Przywieźliście tlen i morfinę, prawda? - Obejrzałem się przez ramię w kierunku stojącej przed dworem karetki. - Zostawcie je. Pielęgniarka będzie umiała podać jedno i drugie.

Rowan uniosła brwi. Znów odezwało się zmęczenie, ale je przemogła. Starła się mnie sklasyfikować. Absolutnie nic, co zobaczyła czy wyczuła, jej nie przestraszyło ani nie wzbudziło w niej obrzydzenia. Była piękna. W jej oczach dojrzałem bezmiar inteligencji.

- Quinn nie potrafi zrozumieć, na co się porywa - rzekła łagodnie. - Nie chcę, by doznał krzywdy. Nie chcę, by Mona umarła w bólu. Czy się rozumiemy?

- Oczywiście. Zaufaj mi, powiadomimy cię, kiedy przyjdzie czas.

Skłoniła głowę, ale tylko na sekundę.

- Nie, nie, nie rozumiesz. - Jej ekscytujący głos był pełen przejęcia. - Nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia tego, że ona jeszcze żyje.

- To dzięki sile woli - odparłem. Przekazałem jej w myślach: *Mówię prawdę, nie ma żadnego*

powodu, żeby się o nią martwić. - Odpoczywa wolna od bólu.

- To niemożliwe - szepnęła. Coś przemknęło jej przez twarz. - Kim jesteś? - spytała.

Niski głos podkreślał powagę jej słów.

Z nas dwojga to mnie zabrakło języka w gębie. Byłem urzeczony. Nie potrafiłem się otrząsnąć z jej uroku. Znow przeszyły mnie ciarki. W pokoju było zbyt mroczno.

Chciałem wezwać Jasmine i kazać zapalić żyrandole.

- To, jak się nazywam, nie ma znaczenia - powiedziałem, ale przyszło mi to z trudnością.

Co takiego tkwiło w tej kobiecie?! Czemu jej niczym nie wspomaganą urodą była tak bardzo prowokacyjna i nie dawała mi spokoju? Chciałem zajrzeć do środka jej duszy, ale była zbyt sprytna, by mi na to pozwolić. Wyczuwałem w niej wszakże tajemnice, całe mnóstwo tajemnic, i to, że między nią a tamtym dzieckiem monstrum, którego istnienie odsłoniła mi Mona w chwili stwarzania, jest jakaś ponura więź. Poza tym były inne sprawy.

Nagle dowiedziałem się, że ta kobieta ukrywa coś tak potwornego, że jej własne sumienie nie chce dopuścić tego do świadomości, że dominujące cechy jej charakteru to skrytość, poczucie winy oraz niebываła zawziętość do pracy napędzana błyskotliwą inteligencją i właśnie wyrzutami sumienia. Chciałem się dowiedzieć, choćby tylko w przeblysku, choćby to było coś najgorszego, co ukrywa, chciałem się tego dowiedzieć podczas serdecznej wymiany myśli. Dałbym wszystko...

Pod nieświadomą presją mojego spojrzenia uciekła wzrokiem, straciłem z nią kontakt i gdy w milczeniu usiłowała się pozbierać, prawie odsłoniła mi swój sekret, to, że ma w ł a d z ę n a d ż y c i e m i ś m i e r c i ą .

- Muszę zobaczyć Monę, zanim odjedziemy - zabrał głos ksiądz Kevin. - Muszę porozmawiać z Quinnem o tych egzorcyzmach. Zrozum, zdarzało mi się widzieć Goblina. Obaj napawali mnie troską. Musisz powiedzieć Monie, że tu jesteśmy...

Zajął fotel przed moim nosem, a ja nawet tego nie zauważyłem.

- Może oboje powinniśmy się z nią spotkać - zasugerował Rowan. - Wtedy moglibyśmy zdecydować, co dalej. - Miał łagodny głos, idealny dla duchownego, pokorny, a równocześnie całkowicie pozbawiony afektacji.

Spotkałem się z nim wzrokiem i przez chwilę miałem wrażenie, że dostrzegam zarysy ich sekretów, tego, o czym wszyscy wiedzieli, ci Mayfairowie, tego, o czym nie mogli mówić, sprawy tak głęboko związane z ich bogactwem i pochodzeniem, że nigdy nie dało się ich pominąć, wyprzeć czy przejść nad nimi do porządku. W przypadku księdza był to podwójny problem, jako że pełnił rolę zaufanego spowiednika rodziny, tak więc musiał wysłuchiwać rzeczy, w które trudno było mu uwierzyć. Wszystko to głęboko go zmieniło.

Ale wiedział również, jak zamknąć przede mną swój umysł. I znowu, kiedy próbowałem go

wysondować, odezwała się bolesna pamięć czasów mojej dziecięcej edukacji, pamięć żarliwego pragnienia dobroci. I echo własnego głosu. Nienawidziłem go. Precz z nim! Smagał mnie ostro i boleśnie, wypominał, że miałem tak wiele okazji uratować duszę, że całe moje życie było zbudowane wokół tamtych okazji! Taka była moja natura - przechodzenie od pokus nie do grzechu, ale ku szansie odkupienia.

Nigdy wcześniej nie oglądałem mojego życia z takiej perspektywy.

Gdyby tamten chłopiec sprzed wieków, Lestat, starał się dość usilnie, stałby się zakonikiem.

- Przeklęty! - szepnęła zjawą.

- To niemożliwe - powiedziałem.

- Nie możemy jej zobaczyć?! - wykrzyknęła Rowan. - Nie mówisz serio.

Usłyszałem cichy śmiech. Odwróciłem się. Stojący w głębi upiór śmiał się.

- No i co teraz zrobisz, Lestacie? - spytał.

- Co się dzieje? - zapytała Rowan. - Co takiego widzisz?

- Nic - odparłem z naciskiem. - Nie możecie się z nią zobaczyć. Obiecałem jej to.

Nikt nie wejdzie na górę. Na litość boską, zostawcie ją w spokoju. - Powiedziałem to z całym przekonaniem, na jakie było mnie stać. Nagle ogarnęła mnie fala desperacji. -

Na miłość boską, dajcie jej umrzeć tak, jak tego chce. Dajcie jej odejść!

Zareagowała na tę emocjonalną wypowiedź płomiennym spojrzeniem. Nagle na jej twarzy ujawniły się bezbrzeżne pokłady głęboko skrywanego cierpienia, jakby dłużej nie potrafiła ich ukrywać lub też jakby mój wybuch rozniecił ogień drzemiący w niej w środku.

- On ma rację - poparł mnie ksiądz. - Ale sam to rozumiesz, musimy tu pozostać.

- Nie na długo - dodała Rowan. - Nie będziemy hałasować. Jeśli nie macie ochoty oglądać nas we dworze...

- Nie, nie, jesteście tu mile widziani - przerwałem jej. - *Mon Dieu!* Zjawą kolejny raz wybuchnęła śmiechem.

- Marny z ciebie gospodarz! - skarcił mnie Julien. - Jasmine nie zaproponowała im nawet krakersa i szklanki wody. Jestem oburzony.

To wzbudziło moje gorzkie rozbawienie i niewiarę. Niewiara przeszła w niepokój i wzburzenie! Równocześnie coś usłyszałem, coś, czego nikt inny w tym salonie nie mógł usłyszeć, poza, może, śmiejącym się duchem. To był odgłos płaczu, nic, szłochu, Mony. Musiałem do niej wrócić.

Niech będzie, Lestacie, okaż się potworem. Wyrzuc z tego domu najbardziej interesującą kobietę, jaką w życiu poznałeś.

- Posłuchajcie mnie - rzekłem, mierząc wzrokiem Rowan, a potem księdza Kevina. -

Macie jechać do siebie. Mona jest takim samym jasnowidzem jak wy. Wasza obecność pod tym dachem budzi w niej straszliwy niepokój. Wyczuwa was. Wszelkimi zmysłami. To potęguje jej ból. - (To wszystko było prawdą, no nie?) - Muszę wracać i ją pocieszyć. Proszę, jedźcie. Ona tego chce. To dało jej siłę tu przyjechać. Ja ze swojej strony obiecuję, że skontaktuję się z wami, kiedy będzie po wszystkim. Proszę, jedźcie.

Wstałem, wziąłem Rowan pod ramię i po prostu dźwignąłem ją z fotela.

- Jesteś chamem do szpiku kości - rzekła z obrzydzeniem zjawą.

Duchowny wstał.

Rowan nie mogła oderwać ode mnie wzroku, była jak urzeczona. Zaprowadziłem ją do holu i frontowych drzwi. Ksiądz za nami. *Zaufaj mi* - mówiłem jej w duchu. -

Zaufanie, oto, czego potrzebuje Mona.

Czy teraz słyszeli jej szloch?

Nie odrywając oczu od Rowan, otworzyłem drzwi. Do środka wdarł się zar lata, wpadły wonie kwiecica.

- Jedźcie bezzwłocznie - nakazałem.

- Ale tlen, morfina... - opierała się Rowan. Miała głos słodki jak miód nasycony kropelką burbona. Niesłychanie uwodzicielski. W głębi jej delikatnie, acz uporczywie sondujących oczu czaił się jednak tamten konflikt, ta nieobjawiona i grzeszna moc. Co to dokładnie było?

Staliśmy na werandzie pod wysokimi kolumnami jak karły. Purpurowe światło nagle złagodniało i chwila wyszła poza swój czas i miejsce. Miało się wrażenie, że w tej części krajobrazu zmierzch trwa wiecznie. Słyszałem nocne ptaki i niedalekie, niespokojne wody moczarów.

Ksiądz Kevin wydał polecenia sanitariuszom. Wnieśli przywiezione środki.

Nie mogłem się oderwać od tej kobiety. Co takiego jej mówiłem? Upiór się śmiał. W głowie miałem coraz większe pomieszanie.

Jakie tajemnice ukrywasz?

Poczułem napór, jakby położyła dłonie na mojej piersi i próbowała mnie odepchnąć. Za jej ramieniem stał duch. To ona mnie odpychała. Ona.

Jej twarz była piękna i wroga.

Odsunęła nieco włosy z twarzy, ale tak, że nadal gładziły jej policzki. Zmrużyła oczy.

- Opiekuj się Moną w moim imieniu - powiedziała. - Kocham ją całym sercem. Nie wiesz, co to dla mnie znaczy, że przegrałam walkę o jej życie... przy moich umiejętnościach, moich możliwościach...

- Oczywiście. Wiem, jak ją kochasz - przerwałem jej. - Kocham ją, mimo że prawie jej nie znam. - Głupie gadanie. Ta kobieta cierpiała. A ja? Duch patrzył na mnie oskarżycielsko, wysoki mężczyzna, tuż za nią, ale go nie wyczuwała.

Co takiego wyczuwałem? Coś tak straszliwego, że ukształtowało jej całą egzystencję i dręczyło w tym momencie. *Zabijałam.*

Wzdrygnąłem się. Jej oczy przykuwały mnie do miejsca.

Nieraz zabijałam.

Sanitariusze minęli nas, dźwigając kolejne części medycznego ekwipunku. Chłodne powietrze wypływało z otwartych drzwi. Gdzieś w głębi domu hałasowała Jasmine.

Zjawa ani drgnęła. Miałem wrażenie, że konary drzew hikorowych tworzących szpaler wzdłuż zwirowego podjazdu ułożyły się w jakieś znaki, że przekazują sekretne przesłanie od Pana wszechświata, ale jakie?

- Zbliź się - powiedziałem Rowan. Oto życie zbudowane na cierpieniu, na zadośćuczynieniu. Nie mogłem obojętnie znieść jego bliskości, musiałem go dotknąć, objąć, uratować.

Wzięłem ją w ramiona, niech mi dobry Bóg wybaczy, pocałowałem w policzki, a potem w usta. *Nie lękaj się o Monę*, przekazałem jej w myślach.

- Nie rozumiesz - szepnęła. Ujrzałem porażającą wizję: szpitalna separotka, komora tortur, maszyny i pulsujące cyfry, błyszczące plastikowe torebki karmiące zwoje rurek i łkająca Mona, łkająca jak teraz, oraz Rowan stojąca w wejściu. *Byłam o krok od użycia mojej władzy, o krok od zabójstwa...*

- Ależ rozumiem, naprawdę - szepnąłem jej do ucha. - I to nie był odpowiedni moment, a ona chciała przyjechać do Quinna.

- Tak. - Łzy stanęły jej w gardle. - I przestraszyłam ją. Zrozum. Wiedziała, co zamierzam, wiedziała, że mogę to zrobić, że podczas sekcji uznano by to za udar, zwykły udar, ale ona wiedziała! Byłam o krok... przeraziłam ją. I...

Ścisnąłem ją niezwykle mocno. Nabrałem powietrza w płuca.

Scałowałem jej łzy. Żałowałem, że nie jestem święty. Żałowałem, że nie jestem księdzem, który stał przy samochodzie, czekając na nią, udając, że nie widzi naszych pocałunków. Kto całował? Śmiertelni? Znów pocałowałem ją w usta. Miłość śmiertelna i przez cały czas werbel pragnienia

domagający się połączenia przez krew, nie śmierci, nie, dobry Boże, tylko połączenia przez krew, poznania. Kim była ta Rowan Mayfair?! Miałem zawroty głowy.

Stojący za nią upiór przeszywał mnie rozwścieczonym wzrokiem, jakby wcześniej udręczył piekło, by rzuciło swoje wojska przeciwko mnie.

- Skąd mogłaś wiedzieć, że przyszła odpowiednia chwila? - powiedziałem. - Ale co w tym najważniejsze, nie zrobiłaś tego. A teraz ona się cieszy, jest z Quinnem. - Och, co za oszukańcze eufemizmy jak na kogoś, kto nienawidzi wszelkich eufemizmów, i nie bez powodu. Pocałowałem ją mocno, namiętnie i poczułem, jak jej ciało mięknie, poczułem, jak przywiera do mnie na jedną cenną chwilę, a potem nagły napór lodowatego zimna, gdy się odsunęła.

Zbiegła po schodach prawie bezgłośnie, nie stukając szpilekami. Ksiądz Kevin przytrzymał otwarte drzwi. Karetka już odjeżdżała. Rowan odwróciła się, spojrzała na mnie, a potem mi pomachała.

Co za czuły, niespodziewany gest. Poczułem, jak serce rozsadza mi pierś. Biło nieznośnie mocno.

„Nie, biedne kochanie. Nie zabiłaś jej - myślałem. - Ja to zrobiłem. To ja ją zabiłem.

Jestem winny. I ona znów szlocha. A upiór wie wszystko”.

Żaden śmiertelny w domu nie mógł słyszeć łkań Mony. Ściany były zbyt grube.

Tymczasem środek jadalnianego stołu zasłano obrusem i przygotowano nakrycia do kolacji. Jasmine chciała wiedzieć, czy Quinn i ja dołączymy do Tommy'ego i Nasha, więc powiedziałem jej: „Nie, nie możemy zostawić Mony”, o czym już wiedziała.

Kazałem zadzwonić po Cindy, pielęgniarkę, chociaż prawdopodobnie nie była potrzebna. Chciałem tylko, żeby sprzątnęła butle z tlenem i lekarstwa, które teraz tylko by przeszkadzały. (Naprawdę to ta urocza dama miała na imię Cyndy, więc od tej pory tak będziemy ją nazywać.)

Wszedłem do salonu. Próbowałem się otrząsnąć. Wystarczył sam zapach perfum Rowan na moich dłoniach i byłem jak sparaliżowany. Musiałem zacząć jasno myśleć.

„Natychmiast okaż czułą serdeczność wszystkim w tym domu - poleciłem sobie w myślach. - Idź do Mony”.

Jak mogłem tak dać się omotać zwykłej wiedźmie?! Ci Mayfairowie to jeden wielki kłopot! Wystarczyło mi ich zobaczyć, usłyszeć ich wymagania, a krew żywiej mi pulsowała. Chyba nawet przekląłem Merrick za to zaplanowane samospalenie i dokonanie go na nagrobku-ołtarzu. Takim sposobem znalazła ratunek dla swojej nieśmiertelnej duszy, mnie porzucając na pastwę zwykłego potępienia.

Poza tym była jeszcze ta zjawa. Teraz powróciła do swojego kąta. Stała tam, obrzucając mnie najbardziej złowieszczym spojrzeniem, jakie kiedykolwiek posłało mi jakiekolwiek stworzenie, wampir czy człowiek.

Przyjrzałem się dokładnie temu duchowi: mężczyzna, wiek około sześćdziesięciu lat, krótkie kędzierzawe włosy, śnieżnobiałe; oczy szare lub czarne; idealne rysy twarzy i królewska postawa, chociaż nie potrafiłem pojąć, dlaczego zdecydował się na tak zaawansowaną wiekowo postać, może w tamtym okresie był u szczytu swoich możliwości. Wiedziałem doskonale, że żył długo, stąd też miał szeroki wybór.

Moje rozmyślania na jego temat nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. W tej nieruchomej postaci było coś tak natarczywego i groźnego, że nie mogłem tego znieść.

- No dobra, daj spokój - powiedziałem zdecydowanym tonem. Słyszałem drzenie w moim głosie. To doprowadzało mnie do wściekłości. - Do diabła, czemu mnie prześladujesz? Wydaje ci się, że zdołasz cofnąć to, co zrobiłem? Nie. Nikt nie jest do tego zdolny. Jak chcesz, żeby umarła, prześladuj ją, nie mnie.

Ani drgnął.

Nie było też mowy, abym pożegnał wzruszeniem ramion kobietę, która dopiero co mi machała, wsiadając do samochodu. Miałem jeszcze na wargach słony smak jej łez.

Tylko dlaczego nie mogłem jej pożegnać wzruszeniem ramion? Co mnie napadło?

Baba Ramona, która zajrzała z korytarza, wycierając ręce w fartuch, powiedziała:

- A teraz mamy drugiego wariata, co to mówi sam do siebie, na dodatek przy biurku dziadka Williama, co to jego zjawa kręciła się tu cały czas, nie wiedzieć po co i dlaczego, bez przerwy pokazywała się Quinnowi, a i mnie, i Jasmine na dodatek.

- Przy którym biurku? - wybąkałem. - O jakim dziadku mówisz? - Wiedziałem jednak, o kim mowa. I dojrzałem wspomniany mebel. Quinn widział, jak duch nieraz na niego wskazywał, więc rok po roku przeszukiwano go od góry do dołu. Niczego nie znaleziono.

„Wróć do rzeczywistości, ty idioto!”

Na piętrze Quinn czule i rozpaczliwie starał się pocieszyć Monę.

Tommy i jak zawsze dystyngowany Nash zeszli na kolację i minęli mnie w drodze do jadalni. Nie przerwali cichej rozmowy, jakbym w ogóle nie istniał. Usiedli za stołem.

Zbliżyłem się do przeszklonego mebelka stojącego obok fortepianu. Oddaliłem się od zjawy, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia. Nie spuszczała ze mnie wzroku.

Nigdy nie zamykana na klucz gablotka służyła za miejsce przechowywania kamei ciotki Queen. Uniósłem szklany blat jak okładkę książki - poruszał się na zawiasach wzdłuż dłuższego boku - i sięgnąłem po okrągły drobiazg z miniaturowym Posejdonem, który wraz ze swoją wybranką mknął zaprzęgiem morskich stworzeń.

Rydwan pomykał po wzburzonych falach. Misterna robota. Niczego sobie.

Wrzuciłem kameę do kieszeni i poszedłem na górę.

Zastałem Monę leżącą na łóżku. Strasznie płakała na kwietnym pościeliu, a zrozpaczony i bezradny Quinn stał po drugiej stronie łóżka, pochylając się nad nią i usiłując ją pocieszyć. Nigdy nie widziałem go tak wystraszonego. Szybkim gestem dałem mu znać, żeby się nie martwił.

Upiór nie pokazał się w sypialni. Ani widu, ani słyhu. Przebiegły stwór. Czyli nie chciał, żeby Mona go zobaczyła?

Leżała naga, łkając wśród zjawiskowo rozsypanego kwiecia, zakryta tylko długimi do pasa włosami, pod którymi lśniła nieskazitelna skóra; schludny stosik białych sukien ciotki Queen zsunął się z łóżka i rozsypał na podłodze.

Przez chwilę czułem ukłucie grozy, zasłużone i nieuniknione, o którym nie zamierzałem wspominać Quinnowi ani Monie - tak długo, jak mieliśmy wszyscy egzystować, choćby miało to trwać wieki - gdy uświadomiłem sobie, co kaprys i wola mogą uczynić i co uczyniły. Jak to zwykle bywa, gdy grzmiały surmy wyrzutów sumienia, nie było czasu na wysłuchiwanie tej szczególnej muzyki.

Spojrzałem na Quinna - mojego braciszka, mojego wychowanka.

Stworzyły go potwory, których nienawidził, więc nie uрониł nawet łzy w ich towarzystwie. Załamanie Momy było do przewidzenia.

Spocząłem na łożu obok niej, a gdy odsunąłem jej włosy z twarzy i spojrzałem w oczy, ucichła.

- Do diabła, co z tobą? - ostro spytałem.

Milczała, a jej wdzięk i urok uderzyły mnie z subtelnością lawiny.

- No, nic - odparła - skoro pytasz mnie takim tonem.

- Na litość boską, Lestat - wstawił się za nią Quinn - nie bądź dla niej okrutny.

Przecież wiesz, przez co przechodzi.

- Nie jestem okrutny - parsknąłem. (Kto okrutny? Ja?) Nie spuszczałem z niej wzroku. - Boisz się mnie?

- Nie. - Zmarszczyła brwi. Krwiste łzy plamiły policzki. - Chodzi tylko o to, że czuję całą sobą, że powinnam umrzeć.

- To zanućmy requiem - zaproponowałem jej. - „O wściekłości! Spal mi mózg! Solo łez, straw mi zmysł wzroku!”

Roześmiała się.

- Świetnie, króliczku, mów. Jestem twoim stwórcą. Wyrzuć to z siebie.

- Od bardzo dawna wiedziałam, że powinnam umrzeć. Boże, teraz, kiedy o tym myślę, ta świadomość wypiera wszystko inne! Śmierć była mi pisana. - Mówiła ze spokojem. - Ludzie, którzy mnie otaczali, przywykli do tej myśli i nieraz im się coś wypsnęło. Mówili: „Zawsze byłaś taka piękna, nigdy tego nie zapomnimy”.

Najważniejszym obowiązkiem mojego życia stało się umrzeć. Leżałam tam i starałam się wyobrazić sobie, jak ulżyć moim opiekunom. Byli tacy biedni. To ciągnęło się latami...

- Mów, mów. - Byłem wniebowzięty jej dziecięcą ufnością, gotowością do zwierzeń.

- Nastął taki okres, w którym nadal mogłam się cieszyć muzyką i czekoladą, wiesz, nawet takimi drobiazgami jak lizeska z koronkami. I marzyłam o moim dziecku, utraconym dziecku. Potem już nie mogłam przyjmować żadnych pokarmów. A muzyka tylko wprawiała mnie w rozdrażnienie. Wciąż widywałam ludzi, ale to były tylko zjawy. Myślałam: „Może tak naprawdę nie urodziłam dziecka”. Morrigan przepadła tak szybko. Ale gdyby nie Morrigan, nie umierałabym. Widziałam zjawy...

- Julienna? - spytałem.

- Nie - powiedziała po chwili wahania. - Wuj Julien pokazywał mi się tylko dawno, bardzo dawno temu, kiedy chciał mnie do czegoś skłonić, i zawsze miałam wrażenie, że to był sen. Julien jest w Światłości. Nie wraca na ziemię, chyba że z ważnej przyczyny.

(Przeszło mnie głębokie drżenie. Niczego po sobie nie okazałem.)

- Widywałam duchy zmarłych - mówiła dalej, wampiryczna melodyka wyostrzyła łagodny głos. - Ojca i matki, którzy czekali na mnie... wiesz, żeby mnie zabrać na drugą stronę... ale się do mnie nie odzywali. Jeszcze nie przyszła pora, tak powiedział

ksiądz Kevin. Sam jest potężnym czarownikiem. Nie miał o tym pojęcia, dopóki nie przyjechał na Południe. Idzie w nocy do kościoła, kiedy jest całkiem ciemno, tylko świece się palą, wiesz, i kładzie się na marmurowej podłodze, wiesz... - (tajemny uścisk serca, „Wiem”, pomyślałem) - ...z rozpostartymi ramionami i kontempluje osobę Chrystusa na krzyżu. Wyobraża sobie, że całuje Jego krwawe rany.

- A ty, co robiłaś, kiedy czułaś ból? Modliłaś się?

- Raczej nie. Przecież do modlitwy potrzeba skupienia. Ostatniego roku nie potrafiłam się skoncentrować.

- Ach, tak, rozumiem. Mów dalej.

- I wydarzyło się coś - powiedziała. - Chciano mojej śmierci. Coś się wydarzyło.

Ktoś... chciano, żebym zaznała ulgi, spokoju...

- A ty też tego chciałaś?

- Chciałam uciec - odparła po chwili milczenia. - Ale kiedy ktoś... ktoś...

Powstrzymywały mnie banalne przeszkody...

- Jakie?

- Banalne.

- Nie, nie mów tak - skarciłem ją.

- Jak wyjść z pokoju, jak pokonać tę całą drogę do schodów, jak się ukryć za kierownicą limuzyny, jak kupić kwiaty, jak się dostać do domu Quinna...

- Rozumiem. Chodziło ci o wymiar poetycki. Wyjątkowy. Uniknięcie banalności.

- O wyjątkowe przedsięwzięcie uwznioślone przez poezję. Może tak. „Tam ona wiała fantastyczne wieńce”. I przybyłam w to miejsce.

- Jak najbardziej - przytaknąłem jej. - Ale zanim tu przybyłaś... przed chwilą chciałaś coś powiedzieć, o kimś...

Milczenie.

- Nagle zjawiała się Rowan - powiedziała. - Nie znasz mojej kuzynki Rowan.

(Nie?)

Błysk cierpienia w czystych, lśniących oczach.

- No więc zjawiała się Rowan. Ona ma tę władzę...

- Chciała cię zabić ze względu na twoje dobro czy swoje?

- Uśmiechnęła się.

- Nie wiem. I nie wiem, czy ona wiedziała.

- Ale zdała sobie sprawę, że wiesz, i nie użyła swojej władzy.

- Powiedziałam jej, mówiłam: „Rowan, przerażasz mnie! Przestań, przerażasz mnie!” I rozplakała się. A może to ja się rozplakałam? To chyba ja! To jedna z nas.

Byłam taka przerażona.

- Tak więc uciekłaś.

- Tak, uciekłam, faktycznie, uciekłam.

- „Śpiewając starych piosenek urywki”.

Znów się uśmiechnęła. Czy była gotowa rozmawiać o kobiecie niemowlęciu? Leżała bardzo spokojna.

Czułem niepokój Quinna i falę jego miłości. Przez cały ten czas trzymał nieruchomo dłoń na jej ramieniu.

- Nie umieram - zauważyła, wzruszając ramionami. - Jestem tu.

- Nie, nie umierasz - potwierdziłem - to już za tobą.

- Muszę sięgnąć pamięcią wstecz i przypomnieć sobie czasy, w których na czymś mi zależało.

- Nie, nie musisz. To gadanie śmiertelnych. Teraz jesteś Moną zrodzoną do mroku.

- Staralem się przekazać to powoli, patrząc na nią, gdy jej uśmiech pojawiał się i znikał, na blade piegi, połysk skóry, który od tej pory miał być wieczny. - Teraz tak widzisz - świat. Nasyć się moim

widokiem do woli. Widzisz kolory, których nigdy wcześniej nie widziałaś. Doznajesz wrażeń, których do tej pory nigdy nie doznawałaś.

Mroczna krew to potężny nauczyciel. Drżysz, bo myślisz, że ból niebawem powróci, ale nie możesz go zakosztować bez udziału swojej woli. Przestań dygotać. Mówię poważnie. Przestań.

- Czego ode mnie żadasz? Poddania tobie czy krwi?

Roześmiałem się pod nosem.

- Czemu tak jest, że kobiety zawsze mnie zaskakują. Mężczyźni nie. Chyba generalnie nie doceniam kobiet. Przyprawiają mnie o roztargnienie. Ich urok zawsze wydaje mi się nie z tego świata.

Roześmiała się głośno.

- Jak to „nie z tego świata”?

- Jesteś wielką niewiadomą, serduszko.

- Szerzej.

- Hm, zastanów się nad biblijnym Adamem. Przecież gość zrobił z siebie siuska wszech czasów, kiedy powiedział Wszechmocnemu, Stwórcy, Jahwe, który stworzył

gwiazdy: „Zjadłem, bo ona mi dała!” Biedny nierób okazał się beznadziejnie popieprzonym mięczakiem! Na tym polegał ten cały grzech pierworodny, na niczym innym! Pierwotna katastrofa! Mówię poważnie i proszę, żadnego kitu. Ale...!!! Kiedy widzę porywającą kobietę... taką jak ty... z twoimi zielonymi oczami, idealnie rozstawionymi, głosem jak dzwoneczek, emitującym nie pozbawione sensu ciągi słów, leżącą nago i mającą w oczach ten błysk niewątpliwej inteligencji, to trudno nie pojąć, czemu Adam zgłupiał w obliczu Ewy, to przestaje się wymykać zrozumieniu, a jego żalсна wymówka nagle staje się zupełnie zrozumiała! „To ta kompletnie zakręcona, niepojęta, dziwna, tajemnicza, zagadkowo uwodzicielska istota, którą stworzyłeś z mojego żebra, powiedziała mi, żebym zjadł!” Kapujesz?

Quinn nie mógł się powstrzymać i parsknął śmiechem. Poczucie własności przepełniało go od czubka głowy do pięt. Ja i ona w jego łóżku. Ale śmiał się przyjaźnie.

Znów skupiłem się na niej. Wystarczy o ogrodach Edenu. (I wystarczy o tym, co chwilę temu wydarzyło się na dole, na werandzie, między mną i kimś nieskończenie lepszym niż jakikolwiek ułamek mojej tęsknoty.) Piekło i szatani. To całe przeklęte zielsko na posłaniu nie ułatwiało mi sprawy!

Czekała cierpliwie, niemal jeżdżąc mi po koszuli nagimi sutkami, rude włosy zaplątane w róże, nic nie robiła, tylko na mnie patrzyła, zielone oczy i miękkie usta były naprawdę słodkie. Nieziemska istota, a poznałem najcudowniejsze z nich. Co się ze mną działo? Bądź łaskaw kontynuować, jakby nigdy nic. „Jakbyś znów nie splamił

się złem, ty czarcie!”

- Poddaj się nam obojgu, mnie i krwi - powiedziałem. - Moim pragnieniem jest, abyście ty i Quinn osiągnęli doskonałość, o którą ja nigdy się nie otarłem. Chcę przeprowadzić cię bez skazy przez terminowanie. Słyszysz? Quinna dwukrotnie okaleczono. Przy porodzie i przy stworzeniu. Miał złych rodziców. Chcę wymazać ranę z jego serca.

Poczułem, jak łagodnie ściska mi ramię. Dawał mi przyzwolenie, chociaż praktycznie leżałem na tym jego soczystym stworzonku, miłości jego życia, przemienionym w nieśmiertelną towarzyszkę.

- Krew opowiedziała mi o tym wszystkim - rzekła. Nie śpieszyła się. Łzy wyschły na policzkach, odpadły jak płatki popiołu. - Przemawiała składnie. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie było po wszystkim. Zbyt wspaniale się czułam. Potem przyszło otrzeźwienie. Wiem, że przeżyłeś wieki. Nawet przeżyłeś śmierć. Udałeś się na pustynię jak Chrystus. Nie umarłeś, bo twoja krew jest zbyt potężna. Lękasz się, że nie zdołasz umrzeć. Wszystko, w co wierzyłeś, legło w gruzach. Mówisz sobie, że nic masz złudzeń, ale to nieprawda.

Znów zadrzała. Przemiana odbywała się zbyt szybko jak na jej możliwości. Może również jak na moje. Gdzie podział się duch? Opowiedzieć jej o nim? Nie. Na szczęście nie mogła mi już czytać w myślach.

- Nie wyznaję żadnej teologii naszego gatunku - powiedziałem jej. Jednocześnie była to uwaga pod adresem Quinna. - Bóg nas toleruje, ale co to znaczy?

Uśmiechnęła się niemal gorzko.

- Tak w ogóle, kto teraz kieruje się jakąkolwiek teologią? - spytała.

- Wielu ludzi. Na przykład, chyba wasz ksiądz Kevin.

- On ma chrystusologię - odparła. - To coś innego.

- Świetna sprawa, mam wrażenie.

- Och, daj spokój, nie nawróciłby cię, nawet gdyby miał na to sto lat.

Pomyślałem z goryczą o diable Memnochu. Pomyślałem o Bogu Wcielonym, z którym rozmawiałem. Pomyślałem o wszystkich moich wątpliwościach, z których żadna nie była realna, wszystkich moich podejrzeniach, że jestem tylko pionkiem w jakiejś wyrafinowanej grze duchów, i o tym, jak uciekłem przed wiecznym potępieniem, otchłanią żywych hologramów naznaczonych rozpaczliwym poczuciem winy, wybierając zimne, pokryte śniegiem ulice Nowego Jorku, a z nimi to, co materialne, zmysłowe, substancjalne, poniechawszy wszelkiej iluzji. Czy naprawdę nie uwierzyłem w realność tego, co ujrzałem? Czy też po prostu uznałem, że kosmos jest nie do zniesienia?

Nie wiem. Chciałem być świętym! Bałem się. Czułem pustkę. Jaka była natura tamtego dziecka monstrum? Nie chciałem wiedzieć. Nie, chciałem.

Utkwiłem w niej wzrok. Pomyślałem o Quinnie. I w tej samej chwili ujrzałem niewyraźny przeblysłk porządku rzeczy.

- A jednak mamy mity - powiedziałem. - Mieliśmy boginię. Ale teraz nie czas na te sprawy. Nie musisz wierzyć we wszystko, co ujrzałem. Mam ci do przekazania wizję.

Myślę, że wizja jest silniejsza niż iluzja. A treścią tej wizji jest przesłanie. Możemy egzystować jako potężne istoty, nie krzywdząc nikogo, kto jest dobry i życzliwy.

- Morduj złoczyńców. - Niewinność towarzyszyła nawet tym jej słowom.

- Amen. Morduj złoczyńców. A wtedy faktycznie posiadziemy ziemię, ziemię, której pragnęłaś, kiedy byłaś szalonym dzieckiem, chodzącym z głową w chmurach na nie kończące się wyprawy po Nowym Orleanie, za twoich czasów rozpasanej dziwki, uczennicy katolickiego liceum, uwodzącej wszystkich kuzynów, wiem o tym, a w domu zajadającej się czipsami, chrupkami i batonami przed wiecznie włączonym komputerem, no, widziałem to, szczęśliwie na zawsze uwolniona od rodziców alkoholików, ich imiona już figurują w księdze śmierci, wszystko to, zanim ktokolwiek zdążył złamać ci serce.

- O kurczę! - Łagodnym śmiechem skwitowała moją tyradę. - Więc wampiry stać na długie przemowy na jednym oddechu. Brawko. A dopiero co kazałeś mi się nie oglądać w przeszłość. Lubisz rozkazywać.

- To musiało się stać, kiedy zaglądaliśmy sobie w dusze podczas mrocznej sztuczki.

Żałuję, że teraz nie mogę wchłonąć twoich myśli, mała. Zdziwiasz mnie. Śniesz na jawie. Ja wciąż zapominam najważniejsze, na przykład to, że ci, których stwarzam i obdarzam krwią, potem zwykle mnie nienawidzą albo porzucają z bardziej prozaicznych powodów.

- Nie chcę cię porzucać. - I znów zmarszczyła te swoje rude brwi; gładka skóra zafalowała. I natychmiast się wygładziła. - Chce mi się pić. Czy to normalne? Widzę krew. Czuję jej zapach. Chcę jej.

Westchnąłem. Pragnąłem jej dać swojej krwi. To wszakże nie była właściwa droga postępowania. Nie mogła zaspokoić pragnienia ot tak. Powinna wyruszyć na polowanie. Nagle ogarnęło mnie zdenerwowanie.

Nawet Quinn trzeźwiej niż ja podchodził do jej powtórnych narodzin, mimo że miały nim żądze śmiertelnego małolata. Weź się w garść.

Podniosłem się z zasłanej kwiatami altanki. Ujrzałem cały pokój. I stojącego nieopodal Quinna, cierpliwego, tak ufego, że trzymał zazdrość na wodzy. Błysnął

błękit chłopięcych tęczówek.

Zmierwiła, zniszczyła kwietne posłanie, znów mrużąc pod nosem poezje.

Wziąłem ją za rękę, sprowadziłem z łóżka. Stała na podłodze, strząsnęła płatki z włosów. Staralem się na nią nie patrzeć. Była soczysta i promienna, ideał składanej na ofiarę dziewicy ze świata marzeń i snów. Westchnęła i ogarnęła wzrokiem porzucane ubrania.

Quinn pochylony zbierał je i okrążał ją ostrożnie, jakby nie miał odwagi się o nią otrzeć.

Spojrzała na mnie. Zniknęły wszelkie skazy. Zgodnie z moimi oczekiwaniami zniknęły wszystkie siniaki po igłach. Muszę jednak wam wyznać, że trochę się niepokoiłem. Jeszcze niedawno była taka słaba, tak wycieńczona, tak rozdarta. Ale komórki ciała cały czas oczekiwały w ukryciu na odnowę. A krew je odnalazła i stworzyła ją od podstaw.

- Jak myślisz... - mówiła półgłosem, ledwo ruszając wargami - ile czasu minie, zanim będę mogła się pokazać Rowan? Nie chcę pozorować śmierci, opowiadać im kłamstw, tego wszystkiego, zostawiać po sobie pustego miejsca. Nie... Są sprawy, których chcę się od nich dowiedzieć. Moja córka, wiesz, ona zniknęła. Straciliśmy ją.

Ale może teraz... - Patrzyła z uwagą na najzwyklejsze przedmioty: kolumnkę łóżka, krawędź aksamitnej kapy, dywan pod nagimi stopami. Smakowała go palcami u nóg, kurczyła je i prostowała. - Może teraz...

- Nie musisz kłamać - powiedziałem. - Czy Quinn nie jest żywym dowodem ślepoty śmiertelnych? Już rok mieszka tu, w Blackwood. Tymczasem ty na razie egzystujesz w stanie zawieszenia. Zadzwoń do Rowan możesz choćby dzisiaj. Powiedz jej, że wszystko w porządku, że masz tu pielęgniarkę...

- Tak...

- To słodka, miła istota, którą bez problemu owinę sobie wokół palca, wiem, znam się na tym. Na razie dadzą jej w kuchni kurczaka po kreolsku z ryżem. Oślepiasz mnie, piękna. Ubierz się.

- Się robi, szefie - szepnęła.

Uśmiech przemknął jej przez twarz, lecz zgadywałem, że przeżywa niepokój. W

jednej chwili spoglądała ze strachem na kwiaty, jakby to były atakujące zmije, w drugiej wpadała w głębokie zamyślenie.

- Ale co z ludźmi, którzy są w domu? - spytała. - Wszyscy mnie widzieli, kiedy przyjechałam. Wiem, jak wyglądałam. Powiemy im, że to cud?

Wybuchnąłem śmiechem.

- Masz płaszcz przeciwdeszczowy, Quinn?

- Wydaje mi się, że znajdzie się coś szykowniejszego - odparł.

- Super. I będziesz mógł ją znieść po schodach? Już zapowiedziałem Clemowi, że prujemy do

Nowego Orleanu.

- Się robi, szefie - powtórzyła z uśmiechem. - Co będziemy tam robić?

- Rozrabiać. Polować na złoczyńców i pić ich krew. Odnajdziesz ich mocą telepatii.

Będę ci jednak towarzyszył. Podprowadzę cię do ofiary. Będę przy tobie.

Skinęła głową.

- Język dosłownie wysechł mi na wiór. - Przesunęła nim po zębach i wyczuła kły.

Wytrzeszczyła oczy. - Dobry Boże - szepnęła.

- On jest w niebiosach - pouczyłem ją cicho. - Lepiej nie zawracaj Mu teraz głowy.

Wzięła figi z rąk Quinna i wsunęła je na siebie, zakrywając rude gniazdko. Dopiero teraz wyglądała jak pokusa nad pokusami. Już wolałem oglądać ją nagą. Koronkowa halka z wążiuteńkimi ramiączkami wjechała przez głowę, nieco zbyt długa, bo Mona nie była tak wysoka jak ciotka Queen, ale poza tym pasowała jak ulał, otuliła biust i biodra, szeroki koronkowy rąbek zatańczył nad kostkami u nóg.

Quinn wyjął chusteczkę i otarł zaschlą krew z policzków Mony. Pocałował ją i przylgnęła do niego, oddając pocałunek, tak że przez chwilę zatracili się w sobie, całowali bez końca jak wielkie, pełne wdzięku, lizące jeden drugiego koty.

Uniósł ją, nie przestając całować. Oboje mruczełi. Woń jej krwi doprowadzała go do szaleństwa.

Osunąłem się bezwładnie na fotel przy biurku. Słyszałem odgłosy z głębi domu.

Dzwonienie talerzy w zlewie, głos Jasmine. Płacz Cyndy na widok pokoju ciotki Queen. Pytała o Patsy, matkę Quinna. Clem czekał na nas przed domem w wielkim samochodzie; tak, dobrze, nie ma co napędzać jej stracha fruwaniami; weź samochód.

Spętany siecią drobnych wrażeń przyglądałem się Monie, gdy wkładała jedwabną, zapewne szytą ręcznie sukienkę, która miała haftowane mankiety i haftowany wąski kołnierzyk. Quinn zapiął go na karku. Sukienka sięgała kostek Mony i wyglądała bosko na moim pisklęciu - raczej jak szata niż zwykły ubiór. Mona stała się bosonogą księżniczką. Och, tak, banalne określenie, ale co z tego. „Fajna laseczka” nie lepsze.

Mniejsza z tym.

Włożyła nieco zdarte białe kapcie, takie jakie można kupić w byle drugistorze, pewnie noszone przez nią tam, gdzie ostatnio przebywała, po czym odchyliła do tyłu głowę i potrząsnęła nią; była prawie gotowa. Teraz miała wampirze włosy i już nie musiała ich szczotkować, każde pasemko wisiało swobodnie, całość gęsta i błyszcząca.

Czoło wysokie i o dobrych proporcjach, bosko osadzone brwi. Omiotła mnie wzrokiem. Jestem, chłopcy.

- To skomplikowane - powiedziała łagodnie, jakby nie chciała mnie drażnić. - On wie, że masz w kieszeni kameę, więc ja też o niej wiem, bo czytam jego myśli.

- Och, a więc to tego się dopuściłem. - Roześmiałem się pod nosem. -

Zapomniałem. - Wręczyłem kameę Quinnowi. Można było oczekiwać, że ten telepatyczny przekaz po trójkacie stanie się czymś upiornym.

Tak, chciałem, żeby swobodnie czytali swoje myśli, więc dlaczego, do diabła, byłem zazdrosny?

Stojąc nad nią, starannie przypiął kameę na środku białego kołnierzyka. Była antyczna i ładna.

Potem spytał Monę niespokojnym szeptem:

- Ale chyba szpilek po cioci Queen nie będziesz nosić, co? Dostała ataku śmiechu.

Ja też.

Ciotka Queen chyba do śmierci chodziła w niebotycznych szpilkach bez palców, z paseczkiem na kostkę. Niektóre były obsypane kryształami górskimi, inne, z tego co mi było wiadomo, prawdziwymi brylancikami. Miała na sobie te zachwycające buciki, gdy ją poznałem.

To doprawdy niebywała ironia losu, że gdy zdarzył się tamten śmiertelny upadek, nie miała nic na nogach. Ale to była sprawka Gobi i na, który celowo ją wystraszył, a nawet popchnął.

Tak więc same buty nie były niebezpieczne i pewnie wypełniały całe kilometry półek garderoby ciotki.

Zestawienie Mony, dzieciaka włóczącego się w rozczłapanych buciorach z grubej skóry, ze szpilkami ciotki Queen było w istocie tak zabawne, że groziło pęknięciem ze śmiechu. Czemu Mona miałaby się tak wygłupiać? A kiedy się wiedziało, jak Quinn jest wyczulony na widok damskich nóg w szpilkach - dokładnie Jasmine i ciotki Queen, wszystko stawało się jeszcze śmieszniejsze.

Mona utknęła gdzieś w uczuciowym kosmosie między wampirycznym transem a totalną miłością, wpatrzona w szczerą twarz Quinna, usiłując rozwiązać tę zagadkę.

- Niech będzie, Quinn, przymierzę te buty - powiedziała - jeśli taka jest twoja wola.

- No tak. Wampirzyce pozostają stuprocentowymi kobietami.

Quinn w jednej chwili połączył się z Jasmine. Kazał jej dostarczyć na górę najpiękniejszy peniuar cioci Queen z białej satyny - jeden z tych sięgających do samej ziemi i ze strusimi piórami - a poza tym parę nienoszonych szpilek ciotki, z im większą ilością kamyków, tym lepiej, i to szybko.

Nie potrzebowałem wampirzego słuchu, jeśli chciałem usłyszeć jej odpowiedź:

- Panie święty! Co ci chodzi po głowie?! Żeby ta chora dziewczyna włożyła na siebie te rzeczy?! Chybaś na główkę upadł, szefuniu! Zaraz tam idę! I jest tu ze mną Cyndy.

Jest tak samo wstrząśnięta jak ja. Idzie ze mną. Lepiej zostaw to dziecko w spokoju!

Panie święty! Mówię, Panie święty! Nie możesz stroić jej jak lalki, Taw–quinie Blackwoodzie, ty wariacie! Czy to dziecko już wyzionęło ducha? To chcesz mi powiedzieć? Odpowiadaj, Taw–quinie Blackwoodzie, mówię do ciebie, ja, Jasmine!

Wiesz chociaż, że Patsy uciekła z domu, zostawiła wszystkie swoje lekarstwa i nikt, do diabła, nie wie, gdzie się podziewa? Nie myśl sobie, że mam o to do ciebie pretensje, że nic cię Patsy nie obchodzi, ale ktoś musi o niej myśleć. Cyndy wypłakuje tu sobie za nią oczy...

- Jasmine, spokojnie - powiedział niebywale uprzejmym i spokojnym tonem. -

Patsy nie żyje. Zabiłem ją przedwczorajszej nocy. Skręciłem jej kark, wrzuciłem ją do bagna i aligatory ją zżarły. Więcej nie musisz się nią zamartwiać. Lekarstwa wyrzucić do śmieci. Powiedz pielęgniarce, żeby zjadła kolację. Sam zejdę po buty i peniuar. Mona jest w jak najlepszym stanie. - Odłożył słuchawkę i ruszył do drzwi. - Zamknij na klucz, kiedy wyjdę.

Zastosowałem się do tego polecenia. Mona spojrzała na mnie z niewiarą.

- Mówił prawdę o Patsy, no nie? - spytała. - O własnej matce???

Skinąłem głową. Wzruszyłem ramionami.

- Nigdy mu nie uwierzą. Zachował się bardzo sprytnie. Może powtarzać to wyznanie do dnia sądu ostatecznego. Kiedy dowiesz się o niej więcej, zrozumiesz go.

Ogarnęła ją zgroza. Wampirza krew zintensyfikowała ten stan.

- Co było takie sprytne? Zabicie Patsy czy powiedzenie im o tym?

- Miałem na myśli to, że się z tym nie krył - wyjaśniłem. - To, dlaczego zabił, tylko sam może wytłumaczyć. Patsy go nienawidziła, mogę to potwierdzić. Była twarda i bezlitosna. Umierała na AIDS. Niewiele zostało jej czasu na śmiertelnym zegarze.

Resztę niech Quinn wytłumaczy.

Mona była wstrząśnięta, dziewiczy wampir o krok od zemdlenia z powodu moralnego szoku.

- Przez wszystkie lata, które go znałam, nigdy nie wspomniał o Patsy, nawet nie odpowiedział w mailach na żadne pytanie o matkę.

Znów wzruszyłem ramionami.

- Ty masz swoje tajemnice, on swoje. Wiem, jak nazywa się twoje dziecko.

Morrigan. Ale on tego nie wie.

Drgnęła.

Z dołu dobiegały odgłosy kłótni. Nawet Nash i Tommy, którzy wstali od stołu, zostali wciągnięci w spór. Chcąc nie chcąc, opowiedzieli się po stronie Jasmine, podczas gdy Baba Ramona ogłosiła Quinna nekromaniakiem. Cyndy popłakiwała.

- Ale żeby zabić własną matkę... - mamrotała Mona.

Przez jedną krótką, żywą jak w technikolorze sekundę, pozwoliłem sobie wspomnieć moją matkę, Gabrielle, którą wprowadziłem w krew. Gdzie się podziewała

- to zimne, milczące niewzruszone stworzenie, którego samotności nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić? Nie tak dawno spotkałem się z nią. I spotkam się z nią znowu, nie takiego dnia, to innego. Nie było w niej ciepła, pocieszenia ani zrozumienia. Jakie to jednak miało znaczenie?

Quinn załomotał do drzwi. Wpuściłem go. Dobiegł mnie odgłos zapalnego silnika limuzyny. Clem szykował się do jazdy, a że noc była gorąca, włączał klimatyzację. Milo będzie się pruło do Nowego Orleanu.

Quinn oparł się o drzwi, zamknawszy je na zasuwkę, i odetchnął głęboko.

- Łatwiej byłoby obrabować Bank Anglii - westchnął.

Wsunął połyskujące szpilki w niecierpliwe, czekające ręce Mony.

Obejrzała zdobycz. Włożyła buty. Zyskała dobre dziesięć centymetrów wzrostu, a jej nogi, które nawet prześwitując przez sukienkę, były bezlitośnie uwodzicielskie, teraz się naprężyły i stały wręcz zabójcze. Buty wydawały się odrobinę za małe, ale kto by to dostrzegł. Nabijany kryształami górskimi paseczek okalał idealnym łukiem palce. Zapięła pasek na kostce, włożyła drugi but.

Wzięła od Quinna długi biały peniuar i włożyła go. Roześmiała się, czując łaskotanie drżących piór. Był luźny, połyskliwy, wyzywający i cudowny.

Przebiegła przez sypialnię, zataczając koła i kółeczka. No i jaki facet byłby zdolny do czegoś takiego????? Miała idealne wycucie równowagi. Dopiero zaczynała zyskiwać siłę, a już jakiś ukryty zmysł frywolności zapragnął tego niewiarygodnego narzędzia tortur, niebotycznych szpilek. Wirowała i wirowała, aż nagle zamarła przy oknie, po drugiej stronie pokoju, i spytała:

- Na Boga, czemu zabiłeś swoją matkę?

Quinn wlepił w nią oczy. Wydawał się zupełnie bezradny. Zbliżył się do niej jednym cudownie płynnym skokiem. Wziął ją w ramiona i przytulił do siebie, nic nie mówiąc.

Rozkwitł trujący kwiat lęku. Spadł czarny woal wspomnień. A może to strojna toaleta ciotki Queen odebrała mu głos.

Rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

- Otwórz, szefuniu - odezwała się Jasmine - i daj mi zobaczyć to dziecko, albo, przysięgam na Boga, wezwę szeryfa.

Zaraz potem rozległ się słodki głos Cyndy, przepełniony zdrowym rozsądkiem i dobrocią:

- Quinn? Quinn, dasz mi rzucić okiem na Monę?

- Weź ją na ręce - poleciłem mu. - Zanieś ją na dół i do samochodu. Będę przy tobie.

Minęły trzy minuty, może nawet mniej, a wypadliśmy z dworu, biegnąc z prędkością śmiertelników, tak aby bardziej nie alarmować licznego chóru, który wołał za nami, i ruszyliśmy w drogę. Mona miała na tyle zdrowego rozsądku, że zasłoniła twarz drżącymi piórami peniuaru, ukazując tylko rude loki, a w dole zwisające nogi w szpilkach, i oddaliliśmy się, uprzejmie uspokajając wykrzykujące stadko oraz polecając głęboko obojętnemu Clemowi, by „natychmiast” skierował się do Nowego Orleanu.

To ja wydałem ten rozkaz, uśmiechając się przelotnie i zimno, co wzbudziło sarkastyczny grymas szofera i wzruszenie ramion, ale wielka limuzyna niebawem pomknęła zwirowanym podjazdem. Mona siedziała między mną i Quinnem na tylnej kanapie i dopiero wtedy, nie wcześniej, zacząłem skanować Nowy Orlean, szukając ewentualnych ofiar.

- Słyszę hałas jak zgiełk piekieł - powiedziałem. - Weź głębszy oddech, maleńka.

Szukam wiecznej hołoty. To ponurzy, bezduszni śmiertelni, żywiący się ludzką mierzwą lub ludzka mierzwa karmiąca się sobą nawzajem. Zawsze zadaję sobie pytanie... i nigdy nie dostaję na nie odpowiedzi... czy rządzące swoją okolicą bandziory kiedykolwiek przystają, żeby spojrzeć w górę na fioletowe wieczorne niebo albo konary dębu. Dilerzy, dzieciobójcy, nastoletni gangsterzy, o których życiu zdecydował jeden fatalny kwadrans. W naszym mieście kostnice są stale pełne. To wieczny tygiel wyrachowania, zła i moralnej obojętności.

Rozmarzona dziewczyna wyglądała przez okna, chłonąc każdy szczegół pejzażu.

Quinn słyszał głosy. Quinn wyłapywał je z oddali. Quinn był niespokojny, zakochany po uszy, ale daleko mu było do szczęścia.

Samochód wjechał na drogę stanową i przyspieszył.

Mona głośno zaczerpnęła oddech. Zacisnęła mi palce na ramieniu. Nigdy nie wiadomo, co robi takie piskłe, odurzone obrazami otoczenia.

- Słuchaj - poradziłem jej. - Quinn i ja słuchamy.

- Słyszę ich - powiedziała. - Nie potrafię jednak wyodrębnić poszczególnych głosów, nie potrafię. Ale spójrz na te drzewa. Szyby są jasne. Mayfairowie zawsze każą kupować limuzyny z jasnymi szybami.

- Ciocia Queen nigdy nie lubiła przyciemnianych szyb - zauważył Quinn, wpatrzony w drogę, zatopiony w głosach. - Chciała oglądać świat. Nie przeszkadzało jej, że ludzie mogą się na nią gapić.

- Wciąż czekam, aż wszystko znormalnieje - szepnęła Mona.

- Nigdy nie znormalnieje - wyjaśnił jej. - Tylko będzie jeszcze cudowniejsze.

- Więc mi zaufaj - powiedziała do niego, nadal zaciskając palce na moim ramieniu.

- Nie bój się tak o mnie. Mam kilka prośb.

- Wal, śmiało - rzekłem.

- Chcę przejechać koło domu... chodzi mi o rezydencję Mayfairów na rogu Pierwszej i Chestnut. Dwa lata leżałam w szpitalu. Dawno nie widziałam domu.

- Nie - zaprotestowałem. - Rowan cię wyczuje. Nie zorientuje się, co się z tobą stało, podobnie jak we dworze. Ale będzie wiedziała, że jesteśmy blisko. Nie jedziemy tam.

Przyjdzie na to czas, ale nie teraz. Skup się na swoim pragnieniu.

Skinęła głową. Nie spierała się ze mną. Zdałem sobie sprawę, że nie spierała się ze mną na żaden temat. Wiedziałem wszak, że wiele spraw ciąży jej na sercu, że łańcuch skuwający ją ze śmiertelną przeszłością ma więcej ogniw niż w przypadku innych piskląt. Coś przejmowało nad nią panowanie, coś mającego związek ze zniekształconymi obrazami, które ukazała mi we krwi - monstualnego potomka, kobiety dziecka. Kim był ten stwór?

Nie zdradziłem tych myśli Quinnowi. Było na to za wcześnie. Równie dobrze mógł dojrzeć je wszystkie w sypialni, w tych momentach, w których przeprowadzałem ją na drugą stronę. Wtedy byłem zdany wyłącznie na jej łaskę i niełaskę, wydany na pastwę niebezpieczeństwa. Mógł zapoznać się z tym wszystkim, co zostało mi ukazane. I teraz mógł to wyczytać w jej umyśle, chociaż wiedziałem, że nie jest gotowa niczego wyjawić.

Limuzyna mknęła nad jeziorem. Wyglądało jak padło wielkiego stwora, nie jak zbiornik pełnej życia wody. Ogrom chmur unosił się triumfalnie pod wschodzącym księżycem. Kiedy jesteś wampirem, widzisz je dokładniej niż śmiertelni. Tracisz wiarę, a w jej miejsce pojawiają się doznania zmysłowe, zauważasz najmniejszy ruch i przemianę chmur, odbierasz obecność księżyca jak wrażliwej i myślącej istoty.

- Nie, muszę tam pojechać - nagle oświadczyła Mona. - Muszę zobaczyć dom.

Muszę.

- Co to ma być, cholera, bunt? - zbeształem ją. - A właśnie gratulowałem ci w myślach, że się ze mną nie spierasz.

- Co? I może jeszcze mam za to dostać odznakę?! Nie musimy przejeżdżać pod domem - teraz mówiła przez łzy. - Chcę tylko zobaczyć ulice Garden District.

- O, tak, pięknie - mruknąłem. - I nie obchodzi cię, że wyciągniesz ich z domu, że zburzysz ich spokój umysłu? Dalej ci na tym zależy? To retoryczne pytanie, nie wysilaj się z odpowiedzią. Zrozum, ja tylko staram się traktować ciebie i pana Quinna Blackwooda jak wzorowych, przeciętnych ludzików. Sam jestem łajdakiem.

- Umiłowany szefie - rzekła z całkowitą powagą - pozwól mi tylko przejechać tak blisko, jak to będzie możliwe, tak blisko, jak sam uznasz to za stosowne. Nie, nie chcę burzyć ich spokoju. Nie podoba mi się taki pomysł. Ale leżałam w separacie dwa lata.

- Dokąd my jedziemy, Lestat? - spytał Quinn. - Czy będziemy polować w centrum?

- W opłotkach, wolałbym rzec - wyjaśniłem. - Żaden Kreol mojego pokroju nie nazwałby tych okolic „centrum”. Wiesz, jedziemy tam, gdzie pleni się hołota.

Wysłuchaj się w miasto, Mona.

- Słyszę je. Jak otwierającą się grodz tamy. I głosy nie przypisane konkretnym ludziom. Wiele nie przypisanych nikomu głosów. Zażarte kłótnie, groźby, nawet stłumiony trzask wystrzałów...

- Mimo upału miasto kipi od ludzi. Krążą po ulicach, ich myśli zalewają mnie obrzydliwymi falami. Gdybym był świętym, musiałbym tego słuchać w dzień i w nocy.

- Uhm, jak modlitwy. I błagania.

- Święci nie mogą zbijać bąków. - Powiedziałem to takim tonem, jakbym wiedział o tym z autopsji.

I wtedy nagle, w jednej chwili, poczułem ich obecność.

Quinn odebrał to w tym samym momencie i mruknął zdumiony:

- Mój Boże.

- Skup się na nich - nakazałem mu.

- O co chodzi? - spytała Mona. - Nic nie słyszę. - Nagle wpiła wzrok w Quinna.

Och, cudowne zrządzenie losu! Jednocześnie byłem nieskończenie rozwścieczony i szaleńczo rozradowany. Zamknąłem krąg wizji.

Och, tak, zgadza się, ta okrutna z natury para wampirów, samiec i samica, karmiła się i zabijała jak leci, żyjąc na wysokim poziomie, odwrotnie proporcjonalnym do poziomu ich charakteru, w oślepiającym złocie i firmowych skórach, upici potęgą, chlepcząc z Nowego Orleanu, jakby to było nierzeczywiste źródło krwi, drażnili się z

„wielkim wampirem Lestatem”, w którego naprawdę nie wierzyli (a któż by wierzył?), paradowali dumnym krokiem przez moje ulice dzielnicy francuskiej do luksusowego leża w kosztownym hotelu, teraz pełni krwi przekręcają klucz w zamku, śmieją się, aż echo odbija się od sufitu, włączają telewizor, na tę noc nasyceni, niewinne ofiary porzucone w bocznych zaułkach, ale nie wszystkie, gotowi rozkoszować się muzyką albo kolorowymi obrazkami śmiertelnego świata, przekonani o swojej całkowitej wyższości, teoretycznie zamierzali przespać dzień w brudnych bielonych grobowcach pierwszego cmentarza pod wezwaniem Świętego Ludwika, to mi się podoba, co za odwaga! Nieświadomie spragnieni śmierci.

Opadłem na oparcie, śmiejąc się cicho.

- Tego aż za wiele! To tak haniebnie, że aż nazbyt smakowite! Mona jest gotowa. Nie ma się nad czym zastanawiać. To krew nieprzyjaciela, elektryzujący narkotyk. Niczego lepszego się dla niej nie znajdzie. A im szybciej nauczy się walczyć z osobnikami własnego gatunku, tym lepiej. Tak samo ty, Quinn. Do tej pory nigdy nie musiałeś się bić z takim kosmicznym śmieciem, jaki tam czeka.

- Ale to musi się udać, Lestacie - powiedział Quinn. - Wiesz, co zdarzyło mi się pierwszej nocy. Zawaliłem. Nie mogę pozwolić, żeby ją spotkało coś brzydkiego i złego...

- Łamiesz moje czułe serduszko - przerwałem mu. - Czy idziecie tam sami? Będę z wami. Naprawdę ci się wydaje, że nie poradzę sobie z tą parką samotników? Za bardzo ci spowszedniałem, Quinn. Zapomniałeś, kim jestem, i może sam też o tym zapomniałem.

- Ale jak się to skończy? - Nie dawał za wygraną.

- Jesteś autentycznie niewinny.

- Powinieneś już o tym wiedzieć! - I jednym tchem dodał: - Przepraszam. Wybacz mi. To tylko...

- Posłuchajcie mnie oboje. Mówimy o wyrzutek piekła. Rozbijali się po wszechświecie przez dziesięć lat, nie dłużej, aż woda sodowa uderzyła im do głowy.

Zanim się z nimi uporam, oczywiście przenicuję ich duszyczki. Ale już teraz wiem, że to kryminaliści. I nie robią na mnie dobrego wrażenia. A wampirza krew zawsze smakuje. I zapowiada się niezła walka. To chciwa hołota. Zakłócili pokój na moich ulicach. Za to jest wyrok śmierci, przynajmniej kiedy mam czas go wykonać. Tak się jednak składa, że dysponuję nim właśnie teraz, a wy jesteście spragnieni, i to mnie interesuje. Więcej żadnych pytań.

Mona zaśmiała się krótko.

- Zapytałabym cię, jak smakuje ich krew, ale brak mi na to odwagi. Powiedzmy tylko, że jestem gotowa, skoro ty tak twierdzisz.

- Prześmiewcza z ciebie istotka - zauważyłem. - Lubisz walczyć? Walka ze śmiertelnymi to nieuczciwy pojedynek, żadna zabawa. Żaden honorowy nieśmiertelny nie zaryzykowałby czegoś takiego, chyba że zmuszony okolicznościami. Ale bójka z tymi żywymi umarlakami zapowiada się wspaniale. Nigdy nie przewidzisz, jak silny napotkasz opór, nigdy. A poza tym w ich krwi są interesujące wizje - porywające, bardziej podniecające niż to, co można wyssać ze śmiertelnej ofiary. Mona uścisnęła mi dłoń.

Quinn był rozdarty. Wspominał noc pierwszego polowania: wesele w Neapolu, pannę młodą, która zaciągnęła go do sypialni, żeby pobrykać i zranić świeżo poślubionego męża. Osuszył ją do dna, pierwszym łykiem plamiąc suknię ślubną.

Wciąż przeżywał utratę łaski uświęcającej, straszliwy moment klątwy.

- Braciszku, to byli ludzie - napomniałem go. - Spójrz na mnie.

Odwrócił się i w migających światłach autostrady zajrzałem mu w oczy.

- Wiem, do tej pory wszystko między nami odbywało się w elegancki sposób -

powiedziałem. - Odgrywałem mądrego Europejczyka. Teraz widzisz mniej wyrafinowaną stronę mojej natury. I muszę ci przypomnieć, że przeszedłeś piekło, opowiadając mi historię twojego życia. Do tego dochodzi śmierć ciotki Queen, która była dla ciebie czystą torturą. Ze wszech miar zasługujesz na coś dobrego, co ja mogę wyczarować albo dać. Muszę jednak uwolnić świat od tych łowców krwi. Tobie i Monie nie wolno pominąć tej okazji.

- A co, jeśli są bardzo silni, jeśli zostali stworzeni jak ja, przez kogoś wiekowego? -

spytał.

Westchnąłem.

- Dałem ci moją krew, Quinn. I Mona też została stworzona dzięki niej. Dzięki mojej krwi, Quinn. Oni nie dorastają wam do pięt, mówię ci.

- Chcę to zrobić! - natychmiast wtrąciła się Mona. - Jeśli mówisz, że to łatwa ofiara, to w takim razie są łatwą ofiarą, mnie to wystarczy, umiłowany szefie. Tak strasznie pragnę tej potyczki, - że nawet nie wiem, co czuję i myślę. Nie wiem, jak to wyrazić, to takie pierwotne, tak zakorzenione we mnie! To sięga mojej ludzkiej części, która nigdy nie umrze, prawda?

- Tak. Dokładnie tak.

- Cudnie. Wyczuwam ich. Ale coś, coś mi się nie zgadza...

- Daj sobie spokój, jesteśmy prawie na miejscu.

Na oświetlonej reflektorami samochodów twarzy Quinna uwidoczniło się lekkie cierpienie.

- A co, jeśli będą błagać o litość? - spytał.

- Możesz na to liczyć - powiedziałem, lekko wzruszając ramionami.

- A co, jeśli znają poezję?

- To znakomicie. Nie uważasz? Tego rodzaju wiedza ma wyrównać śmierć wszystkich niewinnych ofiar?

Nie poddawał się. Nie mógł się poddać.

- A co, jeśli cię kochają?

Przerwa na krótką refleksję poświęconą świętym, skoro już wiecie, jak bardzo chcę powiększyć ich grono i nie mogę.

Otóż, kiedy opuszczaliśmy papieża, przebywał bezpieczny w swoim domostwie, ale w czasie, który zabrało mi wierne opisanie powyższych wydarzeń - nie przejmujcie się, migiem do nich wracamy, za niecałe pięć minut! - udał się do Toronto, Gwatemali i Meksyku i w tym ostatnim kanonizował pewnego świętego.

Czemu o tym wspominam, skoro papież dokonał tylu rzeczy podczas tej drobnej wyprawy, w tym beatyfikował paru gości i kanonizował świętego w Gwatemali?

Bo jeśli chodzi o pewnego świętego w Meksyku, to jestem szczególnie poruszony okolicznościami całej sprawy. Był to niejaki Juan Diego, skromny Indianin („tubylec”, jak mówią o nim niektóre gazety), któremu w 1531 roku ukazała się Matka Boska z Gwadelupy. Ten pocziwina, gdy pierwszy raz opowiedział miejscowemu biskupowi, Hiszpanowi, o widzeniu świętej Dziewicy, naturalnie został zignorowany. Matka Boska dokonała więc podwójnego cudu. Dostarczyła Juanowi Diego kilkanaście niezwykle pięknych czerwonych róż, które miał zanieść biskupowi, róż rosnących w nieprawdopodobnych warunkach, na śnieżnym szczycie w pobliżu rodzinnej miejscowości Juana Diego, a kiedy nieborak rozsunął przed biskupem swoje *tilma* (ponczo), odsłaniając uroczę paki, na samym *tilma* pojawił się kolorowy obraz Matki Boskiej. Nie dało się jej pomylić z nikim innym, to była Najświętsza Maria Panna, ale miała ciemną karnację jak Indianka.

Uszyta z kaktusowych nici *tilma* z cudownym wizerunkiem Najświętszej Marii Panny nadal wisi nietknięta w katedrze w mieście Meksyk i każdego dnia zbierają się przed nią tysiące wiernych. Ta Matka Boska otrzymała przydomek „z Gwadelupy” i nie ma takiej osoby w całym chrześcijańskim świecie, która w takim czy innym momencie swojego życia nie widziała jej obrazu.

Dobra. Tak się składa, że uwielbiam tę opowiastkę. Od zawsze. Uważam, że to, co się przydarzyło Juanowi Diego, było uroczę. Kiedy po raz pierwszy wspinał się na tamtą górę, Matka Boska zawołała do niego: „Juanito!” Czy to nie wzruszające? Jak wzruszające jest to, że po tych cudach tysiące Indian nawróciło się na chrześcijaństwo.

I to z pewnością cudowne, że papież, niedomagający, poleciał do Meksyku kanonizować Juana Diego.

Krytycy papieża wcale jednak nie są tacy szczęśliwi. Prasa mówi o pomrukach niezadowolenia. Malkontenci utrzymują, że nie ma dowodów na istnienie Juana Diego.

To już doprawdy chamstwo! Chamstwo świadczące o całkowitym braku zrozumienia tego, na czym polega całe wielkie duchowe bogactwo katolicyzmu.

Skoro nikt nie potrafi udowodnić, że Juan Diego istniał, w takim razie nikt nie potrafi udowodnić, że nie istniał.

Załóżmy na chwilę, że Juan Diego nie istnieje lub nie istniał. Papież nadal jest nieomylny, zgadza się? „Wszystko, co zawiążecie na ziemi, będzie zawiązane w niebie”, powiedział swoim uczniom Chrystus. Okej?

Nawet najwięksi krytycy tego papieża przyznają, że to, czego dokonał, to prawdziwy cud na ziemi, no nie?

Dlatego też bez żadnych wątpliwości i bez oglądania się na żadne pomruki możemy przyjąć, że w chwili, w której papież ogłosił Juana Diego świętym, nieborak jednocześnie rozpoczął egzystencję w Niebie! Wyobraźcie sobie tylko, co wtedy przeleciało mu przez głowę. I nie zapominajcie, że ten typowy dla Ameryki Łacińskiej

„tubylec” wylądował nie gdzie indziej, a w niebiosach, które, jak to każdy opisuje, są wręcz nie do opisanania.

Prawdę mówiąc, jeśli ostatni wysyp mistyków ma rację i niebo, do którego idziemy po wkroczeniu w Światłość, jest w ogromnym stopniu ukształtowane zgodnie z naszymi wyobrażeniami, to Juan Diego wedle opisu zgodnego z wykładnią i wyrokiem Kurii Rzymskiej przemierza je w swoim *tilma* z kaktusowych nici, zbierając róże.

Ciekawym, czy bosko?

Czy będzie tam samotny? Oczywiście, nie. Tylko ateście mógłby przyjść do głowy taki pomysł. Wierzcie mi na słowo, wymykające się wszelkim opisom Niebiosa to wymykające się wszelkim definicjom zatrząsienie wspaniałych postaci.

Zejdźmy jednak z tych wyżyn do podnóżka naszych możliwości pojmowania. W

wiecznie kwitnącym ogrodzie Juan Diego może, jeśli ma na to ochotę, cieszyć się towarzystwem wielu innych świętych, którzy nigdy się nie przewinęli przez ziemski padół, w tym sławnych rodziców Matki Boskiej, Joachima i Anny oraz świętej Weroniki, którą poznałem osobiście. Ale jest o wiele bardziej prawdopodobne, że Juan Diego zostanie otoczony modlitewnymi błaganiami. Głosy „tubylców” na ziemi i potomków kolonistów przekażą mu cierpienie i rozpacz planety, którą opuścił.

O co mi w tym wszystkim chodzi?

Po prostu o to: że bez względu na to, czy Juan Diego żył na ziemi czy nie, zapewne ciężko pracuje, nurkując przez astralne pokłady za pomocą swojej ukształtowanej na ludzkie podobieństwo duszy, pilnie wsłuchany w głosy wiernych, i przekazując ich błagania Wszechwiedzącemu. Na pewno. Jest niesłychanie ważnym świętym. I niewątpliwie Matka Boska z Gwadelupy spogląda życzliwie na świeży potok turystów i wiernych w mieście Meksyk.

A papież powrócił do Watykanu, mając na koncie kanonizację 463 świętych.

Żałuję, że nie jestem jednym z nich. Może to dlatego napisałem ten rozdział.

Zazdroszczę Juanowi Diego. Hmm.

Nie jestem świętym. I ta refleksja nie zajęła nawet pięciu minut, sami wiecie, więc nie narzekajcie. Po prostu pragnienie oficjalnej kanonizacji nie daje mi spokoju.

Niestety. Stale. *Alors. Mais oui. Eh bien.* Naprzód, bezpośrednio do rozdziału ósmego.

Nikt więc nie mógłby mnie oskarżyć, że podczas dwustu lat na ziemi nabyłem jakąkolwiek prawdziwą wiedzę. Znam tylko jedną drogę, którą należy iść.

Clem wysadził nas przed hotelem, całkiem nowym, wręcz luksusowym i niezwykle droгим, w samym środku tego mrowiska, że się tak wyrażę, przy Canal Street, wielkim ponurym wododziale Nowego Orleanu, skąd można już wkroczyć do dzielnicy francuskiej, najbliższego mi świata.

Mona była w takim transie, że musieliśmy ją popychać do windy, ja z prawej, Quinn z lewej. Naturalnie każdy w westybulu zwrócił na nas uwagę - nie dlatego, że byliśmy wysysającymi krew nieśmiertelnymi, mającymi na celu zniszczenie dwóch osobników naszego gatunku, zajmujących apartament na czternastym piętrze, ale dlatego że byliśmy niesłychanie, piorunująco olśniewający, zwłaszcza Mona, otulona w pióra i połyskliwy materiał, stąpająca w niesamowitych szpilkach.

Quinna teraz dręczyło równie silne pragnienie jak Monę, tak że miał bodziec do działania.

Nie byłem wszak głuchy na pytanie, które postawił w wozie. Poezja, miłość.

Podczas gdy potajemnie aspirowałem do świętości! Och, ty moje życie wieczne! I, honorowe dzieciątka nocy, nie zapominajcie tego, co mówiłem o telepatii. Nie daje żadnej pewności, choćby sama w sobie działała na sto dwa.

Kiedy tylko znaleźliśmy się przed apartamentem, otworzyłem cicho drzwi, nie wyłamując zawiasów, ponieważ zamierzałem je potem zamknąć. Widowisko, w które wkroczyłem lekko jak kot, wprawiło mnie w zaskoczenie.

Ach, Dziki Ogrodzie ziemi, który hołubisz takie stwory!

Samotnicy tańczyli w słabym świetle, do wtóru niesłychanie gęstej muzyki -

koncertu skrzypcowego Bartoka, wypełniającego pokój z maksymalną głośnością.

Muzyka była smutna, rozdzierająca, powalająca - w obliczu jej pełnowymiarowego, wszechpochłaniającego majestatu musiałeś porzucić wszystko, co tanie i tandetne.

I chociaż oni sami nieskończenie bardziej przykuwali uwagę, niż mogłem tego oczekiwać, to wypatrzyłem w głębi pokoju długą kanapę bordowej barwy, zarzuconą śmiertelnymi dziećmi - posiniaczonymi, nieprzytomnymi i bez wątpienia wysanymi.

Ofiary wyraźnie wybrano na chybił trafił.

Cała nasza trójka znalazła się już za drzwiami apartamentu, a buntownicy nadal tańczyli nieświadomi naszej obecności, chłonąc wszystkimi zmysłami oszalamiające dźwięki i rytmy.

Wyglądali niesłychanie widowiskowo, opaleni, o długich do pasa, falujących kruczoczarnych

włosach. Oboje semickiego lub arabskiego pochodzenia, bardzo wysocy, o bardzo wyrazistych rysach i wydatnych jak posągi ustach, obdarzeni wrodzonym wdziękiem. Tańczyli z zamkniętymi oczami, słodki spokój przepelniał

owalne twarze, robili szerokie, zamaszyste gesty, nucąc murmurando do muzyki, a niemal identyczny jak samica samiec co i rusz szybko zataczał koła niebywałym welonem włosów.

Czarne, skórzane, gładkie stroje były znakomicie skrojone i identyczne u obojga.

Miękkie spodnie i topy. Na odsłoniętych przedramionach i ramionach złote bransolety. Obejmowali się i rozłączali, a samica w pewnej chwili przypadła do gromadki dzieci, przytknęła usta do leżącego bezwładnie chłopca i napiła się z niego.

Na ten widok Mona wrzasnęła i oba wampiry zastygły, wpatrując się w nas. Ich ruchy były tak identyczne, że można by pomyśleć, iż ma się do czynienia z dwoma wielkimi sterowanymi centralnie robotami. Nieprzytomne dziecko padło na kanapę.

- Quinn, wyłącz to - powiedziałem i ledwo skończyłem mówić, a muzyka ucichła.

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

Para przysunęła się do siebie, tworząc grupowy posąg.

Mieli przepięknie zarysowane brwi, grube powieki, gęste rzęsy. Tak, byli arabskiego pochodzenia, nowojorscy ulicznicy z rodziny ciężko pracujących drobnych kupców. W chwili stworzenia mieli po szesnaście lat. Runęła z nich powódź obrazów, a z nią gwałtowna fala czci i uwielbienia, fala bezgranicznej szczęśliwości na widok mojego „objawienia”. O Boże, dopomóż. Juanie Diego, wesprzyj mnie.

- To nie był sen, kiedyśmy cię zobaczyli, naprawdę cię widzieliśmy! - powiedziała samica z wyraźnym obcym akcentem, głosem uwodzicielskim i przepelnionym czcią. -

Żywiliśmy nadzieję, wznosiliśmy modły i oto jesteś we własnej osobie. - Rozłożyła piękne dłonie i wyciągnęła je ku mnie.

- Dlaczego zabiliście niewinne ofiary w moim mieście? - szepnąłem. - Gdzie znaleźliście te dzieci?

- Ale przecież sam piłeś krew dzieci, „Kroniki” o tym mówią - powiedział samiec.

Ten sam akcent i dworny, łagodny ton. - Naśladowaliśmy ciebie! Cośmy uczynili, czegoś ty nie uczynił?!

Węzeł w moim sercu zadzierzgnął się jeszcze mocniej. Przeklęte czyny, przeklęte wyznania. O Boże, wybacz.

- Znacie moje ostrzeżenia - przypominałem im. - Każdy je zna. Z daleka od Nowego Orleanu, to miasto należy do mnie! Kto o tym nie wie?

- Ależ przybyliśmy, żeby złożyć ci cześć! - wykrzyknął samiec. - Byliśmy tu wcześniej. Wcale cię to nie obeszło. Wydawało się, że jesteś tylko legendą.

Nagle uświadomili sobie ogrom własnego błędu. Samiec rzucił się do drzwi, ale Quinn bez wysiłku chwycił go za ramię i jednym ruchem odwrócił ku sobie.

Samica stała oszołomiona na środku pokoju, utkwivszy we mnie czarne jak noc oczy, a potem skierowała je na Monę.

- Nie, nie możesz nas tak po prostu zniszczyć - powiedziała - nie zrobisz tego. Nie zabierzesz nam naszych nieśmiertelnych dusz, nie zabierzesz. Jesteś ucieleśnieniem naszych marzeń, jesteś naszym wzorem we wszystkim. Nie możesz nam tego zrobić.

Och, błagam, zrób z nas swoje sługi, naucz nas wszystkiego. Zawsze będziemy cię słuchać! Nauczymy się wszystkiego!

- Znacie prawo - rzekłem. - Zdecydowaliście się je złamać. Wydawało się wam, że możecie zakradać się do tego miasta i wykraść z niego, zostawiając za sobą grzechy.

Mordowaliście w moim imieniu dzieci. W moim mieście? Niczegoście się nie nauczyli z moich „Kronik”. Nie powołujcie się na nie. - Byłem roztrzęsiony. - Myślicie, że wyznałem swoje czyny, byście poszli za moim przykładem? Moje błędy nie miały zachęcać was do potworności, którymi się splamiliście.

- Ale my cię uwielbiamy! - powiedział samiec. - Przybyliśmy do ciebie z pielgrzymką. Przywiąż nas do siebie, a twoja łaska nas przepelni, będziemy się w tobie doskonalić.

- Nie mam dla was rozgrzeszenia. Jesteście potępieni. To wszystko.

Usłyszałem cichy jęk Mony. Widziałem, że Quinn walczy z sobą.

Samiec miotał się w uścisku, próbując się uwolnić.

- Wypuście nas - poprosił. - Opuścimy wasze miasto. Ostrzeżemy innych, żeby nigdy nie przyjeżdżali. Damy świadectwo prawdzie. Będziemy głosić twoją świętość.

Wszędzie, gdzie się udamy, będziemy mówić, że napotkaliśmy cię na swojej drodze, że usłyszeliśmy ostrzeżenie bezpośrednio z twoich ust.

- Pij - rozkazałem Quinnowi. - Pij, dopóki nic nie zostanie do wypicia. Pij, jak nigdy wcześniej nie piłeś.

- Nie żałuję niczego - szepnął samiec i zamknął oczy. Zaprzestał wszelkiego oporu. -

Jestem twoim bijącym źródłem miłości.

Quinn bez wahania wplótł rękę w kędziory samca, przekrzywił mu głowę, aż osiągnęła właściwą

pozycję, a gdy wynurzyła się naga szyja, zamknął oczy i wbił kły.

Mona stała zachłyśnięta, aż nagle odwróciła się ku samicy i wlepiła w nią oczy.

Pragnienie przemieniło oblicze pisklęcia. Wydawało się zmorzone snem.

- Bierz ją - rozkazałem.

Samica wagabunda nieustraszenie wpatrywała się w Monę.

- Więc ty, ty piękna nieskończenie - rzekła, ostro akcentując słowa - chodź i weź

moją krew, daję ci ją, proszę, daję ci ją. Tylko nie zabieraj mi wieczności. - Rozchyliła ramiona, te ramiona oplecione złotem, zapraszając ku sobie falowaniem wysmukłych palców.

Mona ruszyła jak w transie. Lewym ramieniem objęła szczupły tors, zsunęła z policzka ofiary długie włosy, pochyliła swoje sprężyste ciało i zabrała się do niej.

Przyglądałem się Monie. Karmiący się wampir to zawsze niebywały widok -

wyglądająca na ludzką istotą zanurzająca zęby w ciele drugiego stworzenia, oczy zamknięte jak w głębokim śnie, kompletna cisza, tylko ofiara trzepoce się i wykręca, a wampir nawet nie drgnie podczas kolejnych głębokich łyków, gdy smakuje narkotyk krwi.

I tak wkroczyła na diabelski trakt z tym przeklętym sakramentem, nie popędzana, posłuszna pragnieniu, które zawiodło ją do końca.

Samiec osunął się bezwładnie do stóp Quinna, który zatoczył się oszołomiony.

- Jakże daleko stąd - szepnął. - Wyobrażacie sobie, że stworzył je wiekowy starszy, z Jerycha, i niczego nie nauczył? Co mam zrobić z tym bogactwem obrazów? Co mam zrobić z tym przedziwnym zbliżeniem?

- Zachowaj je dla siebie - poradziłem mu. - Trzymaj wszystko w skarbcu skarbów, aż przyjdzie czas, kiedy coś okaże się potrzebne.

Powoli ruszyłem ku niemu, uniosłem bezwładne, miękkie ciało ofiary i zaniósłem je do wyłożonej kafelkami łazienki, przepysznej jak pałacowa łaźnia, w której ogromną wannę otaczały zielone marmurowe stopnie, i cisnąłem do niej nieszczęśnika.

Potoczył się niczym marionetka z odciętymi sznurkami i spoczął w cichości. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Pomrukiwał w ojczystym języku, piękny zbiór zbrązowiałych kończyn i połyskującego złota, spoczywając na puszystym posłaniu własnych włosów.

W salonie zastałem Monę z klęczącą ofiarą. Odsunąłem dziewczynę i przez chwilę wydawało się, że też straci przytomność i opadnie na kolana wraz z tamtą, jedna przy drugiej, ich włosy razem splecą warkocze, ale się wyprostowała i dzwignęła samicę.

Wskazałem jej drogę do łazienki.

Zaniosła samicę, tak jak mężczyzna niósłby kobietę, jedna ręka pod kolanami, druga na wysokości łopatek. Ciemne włosy muskały podłogę.

- Tu, w wannie, obok jej towarzysza - poleciłem Monie.

Cisnęła ją zdecydowanym gestem i samica stoczyła się obok tamtego.

Nie wydawała żadnych dźwięków, nieprzytomna, uśpiona.

- Ich stwórca był stary - szepnęła Mona, jakby nie chciała ich obudzić. - Był

wędrowcem przez wieczność. Czasem pamiętał swoje imię, wiedział, kim był. Czasem nie. Stworzył ich na posługi. Sami nauczyli się wszystkiego. Byli niezwykle okrutni.

Okrutni dla zabawy. Zabiliby te dzieci i zostawili je tutaj.

- Chcesz ich pocałować na do widzenia? - spytałem.

- Nie cierpię ich - odparła. Mówiła niesłychanie sennym głosem. - Ale dlaczego są tacy przystojni? Czemu mają takie delikatne włosy? To nie była ich wina. Ich dusze mogłyby być piękne.

- Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz?! Nie poczuliście ich wolnej woli, kiedy z nich piliście? Nie wyczuliście niezmiernych obszarów współczesnej wiedzy, kiedy z nich piliście? A jakie było zwieńczenie ich egzystencji, że zapytam, poza gruchotaniem na miazgę niewinnych istot; taniec i słuchanie uduchowionej muzyki?

Quinn wyrósł za nią, spragniony moich słów, i objął ją ramionami. Uniosła brwi i pokiwała głową.

- Patrzcie pilnie na to, co zrobię - powiedziałem. - Zapamiętajcie to.

Uwolniłem ogień z całą niszczycielską mocą. Niech będzie miłosierny, święty Lestacie. Przez sekundę widziałem w płomieniach zarys czarnych kości, żar omiół mi twarz i w tamtej sekundzie, i tylko wtedy, kości się poruszyły.

Ogień wystrzelił pod sufit, osmalił go, a potem skurczył się w nicość. Zarys kości zniknął. W przepastnej wannie pozostał tylko czarny tłuszcz.

Monę zatchnęło. Krew, którą wypiła, paliła jej policzki. Podeszła bliżej i patrzyła na czarny, bulgoczący tłuszcz. Quinn stał bez słów, wyraźnie przerażony.

- A więc możesz to zrobić mnie, kiedy będę chciała odejść, no nie? - zapytała ostro, rwącym się głosem Mona.

To mną wstrząsnęło.

- Nie, skarbie. Nie mógłbym tego zrobić. Nawet gdyby moje życie miało od tego zależeć.

Znów wypuściłem ogień. Skierowałem go na oleisty osad, by zniknął do ostatniej kropli.

I tak zakończył się ostatni taniec tych wysokich, wdzięcznych, długowłosych tancerzy.

Ogarnęły mnie lekkie zawroty głowy. Mdłości. Znów nałożyłem sobie munsztuk.

Ograniczyłem moc. Wróciłem do ludzkiego „ja”.

W salonie z łagodnością ludzkiej istoty zbadałem dzieci. Była ich czwórka, nie tylko wyssana, ale i pobita. Leżały bezwładnie jedno na drugim. Wszystkie były nieprzytomne, ale nie znalazłem kontuzji głowy, krwiaków w mózgu, trwałych uszkodzeń ciała. To byli chłopcy w krótkich spodenkach i tenisówkach. Nie dojrzałem rodzinnego podobieństwa. Ich rodzice pewne zanosili się od płaczu. Wszyscy mogli przeżyć. Byłem tego pewien.

Usłyszałem drwiący jazgot grzechów przeszłości. Wyszły wszystkie moje występki.

Zawiadomiłem, kogo trzeba, żeby zajął się dziećmi. Powiedziałem zdumionemu recepcjoniście o moim odkryciu.

Mona rozszłochała się w korytarzu. Quinn ją podtrzymywał.

- Chodźcie, teraz zasuwamy do mnie. Więc nie powiodło się tak idealnie, jak powinno, Quinn, miałeś rację. Ale już po wszystkim.

- Lestacie - oczy mu błyszczały, gdy prowadziliśmy łkającą Monę do windy - myślę, że to było wspaniałe. W każdym calu.

Musieliśmy ciągnąć Monę przez dzielnicę francuską. Oszałała z zachwytu na widok plam benzyny w kałużach, mebli z egzotycznego drewna na wystawie Hurwitza Mintza, antycznych złoconych fotelików z wytartą tapicerką, lakierowanych staromodnych fortepianów, ciężarówek na jałowym biegu plujących białymi spalinami ze skierowanych ku niebu rur wydechowych, roześmianych śmiertelnych, mijających nas na wąskich chodnikach, gdy dźwigali śliczne niemowlęta, które wykręcały główki, by się nam przyjrzeć...

...ulicznego grajka, starego Murzyna z saksofonem, który dostał od nas całe garście pieniędzy, noszącego kapelusza sprzedawcy hot dogów, od którego Mona kupiła hot doga, ale jedyne, co teraz mogła z nim zrobić, to obejrzeć go ze wszystkich stron, obwąchać i wrzucić do kosza na śmieci, po czym przystanęła oszołomiona...

...i oczywiście, wszędzie przyciągaliśmy uwagę, bardzo nie po wampirzemu, Quinn przewyższający o głowę wszystkich przechodniów, a urodą co najmniej cztery razy, gdy Mona z rozwianymi włosami od czasu do czasu wrywała się nam i biegła jak szalona; leniwe wieczorne tłumy, dzięki Bogu, rozstępowały się i zamykały za nią, jakby niebiosy wysłały ją z jakąś misją, a potem wracała...

...tańcząc, dzwoniąc obcasikami i tupiąc niczym tancerka flamenco, rozchylając poły peniuaru, który unosił się i opadał, a potem znów się nim otulała i krzyczała na widok swojego odbicia w szybach wystaw, biegła w boczne uliczki, dopóki jej nie złapaliśmy, nie powiedzieliśmy, że nigdzie sama nie pójdzie, i nie ujarzmiliśmy jej na dobre.

Kiedy dotarliśmy do mojej rezydencji, wręczyłem dwieście dolarów moim dwóm śmiertelnym ochroniarzom, którzy zdumieni się i rozpromienili, a gdy wraz z Quinnem ruszyłem podjazdem przez otwartą bramę, Mona poszła w długą.

Nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy, dopóki nie dotarliśmy do ogrodowego dziedzińca, i gdy właśnie miałem wydać okrzyk zachwytu na widok antycznego cherubina zdobiącego *fontanna* i wszystkich tropikalnych cudów rozkwitłych na moich ukochanych murach, poczułem, że zniknęła na dobre.

Muszę przyznać, że dokonała nie byle wyczynu. Może nie potrafię czytać dzieciom w myślach, ale mam zmysły półboga, prawda?

- Musimy ją znaleźć! - powiedział Quinn. Natychmiast odzyskał postawę opiekuna.

- Bzdura - zaprotestowałem. - Wie, gdzie się podziewamy. Chce być sama. Niech ma, czego pragnie. Chodź. Wejźmy na górę. Jestem wyczerpany. Powinienem był się nakarmić. A teraz nie mam na to nastroju, za to mam problem jak wszyscy diabli.

Muszę odpocząć.

- Mówisz poważnie? - spytał, idąc za mną żelaznymi schodami. - A co, jeśli wpakuje się w jakąś kabałę?

- W nic się nie wpakuje. Wie, co robi. Mówiłem ci. Muszę walnąć w kimono. Nie dlatego, że chowam przed tobą jakieś sekrety, braciszku, które sprawiają mi frajdę.

Dziś wieczór zrobiłem mroczną sztuczkę i zapomniałem się nakarmić. Jestem zmęczony.

- Naprawdę wierzysz, że nic jej nie będzie? - spytał z naciskiem. - Nie wiedziałem, że jesteś zmęczony. Powinienem się domyślić. Pójdę jej poszukać.

- Nie, nie pójdziesz. Chodź ze mną.

Dom był pusty. Żadnych stworów nie z tego świata, które przywdziały ciało, płatających się po pokojach. Żadnych zjaw.

Salon w głębi dopiero co sprzątnięto, odkurżono i czułem lekki zapach perfum sprzątaczkki. Został też zapach jej krwi. Oczywiście nigdy nie widziałem tej kobiety.

Przychodziła w świetle słońca. Wykonywała swoje obowiązki na tyle dobrze, że dawałem jej spore wynagrodzenie. Uwielbiam szastać pieniędzmi. Noszę je tylko w tym celu. Zostawiłem jej stówę na biurku. „Ten cały dom jest pełen biurek”, pomyślałem. Zbyt dużo ich. Czy w każdej sypialni nie ma jakiegoś biureczka? Po co ich aż tyle?

Quinn był tu tylko raz i w godnych pożalowania okolicznościach, tak że teraz boskie obrazy impresjonistów zniemacka wprawiły go w osłupienie. Moją uwagę na moment przyciągnął tylko ciemnawy Gauguin. Sam go kupiłem i został dostarczony zaledwie przed kilkoma dniami. Quinn ugrzązał przed nim.

Zaliczyłem moją tradycyjną trasę do frontowego salonu, którego okna wychodzą na ulicę, po drodze zaglądając do każdej sypialni, jakbym naprawdę musiał to zrobić, by sprawdzić, że w domu nie ma nikogo. Ta chałupa była za bardzo przeładowana meblami. Brakowało obrazów. Za dużo książek. Ściany w korytarzu prosiły się o Emila Noldego. Jak by dostać w swoje ręce tego niemieckiego ekspresjonistę?

- Myślę, że powinienem jej poszukać - powiedział Quinn. Szedł za mną, z wielkim szacunkiem wchłaniając każdy szczegół, ale skupiony na Monie, niewątpliwie śledząc każdy jej ruch.

Frontowy salon. Teraz nie było w nim fortepianu. Powinienem kazać go tu postawić. Czy nie mijaliśmy wystawy, na której wystawiono antyczny fortepian? Nagle przemożnie zapragnąłem sięść do fortepianu - wykorzystać moje wampiryczne zdolności i rozbijać klawiaturę. To wina tamtego koncertu Bartoka, wciąż nie dawał

mi spokoju, tak jak obraz dwojga makabrycznych tancerzy, których ruchy podkreślały muzykę.

Och, dajcie mi wszystko, co ludzkie.

- Myślę, że powinienem jej poszukać - powtórzył Quinn.

- Słuchaj, nie leży w moim charakterze rozgadywać się na temat różnic dzielących mężczyznę i

kobietę - powiedziałem, rzucając się na mój ulubiony, obity aksamitem uszak i kładąc jedną nogę na fotelu przed biurkiem - ale musisz sobie uświadomić, że ona przeżywa chwilę wolności, niedostępną tobie i mnie. Spaceruje w ciemności, nie bojąc się niczego, i jest jej z tym bosko. I może właśnie zapragnęła nieco posmakować śmiertelnej krwi, i może jest gotowa zaryzykować.

- Jest jak magnes - szepnął. Stał przy oknie, odgarniając koronki firanek. - Nie wie, że ją śledzę. Jest niedaleko. Nie śpieszy się. Słyszę jej beładne myśli. Za szybko idzie.

Ktoś zwróci na to uwagę...

- Czemu cierpisz, braciszku? Masz do mnie pretensje o to, że ją tu sprowadziłem?

Wolałbyś, żeby do tego nie doszło?

Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na mnie, jakbym pociągnął go za ramię.

- Nie. - Odszedł od okna i zapadł się w fotel w przeciwległym kącie, bezradnie wyciągnął długie nogi. - Gdybyś ty tego nie zrobił, sam bym spróbował - przyznał. -

Nie mógłbym patrzeć na jej śmierć. Przynajmniej tak mi się wydaje. Ale masz rację, cierpię. Lestacie, nie możecie nas zostawić. Lestacie, czemu służy ta ochrona przed domem?

- Czy powiedziałem, że was zostawię? Nająłem strażników po tym, jak Stirling tu wszedł. Och, to nie znaczy, że moim zdaniem ktoś z Talamaski powtórzy jego wyczyn.

Chodzi tylko o to, że jeśli on wszedł tu z ulicy, to każdy może się o to pokusić.

(Przebitka na Talamaskę, Zakon Śledczych Zjawisk Nadprzyrodzonych. Sami nie wiedzą, skąd się wzięli. Działają z tysiąc lat, może dłużej. Mają archiwa poświęcone wszelkiego rodzaju paranormalnym zjawiskom. Wyszukują i rekrutują telepatycznie uzdolnionych samotników. Wiedzą o nas.)

Zaraz po przepędzeniu Goblina i samospaleniu Merrick Quinn i ja odwiedziliśmy Stirlinga w Ustroniu. To dom wypoczynkowy Talamaski w Oak Haven. Merrick wychowała się na łonie Talamaski. Stirling miał prawo wiedzieć, że Merrick już nie jest (eeech...) jedną z żywych umarłych. Ustronie było ogromnym wiejskim domem na planie kwadratu, przy River Road, tuż za granicami miasteczka.

Oliver Stirling był nie tylko przyjacielem Quinna w śmiertelnym okresie jego życia, ale również Mony. Talamaska wiedziała dużo więcej o Mayfairach niż o mnie.

Myślenie w tym momencie o Stirlingu nie sprawiało mi przyjemności, mimo że bardzo go podziwiałem i lubiłem. Liczył sobie sześćdziesiąt pięć lat i był bardzo oddany najwyższym zasadom zakonu, który mimo całej swojej świeckości mógłby być zakonem katolickim, biorąc pod uwagę statutowy zakaz mieszania się w sprawy tego świata czy też wykorzystywania nadnaturalnych stworzeń i mocy do realizacji osobistych celów. Gdyby zakon nie był tak bajecznie i niezaprzeczalnie bogaty, czego zresztą bynajmniej nie rozgłaszał, zapewne byłbym jego patronem.

(Ja również jestem bajecznie i niezaprzeczalnie bogaty, czego zresztą nie rozgłaszam, ale jakie to ma znaczenie?)

Czułem się w obowiązku złożyć wizytę Stirlingowi w Ustroniu i opowiedzieć mu, co się zdarzyło Monie. Ale dlaczego?

Na miłość boską, Stirling nie był papieżem Grzegorzem Wielkim, a ja nie byłem świętym Lestatem. Nie musiałem się spowiadać z tego, co zrobiłem Monie, ale czułem wielką skruchę, miałem straszliwie jasną świadomość, że wszystkie moje moce to ciemne moce, i wszystkie moje umiejętności są skażone złem, tak że choćbym nie wiem, co czynił, owocem zawsze będzie tylko zło.

Poza tym, czy Stirling ostatniej nocy nie powiedział Quinnowi, że Mona umiera? Co znaczyła ta informacja? Czy w jakiś sposób nie przyłożył ręki do tego, co się wydarzyło? Nie. Nie przyłożył. Quinn nie rozstał się z nim, żeby szukać Mony. Mona sama przyjechała do Blackwood.

- Wcześniej czy później wytłumaczę to Stirlingowi - powiedziałem półgłosem. - To brzmi tak, jakby mógł rozgrzeszyć mnie ze wszystkiego, ale to nieprawda. -

Spojrzałem na Quinna. - Nadal ją słyszysz?

Skinął głową.

- Po prostu spaceruje, ogląda miasto. - Był zaniepokojony, biegał oczami po salonie. - Czemu przekazywać cokolwiek Stirlingowi? Nie może przekazać niczego Mayfairom. Czemu obciążać go tajemnicą? - Usiadł prosto. - Przechadza się wzdłuż Jackson Square. Ktoś za nią idzie. Złowiła go. On wyczuwa, że coś z nią jest nie tak. A ona go namierzyła. Wie, czego on chce. Przywabia go. Pewnie świetnie się bawi, idąc w szpilkach cioci Queen.

- Przestań ją obserwować. Mówię poważnie. Pozwól, że coś ci powiem o twojej dziewczynce. Już niebawem sama ujawni się Mayfairom. Nic jej nie zatrzyma. Chce dowiedzieć się od nich pewnych rzeczy. Wyczułem to, kiedy...

Pokój był pusty. Quinn zniknął. Mówiłem do ściany.

Usłyszałem trzask otwieranych i zamykanych drzwi, tak szybko się to potoczyło.

Przeciągnąłem się, skuliłem, zwiesiłem głowę do tyłu i odpłynąłem, natychmiast zamykając oczy.

Zapadłem w półsen. Do diabła, czemu się nie nakarmiłem? Oczywiście, nie muszę się karmić każdej nocy, mogę się nie karmić nawet przez miesiąc, ale po mrocznej sztuczce powinieneś to zrobić, choćbyś był nie wiem kim, bo przecież używasz swoich soków życiowych. Wszystko to próżność. Wszystko to próżność pod niebem jasnym i księżycowym.

Byłem osłabiony, kiedy zająłem się Rowan Mayfair, w tym sęk, to dlatego to stworzenie mnie opętało. Mniejsza z tym.

Ktoś zepchnął moją nogę z biurka. Usłyszałem przeszywający kobiecy śmiech, śmiechy innych ludzi.

Unosił się ciężki dym cygar. Pękało szkło. Otworzyłem oczy.

Mój dom był pełen obcych! Podwójne drzwi balkonowe stały otworem i w głębi kłębiła się masa ludzi, panie w długich błyszczących sukniach, panowie w znakomitych czarnych smokingach z połyskliwymi, czarnymi satynowymi klapami, wrzawa rozmów i śmiechów niemal ogłuszała, ale kogo?, obok przepłynęła taca, wysoko niesiona przez kelnera w białej kurtce, który niemal się przewrócił, zahaczając o moje nogi, a na biurku siedziało dziecko, wpatrzony we mnie zaróżowiony amerek, filigranowa dziewczyneczka o czarnych oczach i pięknych falujących czarnych włosach, siedmio - albo ośmioletnia, urocza, skarbeczek.

- Maluszk, przepraszam - powiedziała - ale teraz jesteś w naszym świecie, strasznie mi przykro! Mamy cię! - Parodiowała brytyjski akcent. Miała na sobie marynarskie ubranko, białe z niebieskimi wstawkami, białe podkolanówki i czarne lakierki. Podciągnęła kolana. Wskazując na mnie, powiedziała ze śmiechem: - Lestat.

A potem na fotel naprzeciwko mnie opadł Julien, ubrany we frak. Biały gors, siwe włosy. Tłum wypchnął go ze swego grona. Ktoś wołał z balkonu.

- Ona ma rację, Lestacie - powiedział idealną francuszczyzną Julien - teraz mamy cię w naszym świecie i muszę przyznać, że urządziłeś tu sobie boskie gniazdko.

Podziwiam obrazy, które dopiero co przyplłynęły z Paryża. Muszę jednak powiedzieć, że gościnność twoja i twoich przyjaciół nie dorównuje waszym gustom, tyle tutaj tego, tak, można odnieść wrażenie, że zapchaliście każdy kąt, no, tylko jak domagać się czegoś bardziej wyrafinowanego w takim domu?

- Ale myślałam, że jesteśmy na niego wściekli, wuju Julienie - powiedziała po angielsku dziewczynka.

- Nie mylisz się, Stello - wyjaśnił jej po francusku - ale to dom Lestata i bez względu na to, czy jesteśmy na niego źli czy nie, jesteśmy przede wszystkim Mayfairami, a Maytairowie są zawsze uprzejmi.

To wzbudziło wielki wybuch śmiechu małej Stelli, po czym podskoczyła - frunęły w górę delikatne policzki, marynarskie ubranko, podkolanówki, świecące buciki - i spadła prosto na mój podolek, hop.

- Tak się cieszę - powiedziała - bo jesteś taki strasznie szykowny; nie wydaje ci się, wuju Julienie, jest za piękny jak na pana, och, wiem, Lestacie, nie leży w twoim charakterze rozgadywać się na temat różnic dzielących mężczyznę i kobietę...

- Przestań! - ryknąłem. Runęła ze mnie jaśniejąca, oczyszczająca energia, opływając ściany.

Martwa cisza.

Oto Mona, oczy szeroko rozwarte, peniuar zniknął, tylko jedwab lśni jak wężowa skóra, Quinn tuż obok, wyższy o głowę, przejęty.

- Lestacie, co to było? - spytała.

Wstałem; zataczając się, wyszedłem na korytarz. Co się ze mną działo? Obejrzałem się. Wszystkie meble w pokoju były nieco poprzestawiane. Obrazy wisiały krzywo!

Drzwi na balkon otwarte!

- Spójrzcie na ten dym! - szepnąłem.

- Dym cygarowy? - powiedział pytającym tonem Quinn.

- Co to było, szefie? - powtórzyła Mona. Podeszła bliżej, zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała w policzek.

Ucałowałem ją w czoło, pogładziłem po włosach.

Nie odpowiedziałem jej.

Nie powiedziałem im. Czemu im nie powiedziałem?

Pokazałem im sypialnię z zamurowanym oknem, które pomalowano tak, żeby wyglądało jak okno. Pokazałem im stalowe wzmocnienia drzwi i zamek. Powiedziałem im o śmiertelnym na okrągło pilnującym domu. Poleciałem pisklętom zasunąć zasłony wokół łóżka i zasnąć przytulonym. Ani jeden promień słońca, żaden śmiertelnik, żaden śmiertelny intruz, nikt nie miał ich niepokoić. Oczywiście, mieli kawał czasu do wschodu słońca. Na rozmowy i jeszcze raz rozmowy, tak. Mogli się powłóczyć. Ale żadnego szpiegowania Mayfairów, nie. Żadnego rozszyfrowywania tajemnic, nie. Na razie żadnych poszukiwań zagubionej córki, nie. Żadnego wracania do domu, do dworu, nie. Powiedziałem im, że spotkamy się następnego dnia o zmroku.

Potem musiałem wyjść, musiałem.

Musiałem się stamtąd wydostać. I dalej. Jak najdalej.

Poza miasto.

Do Ustronia Talamaski.

Daleki łoskot tirów na River Road. Zapach rzeki. Zapach trawy. Marsz. Wilgoć traw.

Rzadki dębowy zagajnik. Dom z białą szalówką, staczający się w ruinę, tak jak to z nimi bywa w Luizjanie, pochylone ściany i zapadnięty dach w objęciach winorośli, wiszący na winorośli.

Marsz.

Odwróciłem się błyskawicznie.

Szedł za mną. Duch jak żywy, w czarnym fraku, maszerował w moim tempie, przez trawy, odrzucił szampankę, podszedł blisko. Zatrzymał się. Rzuciłem się na niego, złapałem go, zanim mógłby zniknąć, chwyciłem go za gardło, wbiłem palce w to, co starało się być niewidzialne, trzymałem, zadając ból temu, co miało się zdematerializować. No, dopadłem cię! Ty nierozważny fantomie, spójrz na mnie!

- Myślisz, że możesz mi coś zrobić! - zawarczałem. - Myślisz, że cię na to stać!

- Wiesz, że mogę! - powiedział swoją angielszczyzną, akcentem ostrym jak kwas. -

Zabrałeś ją, moje dziecko, moją Monę! - Miotał się, usiłując rozpląnąć. - Wiesz, że na nią czekałem. Mogłeś jej pozwolić, żeby do mnie przyszła.

- A z jakiego to stukniętego, nie całkiem oświeconego życia po życiu przybywasz! -

huknąłem na niego. - Co warte są twoje nedorobione mistyczne obietnice! No, dawaj, po jakiej to tamtej stronie płaczesz się ze swoim towarem od drzwi do drzwi, no, wal śmiało, dowiedzmy się czegoś o Julienowym raiku, w którym dzieciaki ratują świat od zguby, no, gadaj, ile aniołków z ektoplazmy słucha twoich rozkazów, roztocz przede mną te przewyborne obrazki twojej przesławnej, przewspaniałej, przesranej, samostwarzającej się, samodzielnej astralnej sfery! Do diabła, dokąd chciałeś ją zabrać?! Chcesz mi wcisnąć kit, że jakiś Pan na Wysokościach wysyła takie zjawy jak ty, żeby zabierały dziewczynki do Nieba...?!

Stałem z pustymi rękami.

Sam jak palec.

Powietrze było ciepłe, słodkie, a daleki wibrujący huk ciężarówek podkreślał

paralizujący spokój, sunące światła reflektorów urokliwie mrugały.

Kto tęskni za głęboką ciszą niezliczonych minionych wieków? Kto tęskni za głęboką czernią dawnych przedelektrycznych nocy? Nie ja.

Kiedy dotarłem do Ustronia Talamaski, Stirling stał na werandzie. Siwe włosy zmierzwione, bawełniana piżama, luźny szlafrok, bose stopy. Śmiertelny by go nie wypatrzył, stojącego w cieniach, oczekującego. Życzliwa twarz, cierpliwa samotnicza czujność.

- Przeprowadziłem ją na drugą stronę - oznajmiłem.

- Wiem - powiedział.

- Pocałowałem Rowan Mayfair.

- Co zrobiłeś?

- Te zjawy Mayfairów nie dają mi spokoju.

Nie zareagował na to, tylko lekko się nachmurzył, dając wyraz nieukrywanemu zdumieniu.

Przejrzałem Ustronie. Puste. Służba w domkach na tyłach. Postulant w jednym z nich piszący na laptopie przy biurkowej lampie. Ujrzałem ją taką, jak widziała siebie w lustrze. Pragnąłem jej. Nie miałem zamiaru się nią karmić. Śmieszny pomysł.

Absolutnie zakazany.

- Użycz mi sypialni, błagam - poprosiłem. - Tylko sypialni, w której można zaciągnąć grube zasłony.

- Oczywiście.

- Ach, Talamasko, znów gotowa liczyć na mój honor.

- Mogę na niego liczyć, prawda?

Poszedłem za nim do frontowego korytarza, a potem w górę, szerokimi schodami.

Jakie to dziwne, być jego gościem, iść po tym wełnianym dywanie, jakbym był

śmiertelnym. Miałem spać pod nie swoim dachem. Następnej nocy położę się w Blackwood. Mogłem stracić nad tym kontrolę. Proszę, niech nie stracę nad tym kontroli.

I oto pachnąca przytulnością sypialnia ze wszystkimi nieuniknionymi szczegółami.

Kolumnienki łoża rzeźbione w ananasy, baldachim z ręcznie dzierganych koronek, przez które można spoglądać na niewyraźne zacieki na suficie, ciepła, przytulna narzuta, patchwork, zawijasy, kręgi i zwariowane kolory, pergaminowe abażury, ciemne pęknięcia na starych zwierciadłach, foteliki na wąskich nóżkach.

- Czemu zjawy Mayfairów chcą cię dopaść? - spytał cicho. Jego zachowanie było pełne szacunku. - Co widziałeś? - A kiedy nie odpowiedziałem: - Co się stało?

- Jakiś czas temu Mona urodziła córeczkę - szepnąłem. Tak, wiedział o tym wszystkim, czyż nie? - Ale nie możesz mi o tym opowiedzieć, prawda?

- Nie, nie mogę - odparł.

- Chcę, żebym znalazł to dziecko.

- Doprawdy? - spytał uprzejmie. Wystraszył się.

- Spij dobrze - powiedziałem i odwróciłem się do łoża.

Zostawił mnie samego. Znał imię dziecka. Tyle z niego wyciągnąłem. Znał imię i jego n a t u r ę , ale nie mógł o tym mówić.

Rowan Mayfair przebywała w Ustroniu. Wiedziałem o tym w chwili, w której rozchyliłem powieki. Z trudem. Był z nią ktoś, kto ją kochał, ktoś, kto również wiedział o niej wszystko. Z wielkim trudem. A Stirling był ciężko przerażony.

Podszedłem do okna i odsunąłem kotarę. Niebo szkarłatniało nad odległą groblą.

Dębowe konary ograniczały widok. Łatwo byłoby otworzyć okno, wyskoczyć na werandę i bez szmeru opuścić ten dom.

Nie zamierzałem jednak tego robić. Czemu rezygnować z możliwości kolejnego spotkania z nią? Nie było w tym nic złego. Może odkryłbym, skąd płynie jej władza nade mną. Może mógłbym tę władzę zneutralizować. A jeśli by nic z tego nie wyszło, przynajmniej mógłbym im podsunąć jakieś uspokajające bzdury na temat Mony.

Stałem przed lustrem nad toaletką i przyczesalem włosy. Mój czarny fraczek wyglądał nie najgorzej. Koronki kołnierza i mankiety również. Moje zachowanie świadczyło o nieliczej próżności, wiedziałem o tym. No i co z tego? Czy kiedykolwiek mówiłem, że nie jestem próżny? Wniosłem próżność na poziom poetycki, nieprawdaż? Przetrasponowałem próżność w poezję, nieprawdaż?

Odzyskałem pełnię sił utraconą po udzieleniu mrocznego daru, ale czułem silne pragnienie, mające raczej charakter duchowy niż fizyczny. Czy to z jej powodu?

Wykluczone! Miałem się udać na parter i stwierdzić, że ta istota jest zwykłą kobietą i nikim więcej, po czym czekało mnie otrzeźwienie! Nikt nie będzie mi tu zadzierał

nosa!

Zastygłem, robiąc zbliżenie na Nowy Orlean, szukając romantycznej pary. Dopiero się budzili, wyczołgując spomiędzy aksamitnych poduszek, Quinn Długa Szczapa nadal nieprzytomny, hałaśliwa Mona już buszowała po pokoju. Przechwyciłem jej wyraźne wizerunki za pośrednictwem umysłu nadopiekuńczego Quinna. Nie płakała.

Oceniła obrazy, nadal z gracją nosząc peniuar z piórami. To dobrze wróżyło na kolejne sto lat.

Nagle się rozgadali, nożyki języków rozcinały kapsułki biografii i miłosnych wyznań. Polowanie i karmienie teraz czy potem? Łyczki czy coś solidniejszego? Gdzie szef? Moja szybka i cicha wiadomość pomknęła do Quinna.

Siemanko, braciszku. Od teraz ty jesteś nauczycielem. Temat lekcji: łyczki. Nara.

Wyszedłem na korytarz, gdzie zapalono już kinkiety, a słodkie żółte i czerwone kwiaty zdobiły stoliczki z półokrągłymi blatami, i powoli zszedłem na parter. Święty Juanie Diego, proszę, zachowaj mnie od Mayfairów.

Na dole gęsty szum rozmowy zaniepokojonych śmiertelnych. Silna woń śmiertelnej krwi. Niepokój o śmiertelną Monę. Stirling bardzo nieszczęśliwy, starał się ukryć rozdarcie w sercu. Trzeba talentów księdza i adwokata, aby być skutecznym członkiem Talamaski.

Wszystko to dochodziło z ogrodu na tyłach domu, przy jadalni, po prawej stronie.

Poszedłem tam. Autentyczne Rembrandty na ścianach. Vermeer. Nie spieszyłem się. Łomot w skroniach. Mayfairowie, tak, znów czarownice, tak. Czemu się pakować w ich środek? Nic nie mogło mnie zatrzymać.

W jadalni meble w monarszym stylu, czarujące bez agresywności. Na długim stole z czarnym granitowym blatem resztki doskonałej kolacji, zmięte serwety i ciężkie stare srebro. Przystanąłem, aby dokładniej się mu przyjrzeć.

W sekundzie po drugiej stronie stołu wyrósł Julien; zwykły popielaty garnitur, czarne oczy. Czy wcześniej nie były szare?

- Wypocząłeś? - spytał. Zniknął.

Wstrzymałem oddech. *Tchórzliwy duch z ciebie. Dłuższa rozmowa przekracza twoje siły. Jeśli mam być szczery, to cię nie cierpię.*

Stirling zawołał mnie po imieniu.

Ruszyłem do podwójnych drzwi, wychodzących na tyły domu.

Mała ośmiokątna oranżeria, jak z czasów wiktoriańskich, wszystko w bieli, wygodne wiklinowe meble, podłoga z różowego kamienia, trzy stopnie poniżej poziomu parteru.

Siedzieli ciasno wokół stoliczka ze szklanym blatem, było tam o wiele weselej niż w jadalni, świece płonęły między niezliczonymi donicami; niebo za szklanymi ścianami, nad szklanym dachem już ciemniało.

Cudowne miejsce. Zapach krwi i kwiatów. Zapach mięknącego wosku.

Cała trójka śmiertelnych siedząca w fotelach, dosłownie otoczona wspaniałymi tropikalnymi roślinami, wiedziała, że się zbliżam. Konwersacja ustała. Wszyscy obserwowali mnie z ostrożną uprzejmością.

Dwaj mężczyźni nagle zerwali się na równe nogi, jakbym był księciem Walii, a Stirling, jeden z nich, przedstawił mnie najpierw jej, jakbyśmy się widzieli pierwszy raz w życiu, a potem Michaelowi Curry'emu, mówiąc: „Mąż Rowan”, po czym zaproponował mi fotel. Przyjąłem zaproszenie.

Natychmiast uderzyła mnie niczym nie wspomaganą urodą Rowan, bladej, szczupłej, w popielatym jedwabnym kostiumie i czółenkach. Więcej, gdy na nią patrzyłem, znów przebiegły mnie dreszcze i ogarnęła krańcowa słabość.

Zastanawiałem się, czy wie, że kostium podkreśla urodę jej oczu, a nawet siwiejących pasemek czarnych włosów. Jej wewnętrzna moc promieniowała światłem, była tak skoncentrowana.

Stirling miał na sobie staromodną marynarkę z białego lnu, spłowiałe niebieskie dzinsy i znaną mi bladożółtą, rozpiętą pod szyją koszulę. Nagle dostrzegłem przeszłość tej sportowej marynarki. Należała do kogoś, kto umarł w podeszłym wieku.

Noszono ją na Południowym Pacyfiku. Długo czekała w szafie. Odnaleziona, uwielbiana przez Stirlinga.

Mój wzrok spoczął na Michaelu Currym. Nie ma co gadać, to był jeden z najbardziej pociągających śmiertelnych samców, jakich kiedykolwiek próbowałem opisać.

Po pierwsze, bezwiednie, za to niesłychanie silnie reagował na moje fizyczne zalety, co zawsze zbija mnie z tropu i podnieca, a po drugie, pod pewnymi względami dokładnie przypominał Quinna - czarnymi kędzierzawymi włosami i przenikliwie patrzącymi błękitnymi oczami - będąc przy tym cięższy, silniejszy i masywniejszy, co sprawiało, że był spokojniejszy niż moje piskłę. Oczywiście był dużo starszy od Quinna. Więcej, był dużo starszy od Rowan. Ale lata naprawdę nic dla mnie nie znaczą. Był zniewalająco przystojny. Podczas gdy rysy Quinna emanowały subtelną elegancją, jego były zarysowane grubszą kreską, niemal jak u Rzymianina. Jego siwe skronie doprowadzały mnie do szaleństwa. Mocno opalona skóra był cudowna. A wszystko okraszał jeszcze niewymuszony uśmiezek.

Pewnie coś tam miał na sobie. Co to było? Och, tak, klasyczny nowoorleański garnitur z białego lnu i obowiązkowo kamizelkę.

Podjrziwość. Podchwyciłem ją zarówno ze strony Michaela, jak i Rowan.

Wiedziałem, że Michael jest tak potężnym czarownikiem jak ona, chociaż o zupełnie innych talentach. Wiedziałem również, że odbierał życie. Ona czyniła to mocą umysłu.

On - mocą swojej pięści. Odniosłem wrażenie, że wraz ze spojrzeniem prześle mi inne ważne tajemnice, ale zamknął się przede mną, czyniąc to świadomie, a równocześnie całkowicie naturalnie. I zaczął mówić:

- Widzieliśmy się na pogrzebie pani McQueen. - Sądząc po akcencie, był

irlandzkiego pochodzenia i od jakiegoś czasu mieszkał w Nowym Orleanie. - Byłeś w towarzystwie Quinna i Merrick Mayfair. Jesteś przyjacielem Quinna. Masz piękne imię. Obrządek był wruszający, nie sądzisz?

- Tak - przyznałem mu rację. - A Rowan poznałem już wczoraj, w Blackwood. Mam wieści dla was obojga. Mona ma się dobrze, ale nie chce wrócić do domu.

Rowan zareagowała impulsywnie.

- To nie może być prawdą - powiedziała. - To po prostu niemożliwe.

Była u kresu sił. Przedtem nieustannie płakała za Moną. Nie śmiałem jej przytulić, jak zrobiłem to wczoraj, nie w obecności tego mężczyzny. Znow ogarnęły mnie dreszcze. Miałem przemożną szaloną wizję, że porywam ją daleko od tego domu, moje zęby przy jej delikatnej szyi, jej krew moją krwią, wszystkie zakamarki jej duszy otwierają się przede mną. Odepchnąłem te obrazy. Michael Curry przyglądał mi się, ale jego myśli były przy Monie.

- Szczęście Mony napawa mnie głębokim zadowoleniem - wyznał swobodnie, kładąc rękę na spoczywającej na poręczy fotela dłoni Rowan. - Mona przebywa tam, gdzie chce być. Quinn jest silny. Zawsze taki był. Kiedy ten chłopak miał osiemnaście lat, okazywał pewność siebie dorosłego mężczyzny. - Roześmiał się łagodnie. - Od pierwszego spotkania chciał się ożenić z Moną.

- Ona czuje się lepiej - powiedziałem z naciskiem. - Przysięgam, zawiadomię cię, gdyby cię potrzebowała. - Poczęstowałem Rowan moim najszczerzym spojrzeniem. -

Zawiadomię. Jest szczęśliwa z Quinnem.

- Wiedziałaś, że tak będzie - przyznała Rowan - ale ona nie przeżyje bez dializy.

Nie odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co to dializa. Och, samo słowo obilo mi się o uszy, ale nie rozumiałem go na tyle, by blefować.

Za nią, a tak naprawdę za gęstymi kwiatami wyrastającymi tuż nad jej ramieniem, pojawiła się postać Juliena. Uśmiechał się ponuro. Moje zmieszanie wyraźnie sprawiało mu przyjemność.

Kiedy dojrzałem zjawę, przeszedł mnie lekki wstrząs; Michael Curry odwrócił się i spojrzał w jej kierunku, ale zniknęła. Hmm. Więc ten śmiertelny widział zjawy.

Rowan nie zwracała uwagi na żadne postronne zjawiska. Rowan zbyt pilnie mi się przyglądała.

- Kim jest Stella? - spytałem, znow patrząc jej w oczy. Moją jedyną nadzieją było to, że nakłonię ją do mówienia. Wpatrywała się w moją rękę. Nie podobało mi się to, że umyka przede mną wzrokiem.

- Stella? Chodzi ci o Stellę Mayfair? - spytała. Jej niski głos miał zmysłowe brzmienie, choćby tego nie chciała. Była rozgorączkowana. Powinna się przespać w chłodnym pokoju. Zaplątana w węzły tajemnic nie potrafiła zapanować nad przeblaskami smutku. - Co chcesz wiedzieć o Stelli?

Stirling był bardzo niespokojny. Czuł, że oszukuje Mayfairów, ale nie mógł na to nic poradzić. Oczywiście poza wszystkim był zaufanym przyjacielem rodziny.

- Dziewczyneczka, która mówi do innych „maluszkę” i ma czarne falujące włosy.

Wyobraźcie ją sobie w marynarskim ubranku, podkolanówkach i lakierkach. Znacie kogoś takiego?

Michael Curry roześmiał się sympatycznie. Spojrzałem na niego.

- Zgadza się, wypisz-wymaluj Stella. Kiedyś Julien opowiedział mi tę historię... był

jednym ze strażników tradycji rodziny... chodziło o to, że zabrał małą Stellę do śródmieścia, ją i jej brata, Lionela Mayfaira... tego, który zastrzelił Stellę... i wedle tej opowieści Stella miała na sobie marynarski strój i lakierki. Tak to opisał wuj Julien.

Przynajmniej tak to pamiętam. Nie. Nie opisał tego. Ale taką ją zobaczyłem. No, właśnie. Czemu, na Boga, o nią pytasz? Oczywiście nie mówię o żywym Julienie. To jednak inna historia.

- Och, wiem, że nie mówisz o nim żywym. Masz na myśli jego zjawę. Powiedz mi...

Jestem po prostu ciekawy, więc, proszę, nie odbierz tego jako drwiny... jakiego rodzaju zjawą jest Julien? Mógłbyś coś więcej powiedzieć? Był dobry czy zły?

- Boże, ale dziwne pytanie. Wszyscy uwielbiają wuja Julięna. Wszyscy kupują go w ciemno.

- Wiem, że Quinn widział jego zjawę - kontynuowałem. - Opowiedział mi wszystko na ten temat. Przyjechał zobaczyć się z tobą, Rowan i Moną i Julien wpuścił go na teren posesji przy Pierwszej Ulicy, czy jak to nazywacie, i Quinn spędził z nim długi czas na rozmowie. Siedzieli w ogrodzie za domem. Naturalnie uznał, że ma do czynienia z żywym człowiekiem, a potem wy - zastaliście go tam samego i żaden dzbanek gorącej czekolady nie stał na stoliku. Oczywiście, brak gorącej czekolady nie ma żadnego metafizycznego znaczenia.

Michael się roześmiał.

- Uhm, wuj Julien pasjami uwielbia długie rozmowy. A jeśli chodzi o tę czekoladę, to przeszedł samego siebie. Ale zjawy jest kompletnie bezradna, dopóki nie przelejesz w nią swojej energii. Quinn to naturalne medium. Julien zażartował sobie z niego. -

Posmutniał. - I tak, kiedy przyjdzie czas... mówię o Monie... Julien się pojawi i zabierze ją na drugą stronę.

- Wierzysz w to? - spytałem. - Wierzysz w istnienie drugiej strony?

- Chcesz powiedzieć, że ty nie? - odpowiedział pytaniem. - Jak myślisz, skąd przybywa Julien? Słuchaj, widziałem zbyt wiele zjaw, żeby w nie nie wierzyć. Muszą się skądś brać, czyż nie?

- Nie wiem. W ich zachowaniu coś jest nie tak. To samo dotyczy aniołów. Nie twierdzą, że nie ma życia pozagrobowego. Myślę tylko, że te istoty, które w swojej łaskawości spływają tu do nas, żeby powtrącać się w nasze sprawy, mają więcej niż trochę nierówno pod sufitem. - Zaczęło mnie ponosić. - Sam masz podobne spostrzeżenia, no nie?

- Spotkałeś anioły? - zapytał.

- No cóż, powiedzmy, twierdziły, że są aniołami - odparłem. Wzrok Rowan wędrował po mnie, ospale i niegrzecznie. Nie interesowały jej moje pytania o Julięna ani odpowiedzi Michaela. Znowu przeżywała tamtą straszną chwilę, w której weszła do szpitalnego pokoju, pokoju śmierci, niosąc śmierć, i Mona się wystraszyła. Otrząsnęła się i skupiła na mnie wzrok. Czemu nie mogłem po prostu objąć jej na chwilę, pocieszyć, zniknąć z nią w sypialni na piętrze, rozsadzić tego domu na strzępy,

ulecieć z nią do innej części świata, zbudować jej pałacu głęboko w amazońskiej dżungli?

- Czemu nie spróbujesz! - powiedział Julien. Znów stał za nią, skrzyżowawszy ramiona na piersiach, z szyderczą miną, ale nie na tyle, by to szpeciło jego urok. - Nie stać cię na nic lepszego, niż porwać ją w swoje szpony. Co by to było za trofeum!

- Bądź uprzejmy zjeżdżać do piekła! - powiedziałem mu. A do siebie: Otrząśnij się z tego.

- Do kogo mówisz? - spytał Michael, jak poprzednio odwracając się w fotelu. - Kogo widzisz?

Julien zniknął.

- Czemu pytasz o Stellę? - zamruczała Rowan, ledwo jednak o tym myśląc. Myślała tylko o Monie, o mnie i o tamtym upiornym momencie. Zwróciła uwagę na moje włosy, na to, jak się zawijały i jak odbijały światło świec. I znów ogarnął ją przeraźliwy smutek z powodu Mony, z tego powodu, że m a ł o j e j n i e z a b i ł a .

Michael wpadł w głęboki namysł, jakby nikogo z nas tam nie było. Miał w sobie jakąś bezbronność. Stirling przyglądał mi się ostrym, gniewnym wzrokiem. Co dalej?

Michael był najwyraźniej o wiele bardziej prostolinijny niż Rowan, bardziej niewinny i zachowywał się w zgodzie z utartymi zwyczajami. Taka kobieta jak Rowan musiała mieć takiego męża jak Michael. Gdyby się dowiedział, jak chciwie całowałem ją zaledwie wczoraj, byłby zraniony. Nie powiedziała mu. Nawet on nie zniósłby takiego ciosu. Kiedy kobieta w tym wieku pozwala ci się pocałować, to znaczy coś zupełnie innego niż przyzwolenie dziewczyny. Nawet ja to wiem, a nie jestem człowiekiem.

- Julien jest nieprzewidywalny - powiedział Michael, nagle budząc się z zamyślenia.

- Popełnia błędy... czasem straszne błędy.

- Co masz na myśli? - spytałem.

- Pojawił się pewnego razu, próbując mi pomóc, myślę, że tak, na pewno. Ale nic z tego nie wyszło. Poza katastrofą. Całkowitą katastrofą. Nie mógł jednak tego przewidzieć. Nie mógł. Pewnie rzecz sprowadza się do tego, że duchy nie są wszytkowiedzące. Oczywiście, Mona powtarzała to stare powiedzenie, że duchy wiedzą, co robią, rozumiesz... i chyba z reguły tak bywa, ale to nie takie proste. Nie mów o tym Monie. Rób, co chcesz, ale nie zadawaj Monie takich pytań. Gdybym...

chcę powiedzieć, że Julien popełnił potworną omyłkę.

No, to dopiero było fascynujące! Więc ten elegancik nie zawsze miał pojęcie, co robi. Moja teza była słuszna! Czemu się teraz nie objawisz, żebym mógł z ciebie porechotać, ty bezsilny palancie?

Desperacko starałem się odczytać myśli kryjące się za słowami Michaela, ale na próżno. Ci Mayfairowie operowali swoimi umiejętnościami z taką swobodą, że można było oszaleć. Może ten mężczyzna nie był bezbronny. Po prostu był tak silny, że nie zawracał sobie głowy trzymaniem gardy.

Zerknąłem na Rowan. Znów wpatrywała się w moją rękę. Jak mogła nie zauważyć moich połyskliwych paznokci? Wszystkie wampiry mają lśniące paznokcie. Moje przypominały szkło. Wyciągnęła dłoń, cofnęła.

Zostało mi niewiele czasu.

- Możesz mi powiedzieć, na czym polegał błąd Juliana? - spytałem.

- Myślę, że zachowała się fotografia Stelli w marynarskim ubranku - powiedział

Michael, znów pogrążając się w myślach. Nie zauważył we mnie niczego niezwykłego.

To popadał w głębokie zamyślenie, to patrzył mi prosto w oczy. - Tak, jestem tego pewien.

- Czy nie powiedziałeś, że brat ją zabił?

- Och, wtedy była już dorosła - rzekł na wpół zadumany. - Urodziła Anthę. Dziecko miało sześć lat. Stella mało nie uciekła z pewnym mężczyzną, członkiem Talamaski.

Chciała oderwać się od rodziny, od duchów, które jej towarzyszyły. Stirling wie o tym wszystko, oczywiście. - Nagle spojrzał na mnie zaalarmowany. - Ale nie pytaj o nią Mony. Nie wspominaj Monie o niczym, co tu usłyszałeś.

- Nie pisnę jej ani słówka.

Rowan wyczuwała moje niezwykle cechy, wyczuwała, że mam tak powolny puls, iż nie mogę być śmiertelnikiem. Zauważyła, że światło świec w nietypowy sposób odbija się od mojej twarzy.

- Powiem ci, co moim zdaniem się dzieje - rzekł Michael. - Kiedy przybywają tu załatwić jakąś sprawę, zostawiają za sobą pełnię zbawienia.

- Chodzi ci o zjawy? - spytałem.

- Na czym to polega? - odezwał się Stirling.

- Oczywiście, pełnia zbawienia - szepnąłem. Uśmiechnąłem się. Strasznie mi się to spodobało. - Oczywiście, że muszą ją zostawić, no nie? W innym wypadku każde pojawienie się ducha byłoby objawieniem boskości, nieprawdaż? - Przypomniała mi się ostatnia noc, trzymany w uścisku Julien, zasypywany gniewnymi pytaniami jak oskarżeniami. Nie miał pojęcia o żadnej pełni zbawienia, no nie? Jaki z tego wniosek?

Ze musiałem zostawić za sobą część niebiańskiej wiedzy, kiedy w moich rojeniach o świętym Lestacie opadałem na ziemię.

- Nie zaufałbym żadnemu duchowi, naprawdę - powiedział Michael. - Myślę, że masz całkowitą rację. Ale Julien żywi dobre zamiary. Kiedy się objawia, ma na względzie dobro rodziny. Gdyby tylko...

- Gdyby tylko co? - nacisnąłem go.

- Czemu pytałeś o Stellę? - spytała Rowan. Głos miała pełny, ale równocześnie ostry. - Gdzie ją spotkałeś? - Jeszcze bardziej podniosła głos. - Co o niej wiesz?

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że zjawy już przybyły po Monę, co? - zapytał

Michael. - Oczywiście zdajesz sobie sprawę, co to znaczy. Czy nie powinniśmy być przy tym? Czy nie powinniśmy być pod ręką, gdzieś blisko?

- Nie, nie przybyły po nią - odparłem. - Powie nam, kiedy to nastąpi, jestem tego pewien. - Kłamałem świadomie. Próbowaly ją zabrać, prawda? Urządzały sobie jakąś ponurą zabawę, a może to mojej duszy chciały?

Wstałem.

- Dam wam znać, kiedy będzie was potrzebować - powiedziałem. - Obiecuję.

- Nie odchodź - rzekła z rozdrażnieniem Rowan, ale ściszonego głosem.

- Dlaczego? Żebyś nadal mogła świdrować mnie oczami? - spytałem. Nagle znów poczułem dreszcze. Zgubiłem wątek. - Chcesz, żebym ci dał próbkę krwi? To dlatego tak się we mnie wpatrujesz?

- Lestacie, panuj nad sobą - powiedział Stirling.

- Co miałabym zrobić z próbką twojej krwi? - spytała Rowan, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów. Mówiła dalej zimno: - Chcesz, żebym cię przebadala?

Chcesz, żebym zadawała ci pytania? O to, kim jesteś, skąd się wzięłeś? Mam wrażenie, że chcesz. Mam wrażenie, że nic bardziej by ci się nie uśmiechało, niż dać mi próbki twojej skóry, włosów, krwi, wszystkiego, co możesz dać. Wyczuwam to - zakończyła, stukając się w skroń.

- Doprawdy? I przenicowałabyś to wszystko na ostatnią stronę w Mayfair Medical, w jakimś tajnym laboratorium. - Serce waliło mi w piersiach, mózg pracował na wysokich obrotach. - Jesteś prawdziwym geniuszem lekarskim, zgadza się? Tego zakresu mądrość kryje się za tymi szarymi oczami, tymi ogromnymi szarymi oczami.

Nie jesteś zwykłym chirurgiem ani onkologiem, nie, ty... - Przerwałem. Co mnie napadło?

Rozległ się śmiech Juliena.

- Tak, czy nie jest wielka? Tańczysz, jak ci zagra. - Śmiał się przy tylnych drzwiach oranżerii, głęboko w cieniach. - Nie dorównujesz jej, ty bezczelny czarciu. Może stworzy dla ciebie szklaną klatkę. W tym nowym stuleciu mają wprost cudowne materiały. Nawet takie egzotyczne stworzenia jak ty...

- Zamknij się, ty żałosny draniu - szepnąłem po francusku. - Mam wrażenie, że tylko pozujesz na nieomylnego. Może zechciałbyś mi zdradzić, jaką to katastrofalną pomyłkę popełniłeś?

- Mówisz do Juliana? - spytał Michael. Spojrzał dokładnie we właściwe miejsce. Ale tam nic nie było.

- Godny pogardy tchórz - powiedziałem po francusku. - Zniknął. Nie pokaże się nikomu innemu.

- Chodź, Lestacie - powiedział Stirling, ciągnąc mnie za rękaw. - Naprawdę, czas, żebyś sobie poszedł. Mona na ciebie czeka.

Rowan ani razu się nie odwróciła, by spojrzeć na ducha. Była zła. Wstała. Znów poczułem znane mi już pchnięcie, jakby położyła mi ręce na piersiach. Niemniej jednak obawiała się mnie tak mocno, że nawet gniew nie mógł tego zamaskować.

- Gdzie jest Mona?! - zapytała stanowczo. Ochryply głos nabrał niezwykłej siły. -

Myślisz, że nie wiem, że zabrałaś ją z Blackwood? Byłam tam jeszcze przed południem, kiedy tylko mogłam się wyrwać z centrum. Wczoraj wieczór Clem zawiózł

was troje do Ritza. Pojechałam tam. Ani śladu Mony. Quinna też nie. I ani śladu Lestata de Lioncourt. Tak się podpisałeś w księdze kondolencyjnej na pogrzebie ciotki Queen, prawda? Sprawdziłam dokładnie wpis i zapamiętałam twój zamaszty charakter pisma... I masz taki uroczy francuski akcent, och, tak. A gdzie jest teraz Mona, *monsieur* de Lioncourt? Co się, na Boga, dzieje? Czemu pytasz o Stellę?

Myślisz, że nie wiem, że to ty stoisz za wszystkim, co się dzieje? Jasmine i Baba Ramona biorą cię za jakiegoś zagranicznego księcia, masz taki melodyjny obcy akcent, umiesz czytać w myślach, umiesz egzorcyzmować, uwolniłaś dwór od zjaw i duchów.

I, och, tak, ciotka Queen absolutnie cię uwielbiała! Ale mnie bardziej przypominasz Rasputina! Nie zdołasz ukraść mi Mony! Nie zdołasz!

Przeszył mnie kłujący ból, poraził twarz, skórę na całym ciele. Nigdy czegoś podobnego nie znałem.

Julien powrócił. Śmiał się okrutnie w cieniu, zaledwie obrysowany światłem.

Michael wstał, Stirling również.

- Rowan, proszę, skarbie - powiedział ten pierwszy, usiłując ją uspokoić. Nie wiedział, czy ją objąć, pogłodzić, chociaż ona chyba przyjęłaby to z ulgą.

- Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem - wykrztusiłem, jękając się.

- Pozwól, że będę ci towarzyszyć do drzwi - powiedział Stirling. Poczulem jego rękę na ramieniu.

- Przekaż Monie, że ją kochamy - rzekł Michael.

- Czy Mona się nas obawia? - szepnęła Rowan. Jej niepokój pokonał gniew.

Przysunęła się do mnie. - Ona teraz się nas obawia, prawda? - Rowan i Monę łączył koszmarny wątek. Tak, nierozzerwalna więź. *Niemowlę. Kobieta niemowlę.* Morrigan.

To nie było przyznanie się do winy, wytłumaczenie. Jedyne wizerunek.

- Ten sam wizerunek, który widziałem we krwi. *Kobieta niemowlę.* - Masz mi powiedzieć! Czy ona się boi?!

- Nie - odparłem. Wsunąłem ręce w aurę namacalnej mocy, która ją otaczała.

Położyłem dłoń na ramionach Rowan. Lekki wstrząs przy spojeniu dwóch ciał. Do diabła z Michaeliem. Ale nie zrobił nic. - Już nie. - Mówiąc, patrzyłem jej w oczy. -

Mona niczego się nie boi. Och, gdybym tylko mógł ją obdarzyć spokojem umysłu.

Bardzo bym tego chciał. Bardzo proszę, poczekaj, aż ona pierwsza cię odwiedzi, i więcej o niej nie myśl.

Poczułem, jak słabnie. Jej oczy zaszyły mgłą. Wielki płonący pożar był ugaszony i mnie się to udało, a jej wieczny towarzysz, smutek, wziął ją w objęcia. Wezbrała we mnie fala opiekuńczości, szalone fantazje znów się ocknęły, jakby nie było tam nikogo prócz nas dwojga.

Wypuściłem ją. Odwróciłem się i ruszyłem do wyjścia.

Za moimi plecami rozległ się pogardliwy szept zjawy:

- Nie jesteś dżentelmenem, nigdy nim nie byłeś!

Sycząc, ciskałem wszystkie znane mi plugawe francuskie i angielskie obelgi.

Szedłem trochę za szybko dla Stirlinga, ale na progu domu stanęliśmy razem.

Powiew słodkiego, ciepłego powietrza. Noc mruczała i grzechotała, żabki drzewne i cykady nie spały. Nie było mowy, żeby jakaś zjawy odwróciła od tego moją uwagę!

Niebo było różowawe i miało takie pozostać całą noc. Zamknąłem oczy i oddałem się cały ciepłemu powietrzu; wzięło mnie w mocny, kochający uścisk.

Zgadza się, nie byłem dżentelmenem, ale jemu było to obojętne.

- Co ty wprawiasz z Rowan? - spytał ostro Stirling.

- A kim ty jesteś, jej starszym bratem? - odpowiedziałem mu tym samym tonem.

Zeszliśmy z wyłożonej kamieniem werandy i znaleźliśmy się na podjeździe. Wonie traw. Łoskot ruchu samochodowego na River Road tak słodki jak łoskot spadającej wody.

- Może jestem jej bratem - odparł krótko - ale pytam poważnie. Co ty robisz?

- Dobry Boże, człowieku. Przedwczoraj powiedziałeś Quinnowi, że Mona umiera.

Jaki miałeś w tym cel? Czy nie kusiałeś go, żeby do niej przyjechał? Jak się okazało, nie zrobił tego, ale kusiałeś go, podżegałeś, żeby wykorzystał swoją moc, wybawił ją. Nie zaprzeczaj. Prowokowałeś go. Mimo wszystkich twoich zapisków. Twoich ksiąg.

Twoich badań. Quinn karmił się tobą, mało cię nie zabił. Uratowałem ci życie, człowieku. Tobie, który wiedziałeś. A teraz przypierasz mnie do muru z powodu nieważnej słownej zabawy ze śmiertelniczką, która mnie nie cierpi?

- W porządku, niech będzie. Podświadomie nie mogłem znieść tego, że Mona umiera, że jest w rozpaczliwej sytuacji, że jest taka młoda, i uwierzyłem w ponure bajki i czarodziejską krew! Ale ta kobieta nie umiera. Jest potęgą w swojej rodzinie. I wie, że z tobą jest coś bardzo nie tak. I ty się nią bawisz.

- Wcale nie! Daj mi spokój!

- Nie dam. Nie możesz jej nęcić...

- Nie nęcę jej!

- Czy spotkałeś Stellę? Czy to ona cię nawiedza?

- Daruj sobie ten uprzejmy ton - warknąłem. - Tak, spotkałem Stellę. Myślisz, że to wszystko było częścią gry? Miała na sobie marynarskie ubranko i skoczyła mi na kolana. Byli w mojej miejskiej rezydencji, przy rue Royale, oboje, Julien i Stella, razem z całym tłumem ludzi. Julien pokazał się tu, w tej ślicznej oranżerii, drażnił się ze mną. Ale u mnie w domu grozili mi. Grozili! Och, nie wiem, czemu ci to mówię.

- Ależ wiesz - szepnął.

- Muszę wracać do tych nieustraszonych wędrowców. - Wziąłem głęboki oddech.

- Grozili? - spytał. - Czym mogli grozić tobie?

- Och, Boże na wysokościach! Gdybym tylko był Juanem Diego.

- Kto to jest Juan Diego?

- Może nikt - powiedziałem smutno. - Ale może ktoś bardzo, bardzo ważny! - I oddaliłem się.

Uniosłem się wysoko w powietrze. Podróżowałem szybko - szybciej niż zjawa, a przynajmniej tak mi się wydawało. Sunąłem nad Nowym Orleanem, ukołysany jego światłami i odgłosami. Zastanawiałem się, jak Mona posłużyłaby się tą mocą, gdyby znów się rozszłochała. Zdobyłem się na akt wiary we własne siły i uznałem, że żadna zjawa nie może mnie tknąć na tych ani na żadnych innych wysokościach. Jeśli dysponuję wszystkimi moimi mocami, które są wielkie, żaden duch nie jest mi straszny.

Powiedziałem „nie” głodowi. Kazałem zamilknąć pragnieniu.

Cicho osunąłem się w królestwo bratnich stworów.

Zauważyłem Quinna na rue Royale, ciągnącego stos walizek ułożony na największej z nich, wielkiej i prostokątnej, zaopatrzonej w znakomicie ułatwiające życie kółka.

Pogwizdywał coś Chopina, maszerując bardzo szybko. Zrównałem się z nim.

- Jesteś najelegantszym mężczyzną na tej ulicy, braciszku - powitałem go. - Po co ci te wszystkie walizki?

- Zamierzasz pozwolić nam u siebie zostać, umiłowany szefie? - odpowiedział

pytaniem. Jego oczy płonęły miłością. Podczas naszej krótkiej znajomości nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego. Więcej, nigdy nie widziałem go szczęśliwego. - Jak myślisz? Ciasno ci z nami? Chcesz, żebyśmy się wynieśli?

- Wcale nie, chcę, żebyście zostali. Powinienem wam powiedzieć. - Szliśmy razem, starałem się dotrzymać kroku jego długim nogom. - Jestem najgorszym gospodarzem i, że użyję starego slangu, panem sabatu. Wcale nie dżentelmenem. Rasputinem - w każdym calu. Rozgośćcie się. Kazałeś Clemowi przewieźć rzeczy do Ritza? (Tak).

Mądrze. Gdzie jest teraz księżniczka Mona?

- W sypialni, przy komputerze. Kupiliśmy go o zachodzie słońca. To była pierwsza rzecz, którą chciała mieć - powiedział, dodając nonszalancki gest. - Zapisuje każde przeżycie, każde doznanie, każdą subtelną zmianę, każdą rewelację...

- Już rozumiem - przerwałem mu. - Hmm. Nakarmiliście się.

Skinął głową.

- Żarłocznie, wśród nikczemnych szumowin, chociaż w jakiś sposób musiałem doglądnąć całej operacji. Mona wpada w stan krańcowego paraliżu. Może gdyby mnie tam nie było, zachowałaby się inaczej. Fizycznie jest silniejsza ode mnie, ale chyba w mojej obecności ma mętlik w głowie. To była para włóczęgów na obrzeżu miasta, obaj pijani, zera.

- Ale to była jej pierwsza ludzka ofiara - zauważyłem. - Musiała się postarać.

- Ci ludzie byli nieprzytomni, to była pestka. Dopiero pozna osobniki zdolne do prawdziwego oporu.

- Zgoda, ale to może poczekać. Co się zaś tyczy jej fizycznej przewagi nad tobą, to wiesz, że mogę to wyrównać - powiedziałem cicho. - Nie szafuję moją krwią na prawo i lewo. Tobie jednak podaruję ją jeszcze raz. - Czy było coś takiego, czego bym dla niego nie zrobił?

- Wiem. Boże, kocham ją. Kocham ją tak strasznie, że to przesłania wszystko inne.

Nie myślę nawet o tym, że Goblin umarł. Wyobrażałem sobie, że kiedy umrze, będę się czuł okaleczony, pusty. Byłem o tym przekonany. Myślałem, że to nieuniknione.

Ale Mona jest moją bratnią duszą, Lestacie, tak jak wyobraziłem to sobie przy naszym pierwszym spotkaniu, zanim w ogóle połączyła nas krew.

- To było ci pisane, Quinn. A co we dworze? Masz jakieś wieści z Blackwood?

To była frajda znów iść ulicą. Czuć pod stopami bijący z chodnika żar letniego słońca.

- Wszystko gra. Tommy zostaje na tydzień. Będę mógł się z nim zobaczyć, zanim wróci do Anglii. Szkoda, że musi jechać z powrotem. Oczywiście wydzwaniamy do każdego, kto może coś wiedzieć o Patsy. To przez te cholerne lekarstwa. Powiniennem był wrzucić je do bagna razem z nią. Uznaliby, że uciekła. Znów im powiedziałem, że ją zamordowałem. Jasmine tylko się roześmiała. Powiedziała, że zamordowałyby ją własnymi rękami. Myślę, że tak naprawdę to tylko Cyndy ją kocha.

Zastanowiłem się nad tym, po raz pierwszy od chwili, w której Quinn popełnił

tamten czyn, zaledwie kilka nocy temu. Nie było mowy, żeby trup przeleżał nietknięty w Bagnach Słodkiego Czarta. Za dużo aligatorów. Przypomniałem sobie, że kiedyś usiłowano pozbyć się mnie dokładnie w ten sam sposób, i uśmiechnąłem się gorzko.

Biedna Patsy nie miała wszakże moich możliwości, kiedy potoczyła się w ciemność.

Jej dusza umknęła w pełnię zbawienia, oczywiście.

Szliśmy ramię w ramię w napierającym tłumie dziarskich turystów. Miasto ociekało potem.

Tydzień wcześniej o tej porze włóczyłem się bez celu, bez nadziei na towarzystwo, a potem w moim życiu pojawił się Quinn, przynosząc w kieszeni list, szukając pomocy.

Stirling wszedł po kryjomu do mojej rezydencji, z nieświadomą nadzieją w sercu, że go nakryję, i niebawem całe Blackwood zmaterializowało się wokół mnie, Stirling zaczął odgrywać istotną rolę w moim życiu, ciocia Queen została w okrutny sposób zabita tej samej nocy, której ją poznałem, odeszła nasza ukochana Merrick, ja zostałem wciągnięty w rozgrywki rodziny Mayfairów i co czuję? Strach?

Daj spokój, Lestat. Mnie możesz powiedzieć prawdę. Jestem twoim „ja”, pamiętasz? Wszystko to

burzyło moje namiętności i znów poczułem dreszcze, wystarczyło, że przypomniałem sobie, jak zaledwie przed godziną Rowan atakowała mnie z całym żarem.

Do tego jeszcze dochodził Julien, który nie zamierzał się teraz ujawniać z obawy przed Quinnem. Rozejrzałem się po spacerujących wczesnym wieczorem tłumach, myśląc: „Gdzie jesteś, ty podły tchórze, tani drugorzędny fantomie, osławiony niedorajdo?”

Quinn zwrócił ku mnie głowę, nie przerywając marszu.

- O co chodzi? Myślałeś o Julienie.

- Potem wszystko ci opowiem - obiecałem, zamierzając dotrzymać słowa. - Ale pozwól, że zapytam cię o coś, mianowicie o spotkanie z wujem Julienem.

- Tak?

- Co poczułeś w głębi serca? Ze to dobry duch? Może zły?

- Hmm, no cóż, oczywiście dobry. Starał się mi wmówić, że mam geny Mayfairów.

Starał się uratować przede mną Monę, starał się powstrzymać nas przed stworzeniem jakiegoś „potwornego mutanta”, co od czasu do czasu przydarza się w rodzinie Mayfair. To życzliwy duch. Opowiedziałem ci wszystko.

- Tak, oczywiście - odparłem. - Życzliwy duch i potworny mutant. Czy Mona wspomniała o mutancie? Tym utraconym dziecku?

- Umiłowany szefie, co cię dręczy?

- *Nada.*

To nie był właściwy moment, żeby mu powiedzieć...

Doszliśmy do rezydencji. Ochroniarze przywitali nas przyjacielskim skinieniem głowy. Dałem im szczodry napiwek. Tym śmiertelnym mężczyznom musiało być strasznie gorąco w koszulach z długimi rękawami.

Idąc na górę, usłyszeliśmy stukanie komputerowej klawiatury, cichy grzechot drukarki.

Mona wypadła z sypialni ubrana w szmatki, które miała na sobie wczoraj.

- Posłuchajcie tego - powiedziała. - „Mimo że to przeżycie niezaprzeczalnie jest grzeszne, jako że zakłada traktowanie ludzi jak łownej zwierzyny, to niewątpliwie ma charakter mistyczny”. Co wy na to?

- To cały twój dorobek? - spytałem. - Jeden akapit? Napisz coś więcej.

- Okej. - Wróciła pędem do sypialni. Zastukały klawisze. Quinn poszedł z nią, ciągnąc walizy. Puścił do mnie oko uśmiechnięty.

Poszedłem naprzeciwko, do mojej sypialni, zamknąłem drzwi, włączyłem górne światło, zdarłem z siebie ubranie, wzdrygając się z krańcowym obrzydzeniem, cisnąłem je na dno ozdobnej szafy, włożyłem brązowy wełniany golf, czarne spodnie, lekką marynarkę z mieszanki lnu i jedwabiu o wyraźnie zaznaczonym splocie, czarne buty z gładkiej skóry, których do tej pory nigdy nie miałem na nogach, a które wyglądały jak nowoczesna rzeźba, przeczesalem włosy, pozbywając się kurzu, po czym zastygłem, chłonąc głęboką ciszę domu.

Rozciągnąłem się na łóżku. Nade mną jedwabny pikowany baldachim. Poda mną jedwabna narzuta. Wokół gęste cienie. Odwróciłem twarz do poduszek, których zawsze mam spory stos, i skuliłem się, napinając wszystkie mięśnie i umykając współczesnemu światu.

Niezbyt to męska postawa, nie w stylu *macho*, żaden pokaz siły w obliczu pozaziemskich stworzeń, absolutne przeciwieństwo postawy atakującej.

Trzeszczenie parkietu pod nogami, cichy głos Quinna, stukot klawiszy niosły mi ukojenie.

Nic nie mogło jednak złagodzić ostrego tonu słów Rowan, twardego blasku oczu lśniących jak hematyt, uspokoić drzeń targanego pasją ciała, gdy rzucała mi w twarz oskarżenia. Jakim cudem Michael Curry nie zajął się od jej ognia, chociaż stał tak blisko?

Nagle odezwało się we mnie tak wielkie wzburzenie, że tylko leżąc samotnie, skurczony na łożu, mogłem znaleźć spokój. Zaśnij. Zaśnij. Nie potrafiłem. Quinn i Mona nie byli na tyle nikczemni, żeby mi dorównać. Niewielu dorównywało mi w tym względzie. Nawet ja nie byłem na tyle nikczemny, żeby sobie dorównać!

A musiałem przewidzieć nadejście zjaw. Jeśli miały nadejść.

Gdzieś tykał zegar. Z wymalowaną tarczą i wskazówkami imitującymi promienie słońca na starych litografiach. Niewielki zegar. Zegar, który całą swoją duszą umiał

tylko tykać i mógł tykać przez wieki, może tykał przez wieki, zegar, na który ludzie spoglądali, który ludzie odkurzali, który ludzie nakręcali kluczykiem i który ludzie mogli z czasem wielce polubić; zegar gdzieś w tym domu, może w tylnym salonie, jedyna część tego całego umeblowania, która potrafiła mówić. Słyszałem go.

Wiedziałem, co mówi. To był cudowny szyfr.

Stukanie do drzwi. Zabawne. Zabrzmiało tak, jakby ktoś stukał przy moim uchu.

- Wejść - powiedziałem. Cholerny głupek ze mnie. Ale nie ogłupiły mnie dźwięki, które usłyszałem. Nie było szczęku otwieranych drzwi. Nie było trzasku zamykanych drzwi.

Julien stał w nogach łóżka. Podeszedł do boku. Julien w szykownym czarnym fraku, białej muszce, o siwych, idealnie białych włosach w świetle żyrandola. Oczy miał

czarne. Myślałem, że są szare.

- Czemu pukałeś? - spytałem. - Dlaczego po prostu zamiast pukać, nie rozerwiesz na strzępy mojego świata?

- Nie chcę, byś znowu się zapomniał - rzekł idealną francuszczyzną. - Jesteś okropny, kiedy się zapominasz.

- Czego chcesz? Przyprawić mnie o cierpienie? Nie ty pierwszy i nie ostatni.

Torturowały mnie o wiele potężniejsze stworzenia.

- Nawet nie podejrzewasz, na co mnie stać.

- Popełniłeś katastrofalny błąd. Na czym polegał? - spytałem. - Ciekaw jestem, czy w ogóle zdałeś sobie z tego sprawę.

Pobladł. Nieukrywany gniew zawładnął zwykle pozbawioną wyrazu twarzą.

- Kto cię tu przysyła, żebyś kpił z żywych ludzi? - spytałem.

- Ty nie zaliczasz się do żywych! - wykrzyknął.

- Opanuj się, opanuj - poradziłem mu szyderczo.

Gniew odebrał mu mowę. Dzięki temu stał się wyraźniej widoczny, chociaż pobladł.

A może to był smutek? Nie mogłem znieść myśli o smutku. Miałem go dość.

- Chcesz jej? - spytałem. - W takim razie sam jej powiedz. Nie odpowiedział.

Wzruszyłem ramionami. Może nie najczytelniejszy gest, jako że opierałem się o zagłówek.

- Ja nie mogę jej tego przekazać. Kimże jestem, żeby jej powiedzieć: „Wuj Julien powiada, że powinnaś wystawić się na światło słońca i tak wkroczyć w pełnię zbawienia”. Czy możliwe, że pytania, które postawiłem ostatniej nocy, były jak najbardziej sensowne i nie wiesz, skąd pochodzisz? Może nie ma żadnej pełni zbawienia. Żadnego Juana Diego. Może chcesz ją zabrać do świata zjaw, w którym się błąkasz, czekając na kogoś, kto potrafi cię zobaczyć, kogoś takiego jak Quinn, a może nawet sama Mona czyja. W tym rzecz? Chodzi o to, żeby zapragnęła zostać zjawą?

Zachowuję najlepsze maniery. Przemawiam najuprzejmiejszym tonem. Rodzice byłiby ze mnie dumni.

Rozległo się prawdziwe pukanie do drzwi.

Zniknął. Wydało mi się, że kątem oka coś widzę. Czy to nie Stella siedziała cały czas po lewej stronie? *Mon Dieu!* Naprawdę traciłem zmysły.

- Tchórz - szepnąłem. Usiadłem i skrzyżowałem nogi po turecku. - Wejść.

Mona wpadła do sypialni w nowej różowej sukience z długimi rękawami i różowych aksamitnych bucikach na słupku, znów powiewając w powietrzu kartką papieru.

- Wal - powiedziałem.

- „Jest moim ostatecznym celem przetransponowanie tego doświadczenia na poziom doświadczenia życiowego, który byłby wart potężnych mocy, wskazanych mi przez Lestata, poziom życiowego doświadczenia, któremu obca jest moralna obstrukcja wobec najoczywistszych, a jednocześnie najbardziej bolesnych teologicznych pytań, nieuniknionych w obliczu mojej przemienionej natury, a pierwsze z nich to, oczywiście, «Jaki jest stosunek Boga wobec esencji mojego bytu»,

«Czy jestem człowiekiem i wampirem?», «Czy tylko wampirem?» Mam na myśli potępienie, a mówię teraz nie o piekle literalnym, ale o stanie, którego istota sprowadza się do nieobecności Boga - czy potępienie jest nieodzownym i nieuchronnym elementem tego stanu, w którym teraz jestem, czy też nadal egzystuję w relatywistycznym wszechświecie, stwarzającym mi taką samą szansę łaski, jaka jest obiecana istotom ludzkim dzięki uczestnictwu w obecności Syna Bożego na ziemi, historycznym - fakcie, w który również totalnie wierzę, mimo że ten fakt nie jest filozoficznie modny, chociaż sprawa, jaki związek ma teraz moda ze mną w tym transcendentnym i często świetlistym stanie, pozostaje niejasna”. - Spojrzała na mnie.

- Co myślisz?

- No cóż, sądzę, że poszłaś na łatwiznę w tym fragmencie z „filozoficznie modnym”.

Sądzę, że powinnaś usunąć paplaninę o tym, co modne, i skończyć jakoś poważniej, może czyniąc treściwe wyznanie na temat tego, w jakim stopniu obecność Syna Bożego na ziemi ma dla ciebie znaczenie. A „transcendentnego” i „świetlistego” zawsze możesz użyć gdzieś indziej. Poza tym „totalnie” nie stosuje się do „wierzyć”.

- Super! - Wyfrunęła z pokoju.

Naturalnie nie zamknęła za sobą drzwi.

Wyszedłem za nią.

Już tłukła w klawisze, komputer szumiał na jednym z wielu biurków w stylu Ludwika XV; gdy stanąłem za nią, skrzyżowawszy ręce na piersiach i obejmując wzrokiem jej postać, brwi miała zmarszczone, zielone oczy utkwione w monitorze.

- No, o co chodzi, umiłowany szefie? - zapytała, nie przerywając pisania.

Quinn wyciągał się wygodnie na łóżku, wpatrzony w baldachim. Cały ten dom był

pełen łóżek z baldachimem. No, w każdym razie było ich sześć, trzy po każdej stronie korytarza.

- Zadzwoń do Rowan Mayfair i powiedz jej, że masz się dobrze. Jak ci się wydaje?

Dasz radę to zrobić? Ta kobieta cierpi.

- Strata czasu! - STUK-STUK.

- Mona, gdybyś mogła... oczywiście, przez wzgląd na nich. Michael cierpi.

Spojrzała na mnie ostro i zastygła. A potem, nie odrywając ode mnie wzroku, podniosła słuchawkę telefonu, który stał na biurku, i tak szybko wybrała numer, że nie zdążyłem dostrzec wyciskanych klawiszy. Pokolenie esemesowiczów. Wielka mi rzecz! Potrafię tak szybko pisać gęsim piórem, że byście nie uwierzyli, niech ona spróbuje czegoś takiego. I do tego bez kleksa na pergaminie.

- Heja, Rowan, tu Mona. - Histeryczny płacz po drugiej stronie słuchawki. Mona przerywa: - Mam się nieźle, jestem z Quinnem, słuchaj, nie masz się czym przejmować, jest mi lepiej, totalnie. - Lawina dociekliwych pytań. Mona przerywa: -

Rowan, słuchaj, czuję się znakomicie. No, jak cud. Chyba później dźwięknę. Nie, nie, nie (znów przerywa), mam na sobie ciuchy cioci Queen, pasują na mnie idealnie, no, i jej buty, naprawdę super, miała tych szpilek na tony, no, nigdy niczego takiego nie nosiłam, no, świetnie, nie, nie, nie, przestań, Rowan, poza tym Quinn chce, żebym je nosiła, są prosto ze sklepu, naprawdę znakomite. Kocham cię, pozdrów Michaela i wszystkich. Pa. - Odłożyła słuchawkę, ucinając krzyki Rowan.

- Więc załatwione - powiedziałem. - Naprawdę to doceniam. - Wzruszyłem ramionami.

Siedziała bez ruchu, pobladła, krew uciekła jej z policzków, wpatrywała się w przestrzeń.

Czułem się jak despota. Jestem despota. Zawsze byłem despota. Każdy, kto mnie zna, uważa mnie za despota. Może z wyjątkiem Quinna.

Ten usiadł na łóżku.

- Co się dzieje, Ofelio? - spytał.

- Wiesz, że muszę do nich pojechać - powiedziała, marszcząc brwi. - Nie mam wyboru.

- Co ty opowiadasz? - spytałem. - Oni po prostu chcą umyć ręce od odpowiedzialności. Chociaż, przyznaję, ta odpowiedzialność jest spora.

- Nie, nie, nie, to ze względu na moje sprawy. - Nagle jej głos i mina stały się bezlitosne. - Ze względu na to, czego muszę się dowiedzieć - mówiła dalej zimno, dygocąc, jakby wiatr wtargnął do sypialni. - Wiem, że mnie okłamała. Okłamywała mnie przez lata. Boję się myśleć, ile mogła mi nakłamać. Zamierzam zmusić ją do mówienia.

- Źle zrobiłem, każąc ci z nią porozmawiać? - spytałem.

- Ofelio - powiedział Quinn - nie spiesz się. Teraz nie musisz.

- Nie, to było konieczne, dobrze zrobiłeś - rzuciła do mnie. Ale się trzęsała. Miała łzy w oczach. Jej emocje przekraczały ludzki wymiar.

- Chodzi o kobietę dziecko - mruknąłem pod nosem. Czy wolno mi było wyjawić to Quinnowi? Co takiego ujrzałem; jej potwornego potomka? - Głuptasie, po co nam teraz sekrety?

- Możesz mu wszystko powiedzieć - rzekła, starając się powstrzymać łzy. - Dobry Boże, znaj... znajdę je! Jeśli ona wie, gdzie ono jest, jeśli ukrywała to przede mną...

Quinn przyglądał się temu wszystkiemu, nie narzucając się z radą. Przed laty już mu opowiedziała, że urodziła dziecko, że musiała je oddać. Mówiła, że był to mutant.

Nigdy jednak nie wyjaśniła istoty tej mutacji.

I, że przypomnę, w widzeniu przez krew ujrzałem dojrzałą kobietę, a równocześnie kogoś na pewno nie będącego człowiekiem. Kogoś należącego do potworów naszego pokroju.

- Nie chcesz nam przedstawić całej prawdy? - spytałem łagodnie.

- Nie teraz, nie jestem gotowa, nie teraz. - Pociągała nosem. - Nie cierpię tego wszystkiego, co się z tym wiąże.

- Dopiero co spotkałem się z Rowan Mayfair. W Ustroniu Talamaski. Z nią jest coś bardzo nie w porządku.

- Oczywiście, że z nią jest coś nie w porządku - potwierdziła z rozdrażnieniem. - Nie obchodzi mnie, jak zareaguje, kiedy się ze mną spotka. Tak, zobaczy jakieś stworzenie, które z pewnością nie wyda się jej człowiekiem. Powinam się tym przejmować? Nie muszę z nimi mieszkać jak Quinn ze swoją rodziną. Teraz zdaję sobie z tego sprawę. To niemożliwe. Nie mogę zrobić tego co Quinn. Potrzebuję umocowania wśród ludzi. Potrzebuję jakichś pieniędzy...

- Zastanów się nad tym chwilę. Nie ma potrzeby podejmować decyzji na łapu-capu.

Dziś wieczór raczej wolałem wyjść od Rowan i Michaela, niż wprawiać ich w niepokój, niż stwarzać wątpliwości, które mogłyby ich zranić. To było trudne. Chciałem im zadać kilka pytań. Ale musiałem zrezygnować.

- Czemu jesteś taki troskliwy?

- Bo ty i Quinn jesteście dla mnie ważni. Obrażasz mnie. Nie wiesz, że cię kocham?

Nie stworzyłbym cię, gdybym cię nie kochał. Quinn tyle mi o tobie opowiedział, zanim jeszcze cię poznałem, że nie mogłem się w tobie nie zakochać.

- Muszę czegoś się od nich dowiedzieć - powiedziała. - Czegoś, co ukrywają. A potem sama muszę odnaleźć m o j ą c ó r k ę . Teraz jeszcze nie potrafię o tym mówić.

- Twoją córkę? - spytał Quinn.

- Chodzi ci o kobietę dziecko, mieszka...

- Stop! Nie teraz - powiedziała Mona. - Dajcie mi zająć się moją filozofią, jeden i drugi!

To się nazywa zmienić temat. Skierowała oczy na monitor. Wróciła do tłuczenia w klawiaturę.

- Co lepiej niż „totalnie” pasuje do „wierzyć”?

- „Bezgranicznie”.

Quinn podszedł i zapiął jej na szyi kameę, nie przeszkadzając w zacieklej pisaninie.

- Nie starasz się jej przerobić na ciotkę Queen, prawda? - spytałem.

Tłukła w klawisze jak szalona.

- Jest Ofelią Nieśmiertelną - powiedział. Nie obraził się.

Zostawiliśmy ją. Zeszliśmy na dół, na tylny balkon, a potem na dziedziniec i spoczęliśmy na żelaznych krzeselkach. Zdałem sobie sprawę, że nigdy ich nie używałem.

Były bardzo stylowe. Wiktoriańskie, ozdobne. Jeśli mogę, nie trzymam niczego, co nie ma określonego stylu albo nie jest po prostu piękne.

Wysokie bananowce i rozkwitające nocą krzewy odcięły nas od reszty świata.

Muzyka fontanny mieszała się z dalekimi odgłosami stukaniny Mony i jej szeptami.

Słyszałem dźwięki nocnych orkiestr na rue Bourbon. Gdybym chciał, mógłbym usłyszeć całe to cholerne miasto. Niebo miało liliową barwę, chmury odbijały blask metropolii.

- Nie myśl tak - powiedział Quinn.

- To znaczy jak, braciszku? - Ocknąłem się i przestałem słuchać odległych dźwięków.

- Wyobrażam ją sobie jako dziedziczkę cioci Queen - wyjaśnił - nie rozumiesz tego?

Wszystko, co ciocia Queen chciała dać ze swoich rzeczy, biżuterii, tego rodzaju przedmiotów, wszystko, co chciała przekazać Jasmine, to już przekazała. W skrytkach bankowych jest dość dla przyszłej żony Tommy'ego i tej, którą poślubi mały Jerome. -

(Syn Quinna i Jasmine, pozwólcie, że wam przypomnę.) - Tak więc chcę, żeby Mona odziedziczyła może jedną dziesiątą najszykowniejszych sukienek z jedwabiu. Zresztą Jasmine nigdy nie nosiła tego rodzaju ciuchów. I niech weźmie szpilki z cekinami, których tak naprawdę nikt nie chce. I kamee z muszli, które nie są niczym niezwykłym. Gdyby ciocia Queen jakoś mogła się dowiedzieć, co

naprawdę mnie spotkało, kim się stałem, jak to zawsze delikatnie określamy, a wreszcie gdyby wiedziała, że niebo i ziemia się ulitowały i Mona jest ze mną, chciałaby, żebym jej dał

te rzeczy. Byłaby zadowolona, że Mona bryka w tych bucikach.

Wysłuchałem tego wszystkiego i zrozumiałem jego intencje. Powinienem był

wcześniej je zrozumieć. Ale co z córką Mony, kim była, jaką miała naturę?

- Noszenie tych sukni i szpilek sprawia jej wielką przyjemność - przyznałem. -

Wygląda na to, że chorowała tak długo, że wszystkie jej rzeczy przepadły. Kto wie?

- Co widziałeś we krwi, kiedy ją stwarzałeś? Kim jest ta kobieta dziecko?

- Oto, co zobaczyłem. Jej córka jest w pełni dojrzałą kobietą. Sama Mona uważają za potwora. Urodziła ją i utraciła. Kochała ją, zajmowała się nią. Widziałem to. A potem nagle ją straciła, tak jak ci opowiedziała. Odjechała.

Był wstrząśnięty. Nie dojrzał niczego takiego w jej myślach.

We krwi wszakże idziesz tam, gdzie nikt nie chce iść. Na tym polega jej potworność.

Na tym polega jej piękno.

- Czy to dziecko naprawdę może być takim dziwem, takim wynaturzeniem? -

zapytał. Uciekł ode mnie wzrokiem. - Wiesz, lata temu powiedziałem ci... Byłem na kolacji w rezydencji Mayfairów. Rowan oprowadziła mnie po domu. Był tam jakiś sekret, jakaś mroczna, ukrywana historia, żyjąca cały czas. Czuję to w milczeniu Rowan i w jej zamyśleniach. Ale Michael niczego nie zdradził. I teraz nawet Mona niczego nam nie powie.

- Quinn, ty też jej nie powiesz, dlaczego zabiłeś Patsy - uświadomiłem mu. - W

miarę jak mijają nam lata, uczymy się, że opowiadając to, co było, niekoniecznie się oczyszczamy; bywa, że wracając do przeszłości, można się tylko zadręczyć.

Drzwi otworzyły się z hałasem.

Mona zbiegła do nas, stukając obcasikami, w ręce trzymała dwie kartki.

- Dobry Boże, po prostu kocham te szpilki! - zawołała, robiąc kółeczko po dywanie. Po czym stanęła przed nami, wyglądając w światło górnych okien jak woskowa laleczka. Unosząc palec jak zakonnica na lekcji religii, wytrajkotała: -

„Muszę przyznać, że w miarę przemijania kolejnych minut i godzin, podczas których zachodził we mnie proces poznawania i przyswajania sobie otaczającego mnie wszechświata i mikrokosmosu

mojego własnego «ja», z absolutną jasnością zrozumiałam, chociaż egzystuję w tym wsławionym stanie zaledwie od dwóch nocy, iż sama istota moich mocy i środki zapewniające mi przetrwanie wskazują ontologiczną supremację sensualistycznej filozofii w jądrze mojego jestestwa. Wymaga to ode mnie natychmiastowej redefinicji przeżycia mistycznego, które, jak już to wcześniej wspomniałam, obejmuje zarówno stany ekstazy, jak doznania totalnie karnalne, tak transcendentne, jak i orgazmiczne, przeżywane przeze mnie, gdy piję krew lub patrzę w światło świecy, wychodząc poza wszelkie ludzkie epistemologiczne ograniczenia. Podczas gdy hermeneutyka bólu w rzeczy samej kiedyś w pełni przekonała mnie o moim osobistym zbawieniu, to tam, gdzie niegdyś wypracowałam wewnętrznie spójną litanię spokoju, podczas wygłaszania której przeżywałam istotę Chrystusa i Jego pięć ran, to mając na względzie chęć zrozumienia ostateczności, która wydawała mi się nieunikniona, obecnie krocę ku Bogu ścieżką totalnie nieprzetartą i niewyznaczoną. Czy to możliwe, że będąc wampirem i posiadając duszę jednocześnie wampiryczną i ludzką, tym tytułem jestem zwolniona z ludzkich obowiązków i ontologicznych ludzkich uwarunkowań? Nie wydaje mi się. Przeciwnie, myślę, że teraz jestem obciążona najwyższymi człowieczymi obowiązkami: mam dokonać próby moich mocy, wykorzystując ich graniczne możliwości, jako że chociaż jestem wampirem wskutek decyzji własnej woli i dzięki chrztowi we krwi, to na pewno w dalszym ciągu siłą urodzenia, doświadczeń i niezmiennej konstrukcji fizycznej pozostaję człowiekiem i stąd też ludzka kondycja jest mi przypisana, mimo faktu, iż nie umrę zwykłą koleją rzeczy ani się nie zestarzeję. Wracając do nieuniknionego problemu zbawienia, to tak, pozostaję zakorzeniona w relatywistycznym wszechświecie, bez względu na to, jak wyrafinowaną przemianę przeszedłam, jeśli chodzi o kształt mojej postaci i jej możliwości działania, i funkcjonuję w ramach tych wymiarów, w których egzystowałam przed transformacją, i stąd też narzuca mi się pytanie: jestem li aby siłą rzeczy poza polem działania łaski stworzonego przez naszego Bożego Zbawcę dzięki samemu faktowi Jego wcielenia, jeszcze przed Jego ukrzyżowaniem? Przy czym wierzę bez zastrzeżeń, iż oba te wydarzenia wydarzyły się w obrębie ludzkiej historii i chronologii, że On poprzez oba się objawił i przez oba żąda od nas opowiedzenia się po Jego stronie. Czy też sakramenty naszej świętej matki, Kościoła, zbawią mnie w moim obecnym stanie? Muszę stwierdzić, że na pierwszy rzut oka, z mojego krótkiego doświadczenia, i sądząc po ekstazie i samowoli, które w tak pełnym wymiarze zastąpiły wszelki ból i cierpienie w obrębie organizmu, który tworzę, to wedle moich ocen istota mojego «ja» skazuje mnie na ekskomunikę i wyklucza możliwość przystąpienia do stołu Pana. Ale czy nie może tak być, że nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie, choćbym nie wiem jak dokładnie badała świat i siebie, i czy właśnie ta niewiedza nie sprawi, że tym pełniej będę uczestniczyła w egzystencjalnym wymiarze ludzkiego bytowania? Patrząc przez pryzmat duchowego doskonalenia, uwierzytelnianego od początku mojego istnienia w obecnym stanie, mądrość nakazuje przyjąć to założenie, zaakceptować je w najgłębszej pokorze, gdyż być może nigdy, na żadnym skrzyżowaniu moich egzystencjalnych wędrówek, czy będą trwały nie kończące się wieki, czy też krótkie lata tej niemal nie dającej się znieść ekstazy, nie będzie mi dane uczestniczyć w odkupieniu Zbawcy i że to właśnie ta niewiedza będzie mi ceną, którą będę musiała zapłacić za moją nadludzką wrażliwość i wiecznie żądny krwi triumf nad niegdyś cierpianym bólem, nad nieuchronną, niegdyś tyranizującą mnie śmiercią, nad nieuniknionym, niesionym przez ludzki czas zagrożeniem”. No i co o tym sądzicie?

- Świetne - powiedziałem.

- Podoba mi się to „jestem li aby” - powiedział Quinn.

- Podbiegła do niego i zaczęła go okładać kartkami po głowie i ramionach i kopać, nie oszczędzając szpilek. Śmiał się pod nosem i beztrąsko opędział się jedną ręką.

- Lepsze to niż płacz!

- Ty beznadziejne chłopaczysko! - krzyknęła, śmiejąc się do utraty tchu. - Ty beznadziejne, bezczelne chłopaczysko! Jesteś absolutnie niegodny szczypty moich filozoficznych przemyśleń, którymi cię hojnie obsypałam! A że zapytam, co ty napisałeś od krwawego chrztu? Szkoda nawet atramentu na to, co wykruszyło się w obwodach twojego okrutnego nadprzyrodzonego mózdzku.

- Czekaście, bądźcie cicho - rozkazałem im. - Ktoś przy bramie kłóci się z ochroną. -

Wstałem.

- Mój Boże, to Rowan - powiedziała Mona. - Cholera, nie powinnam była do niej dzwonić na komórkę.

- Na komórkę? - powtórzyłem. Ale już było o wiele za późno.

- Identyfikacja numeru - zamruczał Quinn, wstając i biorąc Monę w objęcia.

To niewątpliwie była Rowan. Bez tchu, rozgorączkowana, w orszaku dwóch ochroniarzy, którzy mocno protestowali, przebiegła przez bramę i zatrzymała się jak wryta po drugiej stronie dziedzińca, mając naprzeciwko siebie Monę.

Wstrząs na widok Mony ujranej w świetle padającym z okien i w blasku, który nieubłaganie sączył się z nieba, był tak silny, że Rowan przystanąła, jakby wpadła na niewidzialną ścianę.

Michael natychmiast się z nią zrównał. Również on był ogromnie zaskoczony.

Gdy tak stali oszołomieni, nie wiedząc, czy zaufać świadectwu własnych zmysłów, kazałem strażnikom wrócić na swoje miejsce i zostawić mi załatwienie sprawy.

- Wejdźcie na górę - zaprosiłem niespodziewanych gości. Wskazałem żelazne schody.

Chwilowo jakiegokolwiek wyjaśnienia były bezużyteczne. To nie wampira zobaczyli.

Nie mieli pojęcia o niczym nadprzyrodzonym i nie podejrzewali, że widzą kogoś z tej sfery. To spektakularny „powrót do zdrowia” wzbudził ich całkowitą niewiarę.

W istocie była to niepokojąca chwila. Mimo iż na twarzy Michaela Curry’ego pojawił się szeroki uśmiech szczerzej radości, to chmurne oblicze Rowan przepełniało uczucie, któremu niedaleko było do wściekłości. W tej wściekłości kryły się wszystkie tajemnice jej biografii; tak jak poprzednio byłem zafascynowany każdą emocją tej kobiety, tak i teraz nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Z oporem pozwoliła mi wziąć się pod ramię, jakby lunatykowała. Była cała spięta.

Niemniej jednak udało mi się doprowadzić ją do schodów, po czym wyszedłem na czoło naszego pochodu, wskazując drogę reszcie towarzystwa. Mona nakazała gestem Rowan, by szła za mną, po czym, odrzuciwszy włosy do tyłu i okazując wielkie przygnębienie, ruszyła za nią.

Salon w głębi domu najlepiej nadawał się na takie spotkanie, pozbawiony półek z książkami, za to pełen przepastnych, wybijanych aksamitem kanap i wygodnych foteli w stylu królowej Anny. Oczywiście wszędzie było mnóstwo połacanego brązu, intarsji i nowych lśniących tapet w bordowo-beżowe pasy. Girlandy kwiatów na dywanie wiły się konwulsyjnie, a impresjonistyczne obrazy w grubych rzeźbionych ramach wydawały się oknami na dużo lepszy, wypełniony słońcem świat, lecz w sumie pokój był niebrzydki.

Natychmiast zgasłem żyrandol i zapaliłem małe lampy w kątach. Zrobiło się nieco mroczniej, ale równie miło, i zaprosiłem wszystkich, żeby usiedli.

Michael szeroko uśmiechnął się do Mony i od razu zagaił tonem wznoszącego modły kapłana:

- Kochanie, wyglądasz absolutnie cudownie. Moja cudowna, urocza dziewczyna.

- Dziękuję, wujku Michaelu, kocham cię - odpowiedziała tragicznym tonem Mona, trąc zaciekle oczy, jakby ci ludzie jakimś sposobem mieli ją przywrócić do koszarnej ludzkiej kondycji.

Quinn skamieniał. Najbardziej - i słusznie - obawiał się Rowan.

Ona również wydawała się sparaliżowana, gdyby nie oczy, które nagle oderwały się od Mony i wpiły we mnie.

Nie było co zwlekać.

- W porządku, sami widzicie - powiedziałem, biegnąc wzrokiem od Rowan do Michaela. - Mona jest wyleczona z tego, co jej doskwierało, cały proces chorobowy, który ją wyniszczał, został zatrzymany i wróciła do formy. Nie potrzebuje niczyjej opieki, jest całkowicie zdrowa. Jeśli oczekujecie, że zaraz wam wytłumaczę, jak się to stało, w części czy w całości, to na próżno. Możecie wyzywać mnie od Rasputinów albo jeszcze gorzej. Nie dbam o to.

Powieki Rowan drżały, ale reszta twarzy pozostała nieruchomą, niezmienną maską.

Istota jej wzburzenia była nie do odczytania, więcej, nie do poznania, a jeśli udało mi się coś wychwycić, to przeraźliwą, sięgającą nieszczęść, które powaliły ją w przeszłości, grozę. Nic więcej nie udało mi się dojrzeć, nie było czasu na tego rodzaju mentalne prace wykopaliskowe, a zresztą jej roztrzęsienie stwarzało zaporę nie do pokonania.

Musiałem kontynuować.

- Nie wyniesiecie stąd żadnych odpowiedzi. Możecie się na mnie złościć. Proszę bardzo. Którejś nocy, za wiele lat, może Mona zdecyduje się wytłumaczyć, co zaszło, ale teraz musicie zaakceptować to, co widzicie. Nie musicie dłużej się o nią martwić.

Stała na własnych nogach.

- Nie myślcie, że jestem niewdzięczna - powiedziała przez ściśnięte gardło Mona.

Oczy zaszły jej krwistymi łzami. Natychmiast wytarła je chusteczką. - Wiecie, że czuję wdzięczność. Rzecz tylko w tym, że nie ma niczego cudowniejszego, niż poczuć się wolnym.

Rowan znów utkwiała we mnie oczy. Jeśli doszukiwała się udziału dobra w tym cudzie, nie zdradziła nawet cienia tych usiłowań.

- Głos masz nie ten sam - rzekła. - Włosy, skórę... - Wróciła wzrokiem do mnie. -

Coś jest nie tak. - Spojrzała przenikliwie na Quinna.

- To spotkanie jest zakończone - oznajmiłem. - Nie zamierzam być brutalny, wiercie, nie zamierzam. Ale wiesz tyle, ile potrzeba. Jest oczywiste, że znasz mój numer telefonu, to dzięki temu nas znalazłaś. Wiesz, gdzie nas szukać.

Wstałem.

Quinn i Mona zrobili to samo, ale Rowan i Michael początkowo się nie poruszyli.

Michael cały czas brał przykład z Rowan, ale po chwili z oporem wstał, bo tak nakazywała

grzeczność. Ten człowiek był tak niezwykle uroczy, że nawet w tych okolicznościach nie chciał nikogo obrazić ani przyprawić o dyskomfort, szczególnie Mony.

Po prostu patrzył na nas w inny sposób, niż czyniła to Rowan. Nikogo nie taksował.

Patrzył ludziom w oczy. Spoglądał w twarz Quinnowi, ale go nie oceniał. Nawet nie przejmował się tym, że Quinn jest tak bardzo wysoki. Szukał w ludziach dobroci i niezmiennie ją znajdował, a własna dobroć przenikała go całego, podkreślając znakomitą urodę. Miał bardzo wyraziste rysy i tchnął pewnością siebie, która mogła powstać tylko na fundamencie niezwyklej siły.

- Skarbie, potrzebujesz czegoś? - spytał Monę.

- Będę potrzebowała trochę pieniędzy - wyznała. Ignorowała natarczywy wzrok Rowan. - Oczywiście nie jestem już dziedziczką rodu. Nikt nie chciał o tym ze mną rozmawiać, kiedy byłam umierająca, ale wiedziałam o tym od lat. Zresztą i tak bym teraz zrezygnowała, gdyby nie to, że ten krok już nie jest konieczny. Dziedziczka fortuny Mayfairów musi urodzić dziecko. Wszyscy wiemy, że już nie jestem do tego zdolna. Chcę jednak prosić o środki na życie. Nie o żadne miliardy dziedzictwa.

Bynajmniej. Chodzi mi tylko o środki na życie, żebym nie biedowała. To nie problem, no nie?

- Żaden problem - powiedział Michael, uśmiechając się do niej z uczuciem i wzruszając ramionami. Nie można było się oprzeć urokowi tego mężczyzny. Chciałem go uściskać. - To nie problem, prawda, Rowan? - spytał. Z lekkim zakłopotaniem rozejrzał się po salonie. Na kilka sekund zawiesił wzrok na olśniewającym impresjonistycznym obrazie nad sofką, przed którą stałem. Spojrzał na mnie przyjaźnie.

Nawet nie zaczął się zastanawiać, co przemieniło Monę. Ale też nigdy nie wyobraził

sobie, że od czasu ucieczki ze szpitala mogłoby ją spotkać coś groźnego czy złego. Ten brak wszelkich podejrzeń mógł się wydawać zdumiewający, ale udało mi się to zrozumieć - zresztą tylko dzięki temu, że był zbity z tropu zachowaniem Rowan i pozbawiony możliwości obrony, gdy zerknąłem mu w myśli. Zaakceptował Monę w jej obecnej postaci, bo całym sercem pragnął, by autentycznie wyzdrowiała. Do tej pory uważał, że jest skazana na śmierć. Teraz był świadkiem cudu. A to, kto go sprawił, nie miało żadnego znaczenia. Święty Juan Diego? Święty Lestat? Świetnie! Jemu to nie przeszkadzało.

Mogłem wcisnąć mu idiotyczną historyjkę o tym, że napompowaliśmy ją lipidami oraz wodą źródlaną, i kupiłby ją w całości. W szkole nie był orłem z przedmiotów ścisłych.

Rowan nie mogła jednak kopnąć w kąt prawd nauki. Była geniuszem wiedzy. Nie mogła zignorować faktu, że wyzdrowienie Mony było fizyczną niemożliwością. A jej umysł przepełniały tak bolesne wspomnienia, że nie zawierały wizerunków ludzi, tylko mroczne skłębione emocje i niezmierzone poczucie winy.

Siedziała milcząca, nieruchoma. Patrzyła oskarżająco i gniewnie to na Monę, to na mnie, i tak w

kółko, w kółko.

Miałem wrażenie, może mylne, że budziła się w niej heroiczna ciekawość, ale...

Mona do niej podeszła. To nie był najlepszy pomysł.

Dałem znak Quinnowi i próbowałem ją powstrzymać, ale go odtrąciła.

Była zdeterminowana. Ale równocześnie niepewna, jakby Rowan była zwierzęciem, które mogło ją podrapać. Zupełnie mi się to nie podobało. Zasłoniła sobą Rowan, tak że nikt z nas jej nie widział, również ja, ale wiedziałem, że jedną dzielą od drugiej tylko centymetry, co było bardzo, ale to bardzo niefortunne.

Pochyliła się, wyciągając ramiona. Chyba zamierzała pocałować albo uściskać Rowan.

Ta rzuciła się w tył tak szybko, że przewróciła fotel, na którym siedziała, stolik i lampę obok. TRZASK, ŁUP, BRZDEK, PLAFF. Przyłgnęła do ściany.

Michael rzucił się do niej, natychmiast gotów do pomocy. Ale co takiego mógł zobaczyć?

Mona wycofała się na środek salonu, szepcząc pod nosem: „O, mój Boże”, a Quinn objął ją od tyłu, uściskał i ucałował w policzek.

Rowan się nie ruszała. Serce waliło jej w piersi, usta miała otwarte, powieki zaciśnięte, jakby miała się rozkrzyknąć. Przeżyła chwilę grozy, krańcowego obrzydzenia, jakby zobaczyła gigantycznego owada. Nigdy dotąd nie widziałem, aby jakakolwiek śmiertelna osoba tak wybuchowo zareagowała na wampira. Aby wpadła w autentyczną panikę.

Wiedziałem, że zdołam ją omamić, bo robiłem to już wcześniej, przekraczając barierę między gatunkami i nie wzbudzając paniki.

Teraz zdecydowałem się przekroczyć ją kolejny raz, rzucając na szalę całą moją odwagę i bezczelność. I potrzeba było na to niezwyklej odwagi. I bezczelności.

- Znakomicie, kochanie, świetnie, skarbie - powiedziałem, zbliżając się do Rowan na tyle szybko, na ile mogłem sobie pozwolić w tych okolicznościach. - Moje skarbenki, moje kochanie - mówiłem, obejmując ją za ramiona i pod kolanami, dźwigając i niosąc obok zaskoczonych Michaela, do drzwi. Rozluźniła się. (Dzięki Bogu.) - Jestem przy tobie, moje skarby - gruchałem jej do ucha, całując ją w ucho -

trzymam cię, moje najdroższe kochanie - wyniosłem ją na schody, już zupełnie bezwładną - trzymam cię, mój skarbie, nikt cię nie skrzywdzi, tak, tak, tak. - Jej głowa bezsilnie potoczyła się do mojej piersi, ręka słabo chwyciła moją koszulę. Otwarte usta łapały powietrze. - Rozumiem, skarbeczku. Ale jesteś bezpieczna, naprawdę bezpieczna, nigdy nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego, obiecuję, i Michael tu jest, jest z tobą, wszystko w porządku, kochanie, wiesz, że mówię prawdę, że

wszystko, co mówię, to szczerą prawdą.

Widziałem, jak te słowa do niej docierają, przenikają jej umysł, poczucie winy, wspomnienia, uniki przed teraźniejszością, wszystkie prawdy, których się bała, to, co wyczuła i czemu nie mogła zaprzeczyć, przed czym mogła jedynie się wycofać.

Michael znalazł się tuż za mną i gdy tylko dotarliśmy do wyłożonej kamieniami ścieżki, bez wysiłku odebrał ją ode mnie i przyłgnęła do niego tak samo jak wcześniej do mnie.

Śmiało pocałowałem ją w policzek, na dłużej zostawiając tam usta, a jej ręka znalazła moją i jej palce owinięły się wokół moich. „O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jakże piękna”*, mówiłem jej w myślach. Panika odebrała jej mowę.

* Ten i kolejne cytaty z „Pieśni nad pieśniami”.

- „Ogrodem zamkniętym jesteś, siostrze moja, oblubienico, ogrodem zamkniętym, źródłem zapieczętowanym” - szeptałem jej do ucha. Raz za razem całowałem delikatny policzek. Poglądziłem włosy. Nadal ścisnęła mi palce, ale jej chwyt się rozluźnił, coraz bardziej traciła siły.

- Trzymam cię, kochanie - powiedział Michael identycznym tonem. - Rowan, mój skarbie, trzymam cię, kochanie, zabiorę cię do domu.

Gdy się cofnąłem, przyjrzał mi się uważnie, bez wrogości. Wyczułem, że jego miłość jest ogromna i pozbawiona małostkowości, że nie rości sobie praw do tej kobiety i darzy ją uwielbieniem. Dla kogoś takiego jak ja było to prawie niepojęte.

Rowan straciła świadomość. Jej głowa opadła na piersi, dotykając skronią Michaela. Zauważył to i wpadł w krańcowe przerażenie.

- Wszystko w porządku - zapewniłem go. - Tylko zabierz ją do domu, połóż się obok niej i nie zostawiaj jej samej.

- Ale co, do diabła, się stało? - szepnął, gdy pogłaskałem ją po głowie.

- Nieważne. Zapamiętaj. To nieważne. Ważne jest to, że Mona została uratowana.

Wróciłem na górę.

Oczywiście Mona łkała. Leżała w poprzek łóżka w ich pokoju, komputer mruczał, ona płakała, Quinn siedział obok. Ten obrazek już zaczynał się powtarzać.

- Co zrobiłam nie tak? - spytała. Uniosła głowę i spojrzała na mnie. - Powiedz, co zrobiłam nie tak?

Usiadłem przy biurku.

Wyprostowała się, jej policzki spływały krwią.

- Nie mogę z nimi mieszkać tak jak Quinn ze swoją rodziną, rozumiesz to, no nie?

Nie zrobiłam nic złego.

- Och, przestań się okłamywać - ofuknąłem ją. - Świetnie wiesz, że jesteś na nią zła, bardzo zła. Kiedy do niej podeszłaś, nie miałaś uczciwych intencji. Coś ci zrobiła, oszukała cię, coś, czego nie potrafisz jej wybaczyć. Prawie powiedziałaś nam to wcześniej w tym pokoju. Musiałaś zademonstrować swoją siłę, musiałaś przyprzeć ją do ściany...

- Naprawdę tak myślisz? - spytała.

- Wiem to. Myślisz, że ukrywała przed tobą tajemnice. Czarodziejskie tajemnice, takie, których nie wytłumaczyłaś Quinnowi ani mnie. Przez wszystkie tamte lata nie cierpiałaś jej jako lekarza, szalonego lekarza, tak, zgadza się, posiadacza czarodziejskiej różdżki, kręcącego się po twojej komnacie śmierci, każącego zażywać to takie lekarstwo, to inne, ale nigdy nie mówiącego ci, co się naprawdę dzieje poza innymi tajemnicami, mroczniejszymi tajemnicami, tajemnicami wiadomymi tobie, jej i Michaelowi, czyż nie tak?

- Kocham ją.

- A teraz i tutaj zdałaś sobie sprawę, że dysponujesz potężnymi czarami. Masz klucze do potężnych tajemnic. Potraktowałaś ją z góry. A ona przejrzała twoją dwulicowość, ten pokaz protekcyjnej uczuciowości, i wpadła w panikę, kiedy zgodnie z twoją wolą zdała sobie sprawę, że już n i e n a l e ż y s z d o ś w i a t a ż y w y c h . Chciałaś, żeby uświadomiła sobie twoją moc, że przy tobie, przy tym, czym jesteś, ona jest niczym.

- Naprawdę tak myślisz? - Łzy. Pociąganie nosem.

- Wiem o tym. I jeszcze z nią nie skończyłaś. Bynajmniej.

- Zaczekaj, Lestacie - wtrącił się Quinn - zachowujesz się nie fair. Mona przyznała, że miały niewyrównane rachunki. Ale na pewno nie myślała tego wszystkiego, nie wtedy, kiedy podeszła do Rowan.

- Tak, myślała - powiedziałem z naciskiem.

- Zakochałeś się w niej.

- W kim? W Monie? Powiedziałem ci, że kocham was oboje.

- Nie. Wiesz, że nie miałem na myśli Mony. Zakochałeś się po uszy w Rowan i to zupełnie coś innego niż zadurzenie w nas. Głęboko w Rowan jest coś, co na ciebie działa i z czym my nie możemy konkurować. Ale nie możesz mieć Rowan. Po prostu nie możesz.

- *Mon Dieu!* - szepnąłem.

Przeciąłem korytarz, wszedłem do swojej sypialni i zamknąłem drzwi na klucz.

Stał tam Julien w swoich wieczorowych szatkach, z wyższością krzyżując ramiona na piersiach, gdy patrzył na mnie, wsparty o wysoki hebanowy zagłówek łoża.

- Zgadza się, nie możesz jej mieć - powiedział, śmiejąc się pod nosem. -

Przyglądałem się, jak dajesz się na to złowić, jak mucha na lep. Strasznie mi się to podobało. Połknęła cię zupełnie głuchego i ślepego, o tak, a ty smakowałeś to jądro zła tymi twoimi wyra - i przerafinowanymi zmysłami, cmok-cmok w mroku, tak, i zakochałeś się w niej na oślep, tak strasznie czule mimo wszystkich twoich koszmarnych mocy. Ale nie możesz jej mieć. Nigdy. Nie Rowan Mayfair. Nigdy, przenigdy. Nie jej, magnata, twórcy największego przedsięwzięcia rodziny, orędowniczki największej publicznej misji rodziny, filantropijnego cudu, gwiazdy przewodniej! Nigdy nie będziesz jej miał. A za to zakosztujesz całej rozkoszy obserwowania jej z dystansu, nigdy nie wiedząc, co może się jej wydarzyć. Starość, choroba, wypadek, tragedia. Będzie co oglądać! A ty nie będziesz mógł nawet palcem kiwnąć. Nie odważysz się!

Obok stała mała Stella, ośmio-, dziewięcioletnia dziewczynka w ślicznej białej sukience z obniżonym stanem i z białą kokardą w czarnych włosach.

- Nie bądź dla niego taki niedobry, wujku Julienie! - poprosiła. - Biedaczek.

- Och, ależ on jest niedobrym stworem, najdroższa Stello - powiedział. - Zabrał

naszą ukochaną Monę. Zasługuje tylko na najgorsze.

- Posłuchaj mnie, ty marna podrzędna zjawo - warknąłem. - Nie jestem żadnym sentymentalnym rozpustnikiem z marnego bajronicznego poematu. Nie zakochałem się w twojej najdroższej Rowan Mayfair. Miłość, którą wobec niej żywię, to coś, czego nigdy nie pojdziesz swoim płytkim mózgiem. A Rowan jest w większym niebezpieczeństwie, niż potrafiłbyś to sobie kiedykolwiek wyobrazić. A teraz czemu nie chcesz mi zdradzić, jaki to katastrofalny błąd popełniłeś przy wszystkich twoich sprytnych machinacjach i objawieniach? Czy też może mam to wydobyć z Mony, Rowan czy Michaela? To nie był anielski cud, prawda? Bierz tę małą w ramiona i zjeżdżaj mi z oczu. Czy Bóg dał ci moc zionąć i pluć gniewem?

Walenie do drzwi. Mona wzywająca w kółko moje imię.

Zjawy przepadły.

Rzuciła mi się w ramiona.

- Ale ja nie zniosę tego, kiedy będziesz się na mnie złościł, powiedz, że nie będziesz, kocham cię z całej duszy.

- Nie, nie, nigdy się nie złoszczę - powiedziałem. - Chodź, niech cię uściskam, moje piskłę, moje kochanie, mój noworodku. Uwielbiam cię. Wszystko naprawimy.

Postaramy się, żeby wszystkim było jak najlepiej. Nie tak, to inaczej.

Hotelowe korytarze. Przytłumione głosy. Nie cichnące. Granatowa wykładzina.

Kinkiety imitujące świece. Drzwi i drzwi. Ładny stolicek. Och, ty zgniły materialisto, daj sobie spokój ze stoliczkami i zajmij się swoim paskudnym zadaniem. A co, jeśli jakiś bezlitośnie przedsiębiorczy osobnik zrobił katalog ze wszystkich mebli, które osobiście opisałeś w swoich „Kronikach wampirów”, no i co z tego?, a powiem, co, wstydz się, ty chciwy, bezwstydnym, zachłanny, wiecznie głodny, winny siedmiu grzechów głównych czarciu, co kiedyś Louis ci wygarnął?, że zrobisz z wieczności sklep z rupieciami. Ruszaj się!

Wnętrze sypialni. Lustro i mahoń. Nie posprzątane resztki jedzenia. (Patrz, mamus, nie ma stoliczków!) Kobieta o oliwkowej skórze, ciemnych włosach, na wpół

przytomna na poduszkach. Woń dżinu. Rozsunięte zasłony, zanurzony w nocy gęsty las drapaczy chmur. Wysoka szklanka pełna dżinu z tonikiem i z lodem, światło się mieni w zastygłych bąbelkach.

Ona się odwraca, podnosi na łokciach. Beżowy jedwabny szlafroczek, szczupłe ciało, brąz sutek.

- Więc ciebie posłali, co? - spytała, powieki na wpół przymknięte, ton szydery, wymalowane usta wykrzywione. - No, jak to zrobisz? Hmm. Długie masz te jasne loki.

Położyłem się obok niej, oparty na łokciu. Łóżko mocno pachnące słodką ludzką wonią. Luksusowa hotelowa pościel i poduszki.

- Super jesteś jak na cyngla - parsknęła. Sięgnęła po śliczną szklankę. - Pozwolisz, że sobie łyknę, zanim umrę, co? - Wypiła do dna. Dżin zapachniał mi jak trucizna.

Ach, długi z hazardu, miliony, jak to się robi, ale to tylko wierzchołek góry lodowej, miała na koncie dużo więcej, latała do Europy i z powrotem, lokowała bogactwa nie dla tego człowieka, co powinna. Kiedy zaczęła strzelać, opróżniła cały magazynek.

Zarabiała na życie. Jej wspólnik zniknął. Wiedziała, że jest następna. Już jej to nie obchodziło. Wszystkie pieniądze stracone. Teraz na okrągło pijana. Zbrzydzone czekaniem. Czarne włosy tłuste i cienkie. Jedna z tych twarzy, które lata całkowicie zmieniają. Lata i lata, ale jakie to ma znaczenie?

Opadła na poduszkę.

- No to zabij mnie, ty draniu - zamruczała. Raczej wybełkotała.

- Masz to u mnie jak w banku, serduszko - powiedziałem. Położyłem się na niej i pocałowałem ją w szyję. Hmm. Zapach nikogo.

- Co to ma być, gwałt? - Szydery śmiech. - Nie potrafisz sobie znaleźć dziwki za dwieście dolarów w tym dziadowskim mieście? Wiesz, jaka jestem stara? Musisz się podkręcić przy robocie, taki przystojniak jak ty?

Zakryłem jej usta. Cofnęła się pod naporem moich warg.

- I z całowaniem wyjeżdża na dodatek - wycedziła. - Jazda dupą ci nie wystarczy, przystojniaczku?

- Mam coś lepszego, skarbie, nie doceniasz mnie.

Przesunąłem ustami po szyi, pocałowałem arterię, usłyszałem szum krwi, powoli rozwarłem usta, znów smakując skórę, wbiłem zęby i wziąłem szybki łyk, tak że omdlała, zanim rozszedł się ból po przekłuciu. Och, Panie Boże, to raj dla niektórych.

Spokojnie.

Nieważkość, beczasowość, apokaliptyczność. Och, maleńka, nie kłamałaś, nie spodziewaj się nawet jednego wyrzutu sumienia z powodu tego, co zrobiłem, nigdy, jakżebyś mógł, nie jestem Bogiem, słoneczko, no to, w takim razie, kto, do diabła, och, słodko, mówiłem ci, no nie, nie wierzę ci, nienawidzę cię, nie przerywaj, poważnie, poważnie, na tyle, na ile chce mi się kogoś nie cierpieć, uwielbiam!, hmm, no, opowiedz mi o tym, o czym myśmy to?, prawie, jak chcesz to wyrzucić z siebie, to śmiało, ale jak nie, to nie, nie potrzeba mi tego, tego ci potrzeba, gra w klasy, kolorowa kreda, nie cierpię ich, puść mnie, skakanka, siatkowe drzwi TRZASK, nigdy nie mogłam, dzieciaki w ryk, po prostu muszę dostać krew, och, ale zaczekaj, rozumiem, nigdy się nie spodziewałam, że to będzie takie... w głębi tego korytarza, nie, cóż, wiesz? to nie tak. Śmiech, światło i śmiech, powinn...

Jej serce już nie miało siły przepychać krwi. Uniosłem ją, pociągnąłem mocniej i się zatrzymało, arterie nabrzmiały, krew oślepiła, ciało z wolna tężało, jedwab się zsunął, szok światła śródmieścia, kostki lodu zaiskrzyły, cud kostek lodu.

Krew do mózgu, mój Panie i Boże, wynoszę się stąd. Nie będziesz leżał obok trupa ofiary twojej, na chwałę grzechu głównego, pychy, roztrzaskałem wielkie okno, rozkładając ramiona, szkło frunęło we wszystkich kierunkach... Zabierzcie mnie, och, migocące światła śródmieścia. Zabierzcie mnie!... szkło spada na zwirowany dach i niesłychanie nowoczesne, nieromantyczne wiecznie mielące powietrze klimatyzatory.

Czy cyngiel nie będzie zaskoczony?

Następnej nocy obudziłem się i stwierdziłem, że „National Catholic Reporter” właśnie pojawił się w skrzynce pocztowej. Otworzyłem go, szukając wiadomości o świętym Juanie Diego.

Artykuł był fantastyczny, w tym cudowne czarno-białe zdjęcie papieża w białej mitrze, przechylnego na prawą stronę, ale poza tym dzielnie dającego sobie radę, oglądającego „tubylczych tancerzy” podczas mszy kanonizacyjnej w bazylice miasta Meksyk pod wezwaniem Matki Boskiej z Gwadelupy. Wielki tłum. Oczywiście, artykuł

musiał nadmienić, że niektórzy powątpiewają w istnienie Juana Diego!

Jakie to jednak ma znaczenie dla tak wierzącej osoby jak ja?

Dopiero po tym, jak pochłonałem wszystkie artykuły na temat pielgrzymek papieża, zauważyłem na blacie wiadomość od jednego ze strażników. Michael Curry zjawił się po południu i pytał, czy mógłbym do niego zadzwonić. Nikt u mnie nie podnosił słuchawki.

Wróciłem tak późno ostatniej nocy, że nie widziałem się z Moną i Quinnem, którzy do tej pory nie wstali z łóżka.

Dom był złowroźnie cichy. Wyglądało na to, że było również zbyt wcześnie dla Julienu i Stelli. Lub może moja ostatnia przemowa na jakiś czas przegnała Julienu.

Nie wierzyłem w to. Jeśli już, to najprawdopodobniej był jeszcze bardziej naładowany energią i czekał na chwilę, w której uderzy.

Byłem gotów sięgnąć po telefon i wybrać numer, który Michael przekazał ochronie, kiedy zdałem sobie sprawę, że sam we własnej osobie podchodzi do bramy.

Zszedłem go przywitać. Wieczór był pełen blasku i woni restauracji z dzielnicy francuskiej.

Dałem znać strażnikom, by przepuścili Michaela.

Był rozgorączkowany. Miał na sobie ten sam ubiór co wczoraj, koszulę teraz rozpiętą, bez krawata i był cały wymięty, pobrudzony i rozczochrany.

- Człowieku, co się dzieje? - spytałem, biorąc go pod ramię.

Pokręcił głową. Słowa grzęzły mu w gardle. Myśli miał w nieładzie. Na jakimś poziomie nieświadomości chciał je przede mną zablokować, jednocześnie uderzając o pomoc.

Zaprowadziłem go na dziedziniec. Pocił się obficie. Po prostu w ogrodzie panował

zbyt wielki upał. Musiałem zaprowadzić go w miejsce, w którym wiały sztuczne wiatry.

- Chodź - zaprosiłem go dalej. - Wejźmy na górę.

Gdy byliśmy przy wejściu do salonu, w korytarzu pojawiła się Mona w ślicznej sukience z niebieskiego jedwabiu, zapiętych na kostce szpilkach, tylko włosy miała rozburzone ze snu.

- Wujku Michaelu, co się stało?! - Od razu się zmartwiła.

- Hej, mała - przywitał ją słabym głosem. - Wyglądasz świetnie, bez dwóch zdań. -

Opadł na sofę, oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłoniach.

- Co się dzieje, wujku? - spytała, wyraźnie bojąc się go dotknąć i siadając niepewnie na brzeżku najbliższego fotela.

- Chodzi o Rowan - rzekł. - Sfiksowała i nie wiem, czy tym razem uda się ją przywrócić do normalności. Jest gorzej niż kiedykolwiek wcześniej. - Spojrzał na mnie. - Nie ukrywam, przychodzę prosić o pomoc. Masz na nią wpływ. Wczoraj ją uspokoiłeś. Może znów ci się uda.

- Ale co się z nią dzieje? - spytała Mona. - Jest w takim katatonicznym stanie jak wczoraj?

W umyśle Michaela widziałem tylko nakładające się obrazy. Chyba w ogóle nie usłyszał pytania Mony. Musiałem się zadowolić tym, co mówił.

- Teraz jest z nią Stirling, ale nie może się do niej przebić. Przed południem uparła się, że chce się wypowiadać. Zadzwoiłem do ojca Kevina. Byli sami przez jakąś godzinę. Oczywiście nie mógł nikomu powiedzieć, co wyznała. Jeśli chcecie wiedzieć, to uważam, że ksiądz Kevin też jest na skraju załamania nerwowego. Nie można wziąć takiego zwyczajnego duchownego jak on, wrzucić go do takiej rodziny jak nasza i oczekiwać, że wytrzyma, że będzie coś sobą reprezentował, wykonywał zadania duszpasterskie. To nieuczciwe.

- Michaelu - spytałem - jak Rowan się zachowuje?

Chyba mnie nie słyszał. Dalej mówił swoje.

- Zawsze pracowała w Mayfair Medical na najwyższych obrotach, wiecie o tym, a przynajmniej ty wiesz - spojrział na Monę - ale nikt inny nie zdaje sobie z tego sprawy, że pracuje do stanu wyczerpania, tak że nie ma w ogóle własnego życia, nie zna spokoju, nie myśli o niczym innym poza rzeczami, które są związane z Mayfair Medical, to całkowite powołanie, tak, cudowna sprawa, ale to też kompletna ucieczka.

- Mania - dodała cicho Mona. Była wstrząśnięta do głębi.

- Zgadza się - powiedział Michael. - Jej publiczna persona to jedyna, którą naprawdę dysponuje. Jej wewnętrzne „ja” całkowicie rozleciało się na kawałki. Może tak musiało być, jeśli się weźmie pod uwagę tajemnice Mayfair Medical. A teraz to załamanie, ten kompletny brak łączności ze światem to szaleństwo. Zdajecie sobie sprawę, ilu ludzi czerpie z niej energię? Bierze z niej przykład? Stworzyła świat, który polega całkowicie na niej - członkowie rodziny zjeżdżają się ze wszystkich

stron, by studiować medycynę, dobudowuje się nowe skrzydło szpitala, trwa Program Badania Mózgu, monitoruje cztery przedsięwzięcia badawcze, nie znam nawet połowy tego wszystkiego. Dorzućcie moje własne egoistyczne potrzeby, a do tego to wszystko...

- Co konkretnie się wydarzyło? - nacisnąłem go.

- Zeszłej nocy nie spała, tylko leżała w łóżku. Szeptała coś do siebie. Nie wiem co.

Nie chciała ze mną rozmawiać. Nie chciała się otrząsnąć. Nie chciała się przebrać do snu, zjeść ani wypić. Leżałem obok niej... tak jak mi kazałeś. Tuliłem ją. Nawet jej śpiewałem. Irlandczycy tak robią, wiesz. Śpiewamy, kiedy ogarnia - nas melancholia.

Przedziwne. Myślałem, że tylko ja. Ale potem zdałem sobie sprawę, że wszyscy Mayfairowie tak się zachowują. To odzywa się krew Tyrone'a McNamary, przodka Julienu. Śpiewałem jej te melancholijne piosenki. Zasnąłem. Kiedy się obudziłem, nie było jej przy mnie. Znalazłem ją w ogrodzie, na trawniku pod dębem. Boso, w pięknej jedwabnej sukni, kopała, kopała w tym miejscu, w którym spoczywały szczątki. -

Spojrzał na Monę. - Była bosa i kopała jedną z wielkich łopat ogrodnika. Mówiła do siebie o Emalesh i Lasherze i przeklinała samą siebie. Kiedy chciałem ją powstrzymać, uderzyła mnie. Usiłowałem jej przypomnieć, że kazała wydobyć szczątki. Zaraz po ukończeniu Mayfair Medical wysłała zespół, który miał je odszukać.

- Emalesh, Lasher? - spytałem.

- Pamiętam - powiedziała Mona. - Byłam tam wtedy, kiedy do tego doszło.

- Tamtego dnia zachowywała się jak szalona - mówił dalej Michael. - Powtarzała w kółko to samo. Powiedziała, że należy do Talamaski. Przetrzęsnęli ziemię jak brygada archeologów. Tak, widziałas ich i pamiętasz tamten zapach, był niezwykle mocny.

Mona jak zwykle miała łzy w oczach. Serce mi się krajało na ten widok. Byli więźniami tamtych tajemnic.

- Mów dalej - poprosiła.

- Starłem się jej wytłumaczyć. Przetrzęsnęli cały obszar. Zwieźli wszystko do Mayfair Medical. Jakby nie rozumiała. Powiedziałem jej to, co ona mi wtedy powiedziała. To były chrząstki, chrząstki nieskończenie bardziej elastycznego gatunku... to nie było nawet miejsce zbrodni! Ale nie słuchała. Chodziła i mamrotała do siebie. Mówiła, że nie wiem, kim jest. To jest stara śpiewka. Znow zaczęła mówić o przyłączeniu się do Talamaski, wstąpieniu do zakonu. Jakby to był zakon.

Powiedziała, że tam jest jej miejsce. W Talamasce. W dawnych czasach, kiedy kobiety popełniły jakiś zły uczynek, mogły być wysłane do klasztoru. Powiedziała, że robi zapis na rzecz Talamaski i ją przyjmą, przyjmą szalonego naukowca, bo nim jest naprawdę. Mona, ona nie ma pojęcia, ile potrafię zrozumieć. Nie ma pojęcia, ile potrafię wybaczyć.

- Wiem, wujku Michaelu.

- Myśli, że pod względem moralnym jestem dzieckiem - rzekł. Głos mu drżał. - A potem powiedziała najgorszą rzecz.

- Co? - spytała.

- Powiedziała, że jesteś... jesteś martwa.

Mona przyjęła to bez słowa.

- Powtarzałem, że z tobą wszystko w porządku. Dopiero co cię widzieliśmy. Byłaś w świetnym stanie, wyzdrowiałaś. Kręciła głową. „Mona już nie żyje”. Tak mówiła. -

Spojrzał na mnie i spytał: - Lestacie, przyjedziesz?

Byłem zdumiony. Ten mężczyzna miał znakomitą intuicję, ale widział we mnie tylko to, co chciał wiedzieć.

- Przemówisz do niej? - spytał. - Miałaś na nią taki kojący wpływ. Widziałem to na własne oczy. Gdybyście tylko mogli przyjechać, ty i Mona. Weźcie Quinna. Ona uwielbia Quinna. Rzadko zwraca na kogoś uwagę. Ale zawsze uwielbiała Quinna.

Może to dlatego, że on widzi duchy, nie wiem. Polubiła go od pierwszego spotkania, kiedy lata temu odwiedził Monę. Zawsze mu ufała. Lestacie, gdybyś do niej przemówił... i Mona, gdybyś mogła przyjechać i pokazać jej, że jesteś żywa, pokazać, że się dobrze czujesz, po prostu gdybyś wzięła ją za rękę...

- Michaelu, posłuchaj mnie - przerwałem mu. - Jedź do domu. Quinn, Mona i ja musimy to omówić. Przyjedziemy do ciebie albo zadzwonimy tak szybko, jak się da.

Możesz być pewien, jesteśmy bardzo zatroskani stanem Rowan. W tej chwili nic się dla nas nie liczy poza jej dobrem.

Opadł na oparcie kanapy, zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Wyglądał na pokonanego.

- Miałem nadzieję, że wrócę z wami - powiedział.

- Wierz mi, nasze małe konsultacje potrważą chwilę - obiecałem. - Mamy poważne zobowiązania. Zadzwonimy albo po prostu przyjedziemy najszybciej, jak to będzie możliwe. - Zawahałem się i dodałem: - Kochamy Rowan.

Wstał, ciężko westchnął i ruszył do drzwi. Zapytałem, czy potrzebuje samochodu, który podwiózłby go do domu, i zamruczał, że przywieziono go własnym pojazdem.

Obejrzał się na Monę. Wyraźnie bała się go uściskać.

- Kocham cię, wujku Michaelu - szepnęła.

- Och, skarbeczku - powiedział - gdybym tylko mógł przeżyć jeszcze raz życie i wymazać tamtą noc.

- Nie myśl o tym, wujku. Ile razy mam ci to powtarzać? Na litość boską, weszłam przez okno. To wszystko była moja wina, od początku do końca.

Pozostał nieprzekonany.

- Wykorzystałem cię, maleńka - szepnął.

Oślupiałem.

- Michaelu, to była też sprawa wuja Julienu - powiedziała. - To był jego czar.

Popęłnił wielki błąd. Poza tym teraz to nie ma znaczenia, nie rozumiesz?

Te słowa także wprawiły mnie w zdumienie.

Wpatrywał się w nią, mrużąc oczy. Nie potrafiłem zgadnąć, czy ucieka przed tym, co widzi, czy chce mieć wyraźniejszy obraz. Można by pomyśleć, że dopiero teraz ujrzał jej świeżość, wdzięk i urodę.

- Och, wyglądasz naprawdę dobrze - westchnął. - Moje skarby. - Wrócił do nas i wziął ją w ramiona, górując nad nią jak wielki miś. - Moja kochana dziewczyna.

Obleciał mnie strach.

Kołysali się oboje, ona tonąc w jego objęciach. Nie miał żadnych podejrzeń. Zapadł

się w marzenia. A ona, nowo narodzona na swój sposób, czuła się jak w raju.

W końcu ją wypuścił i rzekł ze znużeniem, że musi wracać do Rowan, a ja ponowiłem obietnicę, że niebawem się odezwiemy.

Patrzył na mnie długo, jakby ujrzał mnie na nowo, ale to była tylko sprawa jego zmęczenia. Widział we mnie jedynie to, co chciał widzieć, i znów mi podziękował.

- Nazwała cię Rasputinem, kiedy była zła - rzekł. - No więc, powiadam ci, Lestacie, masz niebywałą moc i to jest dobra rzecz. Wyczuwam w tobie dobro.

- Skąd, na Boga, możesz to wiedzieć? - spytałem. Co to była za niebywała słodycz, móc zadać takie pytanie bez owijania czegokolwiek w bawełnę. To doprawdy był jeden z najbardziej zdumiewających śmiertelników, jakich poznałem. I pomyśleć, był jej mężem i kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy, pomyślałem, że jest dla niej idealnym towarzyszem życia.

Wyprostował rękę i ujął moją dłoń, zanim mogłem go zatrzymać. Czy nie czuł, jaka jest twarda? Elastyczna była tylko pierwsza cienka warstwa. Byłem monstrum. A jednak zajrzał mi w oczy, jakby

szukał w nich czegoś odrębnego, nie grzechów głównych, które stanowiły o istocie mojej natury.

- Jesteś dobry - powiedział, utwierdzając się w ocenie. - Myślisz, że pozwoliłbym ci objąć moją żonę, gdybym tego nie czuł? Myślisz, że pozwoliłbym ci ją całować?

Myślisz, że przyszedłbym tu prosić cię o uspokojenie żony, kiedy sam jestem bezradny, gdybym nie wiedział, czy jesteś dobry? Nie popełniam błędów na tym poziomie. Przebywałem wśród umarłych. Przychodzili do mnie i dotrzymywali mi towarzystwa. Rozmawiali ze mną. Udzielali mi nauk. Nie jestem nieświadomy.

Wziąłem się w garść. Skinąłem głową.

- Ja też przebywałem wśród umarłych. Przyprawili mnie o pomieszenie.

- Może za dużo od nich oczekiwałeś - rzekł łagodnie. - Myślę, że przybywają do nas kalecy umarli. Oczekują, że przywrócimy im pełnię postaci.

- Tak. Myślę, że to prawda. I niewątpliwie ich zawiodłem. Ale byłem też wśród aniołów. Oczekiwały ode mnie za dużo i odmówiłem im.

Lekki wstrząs uwidocznił się na jego twarzy.

- Tak, mówiłeś o tym wcześniej. O aniołach. Nie wyobrażam sobie bycia wśród nich.

- Nie zwracaj takiej uwagi na to, co mówię. Poświęcam zbyt wiele słów własnym ranom i porażkom. Jeśli można jakoś pomóc Rowan, to obiecuję ci, nie zostawimy was samych.

Kiwnął głową.

- Tylko przyjedźcie, proszę, wszyscy.

- Czy jesteście teraz sami? - spytałem.

- Oliver Stirling jest z nami, ale...

- Dobrze. Może zostać - powiedziałem. - Przyjędziemy wkrótce. Zaczekaj na nas.

Skinął głową. Jego półuśmiech był ufny, wdzięczny i dobry. Wyszedł na dwór.

Stałem rozdygotany, nasłuchując, jak schodzi po schodach, a potem mija bramę.

Zamknąłem oczy.

Ciężka cisza zapadła w salonie. Wiedziałem, że Quinn podszedł do drzwi. Z

wysiłkiem starałem się opanować bicie serca. Z wysiłkiem. Mona płakała cicho w chusteczkę.

- Mono tysiąca lat - powiedziałem. Sam usiłowałem zwalczyć łzy. Wygrałem. - Jak to możliwe, że

tak mylnie mnie ocenił?

- Przecież się nie pomylił - zaprotestował Quinn.

- A jednak. Czasem mam wrażenie, że teolodzy błędzą. Największy problem to nie wytłumaczyć obecność zła na tym świecie. To wytłumaczyć obecność dobra.

- Nie wierzysz w jego istnienie.

- A właśnie, że wierzę.

Wpadłem w nagły trans, myśląc o papieżu w bazylice pod wezwaniem Matki Boskiej z Gwadelupy i oglądającym tańczących w pióropuszcach „tubylców”.

Zastanawiałem się, czy te wieki temu Hiszpanie wymordowaliby Indian w ich pierzastych ozdobach głowy za bieganie po świątyni. Cóż, do diabła, jakie to ma znaczenie? Święty Juan Diego ochroni teraz wszystkich.

Otrząsnąłem się, mając nadzieję, że to otrzeźwi mój umysł.

Usiadłem na sofie. Musiałem rozważyć to, czego się dowiedziałem.

- Więc to Michael jest ojcem twojego dziecka - powiedziałem Monie najłagodniej jak potrafiłem.

- Tak - odparła. Siedziała obok mnie. Położyła dłoń na mojej dłoni. - Tylu rzeczy nie wolno mi zdradzić. Ale wtedy Rowan tam nie było. Rowan... Zrobiła coś potwornego.

Nie mogę powiedzieć co. Zostawiła Michaela. Była trzynastą czarownicą. Nie mogę tego powiedzieć. Zostawiła Michaela w dzień Bożego Narodzenia.

- Mów dalej o Michaelu - zachęciłem ją.

- To wydarzyło się kilka tygodni potem. W domu było kompletnie ciemno.

Weszłam przez okno. Michael podobno był chory. Rozpaczał za Rowan. Wślizgnęłam się do jego pokoju. Kiedy tylko go dotknęłam, wiedziałam, że nie jest chory.

Quinn usiadł przy nas. Uświadomiłem sobie, że słyszał naszą rozmowę z Michaeliem. Nie przejmował się tym, co Mona mi opowiadała. Przeżył wielki wstrząs, dowiadując się, że Michael jest ojcem dziecka, o którym wiedział tak mało. Ale się nie odzywał.

- Wtedy wuj Julien rzucił na nas urok - powiedziała Mona. - On nas połączył.

Chciał pomóc Michaelowi, żeby przestał rozpaczać za Rowan. Chciał mu udowodnić, że nie jest naprawdę chory. Ale ja go pożałowałam. Naprawdę pożałowałam. W tamtych czasach bzykałam się bez opamiętania. W komputerze prowadziłam listę wszystkich kuzynów, których uwiodłam. Uwiodłam mojego kuzyna Randalla, a miał wtedy z osiemdziesiąt lat. Mało się potem nie zastrzelił. Zrobił to z

trzynastką i w ogóle. To była obrzydliwość do entej potęgi. Musiałam się przyznać ciotce Bei, że uwiodłam Randalla, i wyprosiłam u niej, żeby ściągnęła pogotowie... Och, nieważne. Teraz jednak ma się dobrze. Macie pojęcie? Lubię sobie wyobrazać, że dzięki mnie dociągnie do dziewięćdziesiątki.

- Tak, oczywiście - sucho przytaknął jej Quinn. - Ale dziecko miałaś z Michaeliem.

- Tak. Dziecko, które mi zabrali.

- To urodzenie kobiety dziecka - powiedziałem - spowodowało wyniszczającą chorobę, której nie dało się zatrzymać.

- Tak. Początkowo nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Choroba rozwijała się bardzo powoli. Nie zwracałam na nią uwagi. Co teraz da wracanie do tamtych spraw? Rowan wykopała szczątki, bo chciała znaleźć coś, co by mi pomogło. Przynajmniej po części tak myślała. Teraz to już nie ma znaczenia. Co zrobimy?

- Ale co to za stworzenia pochowano? - spytałem. - Michael mówił, że nazywały się Emaeth i Lasher.

- To ich tajemnice - powiedziała z naciskiem. - Posłuchajcie, - uwolniłam się od tego wszystkiego dzięki wam, wam obu. Ale Rowan nie może od tego uciec, zgadza się? Jej jedyną ucieczką jest Mayfair Medical. Program po programie. Zgadza się? Ale muszę wyciągnąć z niej prawdę. Czy próbowała odnaleźć moje dziecko czy nie? Czy kłamała?

- Czemu miałyby kłamać? - spytał Quinn. - Jaki miałyby w tym cel? Nie rozumiesz, Mono, Lestat i ja nie możemy ogarnąć tych spraw, dopóki nie powiesz nam, co znaczą.

Mona spochmurniała. Była tak piękna, że bez względu na to, jak koszarne myśli chodziły jej po głowie, nie traciła wdzięku.

- Nie wiem - powiedziała, odrzucając w tył włosy. - Czasem mi się wydaje, że gdyby Rowan mogła dopaść jednego z nich... tych mutantów, egzemplarzy innego gatunku...

trzymałaby je pod kluczem w Mayfair Medical, dopóki nie przeprowadziłaby ostatniego testu, sprawdzając, jak wykorzystać ich ciało, pokarm czy krew w leczeniu ludzi.

- Egzemplarzy innego gatunku? - spytałem.

Westchnęła.

- Szczególnie ich pokarm ma lecznicze właściwości. Leżałam tam w ciemności i wyobrażałam sobie, że moja córka jest trzymana gdzieś w budynku. Fantazjowałam.

Rowan wmuszała we mnie różne płyny. Wyobrażałam sobie, że zmieszano w nich pokarm z piersi mojej córki. Ze wszystkie tamte zabiegi wykorzystywały właściwości mutantów. Ale teraz to wszystko się nie liczy. Teraz musimy pomóc Rowan, a jednocześnie jakoś wydobyć z niej prawdę -

jak mogłabym odnaleźć moją córkę.

- Nadal chcesz ją odnaleźć? - spytał Quinn, jakby naprawdę nie zrozumiał. - Nawet teraz, po tym co się wydarzyło?

- Tak. Zwłaszcza teraz. Już nie jestem człowiekiem, prawda? Teraz jesteśmy sobie równe, ja i Morrigan, nie rozumiesz tego? Morrigan będzie żyła przez wieki i ja też!

Pod warunkiem że Rowan przez wszystkie lata mówiła prawdę, że nie wie, gdzie jest moja córka, że ona naprawdę nadal żyje...

- Inny gatunek - powtórzyłem - nie mutanty. Istoty osiągające dojrzałość zaraz po przyjściu na świat.

- Co do tej rodzinnej klątwy... to nie wiem, na czym polega - wyznała Mona. - Nie rozumiecie? Tylko nieliczny odsetek Mayfairów wie, co się wydarzyło. Cała reszta żyje w błogosławionej ignorancji! Na tym polega ironia losu. Ta rodzina jest tak rozległa, tak dobra, tak bardzo dobra. Tak naprawdę nie mają pojęcia, co się wydarzyło, nigdy nie przypuszczali, nigdy nie poczuli, nigdy się nie dowiedzieli...

- Rozumiem twoją lojalność wobec nich - powiedziałem. - Ale nie pojmujesz, że teraz to Quinn, ty i ja jesteśmy rodziną?

Skinęła głową.

- Jestem Mayfairówną. Co mogę zrobić, żeby to zmienić? Nic. Nawet mroczna krew tego nie zmienia. Jestem Mayfairówną i to dlatego musimy tam jechać. Nie mam wyboru.

- Kiedy Julien ukazał się Quinnowi, by mu powiedzieć, że w jego żyłach płynie krew Mayfairów, wiedział o tym innym gatunku? Obawiał się, że ma ich geny?

- Proszę. Nie zadawaj mi więcej pytań. Wydarzyło się tyle złych rzeczy! Julien o nich wiedział, bo wszyscy wiedzieliśmy. Chciał nas rozdzielić, mnie i Quinna. Ale urodzenie Morrigan tak bardzo zrujnowało mój organizm, że to nie miało znaczenia.

Nie mogłam urodzić dziecka żadnego gatunku.

- Czy kochałaś Morrigan? - spytałem. - Czy była obdarzona intelektem? Czy mówiła?

- Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy urodzić jednego z tych osobników. Mówią do ciebie jeszcze z macicy, znają cię, a ty ich, i mają wpojoną wiedzę o swoim gatunku... -

Przerwała, jakby złamała przysięgę.

Objąłem ją, ucałowałem, odgarnąłem welon włosów, który nas rozdzielał, i znów pocałowałem ją w policzek. Uspokoila się. Miała cudowną skórę. Byłem wniebowzięty dotykiem jej warg, gdy pogładziłem je palcem.

Quinn przyglądał się nam, ale podobnie jak Michael przyglądający się mi przy Rowan, nie czuł zawiści. Odsunąłem się.

- Chcesz, żebym sam tam pojechał? - spytałem.

- Nie, w żadnym wypadku! - krzyknęła Mona. - Chcę się - z nią spotkać. Chcę ją zmusić, żeby mi powiedziała, czy to prawda, że moje dziecko nigdy, nigdy, nigdy nie chciało nawiązać ze mną kontaktu? Muszę to wiedzieć.

- Sądzę, że oboje powiedzieliście mi, co zrobimy - podsumowałem trzeźwo. -

Wymienimy się sekretami. Taki będzie główny cel naszego spotkania. Powiemy bez ogródek Rowan i Michaelowi, kim jesteśmy. A oni powiedzą nam o kobiecie dziecku i o tym, co pomogłoby Monie w jej poszukiwaniach. Ujawnią nam rzeczy, których Mona nie może wyjawiać.

Mona podniosła głowę. Patrzyła trzeźwiejszym wzrokiem. Spojrzałem na nią.

- To odpowiada twoim pragnieniom, moja kochana? - spytałem.

- Tak - odparła. - To w rzeczywistości część ich historii, nie mojej.

- Mona, ty mało nie umarłaś w tej historii, jak może nie być również twoja?

- Och, wdarłam się w nią przemocą. Pożądałam go. A ona go porzuciła. Przez wszystkie tamte noce w szpitalu... zadawałam sobie pytanie, czy naprawdę mi wybaczyła... I czy moje dziecko żyje, i... - Potrząsnęła głową i uniosła rękę, jakby odpędzała zjawę.

Odgarnąłem jej włosy z czoła. Pochyliła się ku mnie i pocałowałem ją.

- Musimy tam jechać, umiłowany szefie! - szepnęła. - Obiecaliśmy Michaelowi. Ona musi powiedzieć mi prawdę.

- To wszystko jest nie tak - powiedział Quinn. Pokręcił głową. Ten pomysł wyraźnie się mu nie podobał. Nikt w Blackwood nie znał jego sekretów. Nawet mądra ciocia Queen zmarła, wierząc, że jest niewinnym chłopcem.

- To jedyny sposób, żeby uratować Rowan Mayfair od szaleństwa - orzekłem. - Ona wie, kim jesteśmy, ale nie na pewno, i to ją będzie dręczyć i popychać w obsesję, a z powodu jej więzi z Moną ona i Michael nigdy nie wyjawiają prawdy. Szkoda została wyrządzona. Tylko szczerłość może ją naprawić.

- Masz rację - powiedziała Mona. - Ale jeśli powiedzą tobie i Quinnowi o Taltos, jeśli wam zaufają, opowiedzą wam o rzeczach, o których nie wie nawet większość Mayfairów, narodzi się więź I może ona w jakiś sposób uratuje nas wszystkich.

T a l t o s .

Takie więc było imię tego gatunku. Takie było imię stworzeń o dziwnej woni, spoczywających w grobach w ogrodzie, i łona śmierci.

- Michael i Rowan na pewno ukrywają straszliwe tajemnice - powiedziałem. -

Niewykluczone, że dotyczą niejednej sprawy. Niewinni Mayfairowie zaopiekują się Moną. I nie będzie musiała żyć poza rodziną. Będzie mogła ją odwiedzać i wyjeżdżać, tak jak ty, Quinn. Jej życie się unormuje.

Quinn przyglądał mi się w milczeniu i z szacunkiem, po czym zapytał:

- Jesteś zakochany w Rowan?

- To nie ma żadnego znaczenia, jestem czy nie.

Mona rzuciła na mnie ukradkowe spojrzenie, krew uderzyła jej do twarzy, bardzo gorąca, powieki zadrżały.

Ciężki, bolesny moment. Czemu moja dusza nie obrasta twardą skorupą z każdym życiem, które odbieram? Przemówiłem językiem śmiertelnika:

- Jedziemy tam ratować Rowan, zgadza się? Quinn, zechciej wezwać samochód.

Zostawiłem ich, otworzyłem drzwi i wyszedłem na balkon. Wiatr się wzmógł.

Bananowce tańczyły pod murami. Widziałem białe róże w ciemnościach. Płonął we mnie niegodziwy pożar.

- „Jam narcyz Saronu, lilia dolin - szepnąłem. - Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy”.

Z czcią wiatr poniósł te przedziwne słowa.

Chętnie bym się nie śpieszył - spacer w górę miasta, przez wąskie i szerokie ulice, w obnażonym huku tramwajów, ciężko, metalicznie klekoczących przez Chrondelet Street, dęby prace w górę i dół na St. Charles Avenue, rozognione kwiecie Garden District i błyszczący mech na ceglach.

Ale nie było czasu na długie spacery, jedynie w imaginacji.

Serce waliło mi mocno. A Quinn w głębi serca czekał, jak spisie się moje serce.

- Wiesz - powiedziała Mona, gdy czekaliśmy na chodniku na limuzynę - dwa lata nie widziałam naszego domu. Kiedy przyjechała karetka, myślałam, że wrócę za tydzień albo dwa, jak zwykle. Hmm. Ciekawe, czy wuj Julien grasuje w tamtych starych pokojach.

„Nie, kochanie”, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Jest dokładnie po drugiej stronie ulicy, w cieniach zamkniętego na noc sklepu, zdyskredytowana zjawka, patrząca na mnie z

nienawiścią. Bądź przeklęty! Ale kto wie, może wpadnie.

Miłość. Kto może poznać miłość drugiego? Im bardziej kochasz, tym lepiej poznajesz spalającą utratę miłości, tym bardziej lękasz się milczenia nieznanego w obliczu kolejnego duchowego zniewolenia.

Wyobraźcie sobie dom, który Quinn opisał przed laty w słonecznych dniach, kiedy to udał się z wizytą do ukochanej Mony, dom z mirtami napierającymi na czarne ogrodzenie i dwa sławne wysmukłe dęby, których korzenie wysadzały połamane kamienne płyty.

Białe kolumny sięgające wysoko i schodzące nisko, boczny hol i drzwi balkonowe, bujany fotel na tarasie, kute w żelazie balustrady pod girlandami kwitnącej winorośli.

I wielki tajemniczy ogród, umykający za domem w ciemność. To w tę słoneczną zatokę Julien zwabił młodego Quinna, opowiedział mu, że ma krew Mayfairów i że nie wolno mu się żenić z Moną. Niektóre zjawy nigdy się nie poddają! Zauważyłem w oddali zmarszczki na wodzie basenu i jeszcze coś, może grób tajemniczych Taltos?

Prowadzony do podwójnego salonu przez ufnego Michaela, który uśmiechał się z ulgą, od razu wyczułem wiele mówiącą woń. N i e z n a n e g a t u n k i . Woń lekka, ale wyraźna. Mona ją wyczuła, uniosła nos szybkim, nieco wampirycznym gestem.

Salon co się zowie.

Niebotyczne lustra nad bliźniaczymi kominkami z białego marmuru. Lustra na bocznych ścianach w nieskończoność pomnażające cieniste pomieszczenie i jego żyrandole. Dywany aubusson, a jakże, i wiele mebli, jednocześnie zwykłych i wyrafinowanych, pokonywało narzucony przez budowniczych podział, w czym pomagało wielkie stado foteli i kanapa pod centralnym łukiem, a dalej długi czarny fortepian, Bösendorfer, pod delikatnym welonem kurzu. Obrazy przodków na ścianach, bo kim innym mogliby być, śmiało spoglądająca niewiasta, brunetka w dobrze uszytym jeździeckim stroju, a blisko niej, zgadnijcie kto, błyszczące oczy i uśmiech, którego nigdy nie ujrzałem, monsieur Julien Mayfair, oczywiście, i wielki stojący zegar, wiernie tykający i nieznużenie kołyszający wahadłem.

Szmery, jakby ten dom był pełen duchów. Kątem oka widziany prawdziwy, autentyczny, znieawidzony Julien. Michael się odwrócił, ja nie. Julien z drugiej strony i szelest tafty, jakby staromodna suknia sunęła nad podłogą. Michael znowu się odwrócił.

- Gdzie oni są? - zamruczał.

- Nie podobamy im się - powiedziałem.

- Oni nie będą za nas decydować! - rzekł z gniewem.

Po raz pierwszy okazał gniew. Pojawił się i szybko zniknął. Jest na to eleganckie określenie: przemiął.

- Kto? - spytała Mona. - O kogo ci chodzi? - Otrząsnęła się z sobie wiadomego uroku. Wzrok szklisty od emocji. Mieszkała tu, uwielbiała to miejsce, wydartą z niego czuła technię śmierci na karku, odeszła, wróciła, czuła.

Czy musiałem czytać w jej umyśle, by się tego dowiedzieć? Nie musiałem. Czytałem to w oczach Quinna i on, dziecię wielkiego domu, czuł tu cudowny komfort, mimo obawy o utratę miłości całego klanu Mayfairów, jakby runęli na nas, wdzierając się krętą górską drogą z pochodniami w rękach, obraz z filmu klasy B.

Niebieskie oczy Michaela zatrzymały się na mnie. Był znużony, a równocześnie niezmiernie silny, dumny z tej rezydencji i w jakiejś mierze zadowolony z tego, jak go oceniałem.

- Położyłem gładź, pomalowałem go, przeciągnąłem nowe instalacje, wypiąskowałem podłogi i położyłem lakier. - Fale pomruków. - Nauczyłem się tego na Zachodzie i przez cały czas, kiedy tam mieszkałem, nigdy nie zapomniałem tego domu, codziennie mijałem go jako chłopczyk, nigdy go nie zapomniałem i oczywiście nigdy nie marzyłem, że któregoś dnia będę jego panem (krótki śmiech), to znaczy, jeśli człowiek w ogóle może być panem tego domu, on ma panią, a nawet dwie, i przez pewien czas, długi czas... - Zgubił wątek. - Chodźcie, pokażę wam bibliotekę.

Ruszyłem za nim bardzo powoli.

Noc dobierała się do okien z pełnym wsparciem wielkiego ogrodu, pieśnią skrzydełkowych istot, rechotem żab.

Wąski korytarz, wysokie ściany. Nieprzyjazne schody. Zbyt strome, zbyt długie.

Znów nieznaną woń. Ale silniejszy od niej zapach śmierci śmiertelnej istoty. Jak do tego dotarłem? Dłoń spoczęła na słupku poręczy, ożywiła przeszłość. Śmiertelnik toczy się w dół. Schody zbudowane po to, aby mówić „głową w dół”. Drzwi jak świątynne wrota unoszą się, protestując przeciwko tym domowym ograniczeniom.

- ...dodana w tysiąc osiemset sześćdziesiątym ósmym - powiedział Michael -

wszystko jest tu nieco mniejsze niż w pozostałych pomieszczeniach, ale tynki najładniejsze w całym domu. - Ściana książek, stara skóra.

- Och, tak - przyznałem mu rację - sufit wspaniały. Te twarzyczki w gipsowym medalionie.

Mona zrobiła koło po pokoju, czerwony dywan wyciszył stuk szpilek, podeszła do przeszklonych drzwi wychodzących na boczny balkon i zerknęła na zewnątrz, jakby chciała ocenić świat akurat przez te koronkowe firanki. Pawie na firankach. Potem odwróciła się w miejscu i spojrzała na Michaela.

Skinął głową. Lśniące groźbą wspomnienie. Coś potwornego, coś śmiertelnośnego zbliżyło się do okna. Hymny zgonu i umierania. Rodzinny duch z krwi i kości. Odpór.

„Szybko. Rowan czeka. Rowan wystraszona. Rowan bardzo blisko”.

- Chodź, skarbie - powiedział Monie.

Czy używałem równie serdecznie zażyłego tonu, kiedy się do niej zwracałem?

Przez chwilę chciałem ją objąć, potwierdzić swoje prawa. Moje piskłę, moja mała.

Wstyd.

Jadalnia idealnie kwadratowa z idealnie okrągłym stołem. Krzesła chippendale.

Otoczenie - freski, żniwa na plantacji. Inny żyrandol. Ale nie znam nazwy tego stylu.

Nisko opuszczony, korona świeczek.

Rowan siedziała samotnie przy stole, odbijając się w blacie jak w lustrze. Miała na sobie przewiązany sznurem ciemnopurpurowy szlafrok z jedwabnymi klapami, męskiego kroju, ale dzięki ostro zarysowanej, pozbawionej maski kosmetyków twarzy i wąskim ramionom była ideałem kobiecego piękna. Spod szlafroka nieśmiało wyglądała biała nocna koszula. Fryzura nie robiła wrażenia, przyćmiona przez wielkie szare oczy i dziewicze usta. Wpatrywała się we mnie, jakby mnie nie znała. Napór wiedzy za tymi oczami tak ogromny, że ją oślepił.

Zwróciła wzrok na Monę. Wstała z krzesła, wyciągnęła rękę, palcem dziobała powietrze.

- Wynoś się! - szepnęła przez ściśnięte gardło. Obiegła stół. - Pogrzebiemy ją pod drzewem! Słyszysz, Michael! - Łapała oddech. - Zabierz ją, ona nie żyje, nie widzisz tego, zabierz ją! - Podbiegła do Michaela i ten, załamany, złapał ją za ramiona. - Sama ja pogrzebię. Bierz łopatę, Michael. - Chrapliwy, histeryczny, przytłumiony wrzask.

Mona przygryzła wargę i skuliła się w kącie, oczy jej lśniły. Quinn próbował ją podtrzymać.

- Będziemy kopać głęboko, głęboko - mówiła Rowan, marszcząc brwi. - Zakopimy ją, żeby nigdy nie powstała! Nie widzisz, że ona nie żyje! Nie słuchaj jej! Ona nie żyje.

Wie, że nie żyje.

- Chciałabyś mojej śmierci! - załkała Mona. - Ty nienawistne, nienawistne stworzenie! - Gniew wystrzelił z niej jak ognisty jęzor. - Ty nienawistne, kłamliwe stworzenie. Wiesz, kto zabrał moją córkę! Od początku wiedziałas. Pozwoliłaś mu na to. Nienawidziłaś mnie z powodu Michaela. Nienawidziłaś mnie, bo to było dziecko Michaela! Pozwoliłaś tamtemu ją zabrać.

- Mona, przestań - powiedziałem.

- Skarbie, proszę, kochanie, proszę - błagał Michael ze względu na wszystkich i siebie samego, wyczerpany i oszołomiony, trzymając ją, gdy drapała go po ramionach.

- Podeszedłem do niej, oderwałem ją od prawowitego małżonka, złapałem za ramiona i spojrzałem w rozjarzone maniakalnie oczy.

- Zrobiłem to, bo umierała. Mój grzech, moja wina - powiedziałem. Ujrzała mnie.

Takiego, jaki jestem. Jej ciało stwardniało jak wyrzucona na brzeg kłoda drewna.

Stojący za nią Michael patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. - Bądźcie świadomi tego, co powiem, oboje. Będę mówił do umysłów, nie do uszu.

Treść legend, pokracznie wyzywani, nocni łowcy, na zawsze wykluczeni poza strefę dnia, karmiący się ludzką krwią, łowcy wyłącznie nieprawych, karmiący się odpadkami życia, jeśli są takie, zawsze kwitnący wśród ludzkiego rodu, od zarania czasów za ludzi uznawani, ciało przemienione przez krew, udoskonalone w granicach swojej natury przez krew, Quinn, Mona, ja. Masz rację, zgadza się, ona nie żyje, ale zmarła jedynie dla ludzkiego życia. Ja uczyniłem czar. Wypełniłem ją ożywiającą krwią. Pogódź się. Stało się. Nie ma odwrotu. To moje dzieło. To ból i krew dały przyzwolenie, nie umierająca dziewczyna. Dwa wieki temu nie przyzwoliłem. Rok temu Quinn nie powiedział „tak”. Może tak naprawdę nikt nie przyzwala. To zwyciężyły moje zdecydowanie i moja moc. Mój grzech, moja wina. I tak ona kwitnie. I tak poluje na krew ludzkich odpadków. Ale znów jest Moną. Noc należy do niej, za dnia słońce jej nie odnajdzie. Jam winny. Na mnie cała wina spoczywa.

Zmilkłem.

Zamknęła oczy. Krztusiła się, jakby głęboko z płuc egzorcyzmowała niewidzialne skrzepy grozy.

- Dziecię krwi - szepnęła. Opadła na mnie. Zacisnęła rękę na moim ramieniu.

Przytuliłem ją, wsuwając dłoń w jej włosy.

Michael patrzył w podłogę, jakby pospuszczał żaluzje w pokoju i chciał pomyśleć w samotności. Pozostawił ją mnie, niemal zagubiony. Wchłonął jednak wszystkie moje rewelacje i zapadły się w nim głęboko, zmęczyły go, zasmuciły.

Mona podeszła do niego i otworzyła ramiona. Przyjął ją z największą czułością.

Ucałował jej policzki, jakby poznawszy prawdę, mógł połączyć się z nią potężnym węzłem czystości. Ucałował jej usta, włosy.

- Moja maleńka dziewczynka, moja śliczna dziewczynka, mój mały geniusz. -

Obejmował ją tak samo jak pół godziny wcześniej, ale tym razem naprawdę rozumiałem jego uczucia. A świadomość jej natury docierała do niego, powoli zmieniając charakter jego uścisków.

Była w nim żądza, tak, wrodzona i karmiona przez wiele lat, praktyczna, witalna żądza, będąca częścią jego natury, jego sposobu widzenia świata, ale nie skierowana wobec Mony. Sześć lat troski o nią wypaliło to uczucie i teraz, znając przedziwną prawdę, mógł znów swobodnie pieścić i całować Monę, gruchać do niej i gładzić ją po włosach, tak, a ona znów z nim była, z ojcem swego dziecka, ojcem swej śmierci.

- Jak Taltos - wymruczała. Uśmiechnęła się swoim szczerym, słodkim uśmiechem.

Nieustraszona młodości.

I w mrocznym pokoju Michael z pewnością wyraźniej spostrzegł blask jej skóry, nienaturalne lśnienie oczu i sprężyste rude halo otaczające uśmiechniętą twarz.

Nie zauważyła jego osadów smutku, bezmiernego bólu. Z ogromnym taktem wypuścił ją z objęć, odsunął krzesło i usiadł przy stole. Pochylił się i przeczesał

palcami włosy.

Quinn usiadł naprzeciwko. Spojrzał na niego. Mona szybko zajęła miejsce obok Quinna. I tak się rozlokowali.

Stałem, obejmując Rowan. Gdzie się podziała moja żądza? Burza krwi, która wciąga w swój wir wszelkie pragnienie poznania, absorpcji, wchłonięcia, posiadania, mordy, miłości? Cały byłem szalejącym huraganem. Ale jestem bardzo, bardzo silny.

Z czymś takim trzeba się urodzić, prawda? A gdy kochasz kogoś tak, jak ja Kocham Rowan, nie próbujesz go zranić. Nigdy. Trywialne operacje serca wypalają się w spokoju. Wypalają się w pokornej świadomości, że mogą to czuć, wiedzieć i zachować we wnętrzu roztropnej duszy.

Uniosłem jej głowę, wspierając mocno palcami. Sam nie zniósłbym tego, gdyby ktoś mi tak zrobił, ale zachowałem też ostrożność i byłem gotów cofnąć rękę, gdyby okazała choć cień niechęci. Jednak tylko spoglądała na mnie z milczącym zrozumieniem. I całe jej ciało lgnęło do mnie, a dłoń, którą trzymała na moim ramieniu, zamknęła się na szyi, rozlewając ciepło.

- I tak, my, Mayfairowie wewnętrznego kręgu - powiedziała tym zdumiewającym silnym głosem, tym głębokim dźwięcznym głosem - pozyskujemy kolejny święty sekret, kolejna rasa nieśmiertelnych przybywa do nas.

Lekka i krucha wysunęła się z moich objęć, potajemnie całując moją dłoń. Podeszła do Michaela, położyła ręce na jego ramionach i spojrzała nad stołem na Monę.

- I w jakiś sposób obudzę się z tej wiedzy - mówiła dalej - i kolejną rzecz, tak...

głęboką kolejną rzecz, będę ją ściśle ochraniała, tę wiedzę, i z powrotem będę zgłębiała świat, który nie może się beze mnie obejść.

- Małeńka, wróciłaś - szepnął Michael.

To była istota, którą podziwiałem.

A gdy nasze oczy się spotkały, ujrzałem szacunek i tak pełne poznanie oraz zrozumienie mojego niezgłębionego poświęcenia, że nie potrafiłem znaleźć słów w rozkołysanej ciszy.

Niech więc przemówi poezja, prześcigając prozę. „O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, groźna jak zbrojne zastępy, odwróć ode mnie twe oczy, bo niepokoją mnie!

Ogrodem zamkniętym jesteś, siostró ma, oblubienico, ogrodem zamkniętym, źródłem zapieczętowanym”.

Czemu tak bardzo ją kochałem? Z pewnością ktoś przeczyta te strony i zada pytanie: Co w niej było takiego wartego miłości? Czemu ty, właśnie ty ze wszystkich stworzeń, tak się w niej rozkochałeś? Czemu ty, kochanek mężczyzn i kobiet, wampir, niszczyciel niewinnych dusz, tak bardzo się zakochałeś? Ty, obiekt tak bezpretensjonalnych uczuć, wiecznie i wszędzie kuszący swoim nieodpartym urokiem

- dlaczego ją kochałeś?

Co mam powiedzieć? Nie znałem jej wieku. Nie mogę go podać. Nie potrafię inaczej opisać jej włosów, poza tym, że były przycięte i podwinięte na końcach, że czas pozostawił na jej gładkiej twarzy zaledwie lekkie ślady, a jej figura była chłopięca.

Takie detale dostrzega się jednak tylko na zmierzwionej fali, którą wzbudza poczucie miłości. Same w sobie nic nie znaczą. Lecz gdy się wierzy, że tak silna kobieta sama ukształtowała rysy twarzy, układ brwi, wyprostowaną postawę, jednoznaczność gestów, sposób, w jaki włosy otulają jej twarz, długość i odgłos kroków - wtedy może znaczą wszystko.

Przy płomiennorudej Monie miała barwę popiołów, kobieta wyrysowana węglem, o pozbawionym seksapilu, przeszywającym spojrzeniu, duszy tak bezmiernej, że zdawała się wypełniać każdą tkankę jej postaci i rozszerzać w nieskończoność, a jej wiedza o otaczającym ją świecie sprowadzała do parteru każdego, kogo już poznała, i dopiero miała poznać.

Wyobraźcie sobie takie odizolowanie.

Nie mówiła do ludzi z góry. Po prostu do nich nie mówiła.

Tylko Bóg znał liczbę istnień, które uratowała. I tylko ona знаła liczbę ludzi, których zamordowała.

W Mayfair Medical Center dopiero rozpoczęła realizować swoje niesłychane marzenia. Wprawiała w ruch wielką maszynę, nieustannie leczącą ludzi. Ale prawdziwy napęd dawały jej jeszcze nie ujawnione przedsięwzięcia. Miała bogactwo, wiedzę, wizję jak wyciętą laserem, odwagę i osobistą energię, by móc je zrealizować.

Jaki był słaby punkt tej gigantycznej indywidualności, która pokonała barierę tragedii i rodowego dziedzictwa i znalazła dla siebie idealny cel? Zdrowie psychiczne.

Od czasu do czasu ulegała szaleństwu, jakby to był mocny drink, i pijana odrzucała swoje wznieśłe plany, tonąc we wspomnieniach i poczuciu winy, gubiąc wszelką umiejętność oceny i proporcje, przebąkując pod nosem, że jest nic niewarta, i głosząc nieprzemysłane plany ucieczki od świata, która uwolniłaby ją na zawsze od wszelkich oczekiwań.

W tym cennym momencie uważała trzeźwe widzenie za stan łaski i potraktowała mnie jako demona, który go jej przywrócił. W jej wyobrażeniu byłem łącznikiem między dwoma światami. To znaczyło, że sama też mogła między nimi kursować.

Dziecię krwi, powiedziała.

Pożądała mnie. Mimo tego wszystkiego, czym byłem - to znaczy, mimo wszystkiego, co wyczuwała podczas naszych spotkań i o czym wiedziała, że jest prawdą - zarówno po tym, jak się zachowywałem, jak i po jej własnych obawach.

Pożądała mnie bez reszty. To żądza wyrastała z jej wszystkich talentów, przewyższała i miażdżyła miłość do Michaela. Wiedziałem o tym. Jakże inaczej? Nie miała jednak zamiaru jej ulec. A jej wola? Była żelazna. Żelazo też można namalować węglem, czyż nie?

Musicie zachować tę tajemnicę przed wszystkimi - powiedziała Mona. Głos jej drżał.

Mocno ścisnęła dłoń Quinna. - Jeśli zachowacie ją przed wszystkimi innymi, to za jakiś czas będę mogła z nimi przebywać. Mam na myśli resztę rodziny. Mogę ich trochę poznać. Tak jak Quinn zna wszystkich w Blackwood. Na jakiś czas mogę zniknąć. Czemu nazwałaś mnie dziecięciem krwi, co to znaczy?

Rowan patrzyła na nią z drugiej strony stołu. Potem z nagłym pozbawionym gniewu rozdrażnieniem zerwała z siebie purpurowy szlafrok, wynurzając się z niego jak z pękniętej muszli, emanująca napięciem postać w białej bawełnianej nocnej koszuli bez rękawów.

- Wyjdźmy stąd - powiedziała, jej miękki, głęboki głos bardziej pewny siebie, głowa lekko pochylona. - Chodźmy do miejsca, w którym inni są pogrzebani. Stirling tam jest. Zawsze uwielbiałam to miejsce. Porozmawiajmy w ogrodzie. - Ruszyła i dopiero wtedy zauważyłem, że jest boso. Rąbek koszuli włókł się po podłodze.

Michael wstał od stołu i poszedł za nią. Wyglądało na to, że celowo nie patrzy nam w oczy. Zrównał się z Rowan i objął ją ramieniem.

Mona natychmiast ruszyła za nimi.

Przecieliśmy klasyczny pokój kredensowy z wysokimi, przeszklonymi szafkami pełnymi żywej barwy porcelany i nowoczesną kuchnię z balkonowymi drzwiami, zesłaliśmy po malowanych drewnianych stopniach na rozległe patio wyłożone płaskim kamieniem.

W głębi rozciągał się spory ośmiokątny basen, migocący wieloma podwodnymi światłami, a za nim wyrastała wysoka, dumna kabina kąpielowa.

Długie balustrady z wapienia dzieliły płaty ogrodu, rozsadzane tropikalnymi roślinami. Silny zapach nocnego jaśminu nagle wypełnił powietrze.

Weszliśmy pod wielkie niskie konary rosnącego po lewej stronie drzewa. Cykady dzwoniły z odleglejszej gęstwiny. Nie słyszało się samochodów. Samo tchnienie powietrza było błogosławieństwem.

Mona głośno wciągnęła oddech, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, rozrzucając włosy. Odwróciła się do Quinna, szukając wsparcia w jego uścisku. Mruczała przy tym równie szybko, jak koliber macha skrzydłami.

- Wszystko jest takie samo, urocze, bardziej urocze niż to zapamiętałam. Nic się nie zmieniło.

Rowan przystanęła i podniosła wzrok ku sunącym chmurom, jakby dając Monie czas na wchłonięcie tego wszystkiego. Przez sekundę patrzyła mi w oczy. Usłyszałem myśl: *Dziecię krwi. Akta z faktami.* Potem na Monę. Potem znów na chmury.

- Kto chciałby zmieniać takie miejsce? - spytała łagodnie cichym, melodyjnym głosem, odpowiadając Monie.

- Jesteśmy tylko strażnikami - dodał Michael. - Któregoś dnia będą tu mieszkać inni Mayfairowie, długo po tym, jak nas nie będzie.

Czekaliśmy zbici w gromadkę. Quinn był bardzo niespokojny. Mona zachwycona.

Poszukałem wzrokiem zjawy Julienu. Jeśli gdzieś tu był, to nie w pobliżu. Za duże ryzyko, Michael mógł go zobaczyć.

Z czarnej żelaznej bramy wyłonił się Stirling, wychodząc nam na spotkanie, jak zawsze dżentelmen w świeżo odprasowanym lnianym garniturze, dziwnie milczący.

Rowan ruszyła dalej, nie bojąc się niczego, mimo że bosa, zmierzając tam, skąd właśnie wyłonił się Stirling.

Wzrok Stirlinga na jedną krótką chwilę zatrzymał się na Monie, by zaczerpnąć informacji, a potem Anglik ruszył za Rowan i Michaeliem.

Wszyscy zanurzyliśmy się w inny świat, po drugiej stronie włoskiej balustrady.

Tu panowały rozległe łąpiany i bananowce, szeroki trawnik sięgał pod wielki stary dąb, żelazny stolik i nowoczesne żelazne krzeselka były, jak podejrzewam, o wiele wygodniejsze niż zabytki na moim dziedzińcu. Wysoki ceglany mur opasywał teren, rząd cisów zasłaniał go przed parkingiem, a piętrowy drewniany dom przed resztą świata. Samą rezydencję krył przed naszym wzrokiem wysoki, gęsty liguster.

W pomieszczeniach dla służby ktoś był. Spał. Śnił. Starawa duszyczka. Mniejsza z nią.

Mokra ziemia, rzadko zasadzone kwiaty, szeleszczące liście w wilgotnym balsamicznym powietrzu, wszystkie pieśni nocy, woń rzeki, tylko osiem przecznic do Irish Channel, gdzie gwizdek tramwaju ciał noc, wiodąc odległy, łagodny łoskot wagonów.

Cykady nagle ucichły, lecz drzewne żabki wciąż głośno śpiewały, a poza tym były nocne ptaki, które tylko wampiry słyszą.

Niskie latarnie wzdłuż cementowej ścieżki zapewniały bardzo słabe światło.

Podobne punkty orientacyjne rozstawiono w najdalszych zakątkach ogrodu. Dwa umocowane wysoko na dębie reflektory rzucały miękkie jarzeniowy blask na całe otoczenie. Księżyc był w pełni, ale ukryty za wachlarzem chmur, tak że znajdowaliśmy się w rzadkim, różowym i przyjaznym dla oka mroku. Ogród był pełen życia i niezliczonych malutkich ust, starających się nami pożywić.

Gdy wszedłem na trawnik, poczułem nikłą woń obcego gatunku, tę samą, którą Quinn wyczuł, gdy przyszedł tu jako zaproszony przez zjawę chłopiec. Zauważyłem, że wyostrzone zmysły Mony zaraz ją rozpoznały. Wyprostowała się, jakby poczuła obrzydzenie, a potem zaczerpnęła głęboki oddech.

Quinn się pochylił i pocałował ją.

Stirling grał rolę gospodarza, odsuwając krzesła wokół stołu. Starał się ukryć zdziwienie na widok Mony. Przestał traktować jak cud przemianę Quinna, wcześniej napotkawszy go w przerażających okolicznościach, a potem jeszcze raz, w noc, w którą przybyliśmy opowiedzieć mu, że Merrick Mayfair odeszła na zawsze. Ale że Mona...

nie potrafił otrząsnąć się z wrażenia.

Śnieżnobiała koszula nocna Rowan otarła się o błoto. Rowan nie zwracała na to uwagi. Mruczała lub śpiewała pod nosem, nie potrafiłem zgadnąć, wyłapać słów ani sensu. Michael wpatrywał się w dąb, jakby do niego mówił. Po chwili zdjął marynarkę.

Powiesił ją na oparciu krzesła. Wciąż jednak stał, wpatrzony w drzewo, jakby kończył wygłaszać tyradę. Był z niego kawał chłopca.

Stirling pomógł Monie usiąść i zaprosił Quinna do zajęcia miejsca obok niej. Ja czekałem, aż Rowan i Michael usiądą.

Nagle Rowan odwróciła się do mnie i zarzuciła mi ramiona na szyję. Przyłgnęła do mnie tak mocno, jak robią to tylko śmiertelniczki, przynosząc mi w darze nieskończoną jedwabistość i delikatność swojego ciała, gorączkowo szepcząc coś, czego nie potrafiłem uchwycić, biegając po mnie wzrokiem, podczas gdy stałem nieruchomy, z rozszalałym sercem. A potem zaczęła mnie gładzić, twarz, włosy i splotła nasze dłonie. Na koniec złapała moją rękę, wepchnęła sobie między uda i zaraz ją cofnęła, dygocąc, odsuwając się i wpatrując mi się w oczy.

Byłem bliski szaleństwa. Czy ktokolwiek miał pojęcie, jaka burza we mnie szalała?

Zatrzasnąłem wieko trumny mojego serca. Z całą mocą. Przetrwałem najgorsze.

Przez cały ten czas Michael w ogóle na nas nie spojrzał. Usiadł w którymś momencie, plecami do drzew, twarzą do Mony i Quinna, i mówił do niej, znów kojącym głosem śpiewał ojcowską piosnkę, jaka to jest słodka, śliczna i że jest jego ukochaną córeczką. Widziałem to wszystko kątem oka, opanowany przemożną słabością, aż w końcu się otrząsnąłem i niemoc prysła. Objąłem szczupłe ciało Rowan, ucałowałem ją w czoło, czując twardość czaszki pod słodką skórą, i miękkie, nie stawiające oporu wargi. Rozplotłem jej ramiona i patrzyłem, jak zajmuje krzesło obok Michaela. Bez słowa. Spełniona.

Usiadłem po drugiej stronie stołu, obok Mony. Żółć pożądania sięgnęła mi gardła.

Takiej żądzy nie da się opisać. Takiej potrzeby. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w noc. Potężny chór wygłodniałych, odrażających stworów. Pracujących w miękkiej żyznej ziemi stworzeń budzących taki wstręt, że nie potrafiłem się nad nimi zatrzymać. Nie kończący się klekot nadržecznego tramwaju. I idiotyczna kaliope na łopatkowcu wożącym turystów w górę i w dół rzeki, bawiących się, śmiejących, tańczących i śpiewających.

- Dziki Ogród - szepnąłem. Odwróciłem się, jakbym nie cierpiał tego wszystkiego.

- Co powiedziałaś? - spytała Rowan. Gorączkowa bieganka jej oczu na krótko ustała.

Zamilkli wszyscy prócz śpiewających potworów. Potworów ze skrzydłami, sześcioma nogami, ośmioma albo zupełnie bez nóg.

- To takie określenie, jakim kiedyś nazywałem Ziemię - powiedziałem - w dawnych czasach, kiedy w nic nie wierzyłem, kiedy uważałem, że jedyne prawa to prawa estetyki. Ale wtedy byłem młody, świeżo wprowadzony w krew i głupi, oczekiwałem dalszych cudów. Zanim się dowiedziałem, że wiemy więcej o nicości i tylko tyle.

Czasem znów do niego wracam, kiedy noc jest tak niespodziewanie piękna jak dzisiejsza.

- A teraz jednak w coś wierzysz? - spytał Michael.

- Zaskakujesz mnie. Myślałem, że spodziewasz się po mnie wszechwiedzy.

Śmiertelni zwykle tak myślą.

Potrząsnął głową.

- Mam wrażenie, że rozpoznajesz świat krok za krokiem, jak my wszyscy.

Jego oczy uciekły ku drzewu, które rosło za mną. Wydawał się zajęty nocą i głęboko zraniony czymś, czego nie miałem nadziei odczytać. Nie zamierzał się z tym obnosić, z tą raną. Po prostu otworzyła się zbyt szeroko, aby potrafił ją ukryć, tak więc odpłynął

w rozmyślenia, nieomal z uprzejmości.

Mona starała się nie rozpłakać. To miejsce, ten sekretny zakątek, tak doskonale ukryty przed światem zatłoczonych ulic Garden District, najwyraźniej był dla niej święty. Wsunęła swoją dłoń w moją. Jej druga ręka pozostawała w uścisku Quinna i wiedziałem, że trzyma się go równie mocno jak mnie, wciąż szukając wsparcia.

Co się tyczy mojego ukochanego Quinna, to czuł się bardzo niewygodnie i niepewnie. Z niepokojem spoglądał na Rowan i Michaela. Nigdy nie był w towarzystwie tak wielu śmiertelnych, którzy wiedzieli, kim jest. Więcej, dotąd jedynym, który znał jego obecną naturę, był Stirling. On również wyczuwał obecność tej starej osoby w domku. Nie podobało mu się to.

A Stirling, który słusznie zakładał, że doszło do ujawnienia, i widział, że Rowan jest teraz wyciszona i głęboko zamyślona, również wydawał się wystraszony, chociaż nie tracił przy tym godności. Siedział dalej po mojej lewej stronie i nie spuszczał wzroku z Rowan.

- W co teraz wierzysz? - spytała mnie Mona, głosem niepewnym, chociaż natarczywym. - Chodzi o to, że jeśli dawna wizja Dzikiego Ogrodu była błędem, co ją zastąpiło?

- Wiara w Stwórcę - odparłem - który złożył to wszystko z miłością i celowo. Co innego?

- Amen - rzekł z westchnieniem Michael - ktoś lepszy od nas, to oczywiste... ktoś lepszy od wszystkich stworzeń, które przemierzają ziemię, ktoś, kto wykazuje współczucie...

- Czy wy okażecie nam współczucie? - spytał Quinn. Ostro. Patrzył prosto w oczy Michaelowi. - Chcę, żeby moja tajemnica była tak samo uszanowana jak Mony.

- Kłopot z tobą polega na tym, że myślisz, że nadal jesteś człowiekiem - wytknął mu Michael. - Twoja tajemnica jest całkowicie bezpieczna. Stanie się dokładnie tak, jak sobie tego życzysz. Oczekajcie bezpieczny okres. Potem Mona może wrócić do rodziny. To wcale nietrudne.

- Mówisz o tym tak, jakby to było dla ciebie niesamowicie łatwe - rzekł

podejrzliwym tonem Quinn. - Czemu?

Michael parsknął gorzkim śmiechem.

- Musisz zrozumieć, kim byli Taltos i co nam zrobili.

- I co ja zrobiłam jednemu z nich - wtrąciła cicho Rowan. - Zbyt pochopnie. Zbyt głupio. - Jej wzrok uciekł w przeszłość.

- Czegoś nie wiem albo nie rozumiem - powiedział Quinn. - Wydaje mi się, że Lestat miał na myśli wymianę tajemnic. Są rzeczy, których Mona po prostu nie potrafi wytłumaczyć. Zbyt mocno ją zraniły. Dotyczą was. Została złowiona w sieć lojalności i nie może się uwolnić. Jedno wszakże jest jasne. Chce znaleźć swoją córkę, Morrigan.

- Nie wiem, czy możemy jej pomóc - wyznał Michael.

- Teraz sama mogę poszukać Morrigan - zaprotestowała Mona. - Znów jestem silna. - Jej dłoń zacisnęła się na mojej. - Ale musicie powiedzieć mi wszystko, co wiecie. Przez dwa lata leżałam w szpitalnym łóżku jak wariatka, nie wiedząc, co się dzieje. Wciąż mam zamęt w głowie. Nie wiem, czemu nie znaleźliście mojej córki.

- Jeszcze raz przedstawimy ci wszystko - zapewnił ją uspokajającym tonem Michael.

Rowan mruczała coś cicho, a potem nagle się ocknęła; patrzące w dal, niepewnie patrzące oczy znów szybko przemknęły wokół stołu, jakby nic nie widziały.

- Wiedziałam o was - rzekła. Mówiła cicho, płynnie. - Chcę przez to powiedzieć, że wiem, kim jesteście; dziećmi krwi, łowcami krwi, wampirami. Wiedziałam o tym. To nie była prosta sprawa. Michael to potwierdzi. Ta wiedza przybywała stopniowo. - Po raz pierwszy spojrzała mi prosto w oczy, kontynuując: - Kiedyś ujrzałam jednego z waszego gatunku. Spacerował po dzielnicy francuskiej. Czarnowłosa samiec, bardzo przystojny i różny od całego otoczenia. Chyba kogoś szukał. Sparaliżowały mnie sprzeczne emocje, pociąg i strach. Znacnie moje moce. Nie są tak rozwinięte jak powinny. Jestem czarownicą, która nie będzie czarownicą, szalonym naukowcem, który nie będzie

szalony. Chciałam się o nim dowiedzieć czegoś więcej. Chciałam za nim pójść. Nigdy o nim nie zapomniałam - wiedziałam, że nie jest człowiekiem i że nie jest duchem. Chyba nikomu o nim nie powiedziałam. Ale potem tamta kobieta zniknęła z Talamaski. Nazywała się Merrick Mayfair. Nie poznałam jej, ale wiedziałam, że istnieje - że jest kolorową Mayfair, pochodzi z gałęzi rodziny mieszkającej w śródmieściu. Nie pamiętam, skąd się o niej dowiedziałam. Wydaje mi się, że to Lily Mayfair, tak, a może Lauren - nie cierpię Lauren, ma zły charakter -

opowiedziała mi, że jest wielu kolorowych Mayfairów, ale ta Merrick nie była blisko związana z żadnymi z nich. Miała niezwykle zdolności paranormalne. Wiedziała o naszym istnieniu, gałęzi z Pierwszej Ulicy, ale jej nie zależało na kontakcie z nami.

Większość życia spędziła w Talamasce i wtedy nawet nie mieliśmy pojęcia o jej istnieniu. Mayfairowie nie cierpią tego, kiedy nie wiedzą o istnieniu innych Mayfairów. Lauren opowiedziała, że ona kiedyś przyszła, ta Merrick Mayfair, kiedy dom był otwarty dla zwiedzających w Dniu Zwiedzania - to taki nasz ukłon w stronę organizacji ochrony zabytków - po tym jak Michael odrestaurował go całego, po tym jak definitywnie skończyły się złe czasy i zanim Mona zaniemogła. Merrick przeszła przez rezydencję razem z turystami, macie pojęcie, tylko po to, żeby obejrzeć jądro życia rodziny. A nas nie było w domu. Nie wiedzieliśmy, co się wydarzyło.

Na te słowa jakby przeszył mnie miecz. Spojrzałem na Stirlinga. On również cierpiał. Wrócił obraz Merrick wspinającej się na płonący ołtarz, zabierającej ze sobą w Światłość ducha, który całe życie prześladował Quinna. Nie wspominaj. Nie przeżywaj. Nic nie poradzisz.

Rowan mówiła o dużo wcześniejszych wydarzeniach, które od ostatniej nocy Merrick dzieliło wiele czasu. Mówiła o tym, jak Merrick zwróciła się do nas.

- A potem zniknęła - powiedziała - i Talamaskę ogarnął zamęt. Merrick przepadła.

Robota zła, szeptano. Wtedy właśnie Oliver Stirling przybył na Południe. - Spojrzała na niego. Przyglądał się jej z obawą, ale spokojnie.

Znów opuściła wzrok, głos nadal miała miękki i cichy, powstrzymywała wybuch hysterii.

- O, tak - powiedziała do mnie - wiem. Czasem myślałam, że oszaleję. Nie po to zbudowałam Medical Mayfair, żeby zostać szalonym naukowcem. Taki ktoś jest zdolny do niewyobrażalnych czynów. Doktor Rowan Mayfair musi być dobra.

Stworzyłam ten ogromny szpital, żeby doktor Rowan Mayfair mogła poświęcić się dobru. Gdy tylko ten plan wszedł w fazę realizacji, nie było mnie stać na pogrążanie się w szaleństwie... marzenia o Taltos i tym, dokąd oni się udają, marzenia o dziwnych stworach, które widziałam i które przepadły bez śladu. O dziecku Mony. Robiliśmy wszystko, co się dało, żeby je odnaleźć. Ale ja nie mogłam żyć w świetle cieni.

Musiałam być na miejscu ze względu na wszystkich zwykłych ludzi, podpisywać umowy, zatwierdzać plany, rozmawiać z lekarzami w całym kraju, latać do Szwajcarii, do Wiednia na rozmowy z lekarzami, którzy chcieli pracować w idealnym szpitalu, takim, który bije na głowę wszystkie inne

placówki pod względem wyposażenia, pracowni, personelu, wygód, procedur i programów. To miało mnie przykuć do świata zdrowych zmysłów, to miało rozwinąć moje lekarskie wizje do samych granic...

- Rowan, to, co zrobiłaś, było wielkie - przerwał jej Quinn. - Mówisz tak, jakbyś traciła wiarę, kiedy wychodzisz poza Medical Mayfair. Wszyscy inni myślą inaczej.

Z jej ust nadal spływał łagodny potok słów, jakby uwaga Quinna w ogóle do niej nie dotarła, jakby nie potrafiła przestać mówić.

- Do centrum przyjeżdżają najróżniejsi ludzie, tacy, którzy wcale nie byli rodzicami Taltos, wcale nie widzieli duchów, nigdy nie grzebali trupów w Dzikim Ogrodzie, nie napotkali dzieci krwi, nigdy nawet nie mieli nadziei na spotkanie żadnej niezwykłości w żadnej postaci, centrum niesie pomoc wszystkim, opiekuje się nimi, jest dla nich czymś prawdziwym, prawdziwym, to się liczy. Nie mogłam z niego zrezygnować, nawet nie mogłam uciec w koszmary ani pisaninę w moim gabinecie, nie mogłam zawieść moich lekarzy i stażystów, laborantów i zespołów badawczych i zdajecie sobie sprawę, że przy moim wykształceniu, neurochirurga, naukowca w głębi duszy, miałam osobiste podejście do każdego zagadnienia w tym gigantycznym organizmie; nie mogłam uciec, nie mogłam zawieść, nie mogę teraz zawieść, nie mogę nie przyjść, nie mogę...

Przerwała, zacisnęła oczy, złożoną na stole dłoń stuliła w pięść.

Michael przyglądał się jej ze spokojnym smutkiem.

- Mów, Rowan - zachęciłem ją. - Ja cię słucham.

- Doprowadzasz mnie do wściekłości - powiedziała Mona cichym, ostrym tonem. -

Chyba cię nienawidzę.

Byłem wstrząśnięty.

- O, tak, zawsze mnie nienawidziłaś - rzekła Rowan, unosząc głos, ale nie błędzące oczy. - Bo nie mogłam cię uzdrowić. I nie mogłam znaleźć Morrigan.

- Nie wierzę ci! - krzyknęła Mona.

- Ona nie kłamie - powiedział karcącym tonem Quinn. - Przypomnij sobie, co przed chwilą wyznałaś. Przez lata byłaś chora, miałaś zamęt w głowie.

- Mona, skarbie, my nie wiemy, gdzie jest Morrigan - dodał Michael.

Mona oparła się o Quinna i objęła go ramieniem.

- Powiedz nam, Rowan, powiedz to, co masz nam do powiedzenia - poprosiłem. -

Chcę to usłyszeć.

- Och, taaak, taaak - rzekła Mona - ciągnij dalej sagę o Rowan.

- Mona - szepnąłem, pochylając się, biorąc w ręce jej głowę i przyciągając do siebie, przykładając usta od jej uszu - to są śmiertelni, a do śmiertelnych mamy wieczną cierpliwość. Nic nie jest takie, jak było. Powstrzymaj swoją siłę. Powstrzymaj swoją starą śmiertelną zazdrość i zawiść. Tu nie ma dla nich miejsca. Nie zdajesz sobie sprawy z mocy, którą teraz dysponujesz i która pozwoli ci odszukać Morrigan? Tu i teraz chodzi o resztę twojej rodziny.

Z oporem skinęła głową. Nie zrozumiała mnie. Choroba oddzieliła ją od tych ludzi.

Dopiero teraz zacząłem dostrzegać rozmiar wyrosłej przepaści. Chociaż pewnie każdego, kaździutkiego dnia ją odwiedzali, była pod wpływem środków znieczulających, lekarstw, bólu, samotności.

Delikatne szurania rozbiły moją koncentrację. Osoba w domu dla służby obudziła się i szła po drewnianych stopniach. Stuknęły siatkowe drzwi i lekkie stopy zaszeleściły wśród trawy.

To mógł być mały gnom, to stworzonko, które wyłoniło się pośród łopianów i paproci, ale to po prostu była wiekowa staruszka - drobniutka, o całkowicie pomarszczonej twarzyczce, czarnych oczach i siwiuteńkich włosach splecionych w dwa gładkie warkocze przewiązane na końcach różowymi kokardkami. Miała na sobie gruby szlafrok w kwiaty i rozczłapane różowe kapcie.

Mona wybiegła jej na spotkanie, krzycząc: „Dolly Jean!” Uniosła stworzonko nad ziemię i zawirowała z nim.

- Panie Boże na wysokościach - wykrzyknęła Dolly Jean - ależ to prawda, to Mona Mayfair! Dziecko łaski Pańskiej, zaraz postaw mnie na ziemi i mów, co cię napadło.

Patrzcie na te szpileczki. Rowan Mayfair, czemuś mi nie powiedziała, że to dziecko tu jest, a ty, Michaelu Curry, żeś mi dał tego rumu, myślisz, że twoja matka w niebiesiech nie wie, co ty wyprawiasz, myślałeś, że padnę, jak bez zmysłów, wiem, nie myśl sobie, że nie wiem, i patrzcie na Monę Mayfair, co wyście jej wpompowali?

Mona nie zdawała sobie sprawy, że dzięki swojej wampirycznej sile trzyma staruszkę w powietrzu i że to wygląda zupełnie nienormalnie.

Towarzystwu zapało dech w piersiach.

- Och, Dolly Jean, to było tak długo, tak strasznie długo - załkała Mona. - Nawet nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz cię widziałam. Byłam cały czas pod kluczem, kłuta i nieprzytomna. A kiedy mi powiedzieli, że Mary Jane Mayfair znów uciekła, to chyba wpadłam w stupor.

- Wiem, dziecino - powiedziała Dolly Jean - ale nie chcieli mnie wpuścić do tego pokoju, mają te swoje zasady, ale nie myśl nawet przez chwilę, że opuściłam choć jeden dzień, żeby nie odmówić za ciebie różańca. A któregoś z dobrych dni Mary Jane wypruje się z kasy i wróci do domu albo trafi martwa do kostnicy z kartką z nazwiskiem na wielkim palcu u nogi i ją znajdziemy.

Tymczasem wszyscy powstaliśmy, poza Rowan, która siedziała głęboko pogrążona w myślach, jakby nic się nie wydarzyło. Michael szybko odebrał Monie Dolly Jean -

najwyraźniej była lekka jak piórko - i posadził ją na krześle między sobą a Rowan.

- Dolly Jean, Dolly Jean! - popłakiwała Mona, gdy Quinn z powrotem prowadził ją do stołu.

Rowan nie spojrzała ani na Monę, ani na Dolly Jean. Mruczała, opowieść toczyła się w jej głowie, nieprzerwana, a oczy sondowały ciemność, nie znajdując niczego.

- Dobra, Dolly Jean, uspokój się, i ty, Mona, też i daj Rowan mówić - nakazał

Michael.

- A tyś kto, na Boga?! - zawołała na mój widok Dolly Jean. - Najświętsza Mateńko Boska, skądęś się ty wziął?

Rowan nagle się odwróciła i z wyraźnym zdumieniem spojrzała na Dolly Jean.

Potem znów zapadła się w siebie i pełne ludzi wspomnienia.

Staruszka ucichła i znieruchomiała.

- O, rety, biedna Rowan - wymruczała - znowu świata nie słyszy ani nie widzi. -

Wróciła do mnie wzrokiem, głośno nabrała powietrza i zawołała: - Wiem, coś ty za gagatek!

Uśmiechnąłem się. Nie mogłem się powstrzymać.

- Proszę, Dolly Jean - powiedział Michael - mamy tu do ustalenia pewne sprawy.

- Jezusie, Mario, Józefie! - zawołała Dolly Jean, tym razem wpatrując się w Monę, które pośpiesznie otarła ostatnie łzy. - Moje dzieciątko, Mona Mayfair, jest dzieckiem krwi! - Wtedy jej wzrok odnalazł Quinna i znów głośno złapała powietrze, i zawołała: -

To ten w czarnych włosach!

- Nie, nie ten! - oświadczyła chrapliwym szeptem Rowan. - To Quinn Blackwood.

Wiesz, ten, co to od wieków kocha się w Monie. - Powiedziała to takim tonem, jakby to wyjaśniało wszystkie tajemnice wszechświata.

Dolly Jean, podskakując, odwróciła się na krześle i kiwając dziwacznie głową, uważnie przyjrzała się Rowan, która patrzyła na nią lśnącymi oczami, jakby wcześniej nawet jej nie zauważyła.

- Och, moja dziewczynka, moja biedna dziewczynka! - powiedziała Dolly Jean.

Drobnymi łapkami pogładziła Rowan po włosach. - Moja kochana dziewczynko, nie smuć się tak,

zawsze się smucisz z czyjegoś powodu. Moja grzeczna dziewczynka.

Rowan długo gapiła się w nią, jakby nie rozumiała słowa z tego, co słyszy, i po chwili znów zatopiła wzrok w dali, na wpół marząc, na wpół rozmyślając.

- O czwartej dzisiejszego popołudnia - powiedziała Dolly Jean, nadal gładząc włosy Rowan - ta biedna duszyczka kopała sobie grób w tym ogrodzie. Widzę, jak dobrześ go ukrył, Michaelu Curry, myślisz, że potrafisz wszystko ukryć, a kiedy przyszedłam tu ją spytać, co wyrabia, stała w dole, po kolana w bloku, i prosiła mnie, żebym złapała łopatę i ją zakopała, póki jeszcze dycha.

- Zamknij się, bądź cicho - szepnęła Rowan, patrząc daleko, jakby widziała głosy nocy. - Teraz czas na szersze widzenie. Przybyło nowicjuszy i mamy wewnętrzny krąg.

Bądź go warta, Dolly Jean. Przymknij się.

- W porządku, moja dziewczynko - powiedziała Dolly Jean - mów sobie dalej, jakby nigdy nie, a co się tyczy ciebie, Mona, moja gwiazdeczko, cały dzień będę odmawiała za ciebie różaniec i za ciebie też, Quinnie Blackwoodzie. I za ciebie, ty blondasie, ty zwierzaku cudowny! Myślisz, że cię nie rozgryzłam, ale rozgryzłam, rozgryzłam!

- Dziękuję, droga pani - rzekłem ze spokojem.

- Więc wszyscy zachowacie nasz sekret? - odezwał się Quinn. - Z każdą chwilą jesteśmy wystawieni na coraz większe niebezpieczeństwo. Co jeszcze z tego wyniknie?

- Ten sekret można zachować - powiedział Stirling. - Omówimy to. Zresztą i tak co się stało, to się nie odstanie.

- No, coście wy, myślicie, że zaraz rozpowiemy o was całemu klanowi Mayfairów i uwierzą w dzieci krwi! - roześmiała się Dolly Jean, bijąc o stół obiema rękami. - Toż można skończyć ze śmiechu! Nie możemy ich nawet przekonać, że Taltos są naprawdę!

Ta cudowna doktorka nie może ich przekonać, żeby uwierzyli w podwójną spiralę, nie może ich przekonać, żeby zachowywali się jak należy, bo przyjdzie na świat następne dorosłe niemowlę! I wy myślicie, że by nas chcieli słuchać, gdybyśmy opowiedzieli im wszystko o dzieciach krwi? Skarbie, oni odkładają słuchawkę, kiedy dzwoniemy.

- Przez chwilę spodziewałem się, że Rowan zacznie szaleć. Przeszywała wzrokiem Dolly Jean. Miała gwałtowne dreszcze. Pobielała na twarzy i poruszała ustami, ale nie powiedziała słowa. Potem przedziwnie się roześmiała. Delikatnie, swobodnie. Jej twarz przybrała rysy pełnej zachwyty dziewczynki.

Dolly Jean wpadła w ekstazę.

- Sama to wiesz - zawołała do Rowan. - Nie można ich przekonać, że jest zapalenie płuc! Nie można ich przekonać, że jest grypa!

Rowan skinęła głową i powoli przestała się śmiać, ale słodki zachwyty pozostał na jej twarzy. Oczywiście, dotąd nigdy nie widziałem jej w takim stanie. To był cudowny widok.

Mona jednocześnie płakała i mówiła.

- Dolly Jean, proszę, opanuj się. Musimy ustalić tu kilka rzeczy.

- No to przynieś mi trochę rumu - zażądała staruszka - na litość boską, skocz na tych swoich młodych nogach, wiesz, gdzie stoi, nie, wiesz, co ci powiem?, przynieś amaretto, nalej do likierówki. Nie ma dla mnie nic miłszego.

Mona ruszyła od razu, popędziła przez trawnik w kierunku basenu, obcasy zastukały na kamiennej ścieżce, skręciła za rogiem i zniknęła.

Michael siedział głęboko zamyślony, kręcąc głową.

- Łykniesz likieru po tym całym rumie i się pochorujesz - zamruczał.

- Chora to ja się urodziłam - powiedziała staruszka.

Stirling wbił taki wzrok w Dolly Jean, jakby była ucieleśnieniem potworności. Mało nie wybuchnąłem śmiechem.

Rowan nadal się uśmiechała do staruszki. Słodko, ukradkowo i szczerze.

- Wleję ci tę butelkę amaretto do gardła - powiedziała łagodnie, konfidencko tym swoim łamiącym się głosem. - Utopię cię w amaretto.

Dolly Jean kiwała się na krześle, piszcząc ze śmiechu. Złapała Rowan za policzki i mocno uściśnęła.

- No, rozśmieszyłam cię, udało mi się, wydobrzałaś, moja genialna doktoro, moja szefowo, moja pani tego domu, kocham cię, dziewczynko, ja jedna w całym klanie Mayfairów się ciebie nie boję. - Ucałowała ją w usta i cofnęła ręce. - Ty tylko dalej opiekuj się wszystkimi, po to Bóg cię umieścił między nami, rozumiesz, opiekuj się wszystkimi.

- I przegrywaj, i przegrywaj znowu - dodała Rowan.

- Nie, nie przegrasz, kochanie. Dobuduj jeszcze jedno skrzydło tego szpitala. I nie zamartwiaj się niczym, ty słodka dziewczyno.

Rowan opadła na oparcie krzesła. Wyglądała na oszołomioną. Oczy miała zamknięte.

Mona jak strzała przybiegła po trawniku, ze srebrną tacką w dłoni, kilkoma butelkami likierów i lśniącymi kieliszkami. Postawiła to na stole.

- Niech się rozejrzę - powiedziała. - Mamy trzy ludzkie istoty. - Rozstawiła kieliszki przed Stirlingiem, Michałem, Dolly Jean i Rowan. - Och, nie, cztery. W porządku, proszę, teraz wszyscy

ludzie mają kieliszki.

Myślałem, że Quinn ze wstydu zapadnie się pod ziemię. Ja tylko się skrzywiłem.

Michael sięgnął po irlandzką whisky i nalał sobie odrobinę. Dolly Jean sięgnęła po amaretto i zdrowo pociągnęła z butelki. Stirling nalał sobie lśniąca kropkę koniaku i smakował go. Rowan zignorowała poczęstunek.

Zapadła cisza. Mona zajęła swoje miejsce.

- Rowan - przerwałem milczenie - zaczęłaś opowiadać, jak się o nas dowiedziałaś.

Mówiałaś o Merrick, o tym jak zniknęła z Talamaski.

- O, to ciekawe - powiedziała Dolly Jean. Znow napila się amaretto. - Nie mogę się doczekać dalszego ciągu. Śmiało, Rowan, jak w końcu masz ochotę mówić, to chętnie posłucham. Jedź po swojemu, jakby mnie tu nie było, jakbym cię nie zachęcała.

- Musicie zrozumieć, czym dla nas była Talamaska - powiedziała Rowan. Urwała. I znow podjęła cichym głosem, całkowicie - wypełniającym ciszę: - Talamaska знаła rodzinę Mayfair przez całe trzynaście pokoleń. Mona wie. Quinn, nie wiem, czy ty o tym wiedziałaś, ale możemy wszystko wyjaśnić. Talamaska wiedziała wszystko o Taltos. Wiedziała. Rozmowy z nimi były jak chodzenie do spowiedzi. Zawsze dają oparcie i siłę jak Kościół katolicki. A Stirling był niezwykle cierpliwy. Mona go uwielbiała.

- Nie mów o nas, jakby nas tu nie było - parsknęła Mona.

- Mona, cierpliwości - uspokoiłem ją.

- Rowan mówiła dalej, nie zwracając na nic uwagi.

- Dodatkowo Dolly Jean, nasza ukochana Dolly Jean Mayfair z plantacji Fontevrault, dostała wiadomość, że Merrick Mayfair stała się dzieckiem krwi. „To pewne! Taki los ją spotkał!” Dolly Jean wiedziała. Wcześniej zadzwoniła do ciotki Oscar. Ona jej to powiedziała.

Rowan uśmiechnęła się do Dolly Jean, która pokiwała głową i pociągnęła kolejny spory łyk likieru. Rowan przechyliła się w bok, to samo zrobiła Dolly Jean. Stuknęły się czołami i pocałowały czule w usta. Te dwie kobiety zachowywały się jak para kochanków.

- Na mój gust mówisz jak należy - oceniła początek opowieści Dolly Jean. - Jak nie, to cię zakrzyczę. Tak po prawdzie, to pamięć mnie zawodzi.

- Tsss - powiedziała łagodnie Rowan, znow czule się uśmiechając.

Dolly Jean skinęła głową i pociągnęła kolejny łyk.

Rowan usiadła wygodniej i mówiła dalej.

- Dolly Jean wezwwała Henriego i kazała zawieźć nas, siebie i mnie, wielkim samochodem do śródmieścia, w odwiedzinach do ciotki Oscar. To w dzielnicy francuskiej, ale z dala od głównej ulicy. Ciotka Oscar jest naszą wiekową kolorową krewną, urządziła się w mieszkaniu na piętrze, z balkonem i widokiem na rzekę. Miała ponad sto lat. Ma. - Mówiła coraz szybciej. - Nosiła na sobie co najmniej trzy ubrania, jedno na drugim, a na szyi co najmniej cztery wymyślnie haftowane apaszki, na to długie brązowe palto z futrzanym kołnierzem, myślę, że to były lisy, małe lisie łebki i łapki, nie wiem, i pierścionek na każdym kościstym palcu. Miała smutną owalną twarz, kruczoczarne włosy i wielkie żółte oczy w takim kształcie jak jajka. Ściany mieszkania miała zastawione meblami, trzy kredensy w szeregu i trzy tak samo ustawione biurka, jadalniane stoły w trzech pokojach, wszędzie kanapy i fotele, stopy dywanów, stoliczki nakryte papierowymi serwetkami, udającymi koronki, na których stały figurki z wypalanej gliny i fotografie w ramkach, i wszędzie srebrne serwisy do herbaty. Szafy pękały od rzeczy, wszystkie na krzywych nogach.

Dolly Jean zarechotała, pociągając kolejny łyk, a Mona uśmiechnęła się pod nosem.

Rowan mówiła dalej, jakby nic nie słyszała.

- Wszędzie biegały urocze kilkunastoletnie dzieci, Mulaci, przynosiły nam kawę i ciastka, dostarczały pocztę, pędziły na dół po gazety. W każdym pokoju stał telewizor i szumiał wentylator pod sufitem. Nigdzie nie widziałam równie pięknych dzieci jak w Nowym Orleanie. Skórę miały wprost nieziemskiej barwy. Ciotka Oscar podeszła do lodówki, na którą mówiła „skrzynka na lód”, chociaż była całkiem nowoczesna, otworzyła ją, żeby pokazać, że trzyma w niej telefon, z którego nigdy nie korzysta, i faktycznie stał tam telefon, dokładnie pośrodku półki, między mlekiem, jogurtami i słoikami dżemu, ale kiedy wcześniej zadzwoniła Dolly Jean, ciotka Oscar usłyszała dzwonek przez drzwi lodówki, bo to była Dolly Jean, i podniosła słuchawkę. Ciotka Oscar powiedziała nam, że dzieci krwi mieszkają w dzielnicy francuskiej od ponad dwustu lat, karmiąc się krwią mętów, i że Merrick Mayfair teraz do nich dołączyła.

Tak było jej pisane. Stary wuj Merrick, Vervain, miał takie widzenie, że jego ukochana mała Merrick pewnego dnia będzie chodzić wspólnie z dziećmi krwi. Powiedział to ciotce Oscar, nikomu innemu. Wuj Vervain był wielkim uzdrowicielem wudu, ale to, co ujrzał w przyszłości, złamało mu serce. Ciotka Oscar powiedziała, że teraz Merrick będzie żyć wiecznie.

Drgnąłem. Gdybym tylko dojrzał Światłość... Ale ile szans Bóg miał mi podsunąć?

- Oczywiście wuj Julien starał się zapobiec tej katastrofie... myślę, że wuj Julien płaci za grzechy, marnując swój czas na ziemi...

- Bardzo mi się to podoba - palnąłem, zanim zdążyłem nad sobą zapanować.

Mówiła dalej bez chwili przerwy.

- ...wy tłumaczyła nam ciotka Oscar, Julien pokazał się we śnie matce chrzestnej Merrick, Wielkiej Nananne, kiedy umierała, i nakazał jej, żeby oddała Merrick Talamasce. Ale ciotka Oscar powiedziała, że przekleństwem Julienu jest to, że jego interwencje w świecie żywych zawsze zawodzą.

- Naprawdę powiedziała coś takiego? - spytałem.

Michael się uśmiechnął i pokręcił głową. Patrzyli na siebie, on i Mona.

- Kiedy opisałam tego bruneta - ciągnęła swoją opowieść Rowan - tego, którego widziałam spacerującego, okazało się, że ciotka Oscar go zna. Mówiła na niego

„Louis”. Powiedziała, że znak krzyża go odpędzi, chociaż nie ma nad nim władzy, jedynie budzi jego szacunek. Powiedziała, że powinna się bać blondyna, takiego, który nazywa się z cudzoziemską i który „mówi jak gangster i wygląda jak anioł”. Na zawsze zapamiętałam te słowa, tak dziwne mi się wydały.

Utkwiła we mnie wzrok. Niewidzący.

- A potem po latach, zaledwie kilka dni temu, stanąłeś w podwójnym salonie we dworze Blackwood i Jasmine nazwała cię „Lestat”. Mówiłeś jak gangster i wyglądałeś jak anioł. W głębi duszy, tam, gdzie nie chciałam zaglądać, wiedziałam, kim jesteś.

Wiedziałam. Pamiętałam zapach nasączonych kamforą kulek waty w mieszkaniu ciotki Oscar i słowa: „brunet nigdy nie będzie pił krwi, jeśli będzie musiał walczyć, ale od tego blondyna zaznasz strasznych rzeczy. Strzeż się go”.

- To nieprawda - powiedziałem ze spokojem. - Nawet potężni mogą wejść na drogę poprawy. To nie tak, jak stoi w waszych modlitewnikach. Nawet wampiry i anioły potrafią wejść na drogę poprawy. Bóg musi być wszechmiłosiernym bogiem.

Nikt nie jest wykluczony z odkupienia.

- Odkupienie! - szepnęła. - Jak mogę go dostać?

- Kochanie, nie mów tak - rzekł Michael.

- Nie ma takiej miłości, na którą by ta dziewczyna nie zasłużyła - oświadczyła Dolly Jean. - Co rano wstaje, je śniadanie i jedzie do piekła, przysięgam.

Rowan uśmiechnęła się do mnie. W bladym świetle wyglądała dziewczęco, niezwykle wyrafinowanie, gładkie, szare oczy odpoczywały przez chwilę, zanim rozpoczęły kolejne gorączkowe poszukiwania.

Och, zaznać pocałunku twoich ust, gdyż twoja miłość jest słodsza niż krew.

Chwila zawieszenia. Jej prawowity małżonek zagubiony w myślach, nieświadomy, oczy Rowan utkwione we mnie.

Wybacz mi.

- Cały czas przeskakuję z tematu na temat - powiedziała. - Nie mówię po kolei, prawda? - Rozejrzała

się wokół, jakby zaskoczona widokiem ogrodu, mroku, butelek migocących w świetle i ślicznego lśnienia szkła.

- Mów dalej, Rowan, proszę - zachęciłem ją.

- Tak. Powólcie mi wrócić do zaginięcia Merrick Mayfair, tak. - Skinęła głową. - Na ogół, rozumiecie, słyszałam i widziałam pewne rzeczy, i opowiedziałam o tym Michaelowi, który wysłuchał wszystkiego tak, jak zawsze reaguje na podobne potworności, z groźnym i równocześnie czarującym celtyskim zachmurzeniem, które rośnie w nim z roku na rok, ale kiedy porozmawiałam ze Stirlingiem, widziałam po jego twarzy, że wszystko zrozumiał. Chciał się spotkać z ciotką Oscar. I się spotkał.

Jednak powiedział tylko, że tęskni za Merrick Mayfair, i nic ponadto. Potem Lauren Mayfair, wiecie, wielki prawniczy umysł kancelarii Mayfair i Mayfair, która ma całe prawo w małym palcu i zero pojęcia o wszystkim, wbiła sobie do tej swojej wyjąłowionej mózgowicy, że się dowie o dziwnym zniknięciu Mayfairówny, która być może potrzebuje pomocy swojej białej rodziny. Rzygać się chce.

- No właśnie - powiedziała Dolly Jean. Pociągnęła kolejny haust likieru. - Lauren po prostu się zawzięła, że ją znajdzie, bo nie podobało jej się to, że jakiś członek rodziny Mayfairów może mieć coś wspólnego z Talamaska.

- Wiedziała, gdzie stoi dom, w którym Merrick się urodził - kontynuowała Rowan

- sprawdziła go i dowiedziała się, że Merrick nadal jest jego właścicielką. Pojechała do centrum. I przestraszyła się tym, co zobaczyła. Zadzwoiła do mnie. Powiedziała mi:

„Został odnowiony jak pałac i nawet w tej niebezpiecznej okolicy nie ma sąsiada, który nie bałby się do niego zbliżyć. Chcę, żebyś zajrzała tam ze mną”. No więc powiedziałam, że zajrzę. Wciąż jeszcze się śmiałam po tamtym dziwnym spotkaniu z ciotką Oscar. Pomyślałam, czemu nie pojechać do centrum? Mam tylko szpital i centrum badawcze do skończenia. Kim jestem, żeby powiedzieć, że jestem zbyt zajęta? Dolly Jean nakrzyczała na nas, że jesteśmy głupie, że chcemy zrobić coś takiego - nie zbliża się do dziecka krwi, zwłaszcza gdy się wie, kim ono jest, ale jeśli się naparzyliśmy tam iść, to mamy to zrobić po zmroku. Dziecko krwi chodzi tylko w nocy i Dolly Jean powiedziała jeszcze, że mamy podejść do furtki, bardzo grzecznie, zapukać do frontowych drzwi i nie robić niczego niestosownego, co dałoby dziecku krwi uzasadniony powód, żeby nas skrzywdzić. - (Podczas całej tej przemowy Dolly Jean kiwała głową i skrzeczała ze śmiechu.) - Potem zadzwoniłyśmy do ciotki Oscar, która usłyszała telefon przez drzwi lodówki, i wiedziała, że to my dzwoniśmy, i wygarnęła nam to samo, co do słowa. Lauren Mayfair dostała piany na pysku, jak się to tutaj mówi. Powiedziała, że zanim skończyła dwadzieścia lat, już miała po dziurki w nosie dziedzicznego Mayfairowego pomieszania zmysłów. Przysięgła, że jeśli ktoś jeszcze raz powie w jej obecności „dziecko krwi”, idzie do sądu. Więc naturalnie powiedziałam jej: A „wampiry”?

Mona wybuchła śmiechem, a Dolly Jean śmiała się tak mocno, że zaczęła tłuc piąstką w stół. Mało się nie udławiła. Śmiech Mony w końcu przeszedł w chichot.

Michael dał im znak, żeby przestały. Rowan czekała.

Mówiła dalej. Utkwiła we mnie wzrok, a potem przeniosła go w dal.

- Pojechaliśmy tam. Nigdy nie widziałam bardziej zapomnianych przez Boga slumsów. Płyty chodnikowe pływały w błocie, domy się zapadły, chwasty wybijały jak łany pszenicy. W środku tego wszystkiego stał klasyczny wiejski domek, świeżo pomalowany białą farbą, z ogródkiem. Miał wysoki płotek, furtkę i dzwonek przy furtce. Zadzwoniliśmy. W świetle z korytarza wyrosła wysoka kobieta, otworzyła drzwi i pojawiła się bosa na werandzie. To była Merrick Mayfair. Wiedziała, kim jesteśmy. To było zdumiewające. Pogratulowała mi szpitala i podziękowała Lauren za obecność podczas czuwania przy zwłokach Wielkiej Nananne. To było lata temu. Była dla nas bardzo miła, ale nie zaprosiła nas do środka. Powiedziała, że ma się dobrze.

Wcale nie zniknęła, tylko przestała się pokazywać. Pamiętam, że kiedy na nią patrzyłam, wysilałam wszystkie moje nadmysłowe zdolności i poczułam się jak pod działaniem ogromnego czaru. Tembr jej głosu i sposób chodzenia były niezwykle.

Sunęła, nie poruszając biodrami, inaczej niż wszystkie kobiety. Jej głos brzmiał jak muzyka. Stojąc na tamtej wysokiej werandzie, wyglądała jak cień. Oczywiście, Lauren zaspokoili swoją otchłanną prawniczą ciekawość, uznając, że wszystko jest w porządku. Idiotka sądziła po pozorach. A jej następny atak był wymierzony w Talamaskę. Zaproponowała, żeby „wypędzić Talamaskę z Luizjany”, ale kiedy nadziała się na nieskończoną liczbę kancelarii prawnych z Londynu i Nowego Jorku i opór poważnej części rodziny, w tym również mój i Michaela, szybko pogodziła się ze schizmą w firmie i powiedziała mi tylko, jak bardzo jestem „niezrównowazona” i że

„wsadzi ciotkę Oscar do domu opieki”. Złapałam ją i potrząsnęłam. Zrobiłam to impulsywnie. Nigdy wcześniej nie zachowałam się tak wobec nikogo. Strasznie mi wstyd. Ale kiedy powiedziała tamto o cioci Oscar, poniosło mnie. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. Powiedziałam, że jeśli odważy się na coś takiego wobec kogokolwiek z rodziny, kolorowego czy białego, obojętnie kiedy, obojętnie gdzie, zabiję ją. Oszalałam. Skąd przyszło jej do głowy, że posiada taką władzę, że może zrobić coś takiego? Cofnęłam się. Bałam się, że... Bałam się, że zrobię coś jeszcze straszniejszego. I cała sprawa upadła. A Lauren nigdy więcej się do mnie nie zbliżyła.

A ja miałam tak wiele pracy w związku ze szpitalem, że naprawdę nie chciałam tracić nocy na gadanie z Dolly Jean o dzieciach krwi i o tym, co mogły, a czego nie mogły zrobić. Chociaż nie mogłam się oprzeć, żeby nie pojechać z nią raz jeszcze do ciotki Oscar, ale kiedy zaczęły rozmawiać o „dorosłych niemowlętach”, urodzonych na bagnach, a wiedziałam, że tak naprawdę chodzi o niemowlęta Taltos i o to, że ogarnięci zgrozą Mayfairowie z bagien zarabali je na śmierć, pomyślałam, że jeszcze wpadnę w trans, więc wyszłam.

A teraz przeskakujemy prawie do terażniejszości i nagle panna McQueen nie żyje, ukochana ciocia Quinna, uwielbiana przez wszystkich, i zebraliśmy się na jej pogrzebie, Mona jest za bardzo chora, żeby jej o tym mówić, a pogrzeb odbywa się w wielkim nowoorleańskim stylu i proszę, w ławce przed sobą widzę was - Quinna, Lestata - i tamtą wysoką kobietę w chuście na głowie, widzę, jak Stirling do niej podchodzi, mówi do niej „Merrick”, i wiem, wiem, że ona jest tą samą kobietą, którą widziałam wcześniej, i tym razem jestem pewna, że ona nie jest człowiekiem. Tylko nie mogę się na

tym skupić. W pewnym momencie się odwróciła, zsunęła ciemne okulary i spojrzała mi prosto w oczy. Pomyślałam: „Jaki to ma ze mną związek?” Uśmiechnęła się. Potem ogarnęła mnie senność i nie potrafiłam się na niczym skoncentrować, poza tą myślą, że ciotka Queen nie żyje i wszyscy ponieśliśmy stratę.

Nie zamierzałam patrzeć na Quinna. Nie zamierzałam myśleć o tej całej zmianie, jaka zaszła w jego głosie, który słyszałam przez telefon, o tym, jak w ciągu roku ten głos i towarzysząca mu aura uległy zmianie. Przecież mogłam mylnie to odebrać. Jakie to miało znaczenie, że wiedziałam więcej? I co z tego, że ten opalony blondyn obok Quinna wyglądał jak anioł? Jak miałam zgadnąć, że kiedy spotkam go zaledwie dzień czy dwa potem w wielkim salonie w Blackwood, to już będzie po „porwaniu” Mony, a on sam będzie mówił jak gangster? - Cicho, słodko roześmiała się do siebie. - Moim życiem, moją misją w realnym świecie było Medical Mayfair. A tu toczyła się msza żałobna, zamknęłam oczy i pogrążyłam się w modlitwie, po czym Quinn stanął przed ołtarzem i mówił ciepło i uroczo o ciotce Queen, mając przy sobie młodego Tommy’ego Blackwooda. No, powiedzcie, czy ktoś nieżyjący zachowałby się w ten sposób? I musiałam wrócić do szpitala, do leżącej w łóżku Mony, obandażowanej, skłutej, z plastrami trzymającymi wenflony, i jakoś ją przekonać, że Quinn jest zdrow jak ryba, urósł dziesięć centymetrów, od kiedy wyjechał do Europy, jej ukochany...

Znów przerwała, jakby wyczerpała cały swój zapas słów. Wpatrywała się w pustkę.

- Te sprawy nie mają dla nas żadnego znaczenia - powiedziała twardym głosem Mona, wprawiając mnie w szok. - Czemu opowiadasz nam to wszystko? Nie jesteś primadonną tego całego spektaklu, który się tu wydarzył! Dobra, zgoda, przez lata starałaś się mi pomóc, żebym nie umarła! Gdyby nie ty, byłby inny lekarz. A ty zakopywałaś w tym ogrodzie trupy Taltos, więc co...

- Przestań! Nie! - szepnęła Rowan. - Mówisz o moich grzechach, mówisz o mojej córce!

- W tym cała rzecz! Ja nie mogę! - zawołała Mona. - Dlatego ty musisz to zrobić!

Ale ty pleciesz i...

- Więc ty też urodziłaś jedno z nich - powiedziałem łagodnie do Rowan.

Wyciągnąłem rękę nad stołem i przykryłem jej dłoń moją. Miała zimne palce, ale od razu odwzajemniła mój uścisk.

- Zdrajca! - cisnęła mi Mona.

- Biedna kochana dziewczynka - wymamrotała Dolly Jean, już pijana i zasypiająca -

musiała sobie wyrywać z łona te chodzące niemowlaki.

Rowan zatchnęło na te słowa. Cofnęła rękę i opuściła ramiona, jakby zapadając się w siebie.

Michael był głęboko poruszony, Stirling również.

- Dolly Jean, nie pytluj tak - skarcił ją Michael.

- Rowan, możesz dalej mówić? - spytałem proszaco. - Rozumiem wszystko, co powiedziałaś. Mówiłaś nam dokładnie, jak i dlaczego będziesz mogła dochować naszych sekretów.

- Zgadza się - poparł mnie Quinn. - Rowan tłumaczy nam, jak może znieść to, czym jesteśmy.

- Głębokie cierpienie wyrosło w oczach Michaela, osobiste i niemal samotne.

- To prawda - rzekł półgłosem.

- Urodziłam dwoje - wyznała Rowan. - Pozwoliłam, żeby po dwunastu pokoleniach zło weszło do rodziny. Oto, co Mona chce usłyszeć. Oto tajemnica, którą musimy ujawnić w zamian za wasze...

- O, tak - wykrzyknęła sarkastycznie Mona - kolejny odcinek sagi o Rowan! Chcę się dowiedzieć o moim dziecku! O tym kimś, kto je zabrał.

- Ile razy muszę ci powtarzać, że nie mogę ich odnaleźć! - powiedziała Rowan. -

Szukałam ich bez końca.

Ogarnęła mnie taka wściekłość, że musiałem się opanować. Wyrwałem Monę z opiekuńczego uścisku Quinna i odwróciłem ją ku sobie.

- Posłuchaj mnie - powiedziałem cicho. - Nie nadużywaj swojej mocy. Nie zapominaj, czym dysponujesz. Nie zapominaj o wrodzonych ograniczeniach twoich krewnych! Jeśli chcesz teraz szukać swojej córki, masz możliwości, o których Rowan i Michael nie mogą nawet marzyć! Quinn i ja jesteśmy tu po to, żeby się dowiedzieć, kim są Taltos, bo ty nam tego nie powiesz! - (Patrzyła na mnie wytrzeszczonymi, nieco przerażonymi oczami.) - Za każdym razem, kiedy cię o to pytamy, rozplątywasz się we łzach. Nie dość tego, w ciągu ostatnich trzydziestu ośmiu godzin płakałaś więcej niż jakiegokolwiek pisklę, które poznałem przez wszystkie moje lata, i to zaczyna mnie ontologicznie, egzystencjalnie, epistemologicznie i hermeneutycznie wkurzać!

- Jak śmiesz ze mnie drwić! - zasyczała. Wzięła głęboki, otrzewniający oddech. -

Puść mnie zaraz. Myślisz, że będę ci posłuszna w myślach, w mowie i uczynkach!

Marzyciel! Nie jestem rozpasaną dziwką, za jaką mnie uważasz. Byłam nominowaną do dziedzictwa całej rodziny Mayfair. Wiem, co to znaczy panowanie nad sobą i władza nad innymi. Nie wyglądasz mi na anioła, a już na pewno, do diabła, nie ma w tobie prawdziwego gangsterskiego czaruli!

- Osłupiałem. Wypuściłem ją.

- Poddaję się! - powiedziałem z odrazą. - Jesteś chamską gówniarą!

Niewdzięcznicą! Idź swoją drogą.

Quinn gwałtownie odwrócił ją do siebie i spojrzał jej w oczy.

- Uspokój się, proszę - powiedział. - Pozwól Rowan mówić tak, jak chce. Jeśli kiedykolwiek znów masz być Moną Mayfair, sama musisz to osiągnąć.

- Mono, Quinn ma głęboką słuszość - dodał Stirling. - Pamiętaj, tu dokonuje się odsłonięcie dusz, wymiana niezwykłych rewelacji.

- Och, pozwólcie, że nazwę to po imieniu - przerwała mu Mona. - Ja zwyciężam śmierć, a my się tu zbieramy, żeby wysłuchać osobistych wspominek Rowan Mayfair?

Dolly Jean, która drzemała nad butelką, nagle obudziła się do życia, podskoczyła, po czym pochyliła się nad stołem, surowo wpijając błyszczące drobne oczka w Monę.

- Mono Mayfair, lepiej zamknij buzię. Jakkolwiek byłaś chora, doskonale wiesz, że Rowan prawie nigdy się nie odzywa, a kiedy już się odezwie, to dlatego że ma coś do powiedzenia. Ty i twoi sztywni przyjaciele dowiadujecie się o rodzinie Mayfairów, no to chciałabym wiedzieć, w jaki sposób to może tobie zaszkodzić, nie chcesz, żeby twoi przystojni towarzysze cię zrozumieli? Zamknij się.

- Aha, widzę, że też dołączasz do chóru! - ostro powiedziała Mona. - Pij swoje amaretto i daj mi spokój!

- Mona - najłagodniej jak potrafił powiedział Quinn - są rzeczy, które musimy wiedzieć ze względu na twoje dobro. Czy słuchanie Rowan to taka męka?

- Świetnie - odparła żałośnie Mona i opadła na oparcie krzesła. Otarła twarz jedną z tysięcy chusteczek. Spojrzała na mnie wściekle.

Zerknąłem na nią, potem na Rowan.

Ona obserwowała to wszystko bez cienia zainteresowania, z dużym spokojem.

Dolly Jean pociągnęła kolejny łyk amaretto, rozsiadła się wygodnie i zamknęła oczy.

Michael przyglądał się badawczo naszej trójce. Stirling czekał, zafascynowany naszą ostrą wymianą zdań.

- Rowan - rzekłem - czy możesz nam powiedzieć, czym są Taltos? Nie mamy podstawowych informacji. Możesz je uzupełnić?

- Tak - powiedziała zrezygnowanym tonem. - Mogę wam powiedzieć tyle, ile tylko chcecie.

Wyraz twarzy Rowan pozostał nieprzenikniony, ale odwróciła wzrok i z każdą chwilą była bardziej skupiona.

- To ssak, który rozwinął się całkowicie niezależnie od *Homo sapiens* - powiedziała

- na wulkanicznej wyspie na Morzu Północnym, tysiące lat przed nami. Jego i nasze geny pokrywają się może w czterdziestu pięciu procentach. Te stworzenia wyglądają jak my, z tym że są wyższe i mają dłuższe kończyny. Ich kościec jest niemal całkowicie zbudowany z czegoś w rodzaju chrząstek. W przypadku parzenia się osobników czystej krwi samica siłą woli doprowadza do owulacji i płód rozwija się w ciągu minut czy godzin, jeszcze nie wiem dokładnie, jak szybko... ale bez względu na czas, jest to ogromny wysiłek dla matki. Połogowi towarzyszą silne bóle, natomiast niemowlę wygląda jak dorosły osobnik, jedynie mniejszych rozmiarów. Natychmiast rośnie i osiąga dojrzałość.

Na te słowa zachowanie Mony uległo całkowitej zmianie. Przytuliła się do Quinna, a on znów objął ją ramieniem, delikatnie całując.

- Taltos potrzebuje mleka matki, żeby rosnąć - ciągnęła dalej Rowan. - Bez niego nie może się właściwie rozwijać. Godzinę po urodzeniu grozi mu nieodwracalna deformacja. Dzięki mleku i telepatycznej opiece matki noworodek osiąga pełne wymiary w ciągu pierwszej godziny. Zwykle jest to dwieście centymetrów. Samce mogą być piętnaście centymetrów wyższe. Młody osobnik pije mleko matki tak długo, jak trwa laktacja. Tygodnie, miesiące, lata. Ale cena za to jest wysoka.

Przerwała. Wsparła głowę na dłoni. Głęboko westchnęła.

- To mleko... To mleko ma właściwości lecznicze. Bywa, że ludzie, którzy je piją, wychodzą z choroby. - Głos się jej załamał. - Nikt naprawdę nie wie, co dzięki niemu można osiągnąć...

Przebłysk wyrazistych obrazów. Sypialnia z wykwintnym półbaldachimowym łóżem, w nim Rowan, ssie pierś młodej samicy. Obraz znika. Wymiana ognia. Kilka strzałów. Rowan kopie w tym ogrodzie. Z nią Michael. Rowan nie chce oddać łopaty.

Bezwładny trup młodej samicy leżącej na mokrej ziemi. Serce pęka.

Rowan znów podjęła wątek, silnym głosem jak automat.

- Nikt nie wie, jak długo żyją czystej krwi Taltos. Może tysiące lat. Samice z czasem na pewno stają się bezpłodne. Widziałam jedną w schyłkowej fazie. Prostaczkę.

Znaleziono ją w indyjskiej wsi. Samce? Wiem o istnieniu tylko jednego - tego, który zabrał Morrigan. Zachowują potencję do dnia śmierci. Taltos jako takie bywają niesłychanie naiwne i infantylne. W dawnych czasach wiele zmarło na skutek niezdarności i wypadków. - Przerwała, po czym mówiła dalej: - Mają zdolności telepatyczne i wbudowany ogromny zasób wiedzy historycznej i intelektualnej. Są z natury ciekawskie. Jak to same określają, rodzą się „wiedzące”. Dysponują pełnią informacji na temat własnego gatunku i rodzinnej wyspy, a także miejsc na Wyspach Brytyjskich, do

których migrowały, po tym jak wulkan odpowiedzialny za stworzenie wyspy spowodował jej zniszczenie. Wąwóz Donnelaith to jeden z ich bastionów w Szkocji. Może jeden z ostatnich. Takie były Taltos... zanim doszło do krzyżówek, zanim poznały ludzi i zaczęły się z nimi parzyć. Ich populacja została przetrzebiona z powodu zdarzeń losowych, zarazy, samice umierały wyniszczone częstymi porodami.

- Co znaczy, że rodziły się z wbudowaną wiedzą? - spytałem. - Chcę cię dobrze zrozumieć.

- My nie przychodzimy na świat z wbudowaną wiedzą - wyjaśniła. - Nie wiemy, jak zbudować dom czy porozumiewać się za pomocą słów. Ale ptak od razu umie zbudować gniazdo, wydaje odgłosy godowe, zna taniec godowy. Kot od urodzenia umie polować, zajmować się małymi - nawet je zjada, jeśli są słabe czy zdeformowane.

- Tak, rozumiem.

- Taltos to obdarzone wysoką inteligencją naczelne z wbudowanym ogromnym zasobem wiedzy. Dzięki temu i wyjątkowym cechom reprodukcyjnym mają nad nami wyższość. Ich słabości to naiwność, prostota i brak agresji. Poza tym są wyjątkowo wrażliwe na rytm i muzykę. Możesz prawie sparaliżować Taltos, kiedy nuczisz długi hymn lub rytmiczną pieśń.

- Rozumiem - powiedziałem. - Jak doszło do krzyżówki z ludźmi?

Nie potrafiła mi tego wyjaśnić.

- Z medycznego punktu widzenia nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że tak się stało.

- Przybycie ludzi na Wyspy Brytyjskie było nieuniknione - powiedział Michael. -

Zachowała się obszerna historia „długich ludzi” i ich walk z agresywniejszymi najeźdźcami. Doszło do skrzyżowania gatunków. W przypadku żeńskiej części rodzaju ludzkiego prawie zawsze kończyło się to fatalnie. Kobiety zachodzące w ciążę roniły i wykrwawiały się na śmierć. Możecie sobie wyobrazić bezmiar nienawiści i lęku spowodowany tego rodzaju przypadkami. Natomiast jeśli to mężczyźni łączyli się w pary z samicami Taltos i zapładniali je, kończyło się na niewielkim krwotoku. Nie działo się nic groźnego, poza tym, że z biegiem lat zużywały się jajeczka. - Przerwał, nabrał oddechu i mówił dalej. - W kilku przypadkach krzyżówka się powiodła i potomstwo zasiliło szeregi poczwarnych „małych ludzi”, Taltos z ludzkimi genami i ludzi z genami Taltos. W miarę stuleci wszystko to stało się pożywką przesądów i legend.

- Ale rzeczywistość nie była tak różowa - poprawiła go Rowan. Mówiła głosem pewniejszym niż poprzednio, chociaż nadal strzelała oczami na boki. - Wybuchwały straszliwe wojny i masakry, dochodziło do nieopisanych rozlewów krwi. Taltos, z natury znacznie mniej agresywne niż ludzie, przegrali z nowym gatunkiem.

Rozproszyli się. Zeszli do podziemia. Podawali się za ludzi. Maskowali rytuały godowe. Ale, jak powiedział Michael, zdarzały się związki z ludźmi. I wcześnie mieszkańcy Wysp Brytyjskich nie - zdawali sobie sprawy, że pojawiła się wśród nich grupa obdarzona gigantyczną spiralą genów, dwa

razy bogatszą niż u normalnych osobników *Homo sapiens*, której przedstawiciele w każdej chwili mogli spłodzić Taltos lub zdeformowane niezwykle niemowlę, gotowe przepoczwarzyć się w Taltos.

Gdy para takich rodziców się spotkała, poczęcie Taltos było więcej niż prawdopodobne.

Przerwała. Michael się zawahał, ale że Rowan zakryła twarz dłońmi, podjął opowieść.

- Wiemy na pewno, że te obce geny przekazali earlowie Donnelaith, Szkoci, i ich krewni. Tak głoszą zabobonne legendy o dzieciach Taltos przychodzących na świat w tej rodzinie. Podczas pewnej orgii w noc święta wiosny doszło do pokracznego zbliżenia earla i prostaczki z wąwozu, co trzy generacje później doprowadziło do powstania rodziny Mayfair. W ten sposób przekazano geny Taltos wielkiemu klanowi, który później osiedlił się w koloniach, najpierw na karaibskiej wyspie San Domingo, a potem tu, w Luizjanie. Ale nawet jeszcze zanim rodzina Mayfair dorobiła się swojego miana, Talamaska była blisko związana z jej powstaniem. Zapisała opowieść wiedźmy Suzanne, która całkiem przypadkowo wywołała pewnego ducha. Miał postać piwnookiego mężczyzny, reagował na imię „Lasher” i nawiedzał rodzinę aż do pokolenia Rowan. Jego praprzodkowie zamieszkiwali wąwóz Donnelaith, podobnie jak antenaci Mayfairów.

- Wiecie, my myśleliśmy, że to duch człowieka - wtrąciła Rowan - albo jakaś astralna istota nie mająca ludzkiej biografii. Wierzyłam w to nawet wtedy, kiedy się do mnie zalecał, a ja próbowałam narzucić mu swoją władzę.

- Ale to była zjawą Taltos - powiedziałem.

- Tak. I przez pokolenia czekała na swoją okazję, aż pojawi się wiedźma, która urodzi dziecko Taltos, czarownica na tyle potężna, że mogłaby jej pomóc opętać jeszcze nie narodzone Taltos, aby się odrodziła wraz z nim.

- A ja nawet nie wiedziałem, że mam we krwi geny Mayfairów - przerwał jej Michael. - Nawet mi się to nie śniło. Później się okazało, że wuj Julien miał romans z ubogą dziewczyną - irlandzkiego pochodzenia. Dziecko z tego związku trafiło do katolickiego przytułku i jestem jednym z jego potomków.

- Och, ten Lasher to był sprytny duch - powiedziała Rowan, kręcąc głową i gorzko się uśmiechając. - Przez wieki dostarczał bogactw naszej rodzinie, czyniąc to na różne sposoby. Potężne wiedźmy, które pojawiały się w różnych pokoleniach, umiały go sobie podporządkować. Mężczyzn, którzy wchodzili mu w drogę, nienawidził i karał.

Poza Julienem. Okazał się na tyle silną osobowością, że jako jedyny mężczyzna z rodu Mayfair bezwzględnie wykorzystywał Lashera. Przy tym uważał go za złe stworzenie, ale nawet on myślał, że Lasher kiedyś był człowiekiem.

- Sam Lasher też tak myślał - dodał Michael. - Tak naprawdę nie wiedział, kim jest ani czego pragnie, poza tym, by narodzić się powtórnie w cielesnej postaci. Wszystko, co czynił, miało jeden

cel: objawić się w widzialnym świecie, pozyskać ciało i krew.

Ujrzałem go, będąc małym chłopcem. Stał w ogrodzie. Nigdy nie marzyłem, że któregoś dnia będę tu mieszkał. Nigdy nie marzyłem, że któregoś dnia... - Przerwał.

Wzruszenie odebrało mu mowę.

- Zasady Dziedzictwa ustalono bardzo wcześnie - powiedziała Mona. - Jeśli chcesz pozostać w rodzinie, jeśli chcesz mieć dostęp do Dziedzictwa, musisz zachować nazwisko „Mayfair” bez względu na to, czy wyjdiesz za mąż czy nie.

- To dlatego klan nie otwierał się na innych - wyjaśniła Rowan - i było wiele związków między bliskimi krewnymi.

- W każdym pokoleniu była jedna dziedziczka - powiedziała Mona, ocierając nos - mieszkanka tego domu, zdolna do urodzenia dziecka.

- Pod względem prawnym i moralnym był to matriarchat - dorzuciła cicho Rowan.

- A Michael i ja... idealnie pasowaliśmy do planu Lashera. Oczywiście, moje dziecko to nie był czystej krwi Taltos. Miało wiele cech ludzkich. Przebywało w macicy może pięć miesięcy. A w noc jego urodzenia przybył Lasher, z całą mocą wdzierając się w maleńkiego ludzika, który rósł i krzyczał na jego rozkaz, domagając się, bym użyła całej mojej wiedzy. Szalona badaczka Rowan знаła połączenie nerwów i rozkład komórek! Szalona badaczka Rowan wiedziała, jak pokierować monstualnego potomka. - Zamknęła oczy. Odwróciła się, przygnieciona naporem wspomnień.

Oślepiający przebłysk: mężczyzna dziecko, wysoki, oślizgły, twarz wyrażająca zdumienie i radość, nieporadny, różowawe kończyny. Rowan ubiera stworzenie, które śmieje się zachwycone. Przebłysk: łapie jej pierś, ssie. Nieprzytomna Rowan osuwa się na podłogę. Stworzenie chciwie ssie drugą pierś.

Moja droga, czyje to naprawdę tajemnice?

Milczenie.

Wyraz czystej męki na twarzy Michaela. Jak dobrze rozumiałem jego ból. Był ojcem tych stworzeń i chyba żadnych innych.

Stirling wydawał się wystraszony jak wcześniej, a równocześnie bezwstydnie zafascynowany. Mona przymykała oczy oparta o Quinna, który obserwował Rowan.

Dźwięki ogrodu łagodne, nieuchronne, obojętne, słodkie.

- Dorosłe niemowlaki, potworki - mamrotała przez sen Dolly Jean. - Gdybym tylko wiedziała, że tamten duch to był dorosły niemowlak, ale nigdy nie przemknęło mi to przez głowę...

- Nie moja dziewczynka - szepnęła Mona. - Moja dziewczynka nie była potworkiem.

Jej ojciec był demonem, ale nie ona.

Rozbłysk: Michael walczy ze stworem imieniem Lasher. Śnieg i lód. Stwór niezwykle śliski, sprytny, gibki, niewrażliwy na ciosy. Śmieje się i drwi z Michaela.

Wrzuca go do zbiornika lodowatej wody, Michael idzie na samo dno. Syreny, pojazdy ratownicze, Rowan i stwór biegną do samochodu...

- Odeszłam z nim - szepnęła Rowan. - Tym mężczyzną dzieckiem nie mającym innego imienia poza imieniem zjawy. Zostawiłam Michaela. Zabrałam go. Szalona badaczka myślała przede wszystkim o ratowaniu go przed tymi, którzy mogli go zniszczyć, a on opętał dziecko Michaela, posłał jego prawdziwą duszę w niebiosy i wiedziałam, że Michael nie spocznie, dopóki go nie zabije, więc z nim uciekłam.

Popełniłam straszliwy błąd.

Milczenie.

W dalszym ciągu siedziała bokiem, jakby odsuwając się od tego wszystkiego, co powiedziała, oczy zamknięte, ręce bezsilne na stole. Chciałam ją utulić. Nic nie zrobiłam.

Michael pozostał nieruchomy. Ojciec tego potwora. Nie. „Posłał jego prawdziwą duszę w niebiosy”. Ojciec tajemniczego ciała, łodzi przewożącej tajemnicę.

- Taltos jest ojcem twojej córki? - spytał Rowan. - Urodziłaś dwa takie stwory?

Skinęła głową. Otworzyła oczy i patrzyła na mnie bez mrugnięcia. Równie dobrze mogliśmy być sami.

- Samiec był wybrykiem natury - powiedziała. - Duchowym potworem. Miał dwa cele - zachować pamięć gatunku, wspomnienia o Taltos, i spłodzić samicę, z którą mógłby dalej płodzić. Prawie natychmiast straciłam nad nim kontrolę. Bez końca roniłam, podczas gdy on wysysał mój pokarm do ostatniej kropli. Tylko na samym początku udawało mi się go zwabić do pracowni czy do szpitali, gdzie wykorzystując moją władzę, przeprowadziłam pewne badania, i w tajemnicy przesyłałam wyniki do laboratorium w San Francisco. Jako nominowana do Dziedzictwa mogłam podejmować z zagranicznych kont wszelkie potrzebne fundusze, ale musiałam być o krok przed rodziną, która mnie szukała. Dzięki temu stwór miał środki na ciągnięcie mnie po świecie. W wąwozie Donnelaith przeżył falę wspomnień. Ale wkrótce rozpaczliwie zapragnął wrócić do Stanów. Wybrałam Houston. Tam moglibyśmy osiąść i mogłabym go badać. Myślałam, że wśród szpitali i klinik zdołam urządzić laboratorium i nie zostanie odkryta. Nie wiedziałam, że to idealne rozwiązanie dla tego szatańskiego demona. Ponieważ ze mną nie udało mu się spłodzić samicy własnego gatunku, porzucił mnie skrepowaną, wygłodzoną i na progu szaleństwa. Dopiero długo później dowiedziałam się, że robił krótkie wypady do Nowego Orleanu i na chybił trafił kopulował z kobietami naszego rodu. Oczywiście kończyło się to fatalnie.

Jego ofiary ronily i znajdowano je martwe, we krwi. Rodzina wpadła w panikę.

Kobiety rodu Mayfair umierały jedna po drugiej. I nie dało się znaleźć śladu Rowan, która porzuciła Michaela dla demona. Stałam się więźniarką. Niebawem wszystkie kobiety rodu Mayfair żyły otoczone uzbrojonymi strażnikami. Stwór przybył na Pierwszą Ulicę i prawie udało mu się dotrzeć do Mony. Ale ona podczas mojej nieobecności kochała się z Michaelem i już nosiła w sobie dziecko Taltos, chociaż o tym nie wiedziała. W końcu, gdy prawie pogodziłam się ze śmiercią, poczęłam kolejne dziecko. I to dziecko odezwało się do mnie. Użyło tego właśnie słowa: Taltos.

Powiedziało mi swoje imię: Emaeth. Mówiło o czasach, których jego ojciec nie mógł pamiętać. Telepatycznie przekazałam mu, że kiedy się narodzi, ma wyruszyć do Michaela, do Nowego Orleanu. Opowiedziałam mu o domu przy Pierwszej Ulicy. W razie mojej śmierci miało dotrzeć do Michaela i przekazać mu wiadomość.

Rozmawialiśmy ze sobą w milczeniu. Lasher nie posiadał się z radości, kiedy usłyszał głos dziecka! Spodziewał się, że wkrótce będzie miał swoją pannę młodą. I gdy złagodniał wobec mnie, udało mi się uciec. W brudnych szmatach dowlokłam się do szosy.

Nawet nie dobrnęłam do domu. Znaleziono mnie nieprzytomną w pobliskim parku, krwawiącą prawdopodobnie po poronieniu. Nikomu się nie śniło, że urodziłam Emaeth, a ona, biedna sierota, nie mogąc doprowadzić mnie do jakiegoś takiego stanu ani dalej karmić się moim mlekiem, wyruszyła na długą pieszą wędrówkę do Nowego Orleanu. Błyskawicznie przetransportowano mnie do rodzinnego miasta i poddano histerektomii, żeby powstrzymać krwotok. Zapewne dzięki temu nie zapadłam na taką wyniszczającą chorobę, jaka później niemal zabiła Monę. Mój mózg jednak został

poważnie uszkodzony. Byłam w głębokiej śpiączce. Leżałam nieprzytomna na górze, gdy Lasher w przebraniu księdza oszukał strażę, wślizgnął się do domu i zaapelował

do Talamaski i Michaela, żeby pozwolili mu żyć. Czyż w gruncie rzeczy nie był bezcennym egzemplarzem gatunku? Liczył na to, że Talamaska go uratuje. Roztoczył opowieść o swoim uprzednim życiu. To było fascynujące studium niewinności Taltos.

Ale Lasher nie był niewinny. Przynosił śmierć. Michael walczył z nim, pokonał go i zabił. I tak długie panowanie Lashera nad rodem Mayfair dobiegło końca. Byłam nadal w śpiączce, gdy przybyła Emaeth i pochyliła się nade mną, żeby mnie nakarmić swoim uzdrawiającym mlekiem. Kiedy się obudziłam i zobaczyłam córkę Taltos, którą urodziłam, i zdałam sobie sprawę, że karmię się jej mlekiem, byłam przerażona. To stworzenie o przeraźliwie długich rękach, nogach i twarzy niemowlęcia wzbudziło we mnie grozę. Widziałam ją niesłychanie wyraźnie, ale nie rozumiałam, co się dzieje.

Wiedziałam tylko, że jak bezradne dziecko ssę mleko z piersi tego stwora. Chwyciłam leżący przy łóżku pistolet. Zastrzeliłam ją. Zastrzeliłam. Odebrałam jej życie. Jeden ruch palca i było po niej.

Potrząsnęła głową. Odwróciła wzrok, jak to robimy, gdy spoglądamy w przeszłość.

Poczucie winy, strata... przeżywała nieopisany ból.

- To nie musiało się wydarzyć - zamruczała. - Co takiego zrobiła, poza tym, że dotarła do domu, jak jej kazałam? Co takiego zrobiła, poza tym, że swoim życiodajnym pokarmem przywróciła mi przytomność? Samotna samica Taltos. Jak mogłaby mnie skrzywdzić? To nienawiść Lashera zwichrowała mój umysł.

Obrzydzenie wobec nieznanymi gatunków i mój atawizm. Tak zginęła, biedna dziewczyna. I są dwa groby pod tym dębem. I ja, kolejny potwór, przebudziwszy się ze śpiączki, pochowałam ją. - Westchnęła. - Moja zagubiona dziewczynka. Zdradziłam ją.

Cisza. Nawet ogród zamilkł. Basowy ryk przejeżdżającego samochodu wydawał się takim samym odgłosem natury jak szelest wiatru w drzewach.

Smutek Rowan oplótł mnie i wyniósł poza czas.

Stirling miał wilgotne, rozplomienione oczy, gdy przyglądał się Rowan. Michael nie odzywał się słowem.

- Talamaska popadła w tarapaty - przemówiła Mona bardzo łagodnym głosem. -

Wszystkie były związane z Taltos. Niektórzy członkowie zakonu starali się uzyskać kontrolę nad Lasherem. Nawet posuwali się do zabójstw. Michael i Rowan wybrali się do Europy, chcąc przeprowadzić śledztwo w sprawie wewnętrznej korupcji w zakonie.

Był dla nich częścią rodziny. Wszyscy tak go traktowaliśmy. I wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży. Moje dziecko zaczęło niesłychanie szybko rosnać. Zaczęło do mnie mówić. Powiedziało, że nazywa się Morrigan. - Głos się jej załamał. - Byłam oczarowana, oszalała. Pojechałam do wiejskiego domu przy plantacji Fontevrault, w którym mieszkała Dolly Jean. Ona i Mary Jane Mayfair, moja kuzynka i przyjaciółka, która później uciekła z domu, pomogły mi, gdy rodziłam Morrigan. Cierpiałam, naprawdę cierpiałam. I potwornie się bałam. Morrigan okazała się jednak wysoka i piękna. Nikt nie mógł spojrzeć na Morrigan i nie powiedzieć, że jest piękna. Bił od niej blask, świeżość i jakiś czar. Doiły Jean ni to zaskrzeczała, ni to zaśmiała się w półśnie.

- Wiedziała mnóstwo o ludzkim świecie. Istny potworek.

- Wtedy ją kochałaś - obruszyła się Mona - sama wiesz, że ją kochałaś.

- Ja tam nic nie mówię - powiedziała Dolly Jean, spoglądając na nią z ukosa - ale co byś myślała o kimś, kto ci mówi, że przejmie władzę nad całą rodzinę i przerobi ją na klan dużych niemowląt? Miałam bić brawo?

- Ona dopiero co się urodziła! - przerwała jej łagodnie Mona. - Nie wiedziała, co znaczą te słowa. Była uosobieniem moich ambicji, moich marzeń.

- Nie wiem, gdzie przebywa - powiedziała głębokim, chwytającym za serce głosem Rowan. - Nie wiem, czy żyje czy nie.

Mona była głęboko załamana, ale tak ją zawstydziłem, besztając za łzy, że choć z trudnością, to jednak nad nimi zapanowała. Chciałem ją wziąć za rękę. Nie pozwoliła mi.

- Znasz tego Taltos, który się pojawił i ją zabrał! - zarzuciła Rowan. - Spotkaliście się z nim w Europie. Dowiedział się o twoich włóczęgach z Lasherem. - Odwróciła się do mnie. - Tak to wyglądało. Znalazł ich. Tak, był kolejnym egzemplarzem gatunku, który przetrwał wieki. Został ich przyjacielem. Oczywiście nie powiedzieli mi tego i nie powiedzieli Morrigan. Och, nie, bo my byliśmy dziećmi! Zatrzymali te informacje dla siebie! Wyobrażacie sobie. Wiekowy Taltos. Jeszcze za mało się nacierpiałam, żeby mogli mi o nim powiedzieć. A kiedy się tu zjawił, pozwolili mu zabrać moją córkę.

- Jak mogłam ich zatrzymać? - spytała Rowan. - Byłaś tu z nami. Morrigan szalała, czując woń samca na naszych rzeczach, na podarunkach, które od niego dostaliśmy.

Nigdy się nie dowiemy, dlaczego tu przybył. Wiemy tyle co ty. Był w ogrodzie. Ona podeszła do okna. Wybiegła do niego. Nie dało się ich powstrzymać. Nigdy więcej ich nie spotkaliśmy.

- Mona, szukaliśmy go na wszelkie możliwe sposoby - rzekł Michael. - Musisz nam uwierzyć.

- Chcę zobaczyć akta - zażądała Mona - dokumenty. Chcę wiedzieć, jak się nazywa, jak nazywają się jego firmy w Nowym Jorku. Ten wiekowy mędrzec był bogaczem, wpływową osobą. Tyle mi zdradziliście.

- Z przyjemnością udostępnię ci te akta - powiedziała Rowan - ale proszę, zrozum, on wszystko zlikwidował. Zniknął.

- Gdybyście tylko od razu wszczęli poszukiwania - rzekła z goryczą Mona.

- Mona, wtedy sama się z nami zgodziłaś. Będziemy czekać, dopóki się z nami nie skontaktują. Uszanowaliśmy ich wybór, to, że chcieli być razem. Nie pomyśleliśmy, że po prostu znikną. To nie przyszło nam do głowy.

- Baliśmy się tego, co mogli nam przekazać - przyznał Michael. - Nie mieliśmy pojęcia, jak będą się rozmnażać, jak przeżyją we współczesnym świecie, jak Ashowi uda się posterować ich życiem.

- Nazywał się Ash - powiedziałem.

- Tak - potwierdził Michael. Stara rana otworzyła się, gdy mówił. - Ash Templeton.

Był naprawdę wiekowy. Żył samotnie niewyobrażalnie długi czas. Widział, jak jego gatunek wymiera. To on przedstawił nam historię Taltos. Był przekonany, że nie przeżyją w ludzkim świecie. Widział masakrę swoich pobratymców. Miał za sobą wielką tragedię. Oczywiście, gdy słuchaliśmy jego opowieści, nawet nie mieliśmy pojęcia, że Morrigan istnieje. Zostawiliśmy Asha w Nowym Jorku. Byliśmy nim zauroczeni. Przysięgliśmy sobie wieczną przyjaźń. Potem przyjechaliśmy do

domu i zobaczyliśmy Morrigan.

- Może to jakiś telepatyczny zmysł doprowadził go do Morrigan - zasugerowałem.

- Nie wiemy - przyznała Rowan. - Ale się tu zjawił, wszedł do bocznego ogrodu, dojrzał ją przez okno, a ona wyczuła jego woń i zbiegła do niego.

- Przez lata żyliśmy w strachu - powiedział Michael. - Przeczesywaliśmy zasoby agencji prasowych, szukając jakiejś wiadomości, która mogłaby dotyczyć Taltos.

Byliśmy cały czas w pogotowiu, podobnie Talamaska. Mona, musisz wrócić pamięcią do czasów przed twoją straszną chorobą. Musisz sobie przypomnieć, jak było. Żyliśmy w lęku, bo wiedzieliśmy, że ten gatunek może bardzo zaszkodzić ludziom.

- Dobrze powiedziane! - wyrwała się Dolly Jean. - A Morrigan, cała nakręcona, żeby rządzić światem, głosiła, że jej wizja pochodzi od ludzkiego ojca i ludzkiej matki.

Kiedy nie oglądała się za siebie, nie snuła wizji, nie tańczyła w kółko ani nie wachała kwiatków, wyłaziła z niej dzika bestyjka.

- Och, bądź cicho, Dolly Jean - szepnęła Mona, przygryzając wargę - sama wiesz, że ją kochałaś. I wy wszyscy... chciałam ich szukać na długo przed tym, zanim wyście się do tego zabrali. Przez lata nie chcieliście mi podać jego nazwiska. Och, zostaw to nam.

Zostaw to kancelarii Mayfair i Mayfair. A teraz wypowiedacie jego nazwisko takim tonem, jakby to nie miało znaczenia. Ash Templeton. Ash Templeton. - Zaczęła płakać.

- To nieprawda - zaprotestował Michael. - Uznałem to stworzenie za córkę. Wiesz, że tak ją traktowałem. Zaczęliśmy szukać, zanim ci o tym powiedzieliśmy. Nie mieliśmy pojęcia, że tak bardzo się rozchorujesz. - Jego głos zabrzmiał chrapliwe, ale odchrząknął, przejechał językiem po suchych wargach i mówił dalej: - Jeszcze nie wiedzieliśmy, jak bardzo będziesz potrzebowała mleka Taltos. Odkryliśmy to dopiero po pewnym czasie. Ale próbowaliśmy nawiązać kontakt z Ashem i dowiedzieliśmy się, że sprzedał wszystkie swoje udziały. Zniknął z banków, giełd, światowych rynków.

- Bez względu na to, co czuł wobec nas - dodała Rowan - zdecydował się zniknąć.

Zdecydował się utajnić swoją przyszłość.

Mona łkała, ukrywając twarz na piersi Quinna. Michaelowi pękało serce na ten widok.

- Mono - przemówił Stirling tonem pełnym szacunku, ale równocześnie pewnym i zdecydowanym - Talamaska prawie natychmiast rozpoczęła poszukiwania Asha i Morrigan. Staraliśmy się to robić dyskretnie. Szukaliśmy. Znaleźliśmy pewne dowody, że odwiedzili Donnelaith. Potem ślad się rozplątał. I proszę, uwierz mi teraz, kiedy ci mówię: nigdy i nigdy, przenigdy nie znaleźliśmy najlżejszego śladu.

- Prawdę mówiąc, to zadziwiająca - powiedziałem.

- Nie rozmawiam z tobą! - krzyknęła Mona, patrząc na mnie ze złością, a potem tuląc się do Quinna, jakbym budził w niej lęk.

- Cokolwiek się wydarzyło - zauważyłem - powinni byli zostawić po sobie jakieś ślady.

- Też tak myślałem - powiedział Michael. - Przez kilka lat żyliśmy w potwornym lęku, że dowiemy się o nich przy okazji doniesienia o jakiejś katastrofie. Nie zdradzę wam wszystkich moich obaw. Myślałem: a co będzie, jeśli młode zaczną się rodzić bez jakiejkolwiek kontroli? Co będzie, jeśli się zbuntują przeciwko Ashowi? Co będzie, jeśli zaczną mordować? A potem, kiedy przestaliśmy się bać i zaczęliśmy szukać, nic.

Dolly Jean znów zachichotała. Uniosła ramiona, trzęsła głową i kołysała się całym ciałem.

- Duże niemowlaki potrafią zabijać ludzi z taką samą łatwością, z jaką ludzie potrafią zabijać duże niemowlaki. A może się gdzieś mnożą, mnożą nie do zatrzymania, rozlażą we wszystkich kierunkach, kryją w dolinach i na wzgórzach, w górach i na równinach, pokonują lądy i morza, aż zahuczy wielki dzwon i w jednej i tej samej chwili pokażą się na całym świecie i wystrzelają ludzi jednego po drugim, PIF-

PAF i obejmą rządy nad całą ziemią!

- Oszczędź to sobie dla ciotki Oscar - powiedziała chłodno Rowan, unosząc brwi.

- (Puściłem oko do Dolly Jean. Pokiwała głową i pogroziła mi palcem.) Michael spojrzał Monie prosto w oczy i pochylił się, zwracając bezpośrednio do niej.

- Mam nadzieję, że daliśmy ci to, czego potrzebujesz - rzekł. - Przypilnuję, żeby wszystkie akta skopiowano i dostarczono tam, gdzie sobie życzysz. Przekonasz się, że sprawdziliśmy każdy ślad. Damy ci każdy strzępek papieru z informacją o Ashu Templetonie.

- Oczywiście - odezwała się Dolly Jean - mogą leżeć razem w grobie jak Romeo i Julia, zimni jak gład! Dwa duże niemowlaki ściskają się, zgniłe do kości. No bo przecież on mógł nie wytrzymać tej jej całej szalonej paplaniny i wszystkich jej planów, więc zacisnął jej na szyi jedwabną pończochę i...

- Przestań, Dolly Jean! - zawołała Mona. - Jeszcze słowo, a zacznę krzyczeć!

- Już krzyczysz, uspokój się! - szepnął Quinn.

Rozważyłem sprawę w głębi serca, po czym rzekłem ze spokojem:

- Znajdę ją.

Zapanowało ogólne poruszenie.

Mona odwróciła się do mnie i spytała z urazą:

- Co niby chcesz przez to powiedzieć?! - Jej chusteczka była cała czerwona od łez.

Spojrzałem na nią z największym obrzydzeniem, do jakiego byłem zdolny, biorąc pod uwagę jej delikatność i piękno oraz moje zło i szatańskość, a potem spojrzałem przez stół na Rowan.

- Chcę podziękować wam wszystkim za udostępnienie waszych tajemnic. -

Spojrzałem na Michaela. - Zaufaliście nam i potraktowaliście nas, jakbyśmy byli bezgrzeszni i dobrzy. To niezwykle. Spróbujemy dorównać waszym wyobrażeniom.

Niezwykły, szeroki uśmiech powoli rozjaśnił twarz Rowan.

- Bezgrzeszni i dobrzy - powtórzyła. - Jak cudowne są te słowa. Gdybym tylko potrafiła wpleść je w pieśń i nucić ją dzień i noc...

Patrzyliśmy na siebie.

- Daj mi trochę czasu. Jeśli nadal żyją, jeśli utworzyli kolonię, jeśli są w jakimś odległym zakątku świata, znam takich, którzy niewątpliwie będą wiedzieć, gdzie przebywają.

Rowan uniosła brwi i zamyślona spojrzała w dal. Tamten uśmiech powrócił - lampa czaru. Skinęła głową.

Michael wydawał się poruszony moimi słowami, a Stirling zaciekawiony i pełen szacunku.

- Pewnie nie myślisz - zagadnęła mnie Dolly Jean, nie otwierając oczu - że był

najstarszym dziecięciem krwi na świecie, he? I zapamiętaj moje słowa, ty piękny wielkoludzie, jasne, żeś piękny jak anioł, a wdzięku masz tyle, że można by cię wziąć za gangstera. Po trzy razy widziałam każdy gangsterski film, który zrobili, i wiem, co mówię. Jakby ci pociągnąć włosy czernidłem do butów, mógłbyś zagrać Bugsy Siegela.

- Dziękuję ci - odparłem cierpko. - Prawdę mówiąc, zawsze moją największą ambicją było zagrać Sama Spade'a. Byłem samotny i opuszczony, kiedy „Black Mask” pierwszy raz opublikowała *Sokoła maltańskiego*. Przeczytałem go przy świetle księżycy. Sam Spade zrobił na mnie wrażenie.

- No, nie dziwota, że gadasz jak gangster. Ale Sam Spade to pikuś. Celuj w Bugsy Siegela albo Lucky Luciano.

- Przestańcie! - krzyknęła rozpaczliwie Mona. - Nie zdajecie sobie sprawy z tego, co właśnie powiedział? - Była do bólu oszołomiona i walczyła ze szlochem, walczyła z wściekłością, którą do mnie czuła. Spytała cienkim, pełnym oszołomienia głosem: -

Naprawdę możesz to zrobić? Znajdziesz Asha i Morrigan?

Nie odpowiedziałem. Pozwoliłem, żeby ta noc nauczyła ją cierpienia.

Wstałem od stołu. Pochyliłem się, by pocałować Rowan w policzek. Moja dłoń znalazła jej dłoń i zacisnęła się na krótką, żarliwą chwilę. *Ogrodem zamkniętym jesteś, siostró ma, oblubienico*. Jej palce oddały uścisk z całą siłą.

Panowie wstali, chcąc mnie odprowadzić. Wymruczałem stereotypowe formułki pożegnalne i dopiero wtedy tajemna, ściskająca mnie obręcz puściła.

Powoli ruszyłem do francuskiego ogrodu za basenem i wzbiłbym się w pędzące chmury, oddalił od Ziemi tak daleko, jak to możliwe, ale za moimi plecami rozległ się żałosny krzyk Mony:

- Lestacie, nie zostawiaj mnie!

Przybiegła przez trawnik, jedwabna sukienka wzdęła się jak balon.

- Och, ty żałosna dziewczyno! - powiedziałem, celowo obnażając zęby. Złowiłem ją w objęcia, wyczerpaną, słodką płataninę kończyn. - Ty nieznośna wiedźmo. Ty niedobre, niezdyscyplinowane dziecię krwi. Ty godna pogardy uczennico. Ty żebraczko, buntowniczy, uparty pisklaku.

- Uwielbiam cię całą duszą, jesteś moim stwórcą, moim mentorem, moim strażnikiem, kocham cię! - wykrzykiwała. - Musisz mi wybaczyć!

- Nie, nie muszę. Ale wybaczę. Pożegnaj się jak należy ze swoją rodziną. Zobaczymy się jutro wieczór. Teraz muszę być sam.

W dal poszedłem, w najdalsze zakątki ogrodu...

...a potem ku chmurom i bezlitosnym gwiazdom, tak daleko od śmiertelnych, jak tylko mogłem się oderwać.

- Maharet - zawołałem do najbardziej wiekowej - Maharet, złożyłem obietnicę tym, których kocham. Pomóż mi jej dotrzymać. Skłoń swe ucho, najpotężniejsza, ku tym, których kocham. Skłoń swe ucho, najpotężniejsza, ku mnie.

Gdzie ona była, ta wieża z kości słoniowej? Przodek naszych przodków. Ta, która od czasu do czasu przybywa nam z pomocą. Nie miałem pojęcia, bo nigdy nie zgiąłem hardego karku i nie szukałem jej. Ale wiedziałem, że podczas wielu wieków swego trwania zdobyła moce, które przerastały wszystkie moje marzenia i lęki, i że jeśli zechce, wysłucha mnie. Maharet, nasza strażniczko, nasza matko, wysłuchaj mojego błagania.

Śpiewałem pieśń o wysokich, dawno temu wymordowanych, którzy znów się pojawili i stworzyli ukrytą w nowoczesnym świecie kolonię. Łagodne istoty pozbawione swojego czasu, swojego miejsca i może swojego szczęścia. I w tragiczny sposób jakże ważne dla mojego pisklęcia i jej ludzkiej rodziny. Nie zmuszaj mnie, bym powiedział tyle, że inni nieśmiertelni poznaliby moje zamiary i wykorzystali tę wiedzę w złym celu. Wysłuchaj mnie, słodka Maharet, gdziekolwiek jesteś. Na pewno znasz ten świat jak nikt inny. Czy wypatrzyłaś te wysokie dzieci? Nie ośmielałem się

wypowiedzieć ich imienia.

A potem otuliłem się w kojące fantasmagorie, hulając z wiatrami dla własnej rozkoszy, chwilowo roztapiając się w poezji miłości i wyobrażając sobie altany miłości, miejsca osłonięte boskimi skrzydłami, z najwyższego rozkazu wyłączone poza dobro i zło, dostępne mnie i tym, których uwielbiam. Ta wizja była skazana na nieziszczenie, ale to nie przeszkadzało mi się nią rozkoszować.

Po zachodzie słońca. Pierwszy posmak jesieni w ciepłym powietrzu.

Mona i Quinn przybyli do drzwi ogrodu pięć minut po tym, jak ich wezwałem.

Każdy mężczyzna na oświetlonym słabym blaskiem hotelowym tarasie odwrócił się i uważnie lustrował śmiałą piękność o rozwianych rudych włosach. Oooh, krótka nad kolana sukienka na ramiączkach, z cekinami, i zuchwałe szpilki, w których pulsują jej nagie łydki, tak, hmm. Quinn w idealnie uszytym garniturze khaki, eleganckiej koszuli i czerwonym krawacie jako jej oszałamiającej urody towarzysza.

Trzymałem się z boku gęstej, groźnej, bawiącej się grupy, skanowałem jeden umysł

po drugim, pozwalając się gnieść tłumkowi, wciągałem zapach dymu papierosowego, rozgrzanej krwi i wody toaletowej dla panów, od czasu do czasu obserwując w zbliżeniu chciwość i cynizm tej grupy ludzi.

Rozstawione wokoło głośniki przenosiły łomot muzyki na stalowych bębnach zbiorowego bicia serca.

Tematem rozmów były kobiety, Rosjanki, importowane przez młodego aroganckiego alfonsa - ulizane kasztanowe włosy, modnie wymięta marynarka od Armaniego, entuzjastycznie rozjaśniona twarz - który w rytmie amfetaminowej drgawki urabiał swoich gości, kupców jego towaru, wychwalając „białe ciało, jasne włosy, świeżość, klasę” napływające jego kanałami z Moskwy i Sankt Petersburga.

- Nigdy nie widzieliście tyle białego towaru.

Podaż była tak wysoka, że wymieniali dziewczęta co pół roku, „schodzą taśmowo, bez obaw, zła gwarancja?”

- Mówię o samej śmietance, mówię o laskach, które wyciągają koło w pół godziny, towar może być ubrany albo nie, mówię o nieprzerwanych dostawach do miejsca zakupu... - Nagle go замуrowało. Zobaczył Monę.

Ona i Quinn dołączyli do mnie. Szmer na jej przybycie. Była jedyną kobietą na tarasie. Co to miało być? Nagroda gwarantowana?

Skupiłem się na alfonsie i na wielkim, niewiele wartym kościstym gorylu, który plątał się przy nim, trutniu w źle skrojonym smokingu z białymi smugami na kłapach.

Narkomani. Sami narkomani.

- Zrobimy to tutaj - szepnąłem.

Mona roześmiała się zimno. Nagie ramiona, było na co popatrzeć. Sukienka zachowała woń cedru - garderób ciotki Queen. Quinn tylko się uśmiechnął, ostrząc zęby przed polowaniem.

Muzyka łupnęła i przeszła w brazylijską sambę.

Nawet kelnerzy w białych uniformach, płatający się wszędzie z tacami mikrokanapek i lejący hojnie szampana, byli naćpani. Łysy mężczyzna z Dallas przepchnął się do alfonsa. Ile za rudą? Chciał zapewnić sobie opcję przebicia każdej oferty.

- Słyszysz, co mówię?

Wszyscy przedstawiali mu oferty szeptem, w przelocie, i teraz już nie odrywał ode mnie wzroku. Facet z Detroit o pięknych białych dłoniach mruczał, jaki to urządzi jej apartament w Miami Beach i da wszystko, czego zażąda, dziewczynie tej klasy, nie można pozwolić, żeby ten biznes tak cię ogłupił, żebyś...

Uśmiechałem się do alfonsa. Stałem, opierając się łokciami o żelazne ogrodzenie, obcas zatknięty o dolną poprzeczkę, fioletowe okulary przeciwsłoneczne na nosie.

Purpurowy golf, marynarka i spodnie z miękkiej czarnej skóry, krój wyjściowy, uwielbiam moje ubrania. Mona i Quinn trochę tańczyli, prawie w miejscu, Mona nuciła do muzyki.

Alfons przesunął się w bok, od czasu do czasu posyłając przelotne bezczelne uśmiešky, tanie jak bransolety na Mardi Gras. Stając po mojej prawej (ona była po lewej), złożył propozycję:

- Daję za nią sto patoli, żadnych pytań, kasę mam w płaszczu.

- A co, jeśli ona na to nie pójdzie? - spytałem, patrząc na falujące, hałasujące towarzystwo. Nagła woń kawioru, serów, świeżych owoców, hmm.

- Zajmę się tym - powiedział z szyderczym śmieszkiem. - Ty tylko odholuj tego gościa i zostaw ją tu.

- A później?

- Nie ma żadnych później. Nie wiesz, kim jestem? - Zrobiło mu się mnie żal. -

Jesteś przystojny, ale głupi. Dwieście patoli. Decyduj. Pięć sekund. Nie więcej.

Wybuchłem cichym śmiechem. Spojrzałem w bezlitosne rozgorączkowane oczy.

Źrenice ogromne. Prawo na Harvardzie, handel narkotykami, kobietami. W górę i w górę, w dół i w dół. Błysnął idealnie wybielonymi zębami.

- Trzeba się było o mnie rozpytać - pouczył mnie. - Chcesz roboty? Nauczę cię tyle, że ludzie będą cię brali za bystrzaka.

- Zabawmy się, maleńki - powiedziałem. Wsunąłem mu rękę pod pachę i przesunąłem go łagodnie po

kole, tak że rozpląszczył się na ogrodzeniu, między mną a Moną. Pochyliłem się, zakryłem mu dłońią usta, zanim pisnął. Ona odwróciła się w miejscu i rozwarła wargi na jego szyi, jej włosy stały się idealnym welonem prywatności.

Czułem, jak życie wycieka z jego delikatnych kończyn, słyszałem, jak ona sapie, łykając, całym jego ciałem wstrząsnął jeden wielki spazm.

- Zostaw go przy życiu - szepnąłem. Kogo chciałem oszukać?

Ręka na moim ramieniu. Obejrzałem się. Wielki, tępo patrzący ochroniarz, tak nawalony, że prawie niezdolny skojarzyć, co budzi jego podejrzenia, ani postanowić, co ma z tym zrobić, no, w porzo, ale Quinn już odciągał go na bok i unieruchomił, facet stał tyłem do napierającego rozbawionego tłumu, a Quinn cicho i powoli wysysał

z niego krew. Jak wyglądał, czy nie tak, jakby szeptał bałwanowi do ucha? Najpewniej.

Śmiejący się, łykający, gulgoczący tłum przetaczał się dalej, kelner niepewnie balansujący tacą prawie nadepnął mi na nogę.

- Nie, dziękuję, nie piję - powiedziałem, co zgadzało się z prawdą.

Podobał mi się jednak ten bladożółty szampan w kieliszkach. I chlupoty, pluski i taniec wody w fontannie pośrodku tłumu, i ostro zarysowane prostokąty światła

hotelowych okien, wspinające się coraz wyżej poetycko pięknymi, równoległymi rzędami do różowego nieba, podobały mi się niskie, ostre tony saksofonu tańczące solo sambę, podobały mi się trzepoczące na drzewach w donicach liście, na które poza mną nikt nie zwracał uwagi. Podobały mi się...

Oszołomiony goryl zachwiał się. Podwładny złapał go za ramię, sygnalizując niedyspozycję szefa, dumny, że go na niej przyłapał. Alfons martwy. Uuups. Taka piękna kariera skończona pod płótem. Mona miała rozjarzone oczy, narkotyki we krwi.

- Podaj gospodarzowi krzesło - rozkazałem pierwszemu kelnerowi, którego udało mi się zaczepić. - Chyba przedawkował i nie kojarzy, co się dzieje.

- O mój Boże! - Połowa kieliszków na tacy zderzyła się z drugą połową. Klienci odwrócili się, szeptali. Jakkolwiek by było, gospodarz rozłożył się na podłodze.

Handel kobietami na tym ucierpi.

Nie ma nas.

Przepyszny półmrok hotelowego półpiętra, marmury, złote żyrandole, windy z lustrami, miękki szelest drzwi, akry dywanów, sklep z pamiątkami pełen wypchanych różowych potworów, ciężkiego szkła, chodnik, brud, jazgot roześmianych turystów, niewinni, spryskani dezodorantem ludzie wszystkich grup wiekowych w niemnących się, skąpych, krzykliwych kolorystycznie ubraniach,

śmieci, cudowny upał, pisk opon samochodu zjeżdżającego w Canal z zatłoczonej St. Charles Street.

Tłumy, tłumy dobrych ludzi, tłumy szczęśliwych, dobrych ludzi.

Byliśmy z powrotem w domu. Tylny salon. Moje skarby na kanapie. Narkotyki w ich krwi wywietrzały podczas drogi powrotnej. Ja za biurkiem, ale twarzą do nich.

Kazałem im się przebrać. Cholera, ta krótka sukienka po prostu za bardzo rozpraszała uwagę. A mieliśmy do omówienia kilka bardzo ważkich spraw.

- Chyba nie mówisz poważnie! - Wściekła się. - Chyba się nie spodziewasz, że będziesz mi mówił, co mogę nosić, a czego nie, nawet sobie nie wyobrażaj, że będę tego słuchała, to nie osiemnasty wiek, kochanie. Nie wiem, w jakim zamku cię wychowano, ale zapewniam cię, że dla feudalnego pana nie zmienię mojego stylu, bez względu...

- Umiłowany szefie, czy nie mógłbyś zwyczajnie poprosić Mony, żeby się przebrała, zamiast jej rozkazywać! - zaproponował z hamowaną irytacją Quinn.

- Właśnie, co ty na to?! - wykrzyknęła, chyląc się ku mnie i w ten sposób demonstrując jeszcze głębszy rowek między piersiami, pod paskiem cekinów.

- Mona, moja droga - powiedziałem z wielką emfazą - *ma chérie*, moja piękna, proszę, przebierz się w coś mniej ponętne. Trudno mi myśleć, jesteś tak piękna w tej sukience. Wybacz mi. Składam moje haniebne omnisensualne impulsy u twoich stóp. Hołd. Ja, przepojony przez dwieście lat krwią, powinienem zdobyć się na tyle mądrości i tyle opanowania, aby tego rodzaju żądania nie były konieczne, lecz, niestety, w głębi mojego serca karmię człowieczy płomień, który może nigdy się nie wypali, i to właśnie - żar tego płomienia rozprasza moją uwagę i w twojej obecności pozbawia wszelkiej mocy.

Zmrużyła oczy i zmarszczyła brwi. Z najwyższą starannością poszukała śladów szyderstwa. Nie znalazła żadnych. Wtedy jej dolna warga zaczęła dygotać.

- Naprawdę możesz mi pomóc znaleźć Morrigan? - spytała.

- Nie będę z tobą rozmawiał, dopóki nie zmienisz tej sukienki - odparłem.

- Jesteś despotą i tyranem! - wybuchła. - Traktujesz mnie jak dziecko albo jak zdzirę. Nie zmienię jej. Pomożesz mi znaleźć Morrigan czy nie? Zdecyduj się zaraz.

- To ty się decyduj. Zachowujesz się jak dziecko i jak zdzira. Nie masz żadnej godności własnej, żadnej powagi! Żadnej litości! Musimy omówić pewne sprawy, zanim weźmiemy się do szukania Morrigan. Nie byłaś zbyt grzeczna ostatniej nocy.

Teraz się przebieraj, zanim sam cię przebiorę.

- Nie waż się mnie dotknąć! - krzyknęła. - Podobało ci się, kiedy każdy na przyjęciu się na mnie gapił. Co teraz cię drażni w tej sukience?

- Zdejmuj ją! Niepotrzebnie rozprasza uwagę.

- A jeśli ci się wydaje, że będziesz mi prawil kazania na temat tego, jak się zachowałam wobec mojej rodziny...

- Dość tego, oni po prostu nie są już twoją rodziną. Chodzi o nieskończenie ważniejszą sprawę i ty dobrze o tym wiesz. Rezygnujesz ze swojej inteligencji na rzecz tanich emocjonalnych wyskoków. Wczorajszej nocy nadużyłaś swoich mocy, swojej wyjątkowej pozycji. Zaraz zmień tę sukienkę.

- A co zrobisz, jak jej nie zmienię...?!

Jej oczy płonęły.

Byłem osłupiały.

- Czy zapomniałaś, że to moje mieszkanie? Ze to ja cię tu zaprosiłem? Ze istniejesz dzięki mnie?

- Śmiało, wyrzuć mnie! - oświadczyła. Poczerwieniła na twarzy. Zerwała się na równe nogi i pochyliła nade mną, z ogniem w oczach. - Wiesz, co zrobiłam ostatniej nocy, po tym jak nas - opuściłeś i sobie odszedłeś, bo byłeś och, ach, tak strasznie zakochany w Rowan?! Och, ach, tak strasznie zakochany w *La Doctor Dolorosa*. No, zgadnij! Przeczytałam twoje książki, twoje ckiwe, mdłe, melancholijne „Kroniki wampirów” i teraz rozumiem, dlaczego twoje piskłeta cię nie cierpią! Traktowałeś Claudię jak lalkę, tylko dlatego że miała ciało dziecka! A tak w ogóle, o co w tym wszystkim chodziło, że stworzyłeś wampira dziecko...?

- Zamilcz, jak śmiesz!

- A twoja własna matka, dałaś jej mroczny dar, a potem chciałaś ją powstrzymać przed obcięciem długich włosów albo noszeniem męskich strojów, i to w osiemnastym wieku, kiedy kobiety ubierały się tak, że wyglądały jak torty weselne, ty autokratyczny potworze!

- Obrażasz mnie, znęcasz się nade mną! Jeśli nie przestaniesz...

- I wiem, dlaczego tak palisz się do Rowan, to pierwsza dorosła kobieta poza twoją matką, która potrafiła przykuć twoją ciekawość na dłużej niż pięć minut. I wiwat!

Lestat odkrył przeciwną płęć!!! No, proszę, można zamówić kobietę w dorosłym rozmiarze! A przypadkiem ja jestem jedną z nich i to nie jest rajski ogród, i nie zdejmę tej sukienki!

Quinn poderwał się na nogi.

- Lestat, zaczekaj, proszę!

- Precz! - ryknąłem. Powstałem. Mojemu sercu zadano tak głęboką ranę, że ledwo mogłem mówić. Znowu czułem ten piekący ból na całym ciele, ból, który pierwszy raz się odezwał, gdy Rowan pomstowała na mnie w Ustroniu, wycieńczający, okaleczający ból. Krzyczałem: - Precz z mojego domu, ty paskudna mała niewdzięcznico, precz, zanim zrzucę cię ze schodów! Jesteś gotowa się

łajdaczyć, byle móc rządzić innymi, to twoje prawdziwe oblicze, wykorzystujesz każdą przewagę, którą daje ci twoja płeć i twoja młodość, jesteś moralnym liliputem w butach dorosłej, wieczną gówniarą, zawodowym dzieckiem! Nie masz pojęcia, co to jest filozoficzny wgląd, duchowe zainteresowanie, prawdziwa dojrzałość... Precz, precz stąd zaraz, nominowana do Dziedzictwa Mayfair. Ale by to było fiasko!

- Idź, wyzywaj się na swojej śmiertelnej rodzinie z Pierwszej Ulicy, piekl się na nich, aż doprowadzisz ich do szaleństwa i rozwalą ci łeb swoimi łopatami i zakopią żywcem w ogrodzie!

- Lestacie, błagam cię... - Quinn wyciągnął dłonie.

Byłem zbyt wściekły.

- Zabierz ją do Blackwood!

- Nikt nie będzie mnie nigdzie zabierał! - krzyknęła. Wybiegła z rozwianymi włosami, w rozbłysku cekinów, zatraskując z łomotem drzwi. Szpilki zastukały na żelaznych schodach.

Quinn potrząsnął głową. Płakał, nie roniąc łez.

- To po prostu nie powinno się wydarzyć - szepnął. - Tego można było w zupełności uniknąć. Nie rozumiesz, ona jeszcze nawet nie przywykła do tego, że wstała z łoża bóleści, nie umie chodzić, nie umie składać słów...

- To było nieuniknione - powiedziałem mu. Byłem roztrzęsiony. - To dlatego ja dałem jej mroczny dar, nie ty, żeby wyzywała się na mnie, nie rozumiesz tego? Ale jak mogła z taką wściekłością potraktować to, co mi się przydarzyło? Jest wyzbyta wszelkiej moralnej modulacji, moralnego rytmu, moralnej cierpliwości, moralnej dobroci. Jest bezlitosną diaboliczką! Nie wiem, co mówię. Biegnij za nią. Jest tak bezczelnie i arogancko niedbała! Idź już.

- Proszę, proszę cię, niech to nie doprowadzi do rozłamu między nami.

- Nie. Między tobą i mną nigdy. Idź już.

Słyszałem z dziedzińca jej łkania. Wypadłem na balkon.

- Wynoś się z mojego domu! - krzyknąłem. Jaśniała w ciemności. - Nie waż się wystawać na moim dziedzińcu i ryczeć. Nie zniosę tego. Wynocha! - Ruszyłem na dół.

Uciekła przede mną do bramy.

- Quinn! - zawodziła. - Quinn - jakbym ją mordował. - Quinn, Quinn - piszczała.

Otarł się o mnie, biegnąc do niej.

Odwrociłem się i poszedłem na górę. Przez długą chwilę trzymałem się poręczy, narzucając sobie spokój, opanowując drżenie rąk, ale niewiele to pomogło.

Gdy tylko zamknąłem drzwi, kątem oka dostrzegłem Julię. Znow próbowałem uciszyć mocno bijące serce. Nie pozwoliłem sobie na roztrzęsienie. Zebrałem siły, wznosząc oczy do sufitu, gotowy na przyjęcie kolejnej marnej tyrady, która miała mi być rzucona w twarz.

- *Eh, bien* - rzekł i kontynuował również po francusku. Skrzyżował ramiona na piersiach, jego smoking nieskazitelnie czarny na tle blad różowej tapety w paski. -

Wykonał pan dobrą robotę, *monsieur*, czyż nie? Zakochał się pan głęboko w śmiertelnicy, która nigdy panu nie ulegnie, osiągając tylko tyle, że wbił jej pan w serce prawdziwy nóż, który jej niewinny małżonek niezawodnie odkryje wcześniej czy później. A teraz moja niewinna siostrzenica, którą pan tak sprytnie wprowadził do swojego świata, biegnie na oślep po ulicach ze swoim młodzieńskim kochankiem, nie mającym zielonego pojęcia, jak ją pocieszyć ani jak zapobiec jej rosnącemu szaleństwu. Jest pan świetnym okazem z *ancien regime, monsieur*, och, ale może zwracać się do pana *chevalier*, czyż nie tak? Tak przy okazji, jaki dokładnie nosił pan tytuł? Czy było coś niższego?

Westchnąłem, a potem z wolna się uśmiechnąłem. Już nie trząsałem się jak galareta.

- *Les bourgeois* zawsze mnie rozczarowywali - rzekłem łagodnie. - Tytuł mojego ojca nic dla mnie nie znaczy. To, że znaczy tak wiele dla ciebie, jest męczące. Może damy temu spokój?

Usiadłem za biurkiem, wyprostowałem nogi i z przyjemnością patrzyłem na zjawę.

Koszula bez jednej plamki. Lakierki. Proszę, ten to dba o swój strój, prawda?

Wyczerpany i zasmucony po starciu z Moną zająrzałem mu w oczy i bez słów modliłem się do świętego Juana Diego. Czy z naszego spotkania mogło wyniknąć coś dobrego?

- Och? Zaczynasz mnie lubić? - spytał.

- Gdzie Stella? - spytałem. - Chętnie bym się z nią zobaczył.

- Czyżby? - Uniósł brwi i nieco pochylił głowę.

- Nie lubię być sam, że się tak wyrażę. I w tej chwili nie chcę być sam.

- Jego pewność siebie i zdecydowanie pierzchły. Spochmurniał. Ten w swoim czasie przystojny mężczyzna o zadbanym siwym lokach i mądrych czarnych oczach.

- Wybacz, że sprawiam ci zawód - powiedziałem. - Skoro jednak znikasz i zjawiasz się wedle woli, wygląda na to, że muszę do ciebie przywyknąć.

- Myślisz, że podoba mi się to, co robię? - spytał z nagłą goryczą.

- Nie sądzę, byś tak bardzo kontrolował swoje poczynania. Pod tym względem jesteśmy podobni. Nasłuchiwałem się o tobie. Nieciekawych ponurości, że tak powiem.

Jego demonstracyjnie obojętna mina przechodziła powoli w wyraz uznania.

Usłyszałem kroczyki w korytarzu, niewątpliwie dziecięce kroczyki. I weszła do pokoju. Śnieżnobiała sukienka, białe podkolanówki i czarne lakierki, uroczą dziewczyneczką.

- Witaj, maluszk, masz zupełnie niesamowite starostki - zaszcebiotała. - Po prostu zakochałam się w twoich obrazach. Pierwszy raz mam okazję rzucić na nie okiem. Cudowne te pastelowe barwy. Cudowne te żaglówki i te wszystkie miłe panie, panie w takich ślicznych długich sukienkach. W tamtym świecie coś było. Gdybym nie była małą dziewczynką, to powiedziałabym, że jego widok pewnie koi ludziom nerwy.

- Nie mogę przypisywać sobie zasługi za to, że wybrałem te obrazy - rzekłem -

zrobił to ktoś inny. Ale od czasu do czasu powiększam ich zasób. Wolę ostrzejsze, mocniejsze kolory. Wolę większe, dziksze twarze.

- Co zamierzasz z tym wszystkim zrobić? - spytał Julien, wyraźnie poirytowany naszą wymianą zdań.

Moje serce zaczęło powracać do normalnego rytmu.

- Z jakim wszystkim? - spytałem. - I zapewniam cię uprzejmiem, że z tego, co słyszałem, twoje mieszanie się w sprawę to nie jest dobry omen. Wygląda na to, że twoi śmiertelni potomkowie wierzą, że każde twoje objawienie to porażka, wiedziałeś o tym?

Odnoszę wrażenie, że obłożono cię jakąś wyjątkową klątwą, tak przynajmniej mi doniesiono.

Stella opadła na fotelik w stylu Ludwika XV, jej biała sukienka rozłożyła się jak ogon pawia. Z nagłym niepokojem spojrzała na Juliana.

- To bolesna niesprawiedliwość - rzekł zimno. - Nie masz pojęcia, co osiągnąłem.

Podobnie jak bardzo wielu moich potomków. Ale wróćmy do twoich obecnych zobowiązań. Chyba nie zamierzasz pozwolić mojej siostrzenicy miotać się na oślep, kiedy już dysponuje mocami, którymi ją obdarzyłeś.

Roześmiałem się.

- Powiedziałem ci wcześniej, że jeśli jej pragniesz, będziesz musiał jej to powiedzieć. Czemu się tak tego boisz? Czy chodzi o to, że cię nie wyczuje? Ze jest zupełnie głucha i ślepa na takie dziwo jak ty? Ze funkcjonuje na niezwykłym poziomie i teraz jesteś dla niej małe miki, hmm?

Twarz mu stężała.

- Nie wywiedziesz mnie w pole nawet na włos - powiedział. - Słowa Mony to dla ciebie nóż w serce, opór Rowan, to że nie możesz jej mieć, choćbyś nie wiem jak próbował ją skrzywdzić, to dla ciebie nóż w serce. Płacisz za swoje grzechy. Nawet teraz, gdy rozmawiamy. Jesteś w śmiertelnym strachu, że nigdy więcej nie zobaczysz ani jednej, ani drugiej. I może nie zobaczysz. A może, kiedy je

zobaczysz, dadzą ci odpór, który już zupełnie wyzuje cię z sił. Chodź, Stello. Zostawmy tego szarlatana jego koszmarom. Jestem zmęczony jego kompanią.

- Wujku Julienie, ja nie chcę iść! - zawołała. - Mam nowe butki i strasznie je lubię.

Poza tym myślę, że Lestat jest uroczy. Maluszkę, musisz wybaczyć wujkowi. Śmierć zrobiła z nim okropki. Za życia nigdy by się tak nie zachował!

Zeskoczyła na podłogę, podbiegła do mnie, zarzuciła mi na szyję miękkie ramionka i pocałowała w policzek.

- Pa, Lestatku - powiedziała.

- *Au revoir*, Stello. I salon opustoszał.

Opustoszał.

Odwrociłem się, zasmucony, drżący i złożyłem głowę na ramionach, jakbym mógł

zasnąć przy biurku.

- Ach, Maharet - znów wezwałem po imieniu naszego wielkiego przodka, naszą matkę, tę, która wedle wszelkiej dostępnej mi wiedzy przebywała po drugiej stronie globu. - Ach, Maharet, co uczyniłem i co mogę uczynić? Pomóż mi! Usłysz mój głos przez dale. - Zamknąłem oczy. Kolejny raz użyłem najsilniejszych telepatycznych mocy, mówiąc w myślach: *Potrzebuję cię nieskończenie. Przybywam do ciebie zawstydzony błędami. Przybywam do ciebie jako smarkaty księżę krwiopijców. Nie uważam się za lepszego ani gorszego od innych. Wysłuchaj mnie. Pomóż mi. Pomóż mi przez wzgląd na tamtych. Błagam cię. Wysłuchaj mojego błagania.*

Pogrążyłem się w rozpacz, sam z tą prośbą, w którą włożyłem całą duszę, gdy usłyszałem kroki na zewnętrznych schodach.

Pukanie do drzwi.

Strażnik.

- Clem z dworu Blackwood czeka.

- Jak, na Boga, znalazł ten adres? - spytałem.

- No, szuka Quinna, mówi, że chcą na gwałt, żeby wrócił. Chyba szukał u Mayfairów i przysłali go tutaj.

Równie dobrze mógłbym wywiesić jakiś gustowny neon.

Teraz miałem natychmiastowy i najzwyklejszy w świecie pożytek z mojej telepatii; przeskanowałem najbliższe ulice, szukałem Olśniewającego Duo, żeby przekazać wiadomość Quinnowi.

Sekunda, żadnych problemów.

Siedzieli w knajpce przy Jackson Square, Mona łkała w wielki kłęb papierowych serwetek, Quinn ją obejmował i osłaniał przed światem.

Odebrałem. Powiedz Clemowi, żeby czekał na mnie na rogu Chartres i St Ann. I proszę, Lestacie, błagam, jedź ze mną.

Spotkamy się w Blackwood, słodki chłopcze.

Eh bien i jak należy, po przekazaniu wiadomości Clemowi, który urzędował w krztuszącej się, rżężącej, bulgocącej limuzynie przy rue Royale, w końcu miałem chwilę spokoju na namysł, po czym wybrałem kierunek.

I nie zamierzałem jechać samochodem przez jezioro z tą nieubłaganą walkirią w koszulinie z cekinami! Dzięki serdeczne, wolę przebijać się przez chmury.

Wyszedłem na dwór. Znów przedsmak jesieni w moim ukochanym upale. Niezbyt mi się to podobało. Cierpłem na myśl o zimie. Ale jakie to wszystko miało znaczenie w porównaniu z moim złamanym sercem, skażoną duszą i tym, co uczyniłem Rowan, szepcząc do niej potajemnie i haniebnie? I co uczyniłem Michaelowi, temu mocarnemu Michaelowi o łagodnym głosie, który mi zaufał, powierzając serce żony, co jemu uczyniłem? I jak Mona mogła tak mnie zranić, jak mogła? I jak ja mogłem zareagować w tak dziecinny sposób?

Zamknąłem oczy. Oczyszciliem umysł ze wszystkich błahostek i przypadkowych obrazów. Znów przemówiłem do Maharet. *Gdziekolwiek jesteś, potrzebuję cię.*

Nieco skorzystałem z moich umiejętności. Opisując swoje potrzeby, ukryłem szczegóły, tak aby żaden inny nieśmiertelny nie mógł przechwycić mojej prośby i zapoznać się z dokładną naturą tego, czego poszukiwałem. *Chcę znaleźć plemię wysokich istot o delikatnych kościach, wiekowych prostego umysłu, powiązanych z moim pisklęciem, nie znanych światu historii. Ich biografia i miejsce pobytu mają kapitalne znaczenie dla spokoju ducha tych, których kocham. Potrzebuję rady.*

Błędy, które popełniłem wobec pisklęcia, zaowocowały bezradnością. Użycz mi swojej mądrości, ostrości słuchu, widzenia. Gdzie są te wysokie istoty? Jestem twoim lojalnym poddanym. W jakiejś tam mierze. Wyraży miłości.

Czy mogłem oczekiwać odpowiedzi? Nie wiedziałem. Szczerze mówiąc (pięknie powiedziane, jakby cała reszta tych słów to była kupa kłamstw), tylko raz, przed laty, wezwałem jej pomocy i nie odpowiedziała. Jednakże wtedy zrobiłem z siebie niewiarygodnego błazna. Zamieniłem się ciałami z pewnym śmiertelnikiem, po czym zostałem przez niego porzucony. Kretyństwo. Musiałem udać się na poszukiwanie mojego cudownego ciała i je odzyskać.

I wyłącznie własnymi siłami - hm, prawie własnymi - rozwiązałem problem. I wszystko się dobrze skończyło.

Od tamtej pory spotkałem ją, tylko gdy z własnej woli przybyła mi na pomoc i zadała sobie

niesłuchanie wiele trudu. Wybaczyła mi moje wrzaski, miotanie się i wyskoki. Opisałem ją w moich książkach i to też zniosła. Zniosła ode mnie wiele.

Może mnie usłyszała ostatniej nocy. Może miała usłyszeć mnie teraz.

Gdyby nic nie wyszło z tego wezwania, byłem gotów je powtórzyć. I jeszcze raz powtórzyć. A gdyby nadal milczała, byłem gotów wezwać innych. Prosiłbym o pomoc Mariusa, mojego niegdysiejszego mentora i mądre dziecię milenium. A gdyby i to zawiodło, sam zacząłbym szukać Taltos, bez względu na to, ilu ich jest, jednostki czy stado.

Wiedziałem, że muszę się wywiązać z obietnicy - ze względu na Michaela i Rowan, moją drogą Rowan, nawet gdyby Mona całkowicie mnie porzuciła, co było najbardziej prawdopodobne.

Tak, czułem nóż w sercu. Już niejako ją utraciłem. I wkrótce Quinn miał pójść w jej ślady. I naprawdę nie miałem pojęcia, jak dokładnie się to stało.

Gdzieś podświadomie wyczuwałem straszliwą prawdę, że nowoczesne wampiry pisklą ma tak złożoną naturę jak atomowy reaktor, satelita komunikacyjny, komputer z Pentium czwórka, kuchenka mikrofalowa, telefon komórkowy i inne dopiero co ząbkujące nowości, których istoty działania nie potrafiłem pojąć. Oczywiście, wszystko to była sprawa lawinowo rosnącego wyrafinowania.

Albo mistyfikacji.

Nienawidziłem tej wiedźmy. To dlatego wypłakiwałem krwawe łzy, czyż nie? No, ale i tak nie było nikogo, kto by je widział.

Eh bien, to było podczas podróży do Blackwood. Opadając, modliłem się do Maharet. To związane z nią nadzieje niosły mnie całą drogę, nie wysokie wiatry.

W wiejskich ciemnościach dwór Blackwood jaśniał niczym latarnia, drzwi szeroko otwarte na frontową werandę, reflektory włączone, Jasmine siedzi na stopniach, płacze w chusteczkę, nogi podkurczone, czarne szpilki, granatowa tuba, czekoladowa skóra i utlenione kędzierzawe włosy piękne jak zawsze, załamana, wyczerpana i straszliwie smutna.

- Och, Les-Dot, pomóż mi, pomóż mi! - krzyknęła. - Gdzie Quinn? Gdzie paniczyk?

Jest mi potrzebny. Zaraz zwariuję! A ten chłopak szlaja się nie wiedzieć gdzie. Nash nie wierzy w duchy, Tommy boi się ich do utraty zmysłów, a babcia wysłała po księdza, żeby wypędził ze mnie diabła! Jakby to była moja robota!

Podszedłem do niej, wziąłem ją na ręce, jedwab jej skóry całkowicie uległy i posłuszny. Zaniósłem ją do środka. Złożyła głowę na mojej piersi.

Frontowy pokój był pełen ludzi.

- Jakiś samochód zajezdza na podjazd - powiedziałem - co się dzieje?

Siedliśmy na kanapie w salonie, ona na moich kolanach. Poklepałem ją. Była do cna wyczerpana i zgnębiona.

- Tak się cieszę, że jesteś - zapłakała - byliśmy tacy osamotnieni.

Mały Tommy Blackwood, trzynastolatek, rodzony wuj Quinna, siedział na jednym z foteli naprzeciwko i przyglądał mi się z chłodną wyższością, zaplótłszy palce na poręczy. Był z niego naprawdę cudny młodzieniec, zupełnie taki, jak to opisał Quinn, a podróże po Europie z ciotką Queen i aż nazbyt śmiertelnym Quinnem zaiste zbudowały w nim trwałe fundamenty charakteru, na których miał oprzeć całe życie.

Super było móc go znów widzieć.

Nash Penfield, jego guwerner, był tam również, ubrany w nieskazitelny garnitur w jodełkę, człowiek, który wydawał się stworzony po to, by wywierać uspokajający wpływ na innych, chociaż nie rozumiałem, dlaczego nie udało mu się to z Jasmine.

Wydawał się mocno zdziwiony, gdy stał nieopodal Tommy'ego, z głębokim przejęciem obserwował Jasmine i kłaniał mi się z szacunkiem.

Baba Ramona, babka Jasmine, w dystygowanej sukni z bordowej gabardyny, siedziała nieopodal na kanapie, sypiąc skry z oczu. Jej jedyną ozdobą była brylantowa brosza tuż poniżej prawego ramienia. Włosy starannie zaczesła i upięła z tyłu, włożyła pończochy i eleganckie buty.

- Och, zmilknij, dziewczyno - od razu osadziła Jasmine - tylko zwracasz na siebie uwagę. Siądź prosto! Przestań gadać jak jakaś głupia!

Dwaj fornale nadal w roboczych kombinezonach stali za nią, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Jednym z nich był pogodny Allen, o okrągłej twarzy i siwych włosach. Imienia drugiego nie znałem. Poprawka. Znałem. Joel.

Wszyscy milczeli po tym, jak Ramona zbeształa Jasmine.

Zanim udało mi się przeskanować umysły zebranych, do salonu wszedł Quinn, a Mona, harpia w cekinach, przecięła hol jak promień srebrnego światła i zniknęła w sypialni ciotki Queen, jedynej sypialni na parterze.

Poruszenie i ciekawość towarzyszyły przybyciu Mony, lecz nikt nie zdołał dobrze się jej przyjrzeć. Bezcelny potworek.

Najważniejszą wszakże osobą w tym domu był Quinn. Usiadł naprzeciwko mnie, tuż za wielkimi drzwiami do holu. W miarę jak ogarniał wzrokiem otoczenie i obecnych, typowa dla niego aura skromności jakimś czarodziejskim sposobem przemieniała się w szlachetną pańskość. Szybko wstał, gdy weszła urocza Cyndy w białym wykrochmalonym uniformie, również zapłakana i smutna, i usiadła nieco z boku, przy fortepianie.

Następny pojawił się szeryf, okrągły, obdarzony poczuciem humoru jegomość, którego poznałem w noc śmierci ciotki Queen, po nim weszła kolejna postać, Grady Breen, adwokat rodziny, starszy godny pan, wciśnięty w garnitur z kamizelką z grubego tenisu. Quinn opisał mi go, opowiadając historię swojego życia.

- Ho, ho, to wygląda na coś poważnego - skonstatowałem pod nosem.

Jasmine drżała tak, że nie mogłem tego nie czuć, i tuliła się do mnie.

- Tylko mnie nie zostawiaj, Lestacie - powiedziała. - Nie zostawiaj. Nie masz pojęcia, co chce mnie dopaść.

- Pączuszk, nic cię nie dopadnie, kiedy jesteś ze mną - szepnąłem. Gładziłem ją czule, w nadziei, że pieszczota odwróci jej uwagę od faktu, że moje ciało jest twarde jak marmur.

- Jasmine, złaż z kolan tego pana - szepnęła Baba Ramona - i zachowuj się, jak gospodyni przystało! Mówię ci, jak niektórzy ludzie sami się nie obronią, nic ich nie obroni!

Jasmine nie posłuchała babki.

Dwaj przybyli urzędowo dżentelmeni zajęli miejsca bliżej Cyndy, jakby nie chcieli wkraczać w krąg domowników. Brzuch szeryfa wylewał się nad pasem, na którym wisiał cały arsenał i trzeszcząca krótkofalówka. Zażenowany nagle ją wyłączył.

Jasmine ścisnęła mnie za szyję, jakbym próbował się od niej uwolnić, co nie zgadzało się z prawdą. Gładziłem ją po plecach i pocałowałem w czoło. Była z niej urocza osobka. Wyprostowała długie, jedwabiste w dotyku nogi.

Nagle z całą mocą mojej rozpalonej, wrednej, wiecznie dymiącej, pół człowieczej, pół wampirycznej głowy przypomniałem sobie, że Quinn kiedyś się z nią kochał i spłodził małego Jerome'a. Moje motto brzmi: Powaby ludzi nie powinny się marnować, byleby tylko śmiertelny świat nie musiał za to płacić.

- Gdybym tylko nie była dla niej taka wredna - wyznała Jasmine. - Ona nigdy nie da mi spokoju. - Przycisnęła czoło do mojej piersi. Wzmocniła uścisk.

Objąłem ją.

- Jest dobrze, pączuszkę - powiedziałem.

- O co ci chodzi? - spytał Quinn. Cierpienie Jasmine przyprawiało go o głęboki niepokój. - Jasmine, co się dzieje? Proszę, niech mi ktoś wyjaśni, żebyśmy byli na bieżąco.

- Więc są wiadomości o Patsy? - spytałem, gdyż to ona była powodem zatroskania całego towarzystwa, i odbierałem to w mniej czy bardziej wyartykułowany sposób, choćbym nie chciał.

- No, na to wygląda - powiedział Grady Breen. - Ale wygląda mi też, że to Baba Ramona powinna przedstawić tę historię, skoro Jasmine nie może mówić.

- Kto twierdzi, że nie mogę mówić?! - zakrzyknęła Jasmine, nie podnosząc głowy i wciąż cała drżąc. - Myślicie, że nie potrafię opowiedzieć tego, co widziałam na własne oczy, jak podeszła pod samo okno mojej sypialni, cała przemoczona, mokra, okryta rzęsą wodną i ociekająca wodą z bagien; myślicie, że nie wiem, co widziałam, to była Patsy, myślicie, że nie poznałam głosu Patsy, kiedy powtarzała w kółko: „Jasmine, Jasmine”, raz za razem? Myślicie, że nie wiem, że to był trup, który raz za razem mówił: „Jasmine, Jasmine”? A ja leżałam w łóżku z małym Jerome'em, śmiertelnie wystraszona, że on się obudzi, a ona drapała po szybie tymi swoimi wymalowanymi na czerwono paznokciami, mówiąc tym żalonym głosem: „Jasmine, Jasmine”.

Wstrząśnięty Quinn pobladł jak chusta.

Cyndy wybuchła płaczem.

- Mówcie sobie, co chcecie, powinna być pogrzebana w poświęconej ziemi - szepnęła.

- Pogrzebana w poświęconej ziemi! - powtórzyła Baba Ramona. - Wszystko, co nam po niej zostało, to kilka włosów wyciągniętych ze szczotki, o czym ty mówisz, Cyndy?

Na litość boską, mamy pochować szczotkę do włosów?

Nash Penfield był bardzo bezradny i nieszczęśliwy, czułem to. Nie musiałem zaglądać w jego myśli. Ze względu na dobro wszystkich zebranych chciał zapanować na tym chaosem. Nie czuł się jednak upoważniony do zabrania głosu. Był osobą z zewnątrz.

Nadeszła Mona, stukając obcasami w wyłożonym marmurem holu, i pojawiła się w drzwiach, skromnie ubrana w czarną suknię nad kolana, z wysokim kołnierzykiem, długimi rękawami i wąskimi mankietami. Na nogach miała czarne szpilki, kolejny raz prezentując wspaniałe sprężyste łydki. Usiadła po lewej stronie Quinna. Wyraz twarzy miała słodki i poważny, mała hipokrytka.

Wszyscy natychmiast na nią spojrzeli, nawet Jasmine, nieznacznie odwracając głowę, ale nikt nie wiedział, co myśleć na ten widok, Ja nie zaszczyliłem jej nawet drgnięciem gałek ocznych. Mam bardzo szeroki kąt widzenia.

- Kiedy ta zjawa ci się ukazała? - spytałem od razu, by odciągnąć uwagę od Mony i zapobiec nieuniknionym pytaniom o jej transformację.

- Zechciejcie opowiedzieć wszystko od początku - rzekł szczerze przejęty Grady Breen - jako że mamy do czynienia z ważnymi pod względem prawnym dokumentami.

- Jakimi ważnymi pod względem prawnym dokumentami? - spytał cierpliwie Quinn.

- No więc tak - zaczęła Baba Ramona z bardzo władczą miną, wysuwając się nieco z fotela - myślę, że każdy tu wie, że przez lata zjawa Williama Blackwooda pojawiała się właśnie w tym pokoju, pokazując na to francuskie biurko między oknami, i nikt nigdy nie wiedział, o co jej chodzi. Ty, Quinn, wiele razy widziałeś tego ducha i ty, Jasmine, też. I muszę wyznać, Bóg mi świadkiem, że i ja go widziałam, chociaż zawsze mówiłam Zdrowaś Mario i zjawa natychmiast zniknęła, jakby świeczkę zdmuchnąć. A kiedyśmy otwierali biurko, to, cóż, nigdy żeśmy niczego nie znaleźli. Po prostu niczego. I z powrotem odkładaliśmy klucz do słoika w kuchni, chociaż czemuśmy tak starannie zamykali nic na klucz, nie mnie to tłumaczyć. Ale czego nie wiesz, to tego, że zaraz po tym, jak zabrałeś stąd Monę Mayfairównę, Quinn, to znaczy zaraz po tym, jak twoja matka zniknęła, zostawiając wszystkie lekarstwa, ta zjawa znów zaczęła się pokazywać, dzień i noc! Mówię wam, wystarczyło tylko, że weszłam do tego pokoju, a dziadek William stał tam, pokazując na biurko! I to samo się tyczy mojej wnuczki, Jasmine. Jasmine, siedź prosto! - (Wspomniane biurko był to - Ludwik XV z centralnie umieszczoną szufladą, giętymi nogami i ozdobnymi złoceniami.) - No i w końcu Jasmine mi mówi, że dłużej nie może tego znieść, nie może się skontaktować z Quinnem ani pracować, ja też nie mogłam, a potem mój syn, Cłem, tu przychodzi i nawet jemu duch się ukazuje, no więc postanowiliśmy, że jeszcze raz przeszukamy biurko, bez względu na to, czy Quinn jest tu czy nie, żeby nam dać swoje pozwolenie.

Ale zanim doszło co do czego, Jasmine śpi w łóżku ze swoim kochanym synkiem, Jerome'em, a tu pod jej okno przychodzi Patsy, tak, mówię wam, Patsy, cała w wodzie z mokradel i płacze: „Jasmine, Jasmine”, i drapie w szybę długimi malowanymi paznokciami, a Jasmine łapie małego Jerome'a i wylatuje z domu, wrzeszcząc wniebogłosy!

Jasmine, kotka na moich kolanach, gorączkowo potakiwała głową.

- Jest faktem - ciągnęła dalej Baba Ramona - że Jasmine była jedyną osobą w całej posiadłości, która w ogóle okazała serce Patsy! Poza tobą, Cyndy, ale ty tu nie mieszkasz, i jak zjawa Patsy miałaby wyczołgać się z bagien i znaleźć drogę aż do samego Maplevillei! A potem powiedzieliśmy Grady'emu Breenowi, otwieramy to biurko i najlepiej zrobi, jak przyjedzie, bo jest zamknięte, a że

po tych wszystkich latach nie było klucza w słoiku w kuchni, gdzie wcześniej leżał, to musieliśmy podważać zamek nożem.

- To brzmi całkiem sensownie - powiedział uprzejmie Quinn.

Baba Ramona rzuciła okiem na Breena, który wyjął ze skórzanej teczki przezroczystą koszulkę z plikiem zapisanych odręcznym pismem kartek.

- A kiedyśmy otworzyli tę szufladę - ciągnęła Baba Ramona - to nie znaleźliśmy nic innego, jak tylko odręcznie pisane listy Patsy, w których stało: „kiedy to znajdziecie, nie będę już żyła”, a potem opis tego, jak to zamierza wypłynąć na Bagna Słodkiego Czarta, przewiesić się przez burtę pirogi i strzelić sobie w skroń, żeby spaść do wody i żeby ani jeden jej szczątek nie spoczął w rodzinnym grobowcu obok ojca, ponieważ jej nie kochał, o czym my wszyscy wiemy.

- Była taka chora - zapłakała Cyndy. - Cierpiała ból. Nie wiedziała, co robi, niech jej Bóg pomoże.

- W rzeczy samej - powiedział Grady - i na szczęście... no, nie, nie na szczęście, ale dobrze się złożyło... hm, nie tyle dobrze, ale przypadkiem tak się złożyło, że Patsy była wiele razy aresztowana za posiadanie narkotyków i jej odciski palców figurują w archiwach policyjnych, tak więc mogliśmy porównać odciski na kartkach z jej odciskami i poza tym to jest jej pismo... - Wstał i przedłożył plastikową koszulkę zdębiałemu i milczącemu Quinnowi. - A poza tym napisała z dziesięć wersji roboczych tego listu, jako że chyba wciąż nie była zadowolona, pewnie nawet kiedy dawała nura... Chcę powiedzieć, kiedy w końcu zdecydowała się opuścić dom i zrealizować swój plan.

Quinn trzymał plik, jakby ten miał wybuchnąć, i tylko wpatrywał się w litery widoczne przez okładkę, po czym pochylił się i złożył go na sławetnym, nawiedzonym przez ducha biurku, w którym go znaleziono.

- To jej charakter pisma - rzekł cicho.

Wszyscy pokiwali głowami, pomamrotali, zgodzili się z nim, formalnie wymruczeli, że Patsy miała bzika na punkcie rozkazów na piśmie, bazgrania kartek w stylu: „Zraz zatankujcie mi vana!” albo „Migiem umyj mi auto” i że oni też widzą, że to jej pismo.

Następnie zwalisty szeryf, kompletny ignorant, odchrząknął i oświadczył:

- A poza tym, oczywiście, znaleźliśmy decydujące dowody w pirodze.

- Jakie mianowicie? - spytał Quinn, lekko marszcząc brwi.

- Jej włos - wyjaśnił szeryf - który dokładnie odpowiada włosowi na szczotce na górze, a poza tym wszyscy wiedzą, że Patsy już nie lubiła wychodzić z domu, więc po co by wyszła, jeśli nie po to, żeby wleźć do tamtej pirogi i się zastrzelić?

- Tak szybko przeprowadziliście testy DNA? - zimno zapytał Quinn.

- Nie musieliśmy. Wszyscy się mogli przekonać, że to był dokładnie taki sam włos, z jej lakierem do

włosów, wystarczyło powąchać, ale można zrobić i DNA, jeli zamierzasz pochować te jej włosy na tym cmentarzyku, na którym grzebiesz nie wiedzieć kogo i seanse spirytystyczne urządzasz przy ogniskach pod samo niebo i tym podobne!

- Szeryfie, niech pan będzie miły dla tego chłopca - napomniała go słodkim głosem Cyndy - mówimy tu o jego matce.

- Tak, proszę, może trzymajmy się faktów, którymi dysponujemy - zaproponował

swoim kategorycznym basem Nash Penfield. Był bardzo sfrustrowany. Poczował się do opieki nad wszystkimi, zwłaszcza nad Tommym.

- Tak więc koroner jest usatysfakcjonowany? - spytał Quinn. - I uznał, że to samobójstwo?

- No, tak, uzna! - oznajmił szeryf. - Jak ty, na litość boską, przestaniesz plątać się po domu, mówiąc, że zamordowałaś własną matkę i rzuciłaś ją na pożarcie aligatorom, Quinnie Blackwood! A Jasmine przestanie rozpowiadać na prawo i lewo, że Patsy podczołgała się do okna, cała w wodorostach z bagien, błagając o pomoc.

- Podczołgała się, podczołgała - jęknęła cicho Jasmine. - Nie opuszczaj mnie!

- Nie opuszczę - szepnąłem. - Żaden duch cię nie dorwie, Jasmine.

- Jasmine, kiedy widziałaś tę zjawę? - spytał Quinn. - Czy to było po tym, jak wy wszyscy znaleźliście ten list?

- Nie, babcia ci przecież powiedziała, zobaczyłam ją, zanim jeszcze się dowiedziałam o tych listach, podeszła do okna, płakała i darła po szybie pazurami. I jeszcze raz to zrobiła! Boję się nawet tam spać. Nie wiem, czego ona chce, paniczyku, co ja mogę dla niej zrobić? Mały Jerome siedzi teraz na górze, w pokoju Tommy'ego, bawi się grami wideo, a ja boję się go nawet zostawić w baraku, co ja mogę poradzić?

Quinn, musisz urządzić jeszcze jeden seans spirytystyczny dla Patsy!

Nagle odezwała się Mona. Miałem wrażenie, że to światło zapłonęło w jej kącie salonu.

- To biedne stworzenie pewnie nie wie, że nie żyje - powiedziała czule. - Ktoś musi jej to powiedzieć. Ktoś musi ją poprowadzić w Światłość. To często zdarza się ludziom, zwłaszcza gdy umierają nagle. Ja mogę z nią porozmawiać.

- Och, błagam, mogłabyś to zrobić? - spytała Jasmine. - To świetnie, dobrze to wymyśliłaś, ona cię nie zna. Włóczy się bez celu, samotna i zagubiona, wyłazi z mokradeł i nie ma pojęcia, co się jej stało.

Szeryf uśmiechał się szyderczo, wznosił brwi i mrużył oczy. Nash czuł się niezwykle skrępowany, widząc te miny.

- To samo stało się z Goblinem, no nie? - spytała retorycznie Baba Ramona. -

Wszyscyście mu powiedzieli, że jest trupem, i sobie poszedł. No to musicie znowu to zrobić, po prostu musicie.

- Tak, tak to było - potwierdził Quinn. - I teraz powiem jej, żeby sobie poszła. Nie mam nic przeciwko temu, żeby to zrobić. Nie wydaje mi się, żeby trzeba było urządzać cały seans.

- No więc powinniście zaraz się do tego zabrać - zawyrokował szeryf, już gotowy do wyjścia, i obciągając swój ciężki pas - ale muszę wam powiedzieć, że to cholera, jakiej świat nie widział, że za każdym razem, jak się tu przytrafi jakiś zgon, to zaraz wam wyskakuje zjawa. Macie to jak w banku! Widzieliście, żeby zjawa panny McQueen się tak zachowywała? Skądże! Nie drapie po żadnej szybie! To była dama jak się patrzy!

- O czym ty mówisz?! - spytał cicho i z naciskiem Quinn. Patrzył z gniewem na szeryfa. Nigdy nie widziałem u niego takiego zachowania. Nigdy nie słyszałem u niego takiego tonu. - Próbujesz tu wyrokować, kto po śmierci zachowuje się przyzwoicie, a kto nie? A może to ty powinienesz postać po oknem Jasmine i wygłosić kazanie Patsy.

A może byś tak wrócił do siebie na posterunek i podyktował podręcznik dobrych manier dla świeżo umarłych?

Baba Ramona zachichotała pod nosem. Ja opanowałem śmiech. Nash był bardzo przejęty. Tommy wystraszony.

- Tylko nie do mnie takim tonem! - wrzasnął szeryf, pochylając się nad Quinnem. -

Zwariowany gówniarz z ciebie, Tarquinie Blackwoodzie, nic lepszego. To skandal na całą parafię, że odziedziczyłeś posiadłość Blackwood! To koniec tego dworu i wszyscy o tym wiedzą. I masz na sumieniu jeszcze inne sprawy, które są skandalem na całą parafię, a teraz łazisz i rozpowiadasz, że zamordowałeś własną matkę. Powinienem cię posadzić.

Quinna opanowała lodowata wściekłość. Widziałem to.

- Faktycznie ją zamordowałem, szeryfie - rzekł metalicznym głosem. - Porwałem ją z własnego łóżka, złamałem kark, zaniósłem do pirogi i wypłynąłem daleko na mokradła, aż w świetle księżyca zobaczyłem grzbiety aligatorów, i wtedy cisnąłem ją w muł. Powiedziałem: „Zjedzcie matkę”. Tak się to odbyło.

Zapanowała ogólna konsternacja, Baba Ramona i Jasmine krzyczały „Nie, nie, nie!”, Nash cichym głosem z wszystkich sił uspokajał Tommy’ego, ten wpijał wzrok w Quinna, jeden z fernali się śmiał, a Cyndy się zaklinała, że Quinn nigdy nie zrobiłby czegoś podobnego. Grady Breen nie potrafił słowa z siebie wydusić, kręcił głową i bezsensownie przekładał papiery w teczce; nawet Mona była zszokowana I ze zdumieniem wlepiała szkliste zielone oczy w Quinna.

- Zamierza mnie pan posadzić, szeryfie? - spytał Quinn, patrząc na niego lodowatym wzrokiem.

W pokoju zapadła cisza.

Szeryf zapomniał języka w gębie i mrużył oczy.

Nash był pełen obaw i gotów zabrać głos.

Quinn wyprostował się w fotelu, uniósł na pełną wysokość i patrzył z góry na szeryfa. Samo połączenie jego młodzieńczej energii i imponujących rozmiarów napawało lękiem, nie wspominając o groźnej postawie.

- No, śmiało, ważniaku - powiedział scenicznym szeptem. - Załóż mi te swoje obrączki.

Cisza.

Szeryf zastygł, po czym odwrócił głowę, cofnął się o krok, bokiem dobrnął do drzwi, minął hol i frontowe drzwi, mrużąc, że nikt w tej posiadłości nie ma odrobiny zdrowego rozsądku, że to woła o pomstę do nieba, że taki dom się rozsypie i pójdzie w ruinę, tak, właśnie, rozsypie i pójdzie w ruinę! Huknęły drzwi. Szeryf zniknął, jakby wyparował.

- Hm, wydaje mi się, że lepiej sobie pójdę - rzekł rześkim, silnym głosem Grady Breen - i z samego rana wyślę wam kopię raportu koronera. - Pokłusował do drzwi tak szybko, że budziło to obawy, iż dostanie ataku serca w samochodzie. (Na obawach się skończyło.)

Tymczasem Tommy podbiegł do Quinna i zarzucił mu ramiona na szyję. Nash przyglądał się temu bezradnie.

Zachowanie chłopca kompletnie zaskoczyło Quinna, ale natychmiast go uspokoił.

- Tylko się niczym nie martw - powiedział. - Wracasz do Eton. A kiedy przyjedziesz do domu, posiadłość Blackwood zawsze będzie na ciebie czekać, bezpieczna, zaciszna i piękna jak teraz, przynosząc szczęście wielu ludziom, z Jasmine, Babą Ramoną i wszystkimi, tak samo jak dzisiaj.

Fornale zamruczeli, że tak właśnie będzie. Cyndy przytaknęła, że to prawda. A Baba Ramona rzekła: „Amen”.

Następnie Jasmine uznała, że powinna się ruszyć, więc po raz ostatni otarła oczy chusteczką, wypuściła mnie z objęć, przyjęła ode mnie przelotną burzę pocałunków i podeszła do Tommy'ego, objąć go ramieniem.

- Pójdiesz ze mną do kuchni, Tommy Blackwoodzie - powiedziała. - Ty też, Nashu Penfieldzie, mam na kuchni garnek z potrawką z kurczaka, ty też, Cyndy...

- Ty masz na kuchni garnek z potrawką z kurczaka? Pierwsze słyszę!-wykrzyknęła Baba Ramona. - To moja potrawka! Ale tylko popatrzcie na tę małą Mayfairównę, jak to dziecko całkiem wyzdrowiało.

- Nie, nie, idźcie - powiedziała Mona, wstając i gestem dając znać, żeby sobie poszli.

- Quinn, Lestat i ja musimy porozmawiać.

- Paniczyku, ja nie będę spała na parterze w tym domu - oświadczyła Jasmine. -

Przenoszę się na piętro z Jerome'em, babcią i zamykam okiennice. Patsy chce mnie dopaść.

- Już ja się nią zajmę - obiecał Quinn. - Nie przejmuj się.

- Czy ona pojawia się o jakiejś określonej porze? - bardzo miłym tonem spytała Mona.

- Gdzieś o czwartej nad ranem - wyjaśniła Jasmine. - Wiem, bo zatrzymuje zegar.

- To by się zgadzało - powiedział Quinn.

- Tylko nie wyjeżdżaj z tym samym od początku! - zbeształa go Jasmine. - Kiedy znaleźli te wszystkie listy i myślą, że się sama zastrzeliła, odpuszczą ci, więc daj sobie spokój! - I pociągnęła za sobą Tommy'ego.

- Zaczekaj chwilę - powiedział kwaśnym tonem Tommy, tracąc męską powagę, smutny jak dziecko. - Muszę naprawdę wiedzieć. - Przełknął ślinę. - Quinn, nie zabiłeś jej, prawda?

Serce pękało na widok tej sceny.

Wszyscy zamilkli na długo, po czym Quinn rzekł:

- Nie, Tommy, nie zabiłem. Chcę, żebyś mi uwierzył, że nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Rzecz tylko w tym, że nie byłem dla niej dobry. A teraz ona odeszła na zawsze. Dlatego jest mi smutno. Co się zaś tyczy szeryfa, to nie dbam o niego, dlatego nagadałem mu tak nieprzyjemnie.

To było najdoskonalsze kłamstwo, jakie słyszałem, wypowiedziane z tak niezwykłą determinacją, że rozjaśniła mrok umysłu Quinna. I chociaż bynajmniej nie przestał

nienawidzić Patsy, a to że jej zjawa narzucała się ludziom, doprowadzało go do furii, silniejszy okazał się płomień miłości, którą czuł wobec chłopca.

- Zgadza się - dodała Jasmine. - Wszyscy żałujemy, że nie traktowaliśmy jej lepiej.

Była niezależną osobą, nie wydaje ci się teraz, paniczyku?, i czasem żeśmy jej nie rozumieli.

- Bardzo dobrze powiedziane - rzekł Quinn. - Nie postaraliśmy się jak należy, żeby zrozumieć jej sposób myślenia.

- Oczywiście, to jasne dla Tommy'ego - powiedział Nash. - Jasne dla nas wszystkich. Może uda mi się to jeszcze lepiej wyjaśnić, jeśli Quinn pozwoli. Chodź, Tommy, zjedźmy coś w kuchni. Teraz, kiedy Quinn jest z nami, nie musimy się już o nic martwić. Panno Mayfair, jeśli mogę sobie pozwolić na tę uwagę, wygląda pani wręcz zabójczo. To cudowne, że znów możemy panią widzieć i że jest pani w tak świetnym zdrowiu.

- Dziękuję, panie Penfield - powiedziała Mona, jakby nie „była dziką bestią.

Twarz Quinna spochmurniała i gdy tylko salon opustoszał, trzy zamaskowane potwory usiadły bliżej siebie.

- Chodźmy na górę - zarządził Quinn - teraz naprawdę potrzebuję twojej rady, Lestacie. Muszę sobie coś ułożyć w głowie. Mam pewne pomysły.

- Wiesz, że zrobię wszystko, co będę mógł - powiedziałem.

Celowo ignorowałem Monę w jej pokutnej czerni, gdy pierwsza ruszyła w górę schodów.

Imponujący apartament sypialniany Quinna - sypialnia i salonik rozdzielone wielkim łukiem - został pieczołowicie sprzątnięty po tym, jak Mona Mayfair przemieniła się w nieodpowiedzialnego demonka. A łóżko, na którym przyjęła mroczny dar, znów zasłano granatową aksamitną kapą i zasunięto draperie.

Stał tam na środku stół, przy którym Quinn i ja siedzieliśmy przez godziny, gdy opowiadał mi historię swojego życia. Teraz usiedliśmy przy nim Mona i ja, natomiast Quinn wydawał się głęboko zdumiony i długi czas jedynie oceniał znane mu otoczenie, jakby widział je po raz pierwszy.

- Co jest grane, braciszku? - spytałem.

- Zastanawiam się, umiłowany szefie - odparł. - Po prostu się zastanawiam.

Nie patrzyłem na harpię. Czy byłem zadowolony z tego, że siedziała tuż przy mnie, a nie pałętała się po świetle, bezbronna i zapłakana w wyzywającej koszulinie? Tak, ale nie miałem obowiązku nawiązywać rozmowy z kimś, kto z taką furią mnie odrzucił. A może miałem?

- Chodź, porozmawiaj z nami - zaproponowałem Quinnowi. - Usiądź.

W końcu się ruszył, by zająć stare miejsce, plecami do biurka z komputerem, twarzą do mnie.

- Lestat, nie wiem, co robić.

- Mogę do niej wyjść o tej czwartej - zaproponowała Mona. - Nie boję się. Spróbuję ją dorwać.

- Nie, kochanie - powiedział Quinn - ja jeszcze nie myślę o Patsy. Gdyby nie Jasmine, naprawdę miałbym ją w dużym poważaniu. Myślę o Blackwood. Myślę o tym, co się stanie z tobą. Widzisz, przez cały nasz pobyt w Europie ciotka Queen i ja zarządzaliśmy posiadłością, komunikując się przez telefon, faksem, innymi sposobami, a ostatni rok byliśmy na miejscu, zapewniając każdemu poczucie bezpieczeństwa i mówiąc, co ma robić. Teraz to wszystko się zmieniło. Ciocia Queen odeszła, po prostu odeszła, a ja nie wiem, czy chcę tu często bywać. Nie wydaje mi się to możliwe.

- Czy Jasmine i Baba Ramona nie mogą zarządzać posiadłością, jak było podczas waszego podróżowania? - spytała Mona. - Myślałam, że Jasmine jest geniuszem organizacji. A Baba Ramona kuchni.

- To prawda. Faktycznie, mogą zadbać o wszystko. Mogą gotować, sprzątać i zajmować się gośćmi, nawet takimi, którzy wpadają niezapowiedziani. Mogą pełnić honory domu podczas przyjęcia wielkanocnego i bożonarodzeniowego, i przy każdej innej okazji. Jasmine jest niezwykle utalentowaną zarządzającą i przewodniczką.

Prawdę mówiąc, nie doceniają swoich możliwości. I wszyscy mają dużo pieniędzy, na tyle, że mogą opuścić ten dwór, jechać, gdzie chcą, i żyć wygodnie. To daje im poczucie bezpieczeństwa i niezależności. Ale oni chcą tu być. To ich dom rodzinny.

Chcą też mieć kogoś, kto będzie uosabiał Blackwood, całe Blackwood, i pozbawieni takiej osoby nie czują się pewnie.

- Rozumiem - powiedziałem. - Nie możesz wpoić im tego poczucia, że są właścicielami posiadłości.

- Właśnie. Zadbalem o nich, jak się tylko dało. Mają wszelkie wygody i udziały w zyskach, ale chcą, żebym tu mieszkał na stałe. Potrzebują mojego autorytetu. I Tommy go potrzebuje. A poza tym jest jego siostra, Brittany, i matka, Terry Sue. Będą często przyjeżdżać w odwiedziny. Dzięki Tommy'emu stały się częścią naszej rodziny.

Ktoś musi tu być, pełnić honory domu i być jego sercem. Jasmine chce, żebym to ja nim był, nie tylko ze względu na nią samą, ale i ze względu na mojego syna, Jerome'a, a ja nie jestem pewien, czy nadal mogę pełnić rolę pana na Blackwood, jakby było, gdybym był tylko...

- Rozwiązanie jest proste - powiedziałem.

- Jakie? - spytał zaskoczony Quinn.

- Nash Penfield. Zrób go stałym zarządcą, niech kieruje posiadłością, dba o nią w imieniu twoim, Tommy'ego i Jerome'a.

- Stały zarządca! - Quinn się rozjaśnił. - Ach, to brzmi fantastycznie. Ale czy się tego podejmie? Skończył doktorat. Jest gotów rozpocząć nauczanie.

- Oczywiście, że się podejmie. Spędził lata w Europie z tobą i ciotką Queen.

Mówiłeś, że to była bajeczna podróż.

- O, tak, ciocia Queen wydała fortunę. A Nash zasmakował w takim życiu i był w siódmym niebie.

- Właśnie. Podejrzewam, że powrót do normalnej egzystencji zupełnie mu się nie uśmiecha. Nic by się mu bardziej nie podobało, niż zostać tu zarządcą, dbać o utrzymanie świątecznych tradycji ku zadowoleniu całej gminy i każdego, kto chciałby nas odwiedzić, dostawać wysokie wynagrodzenie, opływać w luksusy i dysponować sporą ilością czasu na pisanie książek dotyczących jego naukowych zainteresowań.

- Idealny plan - powiedział Quinn. - Nash ma styl i klasę. Och, to faktycznie jest rozwiązanie.

- Podsuń mu ten pomysł. Zasugeruj, że w wolnym czasie mógłby zacząć gromadzić książki, z których powstałaby tu prawdziwa biblioteka, na przykład w wielkim salonie.

Mógłby też napisać historię posiadłości i wydać ją na potrzeby turystów, wiesz, taką z architektonicznymi szczegółami, planami, legendami i tym podobnymi rzeczami.

Dorzuć mu limuzynę i szofera gotowego dwadzieścia cztery godziny na dobę, własny samochód, zmieniany co dwa lata, wysoki fundusz na osobiste wydatki i płatny urlop w Nowym Jorku czy Kalifornii, a myślę, że nie będzie stawiał najmniejszego oporu.

- Wiem, że mu się to spodoba - powiedziała Mona. - W salonie był gotów interweniować, kiedy szeryf wyczyniał swoje idiotyzmy. Powstrzymało go tylko to, że nie czuł się upoważniony zabrać głosu.

- Właśnie - poparłem Monę, nie patrząc na nią. - To wymarzona pozycja dla człowieka o jego talentach.

- Och, gdyby tylko chciał - rzekł z rosnącym podnieceniem Quinn. - To podstawa.

Wtedy mógłbym przychodzić do tego pokoju i wychodzić z niego z tobą i z Moną, kiedy bym tylko chciał.

- Nie wyobrażam sobie ciekawszej perspektywy dla Nasha. Mógłby godnie przyjmować matkę Tommy'ego, świecić przykładem małemu Jerome'owi, może nawet go uczyć, i nie trzeba by mu mówić, jak należy traktować Jasmine i Babę Ramonę.

Sam to wie. Ma wrodzoną galanterię. Urodził się w Teksasie. Na Południu. To nie jakiś ignorant Jankes, który nie umie powiedzieć dwóch uprzejmych słów Murzynce.

Darzy je wielkim szacunkiem.

- Myślę, że trafiłeś w sedno. We dworze Blackwood byłoby mu jak w raju. Nie liczyłby dni. Jasmine byłaby zachwycona. Uwielbia go.

Skinąłem głową i wzruszyłem ramionami.

- To świetny pomysł - powiedział Quinn. - W swoim czasie powiem im, że ja i Mona wzięliśmy ślub w Europie. Nie będą protestować. To będzie idealne rozwiązanie.

Mona, naprawdę myślisz, że on na to pójdzie?

Nie chciałem na nią spojrzeć.

- Quinn, on już jest częścią Blackwood - zapewniła go.

- Podeszedł do telefonu.

- Jasmine, potrzebuję cię tu, na górze - rozkazał.

Prawie natychmiast usłyszeliśmy dudnienie na schodach. Jasmine przybiegła i bez tchu otworzyła drzwi.

- Co się dzieje, panicyku? - Dyszała. - Co się dzieje?

- Usiądź, proszę - powiedział.

- Wystraszyłeś mnie śmiertelnie, ty wstrętny chłopcze! - Usiadła na krześle. - Co cię napadło, żeby

mnie teraz wzywać! Nie wiesz, że cały dom jest w panice? A na dodatek Clem mówi, że nie będzie spał w bungalowu, bo się boi, że Patsy do niego też się dobierze.

- Nie przejmuj się tym wszystkim, wiesz doskonale, że Patsy nie może cię skrzywdzić.

Rozsiadł się wygodnie i wyłuszczył jej cały plan, jak to Nash będzie zarządcą, ale nie doszedł jeszcze do połowy tego, co chciał powiedzieć, a wyrzuciła w górę ręce i oświadczyła, że to cud. Cała gmina będzie uszczęśliwiona. Nash Penfield znalazł się na tym łez padole, żeby służyć posiadłości Blackwood.

- To na pewno ciocia Queen natchnęła cię tym pomysłem, paniczyku, ona patrzy na nas z niebios - powiedziała. - Wiem, że patrzy. I mamusia też. Umarła właśnie w tym łóżku. Niech nas wszystkich Bóg błogosławi. Wiecie, co tutejsi myślą? Są przekonani, że posiadłość Blackwood należy do wszystkich!

- Wszystkich? - spytała Mona. - Jakich wszystkich?

- Całej, calutkiej gminy, dziewczyno - wyjaśniła Jasmine. - Telefon się urywa, od kiedy ciocia Queen nie żyje. Czy wciąż będziemy urządzać kolację noworoczną? A co ze Świętem Azalii? Mówię wam, oni myślą, że to miejsce należy do całej gminy.

- No i mają rację - powiedział Quinn. - Bo tak jest. Więc mam twoją zgodę? Mogę prosić Nasha Penfielda, żeby się podjął tego zadania?

- Jak najbardziej! - zawołała Jasmine. - Powiem babci, nie będzie się krzywić. Ty pogadaj z Nashem. Jest z Tommym w salonie. Chciałam, żeby zagrali na fortepianie.

Nash umie grać. Tommy zna jedną piosenkę. Ale Tommy się upiera, że jak ktoś umrze, nie dotyka się fortepianu przez kilka dobrych tygodni. Tyle że nigdyśmy się nie trzymali tej zasady, bo zawsze prowadziliśmy tu hotel. Więc ja mówię, że Tommy może zaśpiewać tę piosenkę.

Quinn wstał i wyszedł z Jasmine. Ruszyłem za nimi na dół. Chciałem zobaczyć, jak się to zakończy. Zignorowałem fakt, że Mona szła za nami i zachowywała się z wielkim wdziękiem i opanowaniem. Szczyty obłudy.

Nikt mądry nie powinien się dać nabrać na takie sztuczki.

Tommy siedział w salonie, przy staromodnym kwadratowym fortepianie, który najwyraźniej nadal nadawał się do grania. Płakał cicho, a Nash stał nad nim. Czulem, że darzy chłopca czystą miłością.

- Tommy - powiedział Quinn. - W czasach Beethovena pewna kobieta straciła dziecko. Pogrzyżała się w żalu i żałobie. Mistrz przyszedł do niej do domu niezapowiedziany i zagrał dla niej na fortepianie. Leżała na piętrze załamana i słyszała, jak gra w salonie, i muzyka była dla niej darem, pocieszeniem. Zagraj, jeśli chcesz. Niech twoja muzyka będzie darem dla cioci Queen. Śmiało. Porusz bramy niebios swoją muzyką, Tommy.

- Powiedz paniczkowi, co chciałeś zagrać - podsunęła mu Jasmine.

- To piosenka Patsy - wyjaśnił Tommy. - Kiedy byliśmy w Europie, Patsy przysłała nam płytę kompaktową. Napisałem do domu, żeby przysłała mi nuty. Ciocia Queen zadbała o to, żebyśmy mieli pokoje z pianinem, tak żebym mógł się nauczyć tej piosenki. Jest bardzo irlandzka i bardzo smutna. Chciałem ją zagrać dla Patsy, może to by ukoło jej duszę.

Quinn pobałdł.

- Śmiało, graj, synu - rzekł po długiej chwili. - To dobry pomysł. Ciocia Queen będzie zadowolona i Patsy też. Patsy cię usłyszy. Zagraj tę piosenkę.

Tommy położył dłonie na klawiaturze. Zaczął prostą, celtycką balladę, równocześnie mającą trochę charakter muzyki country. A potem ku naszemu zaskoczeniu zaśpiewał wprawnie cichym chłopięcym sopranem pełnym takiej żalości jak muzyka:

Idź, rzeknij mym przyjaciołom,

Że więcej do nich nie wrócę.

Idź, rzeknij kumplom serdecznym,

Że więcej się w tany nie rzucę.

Idź, rzeknij moim kochanym,

Że do domu musiałam zawrócić.

Teraz cmentarz przemierzam,

I sama jestem, już sama.

I odejść mi jest pisane,

Nim liście zaczną spadać.

Biegają w dół, w górę, po schodach,

Łoże jest wielkie i gładkie.

Ale ja w zimnie spoczywam,

Bo matkę straciłam zaprawdę.

Czy ujrzę jej twarz niebawem?

Brakuje mi wiary i marzeń.

Chciałabym piosnkę zanucić,

Co by jej dobroć oddała.

Wielbili mnie ludzie, słuchali,

Muzyka mym życiem była.

Lecz teraz czerń purpurowa

Te smutne nutki pokrywa.

Doczekam jesiennych chłódów

I też odejdę, nieżywa.

Staliśmy połączeni smutkiem płynącym z tych słów i muzyki, jak zaczarowani.

Quinn pochylił się i pocałował Tommy'ego w policzek. Chłopiec bez ruchu wpatrywał się w nuty na pulpicie. Jasmine położyła mu dłoń na ramieniu.

- To dopiero było piękne - powiedziała. - I Patsy to napisała. Wiedziała, na co się zanosi, wiedziała.

Quinn odciągnął Nasha do jadalni. Mona i ja poszliśmy z nimi, ale tak naprawdę nie byliśmy do niczego potrzebni.

Dostrzegłem to, gdy usiedli do rozmowy. Dostrzegłem, że Nash pojął od pierwszych słów, o co chodzi, i że całą duszą pragnie funkcji, którą Quinn mu zaproponował.

Marzył o niej potajemnie. Czekał tylko na stosowną chwilę, by zaproponować swoje usługi Quinnowi.

Tymczasem w salonie Jasmine poprosiła Tommy'ego, by jeszcze raz zagrał piosenkę.

- Ale tak naprawdę nie widziałaś tej okropnej zjawy Patsy, prawda? - spytał

Tommy.

- Nie, nie - powiedziała Jasmine, chcąc mu dodać otuchy - tylko tak plotłam, nie wiem, co mnie opętało, nie bój się - zjawy Patsy, nie myśl o tym, ale jak zobaczysz zjawę, to zrób znak krzyża świętego i zniknie, a teraz zaśpiewaj jeszcze raz, zaśpiewam Z tobą...

Ruszyłem przez frontowe drzwi, których nigdy nie zamykano na klucz, poczułem ciepłe, wilgotne powietrze, zszedłem po schodach, oddalając się od światła, okrążyłem dom i skierowałem się na prawo, gdzie w bungalowu mieszkali Jasmine, Baba Ramona i Clem.

Domek rozjaśniały wesołe światła. Tylko Clem siedział na frontowej werandzie, kiwając się w

bujanym fotelu i paląc bardzo aromatyczne cygaro. Dałem mu znak, by nie wstawał z mojego powodu, i udałem się wzdłuż zdradziecko miękkiego brzegu mokradeł.

Słyszałem śpiew Tommy'ego. Powtarzałem za nim słowa, cicho, ledwie szeptem.

Próbowałem wyobrazić sobie Patsy taką, jaka była w swoich najlepszych latach -

piosenkarka country w skórzanej kurtce z frędzlami, minispódniczce i kozakach, z natapirowanymi włosami, wyśpiewująca własne kompozycje i teksty. Taki wizerunek odmalował mi Quinn. Niechętnie przyznał, że naprawdę umiała śpiewać. Nawet ciotka Queen wspomniała z rezerwą, że Patsy potrafiła śpiewać. Ach, w całym świecie Blackwood nie było ani jednej duszy, która kochała Patsy.

Ja zobaczyłem tylko chorą Patsy, zgorzkniałą i pełną nienawiści, siedzącą na werandzie w białej nocnej koszuli, świadomą, że nigdy więcej nie zaśpiewa, wydzierającą się na Cyndy, żeby dała jej kolejny zastrzyk, nienawidzącą Quinna i dającą temu głośno wyraz z głębi cierpiącej i udręczonej duszy, Patsy, która zapadła na straszną chorobę, używając brudnej strzykawki, która niczym się nie przejmując, zaraziła nie wiedzieć ilu kochanków.

A Quinn załatwił ją dokładnie tak, jak to opisał szeryfowi.

Szedłem dalej brzegiem mokradeł. Wyteżyłem mój wampiryczny słuch. Nash zaczął

grać piosenkę Patsy, stosując gęstsza aranżację i z większą śmiałością niż Tommy.

Śpiewali razem. Smutek. Jasmine płakała.

- Ach, jakie to strasznie smutne - powiedziała.

Wokół mnie zapadła głęboka ciemność. Przestałem słuchać muzyki.

Bagna rozciągały się dzikie i zachłanne, pozbawione wszelkiej sielankowej urody czy harmonii. To, co tam królowało, było żarłoczne, mordercze i nigdy nie miało znaleźć dla siebie bezpiecznego miejsca - pejzaż żywcem zżerający sam siebie. Tak mi go opisał Quinn. Ale czyż tego nie wiedziałem?

Wieki temu porzucono mnie na bagnach, żebym szczył. Była to robota moich piskląt, morderczyni Claudii i tchórza Louisa. I ja, ohydne, czepiające się życia stworzenie, przetrwałem w tamtych stojących, zatrutych wodach, przetrwałem, aby powrócić, mścić się, niszczyć i okaleczyć, naostrzywszy sztych swojej nienawiści na nienawiści innych.

To nieważne.

Nie wiem, jak długo się przechadzałem.

Nie śpieszyłem się.

Patsy. Patsy.

Nocne dźwięki natychmiast stały się wyraźniejsze, a ciepły powiew nabrał basowej głębi, księżyc wisiał wysoko, czasem przenikając moczary i tym bezwzględniej ukazując chaotycznie poszarpane, paskudne kształty.

Od czasu do czasu przystawałem.

Patrzyłem na rozrzucone gwiazdy - jakże wyzywająco wyraziste nad wiejskim nocnym pejzażem. Nie cierpiałem ich, jak zwykle. Co to za przyjemność być zagubionym w tym nie kończącym się wszechświecie, głupek na pyłku wirującego kurzu, którego przodkowie odnajdywali wzorce i wskazówki w tych niezliczonych, nieprzeniknionych punktach lodowatego białego ognia, który tylko szydził z nas swoją niezmienną obojętnością?

A niech sobie świecą nad rozległym pastwiskiem po mojej prawej ręce, nad daleką kępą dębów, nad ciepło rozświetlonymi domami, teraz będącymi daleko w tyle.

Tej nocy moja dusza była z mokradłami. Moja dusza była z Patsy.

Szedłem dalej.

Nie wiedziałem, że tak ogromny obszar posiadłości sąsiaduje z bagnami, ale chciałem go poznać. I starałem się trzymać jak najbliżej wody, nie wchodząc do niej jednak.

Wkrótce zdałem sobie sprawę, że Mona jest gdzieś blisko mnie. Robiła, co mogła, aby się ukryć, ale słyszałem jej ciche kroki i czułem lekki zapach perfum, który przylgnął do sukienek ciotki Queen, a którego wcześniej nie zauważyłem.

Po chwili wiedziałem, że Quinn też jest z nami, trzymając się jeszcze dalej niż Mona. Nie miałem pojęcia, dlaczego tak wiernie za mną podążają.

Na ile tylko było to możliwe, starałem się przeniknąć wzrokiem cuchnącą ciemność. Poczułem chłód przebiegający mi po plecach, taki sam jak wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem Rowan Mayfair i gdy użyła swojej mocy, żeby mnie przeniknąć, chłód bijący z jakiegoś zewnętrznego źródła.

Zatrzymałem się, odwróciłem ku mokradłom i natychmiast tuż przed sobą dostrzegłem kobiecą postać. Była tak blisko, że wystarczyło mi wyciągnąć palce, aby ją dotknąć.

Zapłatała się w mech i pełzające pędy, nieruchoma i bez życia, jak cyprys, który zdawał się ją podtrzymywać, przemoczona do suchej nitki, mokre kosmyki włosów na zabrudzonej koszuli nocnej, świeciła słabo, niewidoczna dla śmiertelnych oczu, wpatrzona we mnie.

Patsy Blackwood. Słaba, milcząca, cierpiąca.

- Gdzie ona jest?! - szepnął Quinn. Stał obok mnie. - Gdzie? Patsy, gdzie jesteś?

- Bądź cicho - rozkazałem mu. Nie spuszczałem z niej wzroku, z jej wielkich żałośnie patrzących

oczu, przesłaniających twarz kosmyków włosów i rozchylonych ust. Obraz bólu, obraz męki. - Patsy - powiedziałem. - Kochana dziewczyno, wszystkie katusze na ziemi się skończyły.

Uniosła z niepokojem brwi. Czy mi się wydało, że westchnęła długo, głęboko?

- Najlepiej odejść, piękna dziewczyno, odejść ku chwale. Zostaw za sobą to fatalne królestwo. Porzuć te mroki, gdy możesz skierować się ku Światłości. Nie błąkaj się tu, szukając i jęcząc. Ruszaj przed siebie. Odwróć się plecami do tego miejsca, błagaj o otwarcie bram.

Coś drgnęło w jej twarzy. Brwi się wygładziły i jakby zadygotała.

- Ruszaj, skarbie - mówiłem dalej. - Światłość cię pragnie. A tu, w tym świecie, Quinn zbierze wszystkie twoje piosenki, wszystkie, które nagrałaś, Patsy, złoży je razem i staną się znane daleko i szeroko, Patsy, każda z nich, nowa i stara, na zawsze.

Czy to nie wspaniałe, zostawić po sobie te wszystkie cudowne, uwielbiane przez ludzi piosenki, to twój dar, Patsy.

Otworzyła usta, ale nie przemówiła. Białe policzki były śliskie od bagiennej wody, koszula porwana, ramiona podrapane i pokryte szlamem, palce usiłowały się skulić, ale na próżno.

Słyszałem krzyk Mony. Czułem jakąś siłę, poruszającą wilgotne powietrze wokół

mnie. Quinn przysięgał zduszony szeptem, że zgrzeszywszy, odbierając jej życie, na zawsze zapewni życie jej piosenkom.

Nic się wszakże nie zmieniło w wyglądzie zbolalej i umęczonej zjawy, poza tym, że uniosła nieco dłoń i rozchyliwszy usta, wydała jakiś krótki dźwięk. Nie rozumiałem jej. Jakby pochyliła się ku mnie. I ja pochyliłem się ku niej...

- ...kochaj mnie, kochaj tak jak należy, bezbrzeżną miłością kochaj Patsy...!

...ruszyłem przez niebezpieczną pustkę, jakbym schodził ze świata, i pocałowałem jej usta, mokre i cuchnące zgniłą wodą, I poczułem płynący ze mnie potężny prąd, wiatr z najgłębszych korzeni mojego jestestwa, który wniknął w nią niepowstrzymanie i zaniósł ją daleko, bardzo daleko, w górę i dalej, a jej postać nikła, ogromniała i stawała się coraz bardziej świetlista...

- W Światłość, Patsy! - zawyła Mona. Wiatr porwał i połknął jej słowa...

...nastoletnia kowbojka, szarpiąca struny gitary, skandująca - Gloria! - tupie w estradę, tłum wrzeszczy, porażający obraz aniołów, niezliczone potwory niewidzialnego, skrzydła, nie, nie widziałem tego, tak, widziałem, precz! - Gloria! - nie widziałem - Gloria! - Szarpię palcami trawę, chcę się dostać do wnętrza ziemi. - Julien uśmiecha się, zaprasza. Gloria! To najbardziej niebezpieczna gra. Nie jesteś świętym Juanem Diego, wiesz o tym. Nie, nie, nie pójdę z tobą. Patsy w różowych skórach, unosi ręce, oślepiające światło, skanduje: *Gloria in Excelsis Deo!*

Czerń. Dokonało się. Jestem osobno. Tutaj. Czuję pod sobą trawę.

- *Laudamus te* - szepczę. - *Benedicimus te. Adoramus te. In Gloria Dei Patris!*

Kiedy otworzyłem oczy, leżałem na ziemi, Mona trzymała moją głowę w dłoniach, Quinn klęczał obok. Noc była cicha i pusta.

Od czasu do czasu żądam traktowania mnie jak zjawiskowego bohatera, bo jestem zjawiskowym bohaterem.

Szybkim krokiem wróciłem do domu, ignorując Quinna i Monę (zwłaszcza Monę), otworzyłem kuchenne drzwi i powiedziałem Jasmine, że duch Patsy na zawsze opuścił

ziemię, że jestem wyczerpany i muszę się przespać w łóżku ciotki Queen, bez względu na to, co ludzie sobie o tym pomyślą.

Kłótniwy mały Jerome zerwał się od swojego małego stoliczka i zawołał:

- Ale ja nigdy jej nie zobaczę! Mamusiu, nigdy jej nie zobaczę.

- Narysuję ci jej obrazek, siadaj! - powiedziała Jasmine i z niekwestionowanym autorytetem klucznicy przeprowadziła mnie przez hol i od razu wpuściła do najświętszego sanktuarium, mamrocząc, że zaledwie dwie godziny temu Mona zrobiła śmietnik w garderobie, ale teraz wszystko jest już poukładane. Rzuciłem się w poprzek okrytego różową satyną łoża, pod baldachim z różowej satyny, zapadłem się między poduszki z różowej satyny i leżałem tak, otoczony zapachem Chantilly, pozwalając Jasmine ściągnąć mi z nóg brudne buty, bo to sprawiało jej przyjemność i łóżko się nie brudziło, po czym zamknąłem powieki.

Od razu odezwał się Quinn, łagodnym, pełnym szacunku głosem:

- Lestacie, czy Mona i ja możemy sprawować przy tobie straż? Jesteśmy nieskończenie wdzięczni za to, co zrobiłeś.

- Zejdźcie mi z oczu - powiedziałem. - Jasmine, proszę, zapal wszystkie światła, a potem wyrzuć ich stąd. Patsy odeszła na zawsze i moja dusza jest słaba! Widziałem pierzaste skrzydła aniołów. Czy nie zasługuję na odrobinę snu?

- Wynocha stąd, Tarquinie Blackwood i Mono Mayfair! - rozkazała Jasmine. -

Dzięki Ci, Panie, że Patsy odeszła na zawsze! Czuję to. To dziecko po prostu się zagubiło, a teraz jest tam, w górze, i nie musi się błąkać. Zabieram te buty do Allena.

Nikt tu tak się nie zna na czyszczeniu wysokich butów jak Allen. No, wy dwoje, nie ma was, słyszeliście, co powiedział ten pan. Dusza mu osłabła. Dajcie mu święty spokój.

Lestat, już cię przykrywam.

Amen.

Odpywałem.

- Będę szedł za tobą po krańce ziemi - Julien wściekle syczał mi do ucha - podczas wszystkich twoich poczynań, aż sczeźniesz w szaleństwie! Próżność nad próżnościami i wszystko próżność*. Wszystko, co czynisz, to z próżności i dla twojej dumy i chwały!

Myślisz, że anioły nie wiedzą, co robisz i dla kogo?

- O, tak - odpowiedziałem szeptem - ty złośliwa zjawo, myślałeś, że dopadniesz mnie między światami, no nie? Czy to nie tam wegetujesz, przyglądając się, jak mija cię życie i w jednym, i w drugim? Dusza Patsy nic cię nie obchodziła, prawda? A czy nie jest twoim potomkiem, tak jak Quinn? I Mona? I czyniłeś bestię o dwóch grzbietach* nie gdzie indziej, lecz w tym domu, z prababką Patsy, czyż nie tak?, nie przyznajesz się do własnych potomków, kiedy ci to nie w smak, ty bezlitosny astralny żebraku...

Odpłynąłem głębiej, mój umysł zapadał się w słodycz ludzkiego wyczerpania -

daleko od nieoznakowanych szlaków między światami, daleko od udręki niebios.

Adieu, moja biedna, przeklęta Patsy. Tak, i wystarczył mi do tego jeden pocałunek, tak, jeden krok, i tak, odeszła, czyż nie było to dobre? Czyż nie postąpiłem dobrze?

Czy ktoś może zaprzeczyć, że to było dobre? No, co ty, Juanito, nie postąpiłem dobrze? Czy przepędzenie Goblina nie było dobre? Zapadałem się w bezpieczeństwo całkowitej niewiedzy snu. Wszędzie wkoło ochraniało mnie złote światło.

Co dobrego mogłem uczynić dla Mony i Quinna?

Dwie godziny później obudziły mnie dźwięki zegarowego gongu. Nie wiedziałem, gdzie stoi ten zegar, jak wygląda, i nie dbałem o to. Pokój był przytulny i bezpieczny, jakby przepojony czystością i szczodrobliwością ciotki Queen.

Byłem wypoczęty. Niegodziwe komórki mojego ciała odwaliły swoją brudną, nieuniknioną robótkę. A jeśli miałem jakieś potworne sny, to je zapomniałem.

Lestat był znowu Lestatem. Gdyby to miało dla kogoś znaczenie. Miało dla mnie znaczenie?

Usiadłem.

* Tłum. dost. Biblijne „Vanitas vanitatum...” jest tłumaczone „Marność nad marnościami... etc”.

* Tj. „kopulowałeś”.

Julien siedział przy okrągłym stolyczku ciotki Queen, tym, przy którym jadła, między łóżkiem i drzwiami garderoby. Miał na sobie smoking. Palił cygaretkę. Stella siedziała na kanapce, ubrana w śliczną białą sukienkę. Bawiła się jedną z buduarowych lalek ciotki Queen.

- *Bonjour*, Lestat - powiedziała. - W końcu się obudziłeś, gładki Endymionie.

- Wszystko, co robisz - rzekł po francusku Julien - służy twoim egoistycznym celom. Chcesz, żeby ci śmiertelni cię kochali. Nurzasz się w ich ślepym uwielbieniu.

Pochłaniasz je jak krew. Czy nie jesteś zmęczony zabijaniem i niszczeniem?

- Mówisz bzdury - odrzekłem. - Jako zmarły powinieneś być mądrzejszy. Nieżywi wyrastają ponad otoczenie. Ty nie. Poniewierasz się w bocznych zaułkach zaświatów.

Widzę, ile jesteś wart.

Uśmiechnął się lekko, złośliwie.

- Jaki dokładnie jest ten twój kiepski plan? - spytał. - Posłać mnie do chmurnych niebios, tak jak zrobiłeś z Patsy Blackwood?

- Hmm. Czemu miałbym się przejmować twoim zbawieniem? Jak ci powiedziałem, przywykam do ciebie. Czuję się zaszczycony tymi małymi tête-à-tête, bez względu na to, skąd przybywasz. A poza tym towarzyszy ci Stella. Zawsze uroczo jest ją widzieć.

- Och, jaki ty jesteś słodki - powiedziała mała Stella. Trzymała lalkę za ramiona. -

Wiesz, maluszku, przedstawiasz sobą niesłychanie przedziwny problem.

- Zechciej mi to wytłumaczyć - poprosiłem. - Nie ma niczego bardziej uroczego niż filozofujące dzieci.

- Nie bądź taki pewien, że jestem zdolna do filozoficznych obserwacji. - Minkę miała jednocześnie pochmurną i uśmiechniętą. Wypuściła lalkę, tak że ta upadła jej na podolek. Uniosła ramiona, potem z wolna je rozluźniła. - Oto, co myślę na twój temat, maluszku. Masz świadomość, ale nie masz duszy, która by ją wspierała.

Doprawdy wyjątkowa kombinacja, że tak powiem.

Poczułem chłodny powiew mroków.

- Gdzie jest moja dusza, Stello?

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, ale po chwili zawołała:

- Zamotana! Uwikłana w sieć. Ale twoja świadomość fruwa swobodnie, nie obciążona duszą. To po prostu cudowne.

Julien się uśmiechnął.

- Znajdziemy sposób, żeby przeciąć tę sieć - powiedział.

- Och, chcesz powiedzieć, żeby zbawić moją duszę? - spytałem.

- Nie obchodzi mnie, gdzie ona się udaje, po tym jak opuści ziemię. Nie mówiłem ci tego? Jeśli chodzi o mnie, to nienawidzę tej cielesnej skorupy, złej, ożywiającej ją krwi, apetytu, który ją popycha, i żarłocznej pychy, która każe ci zabrać moją siostrzenicę.

- Jesteś wyczerpany nerwowo - powiedziałem. - Nie zapominaj o dziecku. Musisz mieć jakiś cel, skoro przyprawiasz je na świadka. Zachowuj się przyzwoicie w jego obecności.

Gałka drzwi się obróciła.

Zniknęli. Doprawdy, co za nieśmiałe znikające indywidua.

Lalka opadła na kanapę, wyciągając miękkie kończyny i patrząc wielkimi malowanymi oczami po pokoju, niesłuchanie bezradna.

Weszli Quinn i Mona. Quinn przebrał się w obszerny, włóczkowy sweter i proste spodnie, gdyż klimatyzacja dworu dawała się we znaki, natomiast Mona nadal miała na sobie olśniewającą czarną suknię. Jej blade dłonie i twarz zdawały się płonąć bielą.

Teraz nosiła na szyi kameę, bardzo dużą i piękną, z biało-niebieskiego sardonyksu.

- Możemy porozmawiać? - spytał bardzo uprzejmym tonem Quinn. Spojrzał z wielkim przejęciem na Monę, po czym powrócił do mnie wzrokiem.

Zdałem sobie sprawę, że Quinn, opisując mi po raz pierwszy miłość wobec Mony, oddał sprawiedliwość swoim uczuciom. Rozpacz Mony - więcej, sama Mona, wesola czy przygnębiona, wypierała z serca Quinna wszystkie smutki i żale. Nadal -

przynajmniej na razie - litościwie ratowała go od bólu po stracie ciotki Queen i jego sobowtóra, Goblina. Bez względu na to, co ta mała skorpionica mi zrobiła, jego miłość wobec niej była błogosławieństwem.

Jak inaczej wytłumaczyć swobodę, z którą akceptował to, że zająłem łóżko jego ukochanej ciotki Queen w całej mojej... jak by powiedzieć...? próżności?

Podłożyłem sobie poduszki pod plecy, tak że siedziałem pewnie wyprostowany, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, i skinąłem głową.

Rzadko widuję swoje stopy w skarpetkach. Prawie nigdy. Wyglądały na nieco drobne, biorąc pod uwagę wymiary śmiertelników w dwudziestym pierwszym wieku.

Niefart. Ale metr osiemdziesiąt to w dalszym ciągu nieźle.

- Musicie wiedzieć, że uwielbiałem ciotkę Queen - mruknąłem. - A tu zasnąłem na jej pościeli. Jestem wstrząśnięty.

- Umiłowany szefie, tworzysz w tym miejscu cudowną kompozycję - rzekł

uprzejmie Quinn. - Rozgość się. Pamiętasz moją ciocię. Spała przez cały dzień. Pod tymi wymyślnymi storami są szczelne rolety, zupełnie zasłaniające światło.

Te słowa miały niesłychanie kojący wpływ. Dałem mu o tym znać bez słów.

Usiadł na pozbawionej oparcia kanapce przed gotownią, plecami do wielkiego okrągłego lustra i miękkiego światła lamp. Mona usiadła na innej kanapce, przy porzuconej przez zjawę Stelli lalce.

- Wypocząłeś? - spytała, jakby była umiejacą się przyzwoicie zachować osobą.

- Zrób coś pożytecznego - rzekłem jej z pogardą. - Weź tę lalkę i posadź ją jak należy, żeby nie wyglądała tak smutno.

- Och, tak, oczywiście - powiedziała, jakby nie była szalejącym wyrzutkiem z piekła rodem. Oparła lalkę o poręcz fotela, skrzyżowała jej nogi i złożyła ręce na podołku.

Teraz zabawka patrzyła na mnie spojrzeniem pełnym wdzięczności.

- Co ci się tam wydarzyło, Lestacie? - spytał Quinn. Był bardzo troskliwy.

- Nie wiem na sto procent - odparłem. - Może jakieś moce chciały zabrać mnie z nią. Kiedy ruszyła w górę, byliśmy połączeni, ale udało mi się od niej oderwać. Nie jestem pewien. Czasem widzę anioły. Niewesoła sprawa. Nie chcę o tym mówić. Nie chcę jeszcze raz tego przeżywać. Patsy odeszła. To się liczy.

- Widziałem Światłość. Widziałem ją bez wątpienia, ale nawet przez chwilę nie widziałem ducha Patsy. - Był uroczo szczery, bez cienia fałszu.

- Ja też widziałam Światłość - wtrąciła się upiorzyca. - I walczyłeś z kimś, przeklinałeś po francusku i wołałeś coś na temat Juliana.

- Teraz to nieważne - powiedziałem, patrząc na Quinna. - Jak już mówiłem, raczej wolałbym tego nie przeżywać po raz drugi.

- Czemu to zrobiłeś? - spytał z szacunkiem Quinn.

- Na Boga, o co ci chodzi? - spytałem. - Trzeba było to zrobić, czyż nie?

- Wiem. Ale dlaczego ty? To ja zamordowałem Patsy. A ty poszedłeś tam sam i przyciągnąłeś do siebie jej ducha. Sprowadziłeś dla niej Światłość. Stoczyłeś walkę.

Dlaczego to zrobiłeś?

- Dla ciebie, jak przypuszczam - odparłem, wzruszając ramionami. Może uważałem, że nikomu innemu się to nie uda. A może zrobiłem to dla Jasmine, bo obiecałem, że zjawa jej nie dopadnie. Lub dla Patsy. Tak, dla niej. Zadumałem się. -

Oboje tak niedawno otrzymaliście krew. Widzieliście tak mało. Mnie smagały wichry ziemskiej otchłani zmarłych. Widziałem ich dusze - w pustce między królestwami.

Kiedy Mona powiedziała, że Patsy nie wie, że umarła, pojąłem, co się jej przytrafiło.

Więc poszedłem tam i zrobiłem, co trzeba.

- A do tego była ta piosenka - powiedziała mała harpia, patrząc na Quinna. -

Tommy śpiewał smutną irlandzką piosenkę.

- Jak już mowa o piosenkach, to wywiązałem się z obietnicy - wtrącił Quinn. - A przynajmniej zacząłem się wywiązywać. Zadzwoiłem do agenta Patsy, wyciągnąłem go z łóżka. Zamierzamy wznowić jej wszystkie nagrania, przygotować specjalny blok reklamowy - wszystko to, na czym zawsze jej zależało. Agent był tak zachwycony, że umarła, że mało nie zwariował z radości.

- Co...?! - zawołała Mona.

- Och, no wiesz, nagrania zmarłych gwiazd przynoszą niesamowite zyski - wyjaśnił

Quinn, wzruszając ramionami. - Agent rozgłosi jej tragiczne odejście. Jej kariera zyskała fantastycznie medialną kłamrę. Takie rzeczy się sprzedają.

- Wiedziałem, że się wywiązesz z obietnicy - powiedziałem. - A gdybyś się z niej nie wywiązał, sam bym się tym zajął... oczywiście za twoim przyzwoleniem. Teraz to załatwione, jak rozumiem?

- Miała cudowny głos. Gdybym tylko mógł ją zamordować, ale pozostawić przy życiu jej głos.

- Quinn! - skarciła go Mona.

- Hm, wydaje mi się, że właśnie to ci się udało, braciszku - zauważyłem.

Roześmiał się ciepło.

- Chyba masz rację, umiłowany szefie - powiedział. Przyglądał się Monie, rozbawiony tym, że w swojej niewinności przeżyła taki szok. - Którejś nocy wszystko ci o niej opowiem. Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że jest cała posklejana z plastiku. Zawsze się darła. Wystarczy o niej.

Mona pokręciła głową. Za bardzo kochała Quinna, nie chciała go naciskać. Poza tym zajmowały ją inne rzeczy.

- Lestacie, co tam widziałeś? - spytała.

- Nie słuchasz mnie - powiedziałem z rozdrażnieniem. - Po- wiedziałem ci, ty wkurzający mały szubrawcu, drugi raz nie będę tego przeżywał. To dla mnie zamknięta sprawa. Poza tym podaj mi jeden dobry powód, żebym w ogóle miał się do ciebie odezwać. Czemu jesteśmy w tym samym pokoju?

- Lestat - wstawił się za nią Quinn - proszę, daj Monie jeszcze jedną szansę.

Dostałem szału - nie z powodu Mony, nie zamierzałem drugi raz wpadać w tę pułapkę - ale po prostu dostałem szału. Tych dwoje było tak cudownymi dziećmiakami.

I...

- Doskonale - rzekłem, równocześnie się zastanawiając. - Oto, czego macie się trzymać. Jeśli mam z wami pozostać, to ja tu jestem mistrzem. I nie będę wam udowadniał swojej wartości. Mam dość tego, że przez cały czas, kiedy jesteście z mną, podważacie moją władzę!

- Rozumiem cię - powiedziała Mona. - Naprawdę cię rozumiem, naprawdę! -

mówiła z niezwykłym przejęciem.

- Co do rzeczonyj sprawy. Postanowiłem zapomnieć wszystko, co widziałem na bagnach. I wy też musicie zapomnieć.

- Tak, umiłowany szefie - powiedziała skwapliwie Mona. Zapadło milczenie.

Nie wierzyłem jej za grosz.

Quinn nie patrzył na nią. Wzrok miał wbity we mnie.

- Wiesz, jak bardzo cię kocham - wyznał.

- Też cię kocham, braciszku - powiedziałem. - Przykro mi, że moje nieporozumienia z Moną położyły się cieniem na tym, co było między nami.

Odwrócił się do niej.

- Powiedz, co masz do powiedzenia - rozkazał.

Opuściła oczy. Dłonie złożyła na podołku i nagle wydała się ciepłą, zagubioną istotką. Jej cudowna bladość prezentowała się jeszcze wspanialej na tle czarnej sukni i tak nawiasem mówiąc, jej włosy były wprost oszalamiające.

(Wielka mi rzecz! I co z tego?!)

- Obsypałam cię obelgami - przyznała. Mówiła pełniejszym, głębszym tonem niż poprzednio. - Postąpiłam bardzo źle. - Podniosła na mnie wzrok. Nigdy nie widziałem takiego spokoju w tych zielonych tęczęwkach. - Postąpiłam bardzo źle, tak wyrażając się o twoich pisklętach, o dawnych tragediach, tak chamsko i z takim celowym okrucieństwem. Nigdy do nikogo nie powinnam przemawiać z taką brutalnością, co dopiero do ciebie. To było prostackie, zarówno pod względem duchowym, jak i moralnym. Odzywając się takim tonem, zadałam gwałt mojej naturze. Proszę, zaufaj moim słowom. To nie byłam ja. Zasłużyłam na najszczerszą nienawiść.

Wzruszyłem ramionami, ale w głębi duszy byłem pod wrażeniem. Umiała ładnie się wysłowić.

- Czemu więc to zrobiłaś? - spytałem z udawanym roztargnieniem.

Zdawała się rozważać odpowiedź na to pytanie, gdy tymczasem Quinn obserwował ją z wyraźną troską.

- Jesteś zakochany w Rowan - rzekła w końcu. - Zauważyłam to. I byłam tym przerażona, naprawdę.

Milczenie.

Nie dający się opisać ból. W moim sercu nie było wizerunku Rowan. Tylko pustka, świadomość, że jest daleko, bardzo daleko. Może na zawsze, „...przerwie się srebrny sznur i stłucze się czara złota”.*

- Przerażona? - spytałem. - A czemu to?

- Chciałam, żebyś mnie kochał - wyznała. - Chciałam, żebyś nadal był mną zainteresowany. Chciałam, żebyś stał po mojej stronie. Nie... nie chciałam, żeby cię zagarnęła. - Zająknęła się. - Byłam zazdrosna. Czułam się jak więzień wypuszczony po dwóch latach z pojedynczej celi, który widząc otaczające go bogactwa, obawia się, że wszystko straci.

Znów w głębi duszy byłem pod wrażeniem.

- Nic ci nie groziło - zapewniłem ją. - Absolutnie nic.

- Na pewno rozumiesz - powiedział Quinn - co Mona przeżywała, oszołomiona naszymi darami i niezdolna panować nad tym, co czuła. Przecież byliśmy w tamtym ogrodzie przy - Pierwszej Ulicy, w tym samym ogrodzie, w którym pochowano ciała Taltos.

- Tak - podjęła. - Rozmawialiśmy o rzeczach, które torturowały mnie przez lata i...

i...

- Mono, musisz mi zaufać - powiedziałem. - Musisz ufać moim zasadom. To paradoks, któremu podlegamy. Otrzymując krew, nie odrzucamy naturalnego prawa.

Jesteśmy istotami przestrzegającymi zasad. Nigdy nie przestałem cię kochać, nawet na chwilę. To, co czułem do Rowan na tamtym rodzinnym zebraniu, w żaden sposób nie wpływało na moje uczucia wobec ciebie. Nie pozwoliłbym sobie na coś takiego.

Dwa razy cię ostrzegałem, żebyś była cierpliwa, jeśli chodzi o kontakty z twoją rodziną, bo wiedziałem, że tak będzie dla ciebie najlepiej. Równocześnie zgadzam się, za trzecim razem posunąłem się za daleko z moimi żarcikami. Ale starałem się powstrzymać twoje obelgi i ataki przeciwko tym, których kochasz! Tymczasem ty nie chciałaś mnie słuchać.

* Koh 12, 6.

- Teraz będę, przysięgam - obiecała. Nadal przemawiała zdecydowanym tonem, którego nie słyszałem u niej poprzedniej nocy ani wcześniej. - Quinn w nieskończoność mnie pouczał. Przestrzegał mnie, żebym zachowywała się właściwie wobec Rowan, Michaela i Dolly Jean. Powiedział, że nie mogę niefrasobliwie nazywać ich „ludźmi” w ich obecności. To objaw złych manier ze strony wampira.

- W rzeczy samej - powiedziałem z miążdżącą pogardą. (Wolne żarty.)

- Wyjaśnił, że musimy cierpliwie stosować się do ich zwyczajów, i teraz to rozumiem, i zdaję sobie sprawę, że Rowan musiała mówić tak, jak mówiła. Nie powinnam była jej przerywać. Zdaję sobie z tego sprawę. Nigdy więcej nie będę wygłaszać tego typu uwag. Są niewłaściwe. Muszę... osiągnąć dojrzałość we krwi. -

Zrobiła pauzę i podjęła na nowo. - Znaleźć ogniwo łączące uprzejmość i spokój ducha.

Tak, o to chodzi. Daleko mi do tego.

- To prawda. - Przyglądałem się jej, wizerunkowi, który tworzyła. Nie byłem całkiem przekonany co do autentyczności tego idealnego aktu skruchy. A przy tym jej szczupłe nadgarstki wyglądały zniewalająco w wąskich czarnych mankietach, tak jak stopy w niebezpiecznych szpilkach, zapinanych na wijące się węzowo paseczki. Ujęła mnie jednak słowami. „Ogniwo łączące uprzejmość i spokój ducha”. Bardzo mnie ujęła i wiedziałem, że mówiła to szczerze. Wszystko mówiła szczerze, bez względu na to, co wcześniej Quinn nawkładał jej do głowy. Widziałem to po jego reakcji na jej wypowiedzi.

- A co się tyczy tej sukienki z cekinami, to teraz rozumiem, o co ci chodziło -

wyznała, wytrącając mnie z toku myśli.

- Czyżby? - spytałem chłodno.

- Oczywiście. - Wzruszyła ramionami. - Wszystkie samce o wiele silniej reagują na bodźce wizualne niż samice. Czemu my, lud nocy, mielibyśmy być wyjątkiem? - Błysk zielonych oczu. Różane usta. - Nie należało zakłócać twojego skupienia tą całą golizną, rowkiem między piersiami i bardzo uczciwie to zasygnalizowałeś.

- Powinienem wyjawić moje życzenia z większym taktem i szacunkiem -

powiedziałem płaskim, monotonnym głosem. - W przyszłości będę bardziej dżentelmeński.

- Nie, nie - zaprotestowała, mocno kręcąc głową. - Wszyscy wiemy, że tamta sukienka pasowała do jakiejś pretensjonalnej dziwki, taki był mój zamysł. Dlatego włożyłam ją do hotelu. Celowo była uwodzicielska. I dlatego po wejściu do tego domu przebrałam się w coś bardziej dystyngowanego. Poza tym ty jesteś stwórcą. Takiego słowa użył Quinn. Stwórcą, mistrzem, nauczycielem. I masz prawo mi powiedzieć:

„Zdejmij tę sukienkę”. Wiedziała, o co ci chodzi. Ale rozumiesz... przez najważniejsze lata mojego życia byłam chora. Jako śmiertelna dziewczyna nigdy nie miałam na sobie takiej sukienki. Nie wiedziałam, jak to jest. Widzisz, nigdy nie byłam śmiertelną kobietą.

Wezbrał we mnie wielki smutek.

- W jednej chwili przestałam być dzieckiem i stałam się ciężko chorą -

kontynuowała. - A do tego doszły jeszcze moce, którymi mnie obdarzyłeś. A ja za całą podziękę napadłam na ciebie, bo myślałam, że... że kochasz Rowan. - Przerwała zaskoczona, wyraźnie zbита z pantałyku. - Podejrzewam, że wkładając tę sukienkę, chciałam ci zasygnalizować, że... też jestem kobietą... - powiedziała w rozmarzeniu. -

Może o to chodziło. Ze jestem kobietą na tyle, na ile to możliwe.

Jej słowa trafiły do mojej duszy. Duszy, której podobno nie miałem, zaplątanej duszy.

- Kobiecość to coś naprawdę przedziwnego, no nie? - spytała retorycznie. Emocje sprawiły, że jej głos zabrzmiał chrapliwie. - Możliwość bycia matką, moc uwodzenia, moc rezygnacji i z jednego, i z drugiego, i zdolność... - Zamknęła powieki. Szepnęła: - I ta sukienka, ten odrażający symbol tego wszystkiego!

- Nie zadręczaj się tym więcej - rzekłem w końcu cieplejszym tonem. - Pierwszy raz to wypowiedziałaś, naprawdę. Wypowiedziałaś to.

Zdawała sobie z tego sprawę. Spojrzała na mnie.

- Gotowa się łajdaczyć, byle móc rządzić innymi - szepnęła. - Tak o mnie powiedziałaś i miałaś rację, władza uderza mi do głowy jak narkotyk, byłam oszołomiona, byłam...

- Och, nie, nie...

- I możemy przenikać w inne światy, jesteśmy błogosławieni, nawet jeśli to mroczne błogosławieństwo, jesteśmy tak cudownie wolni...

- Moim zadaniem jest was prowadzić, instruować, przebywać z wami tak długo, aż będziecie mogli egzystować samodzielnie, nie tracąc nerwów, jak mi się to przydarzyło. Byłem w błędzie. Wykorzystałem moc tak samo jak ty, skarbie.

Powinienem mieć więcej cierpliwości.

Spokój. I ten smutek także się rozplynie. Musi.

- Bardzo kochasz Rowan, prawda? - spytała. - Naprawdę ją kochasz.

- Pogódź się z tym, co ci powiedziałem - poradziłem jej. - Jestem bardzo wrednym facetem. A na razie jestem miły.

- Och, wcale nie jesteś wredny - sprzeciwiła mi się z lekkim uśmiechem. -

Uwielbiam cię bez opamiętania.

- Nie, jestem wredny. I oczekuję uwielbienia. Przypomnij sobie własne słowa.

Jestem nauczycielem.

- Ale czemu tak kochasz Rowan?

- Mono, nie zagłębiajmy się w to tak bardzo - rzekł Quinn. - Myślę, że udało się nam osiągnąć wspaniałe porozumienie i teraz Lestat nas nie porzuci.

- Nigdy nie zamierzałem was porzucać - wyznałem półgłosem. - Nigdy nie porzucę żadnego z was. Teraz jednak, skoro już znowu jesteśmy razem, to sądzę, że powinniśmy się ruszyć. Rozważam inne sprawy.

Cisza.

- Tak, powinniśmy się ruszyć - przyznała mi rację Mona.

- Jakie sprawy? - spytał z lekkim niepokojem Quinn.

- Ostatniej nocy rozmawialiśmy o pewnym zadaniu - przypomniałem mu. -

Złożyłem obietnicę. I zamierzam jej dotrzymać. Ale chcę wyjaśnić pewne sprawy...

dotyczące samego zadania i tego, co dzięki niemu mam nadzieję osiągnąć.

- Tak - rzekł Quinn. - Nie jestem pewien, czy rozumiem wszystko, co dotyczy Taltos.

- Jest tego zbyt wiele do zrozumienia - powiedziałem. - Mona na pewno się z tym zgodzi.

Zobaczyłem, jak niepokój spochmurnia jej twarz. Zmarszczyła brwi, lekko napięła wargi. Nawet w tym grymasie dojrzałem jednak nie znaną mi przedtem dojrzałość, nie znaną mi pewność siebie.

- Mam kilka pytań... - zacząłem.

- Tak - powiedziała. - Spróbuję na nie odpowiedzieć.

- Zastanowiłem się, po czym zaryzykowałem:

- Jesteś absolutnie pewna, że chcesz znaleźć te stworzenia?

- Och, muszę znaleźć Morrigan, wiesz o tym! Lestacie, jak możesz, ty, który powiedziałeś...?

- Pozwól mi inaczej sformułować pytanie - przerwałem jej, unosząc dłoń. -

Nieważne, co powiedziałaś wcześniej. Teraz, kiedy miałaś czas się zastanowić...

przyzwyczaić do stanu, w którym jesteś... teraz, kiedy wiesz, że Rowan i Michael cię nie okłamali, - mówiąc, że wszystko wiesz i że nie ma niczego więcej do poznania...

Może chcesz znaleźć Morrigan po prostu dlatego, żeby się dowiedzieć, czy jest bezpieczna i zdrowa, a nie dlatego, żeby się jej ukazać i nawiązać prawdziwą więź.

- Tak, to zasadniczy problem - poparł mnie Quinn. - Czego chcesz?

- No jak to czego, oczywiście, chcę nawiązać prawdziwą więź z moją córką. - Była głęboko zdziwiona. - Nigdy nie chodziło mi tylko o to, żeby się dowiedzieć, jak się miewa. Zaw... zawsze myślałam, że będziemy żyć razem. Niczego bardziej nie pragnę niż tego, żeby objąć ją, przytulić... - Ból ściał jej twarz. Zamilkła.

- Zrozum, gdyby ona tego chciała - powiedziałem tak taktownie, jak tylko potrafiłem - to dawno by do ciebie wróciła.

Z pewnością wcześniej rozważała taką możliwość. Musiała ją rozważać. Ale gdy się jej przyglądałem, naszły mi wątpliwości. Może karmiła się fantasmagoriami i kłamstwami - że Rowan zna miejsce pobytu Morrigan, że zachowuje je w tajemnicy.

Ze przeszmygłowała jej czarodziejskie mleko i w niczym nie pomogło.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, przeżywała wstrząs. Głęboki wstrząs.

- Może nie mogła do mnie wrócić - szepnęła. - Może Ash Templeton jej nie pozwolił. - Pokręciła głową i złapała się za nią. - Nie wiem, co z niego za stworzenie!

Oczywiście Michael i Rowan biorą go za... za bohatera, wielkiego wszystkowiedzącego, mądrego obserwatora wieków. Ale co, jeśli... Nie wiem. Chcę się z nią spotkać. Chcę z nią porozmawiać. Chcę się dowiedzieć, czego pragnie, nie rozumiecie? Czemu nie wróciła do mnie przez tamte wszystkie lata, dlaczego nawet... Lasher był okrutny, ale to był wynaturzenie, ktoś... - Zakryła dłonią usta. Palce jej się trzęsły.

Quinn był jak oszalały. Nie mógł znieść jej cierpienia.

- Mono, bez względu na to, jak wygląda prawda, nie możesz jej dać krwi -

powiedziałem łagodnie. - Nie wolno jej przekazywać tego rodzaju stworzeniom. Wiąże się z nimi tak wiele niewiadomych, że nawet nie powinniśmy się nad tym zastanawiać.

Najpewniej nie da się jej im przekazać. Ale nawet gdyby się dało, to nie możemy tworzyć nowego gatunku nieśmiertelnych. Wierz mi, kiedy mówię, że są przedwieczne osobniki naszego gatunku, które nigdy by na to nie pozwoliły.

- Och, zdaję sobie z tego sprawę, nie prosiłam o to, nie mogłabym... - Urwała.

Wyraźnie nie była zdolna dalej mówić.

- Chcesz wiedzieć, czy żyje i ma się dobrze - podsunął jej możliwie najłagodniejszym tonem Quinn. - To najważniejsze, prawda?

Skinęła głową, odwracając wzrok.

- Tak... gdzieś tam jest ich wspólnota i są szczęśliwi. - Zmarszczyła brwi.

Przewyciężyła ból. Nabrała oddechu, zarumieniła się. - To niewykluczone, prawda? -

Spojrzała na mnie.

- Wcale niewykluczone - potwierdziłem. - Rowan i Michael próbują nas przekonać, że może tak być.

- W takim razie muszę wiedzieć, co się z nimi stało! - szepnęła z goryczą. - Muszę!

- Dowiem się tego - przyrzekłem.

- Naprawdę?

- Tak. Nie składałbym ci obietnic bez pokrycia. Dowiem się i jeśli oboje żyją, jeśli przyłączyli się do jakiejś społeczności, to będziesz mogła zdecydować, czy chcesz się z nimi spotkać. Ale gdy tylko dojdzie do tego spotkania, oni dowiedzą się o tobie, o tym, kim jesteś, wszystkiego. To znaczy, jeśli dysponują mocami, które Rowan im przypisuje.

- Och, oni mają te moce - powiedziała Mona. - Mają. - Zamknęła oczy. Wzięła głęboki, otrzewniający oddech, który niósł ból. - To okropne, ale wszystko, co powiedziała Dolly Jean, jest prawdą. Nie mogę zaprzeczyć. Nie mogę ukrywać prawdy przed tobą i Quinnem. Nie mogę. Morrigan była... prawie nie do wytrzymania.

- Pod jakim względem? - spytał Quinn.

Widziałem, że dokonało się w niej radykalne przełamanie. Do tej pory mówiła coś przeciwnego.

Odrzuciła w tył włosy, biegając wzrokiem po suficie. Usiłowała zmierzyć się z czymś, czego istnieniu dotąd zawsze zaprzeczała.

- Obsesyjna, namolna, doprowadzająca do szału! - powiedziała. - W kółko mówiła o swoich zamiarach, planach, marzeniach, wspomnieniach i powtarzała, że Mayfairowie staną się rodziną Taltos, a gdy tylko poczuła woń samca Taltos bijącą od Rowan i Michaela, stała się całkowicie nieznośna. - Zamknęła oczy. - Nie potrafiłam sobie wyobrazić wspólnoty takich stworzeń. Tamten starzec, Ash Templeton, ten, którego poznali Rowan i Michael... nauczył się udawać człowieka, dużo wcześniej się nauczył, przed wiekami. W tym rzecz. Te stworzenia mogą żyć w nieskończoność. Są nieśmiertelne! Ich gatunek jest całkowicie nieporównywalny z ludźmi. Morrigan dopiero co się narodziła i była nieokrzesa. - Spojrzała na mnie błagalnie.

- Nie śpiesz się - powiedziałem.

Nigdy nie widziałem, by tak cierpiała. Wszystkie jej wybuchy płaczu świadczyły o szczodrobliwości i braku egoizmu, jednak mogły być nie do końca szczere. Wybuchy wściekłości wręcz sprawiały jej przyjemność. Teraz przeżywała nie lada udręczenie.

- To jak ze mną, nie rozumiecie? - spytała. - Ona była nowo narodzoną Taltos. Ja jestem nowo narodzonym dziecięciem krwi, czy jak się to według was nazywa. Mamy te same wady. Nie słuchała nikogo i niczego i zachowywała się jak słoń w składzie porcelany! Nie inaczej niż ja, szalejąc i szydząc z twojej książkowej spowiedzi...

zakładałam... zakładała... przyjmowałam... przyjmowała... nawet tłukłam w komputer tak jak ona, pisałam i pisałam swoje wrażenia jak ona, ale ona nigdy nie mogła przestać, i ona... ja... ona... nie wiem... - Przyszły łzy i nie mogła dalej mówić. - Och, drogi Boże, jaki straszny sekret się za tym wszystkim kryje? - szeptała. - Jaki? Jaki?

Cała męka Quinna odmalowała się na jego obliczu.

- Znam go. Mono, nienawidziłaś jej z taką samą mocą, z jaką ją kochałaś. Inaczej być nie mogło. Pogódź się z tym. I teraz musisz wiedzieć, co ją spotkało.

Energicznie potakiwała głową, ale nie mogła wydusić słowa. Nie potrafiła na mnie spojrzeć.

- I musimy się tym zająć z wielką ostrożnością - powiedziałem - tym poszukiwaniem Taltos, ale przysięgam wam raz jeszcze, dopniemy swego. I dojdziemy, gdzie są albo co się z nimi stało.

Cisza.

W końcu na mnie spojrzała. Zastygła w smutku. Chociaż mierzyliśmy się wzrokiem, nie traktowała tego jak pojedynku. Nawet odniosłem wrażenie, że nie wiedziała, iż na nią patrzę. Jej wzrok spoczywał na mnie tak długo, aż czas przestał odgrywać rolę, a jej twarz przybrała wyraz łagodny, uległy i czuły.

- Nigdy więcej nie będę dla ciebie wredna - powiedziała.

- Wierzę ci - powiedziałem. - Przygarnąłem cię do serca od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem.

Quinn cierpliwie przysłuchiwał się naszej wymianie zdań, okrągłe lustro za jego plecami wyglądało jak wielkie halo.

- Ty naprawdę mnie kochasz - powiedziała.

- Tak - odrzekłem.

- Co mogę zrobić, żeby ci udowodnić moją miłość?

Zastanawiałem się przez długą chwilę, odcinając się od niej i Quinna.

- Nie musisz nic robić - rzekłem. - Chciałem cię tylko prosić o jedną drobną przysługę.

- Proś, o co chcesz - odparła.

- Nigdy więcej nie wspominaj o mojej miłości do Rowan - powiedziałem.

Wpiła się we mnie wzrokiem tak pełnym bólu i żalości, że wytrzymałem go z najwyższą trudnością.

- To będzie ostatni raz - rzekła. - Rowan chodzi pod rękę z Bogiem. A Medical Mayfair to jej święta góra.

- Tak - przyznałem jej rację, wzdychając. - Masz całkowitą rację. I nie myśl, że o tym nie wiem.

Godzina przed świtem.

Mona i Quinn już poszli do jego sypialni.

Potwierdzono, że podczas każdej mojej wizyty w Blackwood sypialnia ciotki Quinn będzie do mojej dyspozycji. Jasmine była mi tak wdzięczna za pozbycie się zjawy Patsy, że patrzyła we mnie jak w obraz, i była zachwycona tym ustaleniem.

Grzeszyłem, zajmując ten pokój! Ale go zająłem. I Jasmine już zasunęła story używane za dnia przez ciotkę Queen, chroniąc mnie przed wschodzącym słońcem, spuściła rolety i wsunęła pod poduszkę Magazyn osobliwości Dickensa, bo Quinn tak zalecił.

Dość o tym.

Stałem sam na cmentarzyku. Czy cieszyłem się tą samotnością? Nie cierpiałem jej.

Cmentarz jednak przyciągał mnie jak zawsze.

Wniosłem wezwanie do Maharet, jak uczyniłem to wcześniej tego wieczoru. Nie wiedziałem nawet, czy tam, gdzie ona przebywa, panuje noc. Wiedziałem jedynie, że jest bardzo daleko, i że jest mi potrzebna. Kolejny raz z całą mocą roztoczyłem opowieść o wysokich dzieciach, młodych osobnikach, których imienia nie mogłem zdradzić, i o tym, jak bardzo potrzebuję mądrości i wskazówek Maharet.

Gdy brzask zaczął różowić wilgotne niebo na Luizjaną, naszło mnie niejasne, mroczne przeczucie. Czy dane mi będzie samemu odnaleźć Taltos? Tak, może. Ale kiedy się to stanie?

Byłem gotów udać się na spoczynek, tak by zaznać przyjemności zapadania w sen, a nie natychmiastowej utraty świadomości, jak ugodzony obuchem, kiedy usłyszałem zgrzyt kół zjeżdżającego z hikorowej alei samochodu i pewnie zbliżającego się do domu.

Podchodząc w górę stokiem trawnika, zobaczyłem historycznego roadstera, czcigodnego MG TD, jednego z tych budzących zachwyty pojazdów, które widuje się tylko na zjazdach weteranów szos. Nisko zawieszony, w kolorze British Racing Green, z nierównym brezentowym dachem. Kierowcą, który zaciągnął ręczny hamulec, był

Oliver Stirling.

Jego telepatia tylko o włos ustępowała zdolnościom wampira pisklęcia.

Natychmiast mnie dojrzał i podeszliśmy do siebie wymienić powitania.

Brzask nadal chował się za horyzontem.

- Wydawało mi się, że kiedyś mi obiecałeś, że będziesz trzymał się z daleka od tego miejsca - powiedziałem - i zostawisz Quinna w spokoju.

- Dotrzymałem tej obietnicy - odparł. - Jestem tu po to, żeby się spotkać z tobą, a gdybym się z tobą rozminął, co uznałem za wątpliwe, miałem zamiar wręczyć to Jasmine.

Wyjął z marynarki złożoną kartkę, na której widniało moje nazwisko.

- Co to jest? - spytałem.

- E-mail na twoje nazwisko, który godzinę temu przyszedł do mnie. Z Londynu.

Zaraz potem wyjechałem, żeby ci go dostarczyć.

- Czy to oznacza, że go przeczytałeś? - spytałem, ujmując go pod ramię. - Wejdźmy do domu.

Ruszyliśmy po stopniach. Drzwi były jak zawsze otwarte, a światła w salonie paliły się też jak zawsze.

Usiadłem na kanapie.

- Przeczytałeś go czy nie? - powtórzyłem pytanie, wpatrując się w kartkę.

- Przeczytałem - przyznał. - Nie potrafiłem się powstrzymać. To było ponad moje siły. Nasz człowiek w Londynie, który go przysłał, również go przeczytał. Nie wie, kto go przysłał ani skąd. Nie wie też, co tak naprawdę znaczy. Zobowiązałem go do dyskrecji.

- Czemu boję się na niego spojrzeć? - spytałem. Rozłożyłem kartkę.

Lestat de Lioncourt

Nowy Orlean, Luizjana

z listami Olivera Stirlinga

Talamaska

dostarczyć osobiście i bezzwłocznie

Mój najdroższy i wiecznie nieznużony,

Jeśli absolutnie musisz wiedzieć, to na prywatnej wyspie Świętego Ponticusa, na południowy wschód od Haiti, dawnym kurorcie, zapewne sześć lat temu przejętej przez tych, których szukasz. Port, pas startowy, lotnisko dla helikopterów, nadmorski pensjonat zamknięty dla ogółu. Populacja tych, których szukasz, kiedyś liczna, czujna, tajemnicza, Od jej przybycia również wyraźna obecność ludzi. Teraz sytuacja w najwyższym stopniu niejasna.

Wyczuwalny konflikt, niebezpieczeństwo, gwałtowna i nie dająca się rozpoznać aktywność. Łąduj, zachowując ostrożność na niezamieszkanym wschodnim wybrzeżu. Strzeż swoich piskląt. Rozważ sensowność interwencji, jeśli ta w ogóle jest możliwa. Zastanów się nad nieuniknionym. Nie wydaje się, aby zamieszkiwali gdzie indziej. I, *s'il vous plaît, monsieur*, zechciej się nauczyć obsługiwać pocztę elektroniczną! Oba Twoje pisklęta opanowały tę sztukę! Jak Ci nie wstyd! Możesz być pewien mojej miłości i tych, którzy są tutaj.

M

Nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Przeczytałem list po raz drugi.

- I to wszystko, nic poza tą niesamowitą informacją, że mam pisać do niej e-maile?

- powiedziałem, wskazując datę i godzinę, podane na kartce.

- Tak - potwierdził Stirling. - I możesz natychmiast nawiązać z nią kontakt. Pokaż to Monie albo Quinnowi. Podyktuj im list. Oni go wyślą.

- Ale czemu miałyby zdradzać miejsce pobytu?

- Niczego nie zdradziła. Znasz tylko jej login. A sama wiadomość zapewne przeszła przez kilka serwerów. Wierz mi, jest na tyle mądra, że nie da się jej wyśledzić.

- Nie musisz mi mówić, jaka jest mądra. Sam cię jednak do tego sprowokowałem, pytając, no nie?

Nie mogłem ochłonać ze zdumienia. Trzymałem w ręce kartkę papieru, będącą odpowiedzią na moje telepatyczne przesłanie! A to, że otrzymałem odpowiedź na niesłychanie dla mnie ważne pytania, jeszcze pogłębiało moje przejęcie.

Stirling wręczył mi mapę. Wcześniej złożył ją tak, że ukazywała tylko interesujący mnie obszar, i zakreślił wyspę, o której pisała Maharet. Natychmiast zapisałem w pamięci współrzędne.

- Jak myślisz, czemu użyła ciebie jako posłańca? - spytałem.

- To proste. Tak było jej wygodnie. Zebrała informacje i chciała ci przekazać dokładne ich streszczenie. No i w ten sposób zademonstrowała, że nam ufa.

Potwierdza, że Talamaska nie jest ani twoim wrogiem, ani jej.

- To niewątpliwie prawda. Ale co mają znaczyć te uwagi o interweniowaniu i nieuniknionym?

- Lestacie, wybaczone, ale to jasne. Prosi cię, żebyś nie naruszał praw ewolucji. I sygnalizuje, że na odizolowanej wysepce dzieją się doniosłe wydarzenia, o których świat może nigdy się nie dowie.

- Nie to miała na myśli. Zasugerowała, że nie może powiedzieć, co się dzieje. To niesłychanie podniecająca wiadomość. W każdym razie dla mnie. Nie wydaje mi się, żeby Mona zareagowała podobnie.

- Obydwa wnioski są zapewne słuszne - rzekł z westchnieniem. - Co zamierzasz uczynić?

- Popędzić tam, staruszkę, a jak myślisz? - powiedziałem z lubością. - Nie ma co czekać. To znaczy, muszę poczekać. Ale wyruszam z nimi po zachodzie słońca.

- p; Złożyłem list i schowałem do wewnętrznej kieszeni fracza. To samo zrobiłem z mapą.

- Jutro nauczę Monę naszej umiejętności, która budzi największy lęk. Odkładałem to... nie chciałem jej przeciążać. Quinn i ja możemy ją dostarczyć na tę wysepkę w niecałe pół godziny.

- Musisz nauczyć ją czegoś więcej niż sztuki latania - zauważył Stirling. - Taltos są znacznie potężniejsi, niż zapewne to sobie wyobrażasz.

- Pod jakim względem?

Wpadł w długi namysł.

- Poznałeś ludzi, którzy potrafią zabijać na odległość - rzekł.

- Tak - powiedziałem. - Mówisz o Rowan. Nie musisz być ze mną taki ostrożny, Stirling. Byłem twoim gościem. Przy Pierwszej Ulicy siedzieliśmy przy jednym stole.

To jakbyśmy przełamali się chlebem. A teraz to ty dostarczyłeś mi ten e-mail od Maharet. Więc do czego zmierzasz?

- Mimo że Rowan dysponuje nieprzeciętną mocą, nie poradziła sobie z Lasherem.

To dlatego mógł ją pojąć i uwięzić. Po prostu Taltos są zbyt silni, zbyt odporni, zbyt elastyczni.

- Masz rację, ale chyba nie myślisz, że te stworzenia mogłyby mi dorównać w walce

- powiedziałem. - Nie masz pojęcia, jaka potęga zła pracuje pełną parą za tą moją fikuśną powierzchownością. Porzuć obawy. Ucząc Monę poszerzenia jej mocy do maksimum, nie będę się spieszył. Trudno je ocenić. Poświęciliśmy wiele czasu jej psychice, ale zaniedbaliśmy trening umiejętności innego rodzaju. Dziękuję ci za przybycie. Teraz muszę ci powiedzieć *au revoir*. Może zatrzymasz się na dłużej? Nos mówi mi, że w kuchni smażą bekon.

- Uważaj na siebie - rzekł. - Sercem jestem z wami, z wami wszystkimi. Odezwij się w miarę możliwości. Będę się niepokoił.

Wróciłem do pokoju ciotki Queen.

Baba Ramona w czarnym bawełnianym uniformie i białym czepeczku przytoczyła się korytarzem.

- Nie zaprosiłeś tego angielskiego dżentelmena na filiżankę kawy? Lestat!

Wystarczyło tylko dać znać do kuchni. Już tak długo się tu kręcisz, że korona by ci z głowy nie

spadła. Proszę nie wychodzić, panie Oliverze! Nie czuje pan, jak pachnie kawa? Bulgoce na piecu. Proszę siadać. Nie wyjedzie pan, póki nie skosztuje płatków kukurydzianych, biszkoptów i jajecznicy. Mam bekon i szyneczkę na piecu. A ty, Lestat, nie nieś tego całego błota do pokoju ciotki Queen. Po to żeś wychodził na dwór, żeby dywan uświnić? Jesteś gorsza zaraza niż Quinn. Zdejmuj mi te buty i Allen jeszcze raz zrobi z nimi porządek. Zaraz się do nich weźmie. Zasłużyłeś sobie. Już czwarta, a ducha Patsy jak nie było, tak nie ma! I miałam sen przed półgodziną, Patsy jest w niebiesiech!

- *Eh bien, madame* - powiedziałem posłusznie, natychmiast zdzierając buty i stawiając je równiutko jeden obok drugiego przy drzwiach sypialni. - Nigdy tak serdecznie się nimi nie zajmowano. Wiesz, czuję się tak, jakby mieszkał u was na stałe.

- A pewnie - zawołała przez ramię - powinieneś widzieć tę dziewczynę, całą w różowym kowbojskim wdzianku, śpiewającą *Gloria in Excelsis Deo!*

Zamarłem. Baba Ramona to widziała!

Poszedłem do sypialni, zamknąłem drzwi na zasuwę, spojrzałem na kuszące łóżko i zanurkowałem w pościeli aż po uszy. Dość! Dość! Między poduszki, tak, a ty, nieświadomości, zajmij się całą resztą!

Szturchnięcie w plecy. Odwróciłem się.

Julien wsparty na łokciu, we flanelowej nocnej koszuli. Nos w nos.

- *Dormez bien, mon frère.* *

- Wiesz, co się stanie, jak nie przestaniesz? - spytałem.

- Co? - spytał sardonycznym tonem.

- Zakochasz się w mnie.

* Śpij dobrze, braciszku - fr.

Sypialnia Quinna. *Conference extraordinaire**

Mona była tak rozradowana, dowiedziawszy się o wiadomości od Maharet, że mało nie dostała hysterii. Jeszcze nie wyszedłem, a napisała e-mail z podziękowaniami.

Jakimś sposobem rozrósł się do dwóch stron. W pewnym momencie objąłem panowanie nad klawiaturą, by donieść, że mam zamiar natychmiast udać się z moimi pisklętami na wyspę. Chcę dowiedzieć się, co się stało z Taltos. Mona podpisała się

„Ofelia Nieśmiertelna”, ale nie zapomniała też dodać loginu Quinna, „Szlachetny Abelard”.

Zaledwie wysłano list, używając czarów elektroniki, a już rzuciliśmy się do roboty, upewniając się, że Mona potrafi mocą umysłu zapalać świece, drewno w kominku, szczapki i grube polana i bez wysiłku lewituje pod sam sufit.

Założyłem, że potrafi pokonywać znaczne odległości, unosząc się w powietrzu, ale nie mieliśmy czasu na próby. Jej telekinetyczne moce były ogromne i potrafiłaby rozpląszczyć mnie na ścianie, gdybym nie stawiał oporu, Quinna również, ale i w tym przypadku nie dało się ocenić, gdzie kończą się granice jej możliwości. Nie mieliśmy świnek doświadczalnych. Wyraziłem na głos podejrzenie, że moje pisklęta bez trudu zabiłyby śmiertelnika, rozrywając mu serce i arterie.

- Wyobraźcie sobie waszą moc, wyrzucicie ją z siebie, nadając szybkość całą siłą woli, a poczujecie, że opuszcza was jak pocisk. Tak naprawdę Mona i Quinn mieli się dowiedzieć, do czego są zdolni, dopiero na wyspie, w obliczu poważnego zagrożenia.

Jeśli nie potrafiliby się skutecznie obronić, nadprzyrodzona prędkość i zręczność pomogłyby im uciec, a poza tym w moim towarzystwie nie mogło ich spotkać nic złego.

Co do strojów, to zdałem się na swoją intuicję. Mniej więcej wyobrażałem sobie, co nas czeka. Skreśliłem pomysł, aby Mona włożyła stroje, których ciotka Queen używała

* Zebranie nadzwyczajne - fr.

na safari, podobnie strój myśliwski Quinna. Dżungla na wschodnim brzegu wyspy nie była żadnym problemem.

- Co masz najbardziej szpanerskiego? - spytałem Quinna, równocześnie bobrując w garderobie ciotki Queen.

- Hm, pewnie garnitur ze złotej łąmy, który kazałem uszyć na Halloween. To cudo z kamizelką, ale...

- Wskakuj w niego - poleciłem mu - i w najbardziej szpanerską koszulę, i do tego krawat z cekinami, jeśli masz coś takiego.

W końcu wśród równo wiszących wieszaków ciotki Queen znalazłem coś, czego szukałem: sukienkę z czarnej satyny, wąską w pasie, z wielkim dekoltem na plecach, rąbkiem do kolan ozdobionym czarnymi strusimi piórami, podobnie jak przód. Tylko fantastyczna piękność odważyłaby się na włożenie czegoś takiego. Zerwałem metkę z zamierzchną datą i pokazałem sukienkę mojej księżniczce.

- Bierz, dziewczyno - powiedziałem. - Do tego czarne szpilki z kryształkami górskimi. - (Obcas dziesięciocentymetrowy.) - W drogę.

- To w tym wmieszamy się niezauważeni między ludzi, którzy jadą polować na karaibską wysepkę? - spytała. Była zachwycona. Natychmiast się przebrała.

Podszedłem do gotowalni.

Quinn właśnie wrócił w lśniącym złotem garniturze, który jak wszystkie jego ubrania był znakomicie uszyty. Ten chłopiec po prostu nie miał niczego, co byłoby ile skrojone. Do tego dobrał bladolawendową satynową koszulę i obsypany cekinami krawat. Wyglądał ponętnie.

- A co z perłami, znajdą się tu jakieś? - spytałem.

- Jak najbardziej - odparł. Zabrał się do roboty, zakładając - Monie jeden naszyjnik po drugim. Ich bogactwo wśród czarnych drżących piór porażało. Ramiona jak toczone, niebywale gładkie, nogi widoczne poniżej rąbka luźnej, krótkiej sukienki zapierały dech w piersiach.

Potrząsnęła splątanymi włosami.

- Nic nie rozumiem - wyznała. - Nie powinniśmy zbliżyć się ukradkiem, ostrożnie i od strony dżungli?

- Ależ powinniśmy - powiedziałem. - Nie jesteśmy jednak śmiertelni, pączuszk.

Jesteśmy wampirami. Możemy otworzyć sobie drogę przez dżunglę siłą umysłu, skarbie. A jeśli wpadniemy na niezbyt przyjaźnie nastawionych facetów, nie wyobrażam sobie lepszej zbroi.

(Co do mnie, ukochany czytelniku, pozwól sobie przypomnieć, że jestem w garniturze z czarnej, miękkiej skóry, purpurowym golfie i najbardziej lśniących oficerkach w całym chrześcijańskim świecie.)

Wyruszyliśmy na poszukiwanie wyspy Świętego Ponticusa.

Uniosłem Monę w powietrze, dodając jej otuchy, ile tylko mogłem, i zachęcając ją do korzystania z własnych mocy. Quinn podróżował o własnych siłach. Bardzo zrecznie posługiwał się darem chmur i korzystał z niego od czasu krwawego chrztu.

Nie minęło dziesięć minut, a Mona opłótła mnie nogami i rękami, tak się bała, ale to nie miało znaczenia, dawała sobie radę i umiała coraz więcej, a ja mocno ją trzymałem i hamowałem chętkę, by ją pohuścić, trzymając tylko jedną ręką (ha, ha, mężczyźni to świnię), i kierowaliśmy się ku

sfalowanym wodom Nowego Świata, którego część nosi teraz miano Karaibów.

Zauważywszy interesującą nas wyspę, szybko opadłem niżej, aż dojrzałem opisany przez Maharet teren. Jeszcze trochę, a stałbym się więźniem grawitacji.

Wszelkie wątpliwości rozstrzygnął widok pasa startowego z ogromnym napisem

„Św. Ponticus”. Człowiekowi trudno byłoby odczytać wyblakłe litery, ale nie nam.

Stała na nim mała cessna. Obok bardzo długi pusty pas dla odrzutowców.

Kiedy się upewniłem, że dobrze trafiliśmy, wzniosłem się na poprzednią wysokość, chcąc ogarnąć wzrokiem całość, zanim zbliżymy się do budynków.

Wyspa miała elipsoidalny kształt. Kurort zajmował południową i południowo-

zachodnią część wybrzeża, schodzącą do morza szeroką plażą. Reszta to była niezamieszкана dżungla, kończąca się klifami.

Znów zniżyłem lot. Na wyspie było pod dostatkiem sztucznego światła.

Ogromna willa dominowała w krajobrazie, ustawiona frontem do najgłębszej, południowo-zachodniej plaży. Wysoka na cztery piętra, miała rozległe skrzydła i wielkie balkony. Szerokie tarasy dochodziły do samej plaży, pokoje na dolnych piętrach tego pałacu miały balkonowe drzwi i własne dziedzińce ze szmaragdowymi basenami i niskimi murkami. Otwarte furty wychodziły na plaże.

Po stronie zachodniej był gigantyczny basen pływacki, połyskujący podwodnym światłem, a jeszcze dalej kort tenisowy.

Wyglądało to imponująco. Po wschodniej stronie stał wielki budynek użyteczności publicznej z przyczepioną do niego restauracją. Rozpoznałem ją po otwartym barze, stołkach i rozrzuconych stolikach, chociaż nie było tam żywej duszy.

Dalej był port lub marina, jak zapewne preferowano go określać, z ogromną białą motorówką oceaniczną przy pomoście i wieloma mniejszymi łódkami cumującymi do nabrzeża, a dalej lądowisko helikopterowe z gigantyczną jednostką.

W oddali wspomniany już pas startowy z wyblakłymi literami.

Widziałem wyraźnie, jak po wyspie z pośpiechem poruszają się jakieś istoty, dźwigając białe skrzynie od motorówki do samolotu.

- Spójrz i wykorzystaj swoje wampiryczne umiejętności - szepnąłem Monie. - Co to za stworzenia?

- To nie Taltos - szepnęła mi do ucha.

- Pewnie.

- Mają automatyczne karabinki i pasy z magazynkami.

- Zgadza się. I najpewniej noże w futerałach na łydce. To łatwa zdobycz, rozumiesz, nowocześni piraci zajmujący się handlem narkotykami. Hołota.

Niektórzy z tych ludzi owinęli głowy kolorowymi przepaskami. Wszyscy ubrani w dzinsy. Niejednolici rasowo. Woń krwi uderzyła mi w nozdrza. Poczulem głód.

- To prawdziwa uczta! - powiedziała Mona. - Ale jak do niej przystąpić?! I co zrobili z Taltos?!

Poczulem, że serce staje mi w piersiach. Powinienem się wstydzić. Z każdą sekundą byłem coraz bardziej rozgorączkowany.

Znow uniosłem ją wyżej i skierowałem się ku zarośniętemu dzunglą wschodniemu wybrzeżu, przed którym ostrzegęła mnie Maharet. Wyspa nie była zbyt wielka. Można by ją przejść w dwie godziny, nawet pokonując góry. Nie dało się jednak ukryć, że mamy pod sobą prawdziwą dzunglę.

Przybyliśmy do podnóży groźnego klifu, pod którym znajdował się tak wąziutki paseczek plaży, że pomieścił tylko naszą trójkę. Pięknie i nudnie.

Przeskanowałem dzunglę. Nie natrafiłem na nic określonego. Ale sama jej gęstość, odgłosy drobnej zwierzyny niepokoiły mnie. To była idealna kryjówka.

Poszukałem głosów przemytników narkotyków, rozmów telefonicznych, muzyki.

Natężyłem czułość skanowania. Operację ograniczono wyłącznie do narkotyków.

Motorówka dostarczyła ładunek. Samolot i helikopter miały powieźć go dalej.

Przeładunek zbliżał się ku końcowi. Rozlegały się chaotyczne głosy. W willi trwała impreza. Może w jednym pomieszczeniu, może w kilku.

Mona była wzburzona.

- A jeśli oni zabili wszystkich?! - krzyknęła. - A jeśli przejęli tę wyspę?

- Może oni pracują dla Taltos - powiedział Quinn. - Może Taltos utrzymują się w ten sposób?

- Nie mogę w to uwierzyć. Poza tym Ash Templeton był bogaty. Nie potrzebował

nikogo do pomnażania swoich bogactw. Nie maczałby palców w czymś takim. Gdyby potrzebował pomocy, skontaktowałby się z Rowan i Michałem. - Jej niepokój przechodził w histerię.

- Weź się w garść, Mono - powiedziałem. - Za pięć minut dowiemy się wszystkiego.

Nie zamierzam słuchać rad Maharet. Kieruję się prosto na drugi koniec wyspy. Wy, jeśli chcecie, możecie pokonać dzunglę i dotrzeć do budynku od tyłu, ale wolałbym, żebyście weszli od frontu.

Krew tak kipi mi w żyłach, że nie zamierzam czekać. Mogę na was liczyć?

- Nie zostawisz nas tu - zajęczała Mona. Wtuliła się w Quinna. - Czy możemy iść za tobą?

- To właśnie miałem na myśli.

- Quinn wyraźnie się wahał.

- Jestem za tym, żeby trzymać się tego, co mówiła Maharet.

- Dalej, braciszku, do dzieła - powiedziałem. - Moralność jest po naszej stronie.

Zbliżyliśmy się do budki pełniącej rolę wieży kontrolnej. Pusta. Obeszliśmy ją spacerowym krokiem, dochodząc do wielkiego pasa, na którym narkotykowe trutnie właśnie kończyły prace przy niewielkim samolocie.

Trudno sobie wyobrazić kogoś groźniejszego niż tamta trójka kreatur w koszulkach bez rękawów, dżinsach, z nożami, bronią palną zatknętą za pas i karabinkami przewieszonymi przez szczupłe, umięśnione ramiona.

Kiedy nas zauważyli, skinęli głowami i uprzejmie odwrócili wzrok. Nasze ubrania kompletnie ich zmyliły. Uznali nas za gości. Natrętne przyglądanie się mogło nie wyjść im na dobre.

Następnie przyszedł pilot, nieco bardziej rozgarnięty niż ładowacze, ale równie podły, spalony słońcem na brązowo, bez grama tłuszczu na ciele, uzbrojony po zęby.

Nosił brudną czapkę z daszkiem zamiast przepaski.

Rozmawiali po hiszpańsku, szybko i nieco wrogim tonem, najeżeni i nieprzyjaźnie nastawieni do wszystkiego i do wszystkich. Nie przekroczono maksymalnego obciążenia? Niczego nie ukradziono? Dlaczego to się tak ciągnie? Dostrzegłem chciwość, niecierpliwość i ogólny brak zaufania. Zupełnie nic o wysokich dzieciach, które wcześniej zamieszkiwały to miejsce.

Pilot spojrział na nas, zlustrował bacznie, lekko się skłonił, po czym wrócił do rozmowy z trójką tragarzy.

- Rozumiem - powiedziała pod nosem Mona, mając na myśli moje decyzje w sprawie ubrania. Skinąłem głową.

Pokonałem dzielący nas od przemytników dystans, ignorując rozpaczliwe błagania Mony, bym tego nie robił.

- Więc gdzie szef? - spytałem.

- Chłopie, jak ty nie wiesz, to czemu ja miałbym wiedzieć? - odparł pilot. Wiecznie wykrzywiona twarz. Puste czarne oczy. - Jestem spóźniony. Nie zatrzymuj mnie.

- Jaki masz kurs? - spytałem.

- Dowiedz się od Rodriga - rzekł. - Zresztą nie powinniście się tu pętać. Wracajcie do willi.

Rodrigo.

Oderwałem go od pozostałych, wbiłem zęby, szybko poszukałem krwi i wyssałem ją. *Gdzie ci wysocy, którzy tu mieszkali przed wami?*, spytałem go w myślach. Nie wiedział niczego. Uff, rozkoszne uderzenie krwi do mózgu i oczu. Sekunda lewitacji.

Serce pękło. Cisnąłem go na beton, wpatzonego we mnie trupa. Ostatni oddech wypłynął przez martwe usta.

Trójka bandytów stała jak sparaliżowana, potem rzuciła się do ucieczki. Złapałem jednego z nich.

Mona i Quinn zajęli się pozostałymi, szybko szukając krwi. Na moment Mona wdała się w bójkę; bandyta wpadł na najgorszy pomysł, jaki mógł przyjść mu do głowy, złapał za nóż, ale Mona nie ustąpiła, wytrąciła mu broń i w końcu podporządkowała go sobie, posługując się raczej odwagą niż siłą.

Quinn był zwinny, cichy i idealnie sprawny.

- Powiedz mi o Rodrigu - rozkazałem bezradnemu mężczyźnie, którego trzymałem za kark, zacieśniając uścisk. Odwróciłem go do siebie i wbiłem kły. *Kto jest na tej wyspie?*, spytałem go w myślach. Szef, jego matka, kobiety, to jego kryjówka, poszatkuje cię... Serce i krew się zatrzymały. Byłem nasycony.

Świeża krew napływała mi do oczu, szalała w mózgu. Smakowałem ją, smakowałem mrowienie w ramionach i udach. Napój podniecający do bitwy.

- „Są zepsuci. Mają na koncie potworne zbrodnie” - zacytowałem z westchnieniem, kiedy się zesłiśmy.

Quinn był oszołomiony pokarmem, Mona miała kłopoty z utrzymaniem równowagi.

- Siedzą tu od roku! - szepnęła. - Tyle udało mi się wydobyć. Ale, na Boga, gdzie Morrigan?

Minęliśmy lądowisko helikopterów i hangar. W środku dwóch, pijących kawę przed lotem. Z tej samej gliny, umięśnione ramiona, nisko wiszące dzinsy, przyglądali mi się ze spokojem z nad dymiących kubków.

Długim krokiem podszedłem do stołu, Mona i Quinn zostali przy drzwiach.

Usiadłem i spytałem:

- Wiecie, o czym mówię. O wysokich ludziach, właścicielach wyspy, zanim przejął ją Rodrigo. Co się z nimi stało?

Niższy wzruszył ramionami, uśmiechnął się i rzekł:

- Mnie pytasz? Pierwszy raz w życiu przyleciałem tu w zeszłym tygodniu. Tak pracuje Rodrigo. Spytaj Rodriga. - Odwrócił się, dokładnie zlustrował wzrokiem Monę, a potem wrócił spojrzeniem do mnie, uśmiechając się złowrogo.

Wyższy wzruszył ramionami.

- Pożegnajcie się z życiem - poradziłem im.

Po krótkim starciu, zakończonym fatalnie dla tych dwóch, ruszyliśmy na zaplecze restauracji, bezludne, za to oświetlone. Puste stolki barowe pod słomianym zadaszeniem, stoliki na różowych płytkach tarasu.

Kuchnia w nierdzewnej stali, ostre światło, jęczące, mrużące, grzechoczące urządzenia. Żywiczna woń środków chemicznych, mydła. Blaty zasłane tacami z brudnymi naczyniami, smród gnijącego jedzenia. Buchająca parą gigantyczna zmywarka.

- Chodźcie - powiedziałem - tu nie ma nikogo.

Ruszyliśmy do ogromnego palazzo.

Musieliśmy pokonać parterowe pokoje z prywatnymi basenami, płonęły światła, rozlegały się rozmowy i śmiechy.

Ze środka głównej części domu usłyszałem bossa novę, łagodne uwodzicielskie pulsowanie wypływające na omiatane bryzą piaski plaży.

Gdy szliśmy przed siebie, przeszukując apartamenty jeden za drugim, byliśmy niewidoczni, chociaż wyrastaliśmy ponad graniczne murki. Chronił nas mrok.

Napotykaliliśmy tylko narkotykowych zbirów. Służyli jako lokaje, ochroniarze, gotowi na wszystko skrytobójcy, spełniający każde żądanie szefa. Wpatrywali się w gigantyczne telewizory, gadali przez komórki albo nurzali się w basenach. Niebieskie ściany. Bambusowe meble. W pokojach śmietnik, magazyn porno, butelki tequili, puszki po piwie, wysypujące się z torebek i miseczek czipsy.

Z wytężeniem szukaliśmy informacji o wysokich ludziach. Nie dostaliśmy nic w zamian za nasze trudy.

Moim pragnieniem było zabić ich wszystkich. „Wszyscy razem zblądzili, stali się nikczemni: nie ma takiego, co dobrze czyni, nie ma ni jednego”, powiada psalm 14.

Ale kimże ja jestem, świętym Juanem Diego, żeby wymierzać sprawiedliwość tym duszom, które może kiedyś w jakiejś odległej przyszłości uczynią pokutę i staną się świętymi Pana na wysokościach?

Mniejsza z tym! Bezlitosny ze mnie gość! I musieli zginąć, jeśli mieliśmy wywieźć z tej wyspy

choć jednego Taltos. Poza tym jak inaczej mogliśmy to przeprowadzić.

Przygarnąłem do siebie Monę i Quinna i spopieliłem jednego zbira po drugim, czując, jak z każdym wyrzuconym ładunkiem energii opuszczają mnie siły. To nie było emocjonujące. To nie było zabawne. To stało się wstrętne i tylko obrzydzenie wobec tych zhardziałych dusz dodawało mi sił podczas jatki.

Rzuciliśmy się na dwójkę ubraną z większym polotem niż reszta, w staromodne hawajskie koszule. Mona dobrała się do przystojniejszego, z błyszczącymi pierścieniami i nagą piersią, ja wessałem się w starszego, przestraszonego, w którego krwi pojawiły się oznaki skruchy.

- Oni nie mogą nam nic powiedzieć! - krzyknęła Mona, ocierając wargi. Oczy miała szkliste i ogromne. - Czemu nic nie wiedzą?

- Bo przybywają, odchodzą i nie mają pojęcia o tym, co się tu naprawdę wydarzyło -

wyjaśniłem. - Należy ich sprzątnąć. Kiedy boss zadzwoni o pomoc, będzie sam. Dalej.

Kolejne dwa apartamenty. Pierwszy urządzonego ubogo. Narzekający służący.

Wąchali kokę i słuchali salsy. Wściekli, że nie mogą puścić muzyki na pełny regulator.

Rozkazy faceta z głównego budynku. Opadłem z sił i pozwoliłem Quinnowi się nimi zająć. Zrobił to szybko, wysysając wszelką krew.

I do piachu z nimi!

Ostatni apartament wchodził częściowo w główny budynek. Znacznie większy niż pozostałe. Już nie oglądaliśmy niebiesciutkich ścian i ratanowych mebelków. To było pałacowe śnieżnobiałe pomieszczenie. Wielkie białe skóry, zarzucone poduszkami i luksusowymi czasopismami łożo. Wazy ze świeżymi, tryskającymi kolorami kwiatami.

Ściany książek. Niebywałych rozmiarów toaletka zastawiona kosmetykami. Bordo dywan. Lśnił nocą.

I najbardziej niesamowite stworzenie, jakie kiedykolwiek oglądałem podczas moich wędrówek po tej planecie.

Jak należało się spodziewać, Monę zatchnęło i Quinn mocno objął ją ramieniem.

Sama bestia zajmowała się pisaniem na komputerze, połączonym ze sporą drukarką. Podobnie jak wcześniej narkotykowa hołota, nie wyczuła naszej obecności.

Przerwała zajęcie, sięgnęła po szklanekę mleka i wypła ją do dna. Odstawiła na bok szklanekę, koło dużego nieprzezroczystego dzbana.

To był samiec, chociaż trudno było mi to ocenić, dopóki naprawdę nie poczułem jego woni, ciężkiej i słodkiej. Miał co najmniej dwa metry dziesięć centymetrów wysokości, lśniące czarne włosy obcięte

do ramion, szesane w tył i odsłaniające kościstą twarz. Nosił prostą czerwoną przepaskę.

Słodka woń. Niezwykła woń.

Miał wielkie czarne oczy, niezwykle wydatne, piękne kości policzkowe i delikatną skórę dziecka. Jak był ubrany? T-shirt bez rękawów z lśniącej satyny, znakomite spodnie ze skóry czekoladowej barwy, skrojone jak džinsy, rzemykowe sandały na ogromnych stopach. Pajęczne dłonie, paznokcie rąk i nóg pociągnięte lśniącym lakierem w kolorze metalicznego błękitu. Duże, miękkie, dziecięce wargi.

Delikatnie grał na klawiaturze, nie zwracając na nas uwagi, na nikogo w świecie, mrużąc i kręcąc głową, jakby pisał, liczył, rozważał lub mówił, aż wtem...

...uniósł się na pełną wysokość, odwrócił w miejscu i wskazał nas palcem. Oczy szeroko rozwarte, wrogie, usta rozchylone.

- Łowcy krwi! - wykrzyknął znużonym, zirytowanym i pełnym obrzydzenia głosem.

- Precz, nocne durnie, zapewniam was, że moja krew wyda się wam gorzka. Czego ode mnie chcecie? Przeciąć mi przeguby i posmarować nią nadproże? Precz. Idźcie karmić się ludźmi! Bądźcie tak uprzejmi i nie nachodźcie mnie więcej.

Mona pokonała pędem dziedziniec i obiegła basen. Udaliśmy się za nią.

- Taltos! - powiedziała. - Jestem Mona Mayfair, matka Morrigan! Jesteś moim potomkiem! Masz w sobie moje geny! Gdzie Morrigan!

Kołysząc się na piętach, patrzył na nią z politowaniem.

- Czarująca z ciebie kanciara - powiedział z miażdżącym szyderstwem i kontynuował z lodowatą pogardą: - W życiu nie spłodziłaś człowieka. Jesteś łowcą krwi. Nie możesz nikogo urodzić. Czemu nachodzisz mnie tutaj, kłamiąc akurat o Monie Mayfair, matce Morrigan? Kim jesteś? Nie wiesz, że tu jest zabawa, kochanie?

Wysłuchaj się w bossa novę i idź tańczyć z narkotykowym władcą i jego wybranymi ulubieńcami. Wypij ich krew. Kipi od zła, powinna ci smakować.

Kontrast między świeżą dziecięcą buzią o wydatnych kościach a pogardliwym, swobodnie płynącym głosem był wstrząsający. Lecz to stworzenie bynajmniej nie było nami zainteresowane. Już miało znów usiąść do komputera, gdy Mona zaprotestowała.

- Wcześniej byłam człowiekiem - powiedziała, próbując ująć go za ramię. - (Cofnął

je.) - A właśnie, że urodziłam Morrigan. Kocham ją. Krew nie powstrzymała mojej miłości. Przybyłam, żeby się przekonać, czy Morrigan ma się dobrze i jest szczęśliwa.

Ash Templeton mi ją zabrał. Jesteś ich potomkiem. Musisz być ich potomkiem!

Przemów do mnie. Odpowiedz mi! To cel mojego życia!

Stworzenie uważnie zlustrowało nas wzrokiem. Wyraz szyderstwa przybrał na sile.

Pełen zdziwienia śmieszek. Rozluźniło się z oszałamiającym wdziękiem, opuszczając powieki dokładnie do połowy wielkich, lśniących oczu, rozwierając dziecięce usta.

Uniosło brew.

- Cel twojego życia? - powtórzyło zjadliwie. - Małej rudej łowczyni krwi w szpilkach? Czemu cel twojego życia miałby mnie obchodzić? Ash Templeton mówisz.

Ash Templeton. Tak się składa, że to imię i nazwisko nic mi nie mówią. Chyba że masz na myśli Ashlara, mojego ojca.

- Tak, tak, jego! - powiedziała Mona.

Przyglądałem mu się ostrożnie, powodowany uprzejmością i w pełni świadomy, że to Taltos, tajemnicze stworzenie, że w końcu znaleźliśmy jedno z nich, ale nagle dostrzegłem coś, co powinienem dostrzec wcześniej - było przykute łańcuchem do ściany.

Stalowa obręcz na kostce u nogi łączyła się z bardzo długim łańcuchem, przybitym do ściany za biurkiem, na tyle luźnym, że umożliwiał dostęp do basenu i zapewne do łazienki mieszczącej się przy tej ogromnej sypialni.

- Wiesz, gdzie jest Morrigan, prawda? - spytała Mona. Kiedy wypowiedziała te słowa, nagle dała o sobie znać cała jej tragedia. Wiecznie stawiała to pytanie i teraz nawet to stworzenie nie chciało jej odpowiedzieć.

Skupiłem moc na łańcuchu i pękł z głośnym szczękiem. Ukłakłem i rozerwałem obręcz.

Stworzenie odskoczyło, wpatrzone w leżące ogniwa.

- Proszę, proszę, ale z was banda bezskrzydłych aniołów - rzekł nieco cieplejszym, chociaż nadal szyderczym tonem - tylko jak, na Boga, mam uciec? Te naćpane małpy pilnują każdej ścieżki. Wystarczy posłuchać. Słyszycie bossa novc? To melodia ważniaka.

Rodriga, pana stworzenia. I jego matki, Lucii. Wyobraźcie sobie, że słuchacie tej melodii na okrągło cały rok. Czy to nie słodkie?

- Och, jak najbardziej uciekniesz - zapewniłem go. - Zabierzemy cię stąd bez problemu. Wszyscy ludzie rozstawieni między tym pokojem a pasem startowym już nie żyją. A reszta wkrótce do nich dołączy. Ale chcemy uratować pozostałych Taltos.

Gdzie są? Wiesz?

- Kiedy po raz ostatni widziałeś Morrigan? - spytała Mona.

- Morrigan! - powtórzył stwór, odchylając głowę. Jego głos rozkładał się jak wstęga czarnej koronki, gdy mówił: - Przestań powtarzać to imię. Myślisz, że nie wiem, kto to jest? To matka całego ukrytego plemienia. Oczywiście, że znam jej imię. Morrigan pewnie nie żyje. Każdy, kto nie współpracował z handlarzami narkotyków, nie żyje.

Morrigan umierała, jeszcze zanim przybyli. Urodziła pięciu samców przed Miravelle.

To zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. - Potrząsnął ze znużeniem głową, nadal przymykając powieki, kołysząc się w biodrach. - Jej własni synowi powstali przeciwko niej i gwałcili ją w nadziei, że spłodzi samicę. W końcu jest Miravelle! I TA-TA-TA-

TAAAM! Plemię może dalej się rozwijać! Morrigan była śmiertelnie chora, straciła pokarm, a potem przyszła trucizna. Gdyby ludzie od narkotyków ją zabili, zmarnowaliby kule. A tak przy okazji, była moją matką, kochałem ją. Czas przeszedł.

Dajmy sobie z tym spokój.

Oczekiwałem, że łzy Mony popłyną, i uważałbym je za usprawiedliwione. Mocno objąłem ją ramieniem. Ale tylko stanęły jej w oczach, tworząc szklistą warstwę, w której odbijało się światło, gdy słuchała tej zimnej, bezlitosnej przemowy. Ubrana w zwiewną sukienkę wpatrywała się w oblicze dziwaczego, sardonicznego stworzenia i nagle wydała się przebranym elfem.

Cios, który otrzymała, miał taką moc, że sił wystarczyło jej tylko na to, żeby stać, wspierając się na mnie. Zastanawiałem się, czy nie straciła przytomności, tak ciężkie było jej spojrzenie, tak nieruchoma postać w moim uścisku.

- Nie załamuj się, moja maleńka - szepnąłem. Pocałowałem ją w policzek. - Jeszcze musimy przejść główny budynek.

- Och, umiłowany szefie-powiedziała rwącym się głosem. - Och, umiłowany szefie, przeskanowałam go i nic nie znalazłam.

- Jeszcze nie koniec - rzekł Quinn, mierzając ponurym wzrokiem stworzenie. -

Jeszcze nie, dopóki nie przeszukamy całej wyspy od końca do końca.

- Hm, cóż z was za dworna banda złodziei krwi - powiedziała wysoka istota - i jak to się kochamy, CMOKU-CMOK! Imponujące. Z moich niezgłębionych, hałaśliwych wspomnień raj utraconego, powrotu, ukrycia, zniknięcia i masakry gatunku odnoszę wrażenie, że wy, bezwzględne istotki, polujecie na ludzi wręcz bezlitośnie. Co to ma być, wampiryczne walentynki?

- Zamierzamy wyciągnąć cię z tego więzienia - wyjaśnił Quinn z równym chłodem jak poprzednio. - Czy łaskawie zechcesz z nami współpracować i powiesz nam, jakie Taltos tu przetrwały?

- I byłbym nieskończenie wdzięczny, gdyś raczył się nam przedstawić - dorzuciłem sarkastycznie. - Nicco trudno przychodzi nam odczytać twoje imię. Za każdą próbą rozbijam się o kry i lody.

Taltos roześmiał się gorzko, demonstrując, że nie brak mu złowieszczej spontaniczności.

- Och, a więc zewnętrzny świat w końcu przybył - rzekł, kiwając się z niezaprzeczną gracją, słowa płynęły zeń jak przezroczyisty syrop. - Hm, spóźniliście się o rok. Nie wiem, kto przetrwał ani gdzie. Mogę być ostatnim egzemplarzem gatunku. - Szerokim gestem uniósł w górę ręce i uśmiechnął się nienawistnie.

- Czy nie powiedziałaś, że Morrigan była twoją matką? - spytała z uczuciem Mona.

- Zrodzony z Morrigan i Ashlara - powiedział. - Czysty jak oni. Oberon pierwszej rangi, uznawany przez młodsze pokolenie za cynika i wiecznego smutasa. Chociaż nigdy nie mówiłem im po imieniu. Są dla mnie matką i ojcem. Gdybym zabił mojego brata, Silasa, kiedy zaczął pleść o podawaniu środków uspokajających, może nic z tego by się nie wydarzyło. Ale nie sądzę, by ukryte plemię mogło wiecznie przetrwać.

- Ukryte plemię, co za urocze miano - powiedziałem. - A czyj to był pomysł?

- Tak, zawsze uważałem, że jest słodkie - rzekł. - I pozwól sobie powiedzieć, nasze życie wcale nie było takie złe. Ojciec był jednak naiwny, myśląc, że przetrwa. Nawet Morrigan mu to mówiła. Wiesz, nie da się utrzymać nadzoru nad społecznością dwudziestu Taltos, nie da, bez względu na to, ile rozrywek, nauki i stymulacji byś im zapewnił. Ojciec był marzycielem. Morrigan - wyrocznią. Silas - truciścielem. I tak doszło do krwawego finału.

Nagle wyczułem człowieka w głębi, za drzwiami, i podobnie wyczuł go Taltos.

Weszła wysoka ciemnowłosa kobieta, może pięćdziesięcioletnia, ale doskonale zadbana i uwodzicielska - oczy obwiedzione czarnym ołówkiem, mocny makijaż, krwistoczerwone usta, bujne czarne włosy, cienka w pasie jak osa, pełny biust.

W ręku trzymała religijny posążek. Ubrała się z pedantyczną starannością.

Fioletoworóżowa jedwabna suknia ze złotym łańcuszkiem zamiast paska, czarne kabaretki i szpilki z ostrymi noskami, błyszczące złote kolczyki. Natychmiast przemówiła, po hiszpańsku, z wyraźnym obcym akcentem.

- No, w końcu go znalazłam, ale musiałam poruszyć niebo i ziemię, mówię wam, mogłoby się wydawać, że będzie na każdym straganie, skoro papież wybrał się aż do Meksyku, ale musiałam sięgnąć do Internetu, żeby go znaleźć, i proszę, jest.

I proszę, był!

Postawiła go na niskim białym stoliku pod ścianą! Pomalowany żywymi farbami posążek świętego Juana Diego!

Byłem jak rażony piorunem.

Stał, wyciągając ramiona, dzielny chłopina, a na jego *tilma* wyraźnie widniała Matka Boska z

Gwadelupy, ze sławnymi różami sypiącymi się do jego stóp, wszystko jak żywe! Oczywiście, wizerunek Matki Boskiej był przyklejony, kwiatki papierowe, ale co z tego, to był Juan, mój Juan Diego.

- I wyszłaś z zabawy tylko po to, żeby mi to pokazać? - spytał Oberon z celowo przesadną czułością.

- Och, zamknij ten twój paskudny pysk - powiedziała. - A co to za ludzie? - Błysk olśniewającego uśmiechu. - Ach, jesteście gośćmi mojego syna, no nie? Witam.

- Dam ci tysiąc dolarów za ten posążek - zaproponowałem. - Nie, mam coś lepszego. Dam ci życie. Bo na co tysiąc dolarów martwej kobiecie? Wsiadaj do którejś z tych żaglówek w marinie i odpływaj. Wszyscy na tej wyspie są skazani na śmierć, poza wysokimi ludźmi.

Wpatrywała się w mnie z ogromną ciekawością i bez najmniejszego strachu, oczy nieprzeniknione, usta zastygłe. Jej błyskawiczny ruch i w jej ręce pojawił się czarny pistolet. Mój błyskawiczny ruch i rozbroiłem ją, rzuciłem pistolet na łóżko.

- Myślisz, że mój syn nie potnie ciebie i twoich wymuskanych przyjaciół na kawałki? Jak śmiesz!

- Lepiej przyjmij tę ofertę. Kobieto, twoja wiara cię uratowała! Do maryny, już.

- Lucio, myślę, że on mówi prawdę - powiedział Oberon tym samym płynnym, lekceważącym głosem, którym odzywał się do nas. - Czuję zapach krwi. Jest wszędzie wokół nas. Myślę, że rządy handlarzy narkotyków dobiegły niesławnego końca.

Niestety, twój Ariel jest wolny, mój luby lubieżny koteczku, więc co tu jeszcze robisz?

Powoli ruszył przez pokój, nieco kołysząc się w biodrach, kiwając na boki głową, podniósł broń, przyjrzał się jej, jakby to było coś ciekawego, i podczas gdy Lucia przyglądała się temu, skonsternowana, zła, zirytowana, wściekła, bezradna, Oberon uniósł pistolet i strzelił jej w twarz trzy razy.

To by było na tyle z Lucią. Padła na podłogę, uginając kolana, rozkładając ręce, z krwawą miazgą zamiast twarzy.

- Była dla mnie dobra - wyjaśnił. - Ten posążek był dla mnie. Zwiedziłem katedrę Matki Boskiej z Gwadelupy, gdy ukryte plemię zawitało do miasta Meksyk. Nie dostaniesz tego posążka. Nawet jeśli mnie uratujesz, nie dam ci go.

- Super - odparłem. - Masz nieograniczone możliwości negocjowania. Ale kimże ja jestem, żeby zabierać komukolwiek - świętego Juana Diego? Na pewno znajdę inny posążek. Ale dlaczego ją zabiłeś, skoro była taka dobra?

Wzruszył ramionami.

- Żeby sprawdzić, czy mogę. Jesteście gotowi zająć się resztą? Teraz, kiedy się stąd zabieram, jestem bardziej niż chętny odegrać moją rolę.

- Och, Boże w niebiesiech - westchnęła Mona. Widziałem, jak przeszedł ją dreszcz.

Zrobiła kilka kroków na niepewnych nogach i osunęła się na biały skórzany fotel, nie tracąc elegancji postawy i przykładając rękę do czoła.

- Och, ależ powiedz mi, co cię trapi, śliczna nieletnia babuniu plemienia -

powiedział Oberon. - Co, myślałaś, że wszyscy jesteśmy takimi nieszkodliwymi aniołkami jak Morrigan? Czy muszę ci przypominać, jaki cel przyświecał naturze, kiedy stworzyła podwójną spiralę, niezależnie od liczby chromosomów? To służy zróżnicowaniu poszczególnych osobników w ramach gatunku. Głowa do góry.

Wybieramy się na imprezę, no nie?

Quinn pozostał ponury.

- Może powinieneś dać nam ten pistolet - powiedział.

- Nigdy w życiu - odparł Oberon. Wsunął go za pasek nisko wiszących spodni. - A więc, od czego zaczniemy? Pozwólcie, że uzupełnię waszą wiedzę. Więc się skupcie.

- Cudnie - powiedziałem. - Nareszcie coś innego niż performance i zakamuflowane obelgi.

Zachichotał. Zaczął, niczym się nie przejmując, jego głos jak czarny gęsty syrop, znów lejący się z wolna:

- Mogę wam powiedzieć, że Silas i znacząca większość ukrytego plemienia zostali wybici w dniu przybycia handlarzy narkotyków. Torwan i kilka innych samic przez jakiś czas pozostawały przy życiu. Ale nieustannie płakały. Torwan próbowała uciec żaglówką. Dopadli ją na pomoście i zasztyletowali. Widziałem to. Z samców zostawili tylko Elatha i Hiram. Potem Elath zabił jednego z handlarzy i go zastrzelili, a Hiram zniknął. Wydaje mi się, że raz widziałem Isaaca, ale nie jestem pewien. Myślę, że wszyscy nie żyją. Oprócz Miravelle i Lorkyn.

- A co z matką i ojcem? - spytałem.

Wzruszył ramionami.

- Przystojny złodzieju krwi, muszę wyznać, że w tym wypadku nie żywię nadziei.

Umierali od trucizny, kiedy handlarze narkotyków wylądowali. Ojciec kazał się nam ukryć. Miravelle zajęła się przybyszami. Spała z nimi. Dawno temu przestaliśmy podawać rodzicom truciznę, ale tego, co się stało, nie można było odwrócić. I nikt nie mógł powstrzymać Silasa i jego rebelii. Tuż przed tym, jak Silas popełnił fatalny błąd, Miravelle i matka chyba mogły oślepić go śrubokrętem, ale Miravelle, cudowne małeństwo, po prostu nie potrafiła się zdobyć na taki straszny czyn, łeee, więc Silas wyrwał się matce i pozbawił ją przytomności. Och, jakże to tragiczne. Teraz wiem, że powinienem był go zabić, kiedy pierwszy raz zobaczyłem go na oczy. Ojciec powinien był zabić Silasa, kiedy zaczął grozić ukrytemu plemieniu. Lorkyn powinna była to zrobić. Była

najbardziej lodowatą suką, jaka kiedykolwiek przysłała na świat na tej wyspie. Bestia, mówię wam. Niestety! Komu się śniło, że Silas się zbuntuje i będzie próbował opanować świat poza granicami tego zakątka?

Potrząsnąłem głową.

- Czy rebelia Silasa i przyplłynięcie tych handlarzy narkotyków mają jakiś związek?

Wzruszył ramionami. Jedna z wielkich pajęczych dłoni przyglądziła włosy i poprawiła opaskę.

- Silas zaczął wojnę przeciwko nim - powiedział. - Wpatrzył, że korzystają z pobliskiej wysepki. Nie pytaj mnie, której. Nigdy tam nie byłem. Silas uknuł plan przeciwko nim. Zabrał na tamtą wyspę bandę najagresywniejszych i najbardziej wojowniczych osobników, pojawił się uśmiechnięty i z życzliwymi słowami na ustach, po czym powoli, systematycznie wymordował wszystkich. Zabrał im towar i broń.

Oznajmił, że panowanie ojca ma się zakończyć. Ze wiekowy, czystej krwi Taltos, nie pasuje do nowoczesnego świata. Silas powiedział, że mamy geny Mayfairów, ludzką mądrość, ludzkie marzenia.

Stałem obok Mony, gdy cicho płakała.

- Plemię świętowało, brało kokainę i strzelało. Palili marihuanę i kompletnie zwariowali. Przypadkiem zabili dwoje naszych - Evana i Ruth. Wyobrażacie sobie taką głupotę? Nikt nigdy wcześniej nie widział martwego Taltos. To było upiorne. Silas urządził ceremonialny pochówek w oceanie. Rzucano kwiaty do wody! Śmieszne. Silas zaczął zabijać z broni tych, których podejrzewał o niełojalność! - Roześmiał się z obrzydzeniem. - Lorkyn wygłosiła przemówienie. Powiedziała, że inwazja na wysepkę z narkotykami to typowy błąd Taltos. Handlarze należeli do wielkiego kartelu. Jego żołnierze przyplyną i rozprawią się z nami. Musimy zabrać na jacht ojca i matkę i odpłynąć z wyspy. Możemy to zrobić. Silas próbował ją zabić, ale inni go powstrzymali. To było coś nowego. Lorkyn miała jednak swoje sposoby. Nikt sobie nie wyobrażał, że się podda. - Wzruszył ramionami, wywrócił oczami i poprawił broń stercząca za paskiem pięknych skórzanych spodni. Mówiąc, kołysał się płynnym ruchem. - Przyplłynęli ludzie handlarzy narkotyków. Z zachodem słońca. Silas i jego zwolennicy rzucili się na nich, strzelając z ukradzionej broni. RA-TA-TA!

Wyobrażacie to sobie? Nawet się nie ukrywali. - Roześmiał się szyderczo. - Tamci wystrzelali wszystkich Taltos, którzy się pokazali. Wdarli się do wszystkich pomieszczeń w willi. To naprawdę niezapomniane przeżycie, czekać, aż przyjdą i wyłamią ci drzwi. Nastąpił całkowity kres ukrytego plemienia. Komu udało się przetrwać? Tym, którzy siedzieli cicho. Tym, którzy nie pobiegli do walki. Znaleźli mnie dopiero trzeciego dnia. Po prostu leżałem u siebie, na górze w willi. Wkroczyli do pokoju. Zrobili ze mnie służącego. Nauczyli mnie przyrządzać caipirinę z białym rumem. Carlos ją pił. Umiałem dobrze obsługiwać komputer. Zajmowałem się rachunkowością, wypełnianiem arkuszy kalkulacyjnych, wypłatami, tym wszystkim.

Potem Lucia oszalała na moim punkcie. Jak mogło być inaczej? Dawno minęła wiek, w którym samiec Taltos mógłby ją przyprawić o śmiertelny krwotok... Wiecie, tak kończy się nasze obcowanie

z ludzkimi samicami, póki są płodne. Lucia otoczyła mnie najczulszą opieką. Urządziła ten pokój na biało, żebym dobrze się w nim czuł.

Poleciała do Miami Beach i kazała zwięzić korytarzyk do swojej gościnnej tajnej komnaty, tak że wróciła do wymiarów dwunastolatki. Zrobiła to dla mnie. Przemięły gest. Oczywiście, nigdy nie byłem w łóżku z dwunastolatką. Okazała się cudowną kochanką.

- Hmm - mruknąłem. - Nie przeszkadza ci, że leży tu w kałuży krwi i bez twarzy?

- Nie bardzo. Powiedziałeś, że każdy człowiek na tej wyspie umrze. To był tylko żart?

Usiadł za biurkiem. Odwrócił się, nalał sobie kolejną szklanekę mleka i powoli ją wypił.

Znów przyglądał się nam uważnie. Quinn i ja staliśmy, Mona siedziała na brzegu fotela, podkuliła kolana, krew nabiegła jej do twarzy, łzy napłynęły do oczu pełnych takiego niewysłowionego smutku, że ten widok był nie do wytrzymania.

- Czy ten komputer jest podłączony do Internetu? - spytała. Głos miała słaby, ale powstrzymywała płacz.

- Oczywiście, że nie - powiedział sarkastycznym tonem. - Za jakiego idiotę mnie bierzesz? Gdyby był, przyzwałbym pomoc. Próbowałbym połączyć się z Rowan Mayfair w Mayfair Medical w Nowym Orleanie.

Wszyscy milczeliśmy zszokowani.

- Skąd wiesz o Rowan? - zapytała Mona. Otarła oczy. Czarne pióra sukni musnęły policzki.

- Ojciec opowiedział mi o was wszystko... gdybyśmy kiedyś znaleźli się w poważnych tarapatach, mamy się skontaktować z Rowan Mayfair w Mayfair Medical w Nowym Orleanie. Myślę, że ogłosił to dwa lata przed moim urodzeniem. Silas już truł ojca, ale on o tym nie wiedział. Tylko czuł się coraz słabszy. Myślał, że umiera ze starości. Odwiedził swoich adwokatów w Nowym Jorku. W wielkiej tajemnicy.

Żadnych nazwisk. Żadnych danych. Ojciec taki miał styl. Morrigan rzadko kiedy była przytomna, jeśli w ogóle. Ojciec wiedział, że za jego plecami coś się szykuje. Kiedyś Morrigan się ocknęła i oskarżyła ojca, że jest zakochany w Rowan Mayfair.

Zakochany w Rowan Mayfair!

- Czemu tak myślała? - spytała łamiącym się głosem Mona.

- Nie wiem - rzekł ze znużeniem, tonem udawanej niewinności. - Wiem tylko tyle, że jest jedyną linią ratunkową łączącą mnie ze światem ludzi. A teraz nagle pokazujesz się ty, droga babciu, i chcesz nas uratować. Nie jesteś dzieckiem? Wyglądasz jak dziecko. A może przebierasz się w suknie mamy?

- Czy zawsze miałeś taki styl bycia? - spytałem. - Czy też to zniewolenie cię zmieniło?

Roześmiał się bez wesołości, z uznaniem. Przyglądał się martwej kobiecie na podłodze.

- Spryciarz z ciebie - powiedział. - Urodziłem się, wiedząc, że ojciec i matka są skazani na śmierć. - Uśmiechnął się. - Ojciec nie miał tyle energii, żeby przypilnować młodych samców. Wciąż potajemnie przychodziły na świat młode. Można powiedzieć, że od początku śpiewałem tragiczną pieśń. Przecież... - Przerwał, ziewnął i mówił

dalej: - Jak można rządzić społecznością Taltos, jeśli nie jest się gotowym zabijać niechcianych płodów i tych, którzy się parzą wbrew zasadom? - Pokręcił głową. - Nie widzę innego sposobu. Chyba że, oczywiście, założy się pasy cnoty samicom. To jest do zrobienia. Wiecie, nowoczesne nylonowe pasy cnoty, czy coś w tym rodzaju. Ale matka i ojciec byli jak najdalsi od takich rozwiązań.

- Co ukryte plemię tu robiło? - spytała Mona. Starła się mówić pewnym głosem. -

Czy po prostu spędzało czas na przyjemnościach?

- Och, w żadnym wypadku - odpowiedział Oberon. - Ojciec i matka zapewnili nam cudowne życie. Ojciec miał wspaniały samolot. Stoi gdzieś w Nowym Jorku, unieruchomiony, martwy, osierocony. Na próżno czeka na jego powrót. Tym samolotem odwiedziliśmy wszystkie metropolie świata. Szczególnie podobały mi się Rzym i Bombaj. Z rozkoszą obejrzałbym je wszystkie jeszcze raz: Londyn, Rio, Hongkong, Paryż. I Meksyk. Wszędzie nas oprowadzono. I uczono, że mamy obserwować ludzi i udawać, że jesteśmy ludźmi. Tak długo, jak się do tego stosowaliśmy, rodzice spełniali wszystkie nasze kaprysy. Po prostu niesamowite życie.

Ojciec był bardzo zasadniczy i bardzo ostrożny. Żadnych telefonów, żadnego Internetu. Na długi dystans to był fatalny błąd.

- Czy nigdy nie chciałeś uciec? - spytał Quinn.

- Ja nie - powiedział, wzruszając ramionami. - Uwielbiałem ukryte plemię. Poza tym ludzie na ogół zabijają samców Taltos. Kobietom pozwalają żyć. Wykorzystują je.

Ale samców zawsze zabijają. Wszyscy o tym wiedzieli. Nasze życie tutaj było dobre.

Na wyspie mieliśmy doskonałych nauczycieli. Ojciec zorganizował im przyloty, zjawiali się na kilka tygodni. Oczywiście nie mieli pojęcia, kim naprawdę jesteśmy, ale to nie miało znaczenia. W głównym budynku mieliśmy doskonałą bibliotekę, książki, filmy, wszystko. - Nalał sobie kolejną szklankę mleka, pociągnął łyk, lekko się skrzywił

i szepnął: - Nie dość zimne. Czasem mieliśmy przewodników podczas tych wypraw, ludzi. Jak wtedy, kiedy poleciliśmy do Indii. Mieliśmy jacht, wiesz, motorówkę oceaniczną, na długie morskie wyprawy. A raz w tygodniu przyplływała ekipa sprzątaczy i robiła porządek. Poza tym była dżungla. Elath i Releth uwielbiali tam chodzić. Seth też. Ja nie przepadam za komarami, zadrapaniami, węzami i tego rodzaju przyjemnościami. - Machnął ze znużeniem długą ręką. - Nie, żyło się nam całkiem miło. Dopóki Silas nie rozpoczął swojego buntu, powoli trując matkę i ojca.

Chociaż Silas nigdy się o tym nie dowiedział, za jego plecami dochodziło oczywiście do parzenia się i pod koniec spiskowano również przeciwko niemu. Nie panował nad niczym, zupełnie nie panował. - Znów wzruszył ramionami. - Można rzec, to była katastrofa. - Odchylił się, spojrzął w dół na Monę, przycupniętą na fotelu, i powiedział

z nienawiścią: - Nie smuć się tak, mała babciu plemienia. To nie twoja wina. Takie jest życie. Taltos nie mogą egzystować obok ludzi. Taltos popełniają fatalne pomyłki.

Ojciec powiedział mi, że gdyby nie Silas, to byłby ktoś inny. Ukryte plemię to absurdalny pomysł. Pod koniec mówił dużo o Rowan Mayfair. Ona wiedziała, co zrobić. Ale wtedy to faktycznie był więźniem w swoim penthousie. A matka tylko chwilami odzyskiwała świadomość.

Monie pękało serce. Ostrzeżenia w elektronicznym liście Maharet sprawdziły się.

Stirling nazywał je darwinowskimi zasadami. Chciałem utulić Monę w ramionach, ale mieliśmy jeszcze wejść do samej willi. Teraz dosłyszałem krzyki. Paru śmiertelników natrafiło na trupy, które zostawiliśmy w innych apartamentach.

Znów drzwi otworzyły się gwałtownie i tym razem czarny, tłusty wylot lufy poprzedził pojawienie się mężczyzny, który wdarł się do środka. Wysłałem ładunek niewidzialnej mocy, która go odrzuciła i rozerwała mu serce. Seria pocisków uderzyła w sufit. Za blisko. Mogły zabić jadowicie przemawiającego stwora. Co by to była za strata!

Runąłem przez drzwi. Znalazłem się na długiej, krytej strzechą werandzie. Kolejny śmiertelnik podniósł broń. Posłałem ogień. W nagłym promienistym rozbłysku ujrzałem następnego mężczyznę. Biegł. Ogień go dopadł. Błyskawicznie.

Kiedy się odwróciłem, młoda kobieta w dzinsach i koszuli cisnęła mi w twarz przekleństwa, celując z wielkiego samopowtarzalnego pistoletu. Rozbroiłem ją i wysłałem moc. Padła na podłogę, z jej ust trysnęła krew. Zamknąłem oczy. Było mi niedobrze.

Pokładałem nadzieję w Bogu, że pozbyliśmy się większości podwładnych. Może wszystkich.

Na dziedzińcu królowała bardzo głośna bossa nova. Słyszałem wypowiedane szeptem, po portugalsku, słowa, taneczny, idący do głowy rytm. W tej muzyce był

spokój. Głęboki sen. Słodczy, hipnoza.

Przez otwarte wielkie drzwi widziałem opuszczony hol, bujną zieleń, różowe płytki biegnące do szerokich centralnych schodów. Chciałem wejść nimi na górę, chciałem się dostać do jądra zła.

Wróciłem do białego pokoju, zamknąłem drzwi, przestąpiłem nad zmarłą Lucią i zadałem zasadnicze pytanie:

- Kiedy ostatni raz widziałeś innych Taltos, żywych lub umarłych?

Wzruszenie ramion.

- Może dziewięć miesięcy temu? Często mi się wydaje, że słyszę głosy Miravelle i Lorkyn. Raz się obudziłem i zobaczyłem Miravelle spacerującą po plaży z Rodrigiem.

Może i one zostały wzięte w niewolę dla przyjemności tych bezbożników. Miravelle to sama słodycz... żywe uosobienie kretynstwa Taltos, jeśli wybaczycie mi to określenie.

Kiedy Miravelle gra w tenisa, chce wygranej przeciwnika! Głupota to jej znak firmowy. Zatrzymanie jej tutaj byłoby łatwe. Lorkyn jest niesamowicie piękna i na tyle sprytna, że potrafi ukrywać swoje prawdziwe zamiary. Ma rude włosy jak babcia. Na pewno ją widziałem. Ale czy jeszcze żyje? Kto wie?

- Nie nazywaj mnie babcią - szepnęła Mona. Posłała mu lodowaty uśmiech.

Wydawało się, że jest na krawędzi hysterii. - Och, wiem, że zwracasz się tak kierowany serdecznym szacunkiem, taka z ciebie życzliwa istota, tak pełna wrodzonej miłości do wszystkich, ale wystarczy mi „boska”, „piękna”, „kochana” albo „laleczka” czy nawet

„skarbeczek”. Jeszcze raz nazwiesz mnie „babcią”, a przykuję cię do tej ściany i zostawię tam na zawsze.

Kolejny spontaniczny śmiech.

- Świetnie, laleczko - powiedział. - Nie wiedziałem, że to ty jesteś szefem tej małej operacji. Myślałem, że ta pozycja jest przypisana temu blond piękniśowi - A gdzie jest pokój twoich rodziców? - spytał.

- W penthousie. Wierz mi, zapewne dawno temu wrzucono ich do morza.

- Ilu twoim zdaniem ludzi pozostało w głównym budynku? W tym skrzydle załatwiłem wszystkich mężczyzn i jedną kobietę.

- Morowy chłop z ciebie! - westchnął. - Skąd mam wiedzieć? Mogę zgadywać.

Rodrigo, jego dwóch ochroniarzy, może jeden czy dwa matoly na posługi i może...

może... Miravelle i Lorkyn. Na pierwszym piętrze w apartamencie nowożeńców jest przyjęcie. To prywatne pokoje Rodriga, kiedy jest poza domem, poziom wyżej w samym środku willi, okna wychodzą na ocean. Tak przynajmniej mówiła jego matka. -

Wskazał na trupa. - Cudownie byłoby ustrzelić jakiegoś matola, zakładając, że nie sprzątnąłeś wszystkich.

- Co z kobietami? Czy Rodrigo sprowadza tu inne kobiety? Czy to możliwe, że tam na górze są jacyś niewinni goście?

- Bardzo mało prawdopodobne - powiedział, skłaniając głowę. - Jeśli są tam goście, to hołota. Wyspa służy za kryjówkę, magazyn. Dzięki temu zawsze miałem nadzieję, że jeszcze zobaczę

Miravelle albo Lorkyn. Wiecie, samice Taltos stale się palą do... że tak powiem... zabawy. Oczywiście zawsze jest pewne ryzyko, że za przyjemność przyjdzie zapłacić krwotokiem, ale to sprawa na potem i do załatwienia na osobności. A mleko...! Hm, musicie wiedzieć, że mleko jest przepyszne. Ludzie mogą je pić *ad nauseam*.

- W porządku, zaczekaj tu na nas, nie zastrzel nikogo, chyba że będziesz musiał, i zabierzemy cię stąd, Mona, Quinn, chodźcie.

- Nie mam zamiaru zostawać - powiedział Oberon. Sprawdził broń. - Idę z wami.

Powiedziałem, że chcę zastrzelić jakiegoś matoła albo dwóch. Poza tym jeśli Lorkyn i Miravelle są tutaj, chcę się z nimi spotkać. To moje siostry, na miłość boską. Myślicie, że będę siedział w tym pokoju i słuchał, jak kule latają w powietrzu?

- Nie wyczuwasz ich zapachu? - spytała Mona.

Kolejny raz roześmiał się ze zdumiewającą łagodnością.

- Tylko samce wydają zapach, babuniu - wyjaśnił. - Powinnaś zapoznać się z własnościami gatunku.

- To właśnie staram się osiągnąć - rzekła z goryczą, roniąc łzy. - Uratować go i poznać, mój drogi Oberonie! Przebyłam długą drogę, żeby cię odnaleźć, ty moje błogosławione skarbeczki. Co to za radość, żeśmy się spotkali. Ostrzegałam cię, jeszcze raz nazwiesz mnie babcią albo babunią, a przyłożę ci tak, że padniesz.

Falujący sarkastyczny śmiech.

- Okej, laluniu - powiedział. - Więcej żadnych pomysłów. I jesteś boska.

Wstał i przeciągnął się jak kot. Krzywo się do niej uśmiechnął.

- Czy któryś z twoich błyskotliwych i skrupulatnych złodziei krwi zabrał telefon komórkowy trupowi? Chcę zadzwonić do Rowan Mayfair.

- Mam własny - powiedział Quinn. - I zabrałem kilka. Ale za wcześnie na telefonowanie. Ruszamy.

- No cóż, chodź, cukiereczku - rzekł Oberon, podając Monie dłoń. - Zabijmy Rodriga, żeby mógł być ze swoją matką. A potem wrócimy po świętego Juana Diego.

- Czemu go tak lubisz? - spytałem.

- Kogo, Rodriga? - Uniósł wysoko brwi. - Nie cierpię faceta, zapewniam cię.

- Nie, świętego Juana Diego.

- Och. - Śmiech. - Powiedziałem ci. Byłem w katedrze. Poza tym, kiedy Lucia powiedziała mi, że został wyniesiony na ołtarze, modliłem się do niego o cud. - Nagle wytrzeszczył oczy. - Dobry Boże!

- wykrzyknął.

- O co chodzi? - spytałem. - Coś zaskoczyło największego cynika wszech czasów?

- Nie rozumiesz? - Był oszołomiony. - Święty Juan Diego odpowiedział na moje modlitwy! Ty jesteś cudem!

Rodrigo nie był flejtuchem. Hol lśnił czystością, na kontuarze nie leżał nawet kawałek papieru.

Niemniej jednak hotel miał atmosferę nawiedzonego domu, obrabowany z witalności i pozbawiony wszelkiego zastosowania.

Monstrualnej wielkości kuchnia, zgrzytające maszyny, blaty czyste, za to zastawione tacami z wymyślną porcelaną i resztkami homarów, szklankami z mlekiem, ośmiu ryb, itp.

Śladu ludzi.

- Nie rozumiecie, co to znaczy? - rzekł Oberon, patrząc na talerze. - To jedzenie Taltos, tylko białe mięso i płyny. Bardzo możliwe, że są na górze. - Jego rozleniwienie zniknęło, nawet zaczął okazywać pewną ekscytację.

Zajrzałem do magazynu. Skrzynki mleka w proszku, niektóre otwarte, mialki pyłu na podłodze, odciski stóp, skrzynki skondensowanego mleka, stos pustych.

- Wyjaśnisz mi to? - spytałem.

Wytrzeszczył oczy, potrząsnął głową.

- Nie potrafię - powiedział. - Chyba że w nocy któraś z nich tu schodzi i łasuje. Jest to możliwe. Odetniesz Taltos od mleka i sam zaczniesz go szukać. Ale chodźmy na górę, moje siostry tam są! Wiem o tym.

- Zaczekaj - powstrzymała go Mona. Miała czerwone obwódki na powiekach, nadal drżący głos. - To jeszcze niczego nie dowodzi.

Schody prowadziły na półpiętro do rozległych pomieszczeń, kiedyś pełniących rolę biblioteki. Wszędzie poustawiane były jak laptopy, potężne komputery stacjonarne, ściany książek, telewizory, wielkie, wychodzące na ocean okna. Wszędzie kurz, a może piasek? Niezwykle głośna muzyka z góry. Ta kondygnacja robiła wrażenie niezamieszkałej i opuszczonej.

- Tu był raj - powiedział Oberon. - Nie wyobrażacie sobie godzin rozkoszy, które spędziłem w tych pokojach. Chronicie nas, święci Pańscy, jak ja nie cierpię tej muzyki.

Może powinniśmy rozwalić skrzynkę z bezpiecznikami, żeby ją wyłączyć.

- Zły pomysł - rzekł krótko Quinn.

Oberon trzymał broń w obu rękach i już wcześniej przestał demonstrować pogardę.

Zaczął okazywać coś, co można by nazwać entuzjazmem. Ale muzyka atakowała go jak rój moskitów. Wzdrygał się raz za razem.

- Najpierw zastrzeżę system nagłaśniający - oświadczył.

Znów ruszyliśmy wyłożonymi dywanem schodami. Szukałem ludzi. Poczulem zapach jednego osobnika.

Główny apartament był dokładnie w samym środku domu i wychodził na obrzeżoną żelazną poręczą werandę, z której rozciągał się widok na hol. Pan i władca we własnej osobie zasiadał po prawej stronie, na wielkim okrytym złotą satyną łożu z piaskowanym zagłówkiem, ozdobionym rzeźbionymi nimfami. Szybko mówił do telefonu, ubrany w wąskie skórzane spodnie, koszulę z purpurowego śliskiego jedwabiu, odsłaniającą lśniące jak oliwa mięśnie klatki piersiowej. Krótkie błyszczące czarne włosy, zaczesane do tyłu, nie zasłaniały gładkiej, mocno opalanej twarzy o wyjątkowo pięknych oczach.

Gruby beżowy dywan, rozstawione fotele, lampy. Otwarte drzwi do innych pokoi.

Weszliśmy i natychmiast przerwał rozmowę.

- Oberonie, mój synu, nie spodziewałem się ciebie - rzekł dźwięcznym jak muzyka głosem o ledwo wyczuwalnym hiszpańskim akcencie. Podciągnął kolano, lustrując wzrokiem pozostałych i uśmiechając się kordialnie. Paznokcie u nóg miał

wymanikiurowane i wypolerowane do połysku, sposób bycia niezwykle uprzejmy. -

Kogo mu tu mamy? Pewnie zaczęła się impreza. Może najpierw się poznamy, co?

Sięgnął po małego czarnego pilota i fale mruczającej muzyki opadły. Znów napłynęły odgłosy bryzy, sącząc się przez otwarte okna, które wychodziły na ocean w wielkiej pustej ścianie.

- Och, Rodrigo, jestem ci nieskończenie wdzięczny, że to zrobiłeś - westchnął

Oberon. - Wszędzie szukałem źródła tej piekielnej muzyczki.

- To dlatego wymachujemy tym gnatem - rzekł miłym tonem Rodrigo. - A gdzie moja matka, nie przyprowadziłeś jej ze sobą? Nie mogę nikogo ściągnąć na tę wyspę.

To upokarzające. Proszę, bądźcie moimi gośćmi! Siadajcie! Bar jest tam, wszystko, na co macie ochotę. Miravelle! - krzyknął nagle. - Mam tu gości! Skąd dokładnie przybywacie? W moim porcie łodzie prawie nigdy nie cumują. Ale witam was jak najserdeczniej. Rozumiecie, nasz pobyt tu jest ściśle tajny i nie mogę zaprosić was, żebyście dłużej...

- Zupełnie się tym nie przejmuj - przerwałem mu - niebawem stąd wyruszamy.

Chcieliśmy tylko spiknąć się z Miravelle i Lorkyn.

- Czyżby? - spytał sceptycznym tonem. - Miravelle! - krzyknął znowu, krótko i rozkazująco, tym razem z wyraźnym obcym akcentem. I nie na próżno.

Weszła z lewej, niewątpliwie autentyczny Taltos, wysoka prawie na dwa metry, blond włosy, owalna twarz, dziecięca karnacja jak Oberona, okrągłe niebieskie oczy, ubrana w prostą sukienkę z czarnego płótna, bez rękawów i sandały. Kiedy dostrzegła Oberona, krzyknęła przeraźliwie i rzuciła mu się w ramiona. Zdążył tylko wsunąć broń za pasek, zanim objął siostrę.

Gdy ją ścisnął i całował, utracił wszelką rezerwę. Zsunął jej włosy z twarzy i nagle się rozplakał, całując.

- Wystarczy, do nogi! - rozkazał Rodrigo, nie ruszając się z łóżka. Królewskim gestem klasnął w dłonie. - Słyszeliście mnie, oboje, powiedziałem: do nogi! Oberon, słyszałeś, co mówię?

Tych dwoje zatraciło się w całowaniu i rozmowie w dziwnym języku, składającym się z piskliwych, gwizdanych dźwięków, których nikt z nas nie potrafił zrozumieć.

Quinn był zdumiony, ale Mona nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Chociaż widok był niezwykle.

Rodrigo w sekundzie zerwał się z łóżka. Rozłożył komórkę i wyszczeakał serię rozkazów po hiszpańsku. Potem gwałtownie zamknął telefon.

- Oni wszyscy nie żyją - powiedziałem mu. - Zabiłem ich.

- O czym ty mówisz? - Wszelka uprzejmość poszła w kąta. Wściekłość wykrzywiła mu twarz. Wyjął zza pasa pistolet i wycelował go we mnie. - Obraziłeś mnie w moim własnym domu, nie zniosę tego.

Wysłałem moc, by wytrącić mu broń z ręki. Pofrunęła w tył, uderzyła o ścianę i upadła na podłogę. Rodrigo wytrzeszczył oczy, ale nie spokorniał na tę demonstrację siły. Patrzył na mnie wściekłym wzrokiem, usiłując ogarnąć rozumem to, co się stało, a potem spojrział na Monę i Quinna.

Tymczasem dwoje Taltos jakoś się uspokoiło i przyglądało się rozwojowi wydarzeń.

Mona do nich podeszła. Quinn pozostał przy moim boku.

Przeskanowałem hotel. Nad nami chodziła jakaś istota, ale nie wiedziałem, czy to Taltos, czy człowiek.

- W porządku, czego ode mnie chcecie? - spytał Rodrigo. - Pieniędzy, co? Zabiliście wszystkich moich ludzi, no nie? Po diabła? Chcecie tej wyspy, nie jest moja, bierzcie ją sobie. I tak miałem zamiar odlecieć dziś w nocy. Nie obchodzi mnie, co zrobicie.

Miravelle, zostaw go!

Nagle jego uwagę od wydarzeń w pokoju odwrócił huk i inne odgłosy, które znałem, ale których nie potrafiłem niczemu przypisać, dopóki on tego nie zrobił:

- Helikopter! Lecą beze mnie! - wybiegł na balkon. - Zatrzymać ich, cholera, zatrzymać! - Wyśpiewał hiszpańską arię składającą się z samych oskarżeń i obelg.

Wysłałem skan. Dwóch ludzi. Mężczyźni. Co dobrego mogła przynieść nam lub wyspie ich ucieczka? Mocno złapałem się balustrady i wysłałem ogień.

Nie wiedziałem, czy moja moc wystarczy do przeniesienia go na taką odległość, ale gdyby mi się nie udało, nikt by się nie zorientował. Zesztywniałem na kamień, węzeł

wnętrznosci zapłonął całą energią, którą udało mi się skupić, i nagle ogień uderzył w maszynę z taką siłą, że przechyliła się na bok. Płon! Ogień objął helikopter. Wybuchło paliwo.

Maszyna była daleko od nas, ale wszyscy się wzdrygnęli, widząc kulę ognia.

Rozświetliła wyspę.

Rodrigo nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Stałem tylko dzięki temu, że opierałem się o poręcz, oszołomiony, cały zlany potem, aż w końcu odsunąłem się od krawędzi balkonu, nie odrywając roziskrzonego wzroku od wielkiej masy żelaza spadającej bokiem na lądowisko. Wbiła się w ziemię i z wolna dopalała. Znow ogarnęło mnie obrzydzenie na myśl o tym, że mogę dokonać takich czynów, na myśl, że ich dokonałem. I ogarnęło mnie poczucie pustki, bezsensowności istnienia. Nie wierzyłem w nic. Nie nadawałem się do niczego. Powinienem umrzeć.

Te myśli wypierały wszystkie inne. Nie potrafiłem się poruszyć ani przemówić.

Quinn przejął komendę; słyszałem jego ostry głos tuż obok mnie.

- No, staruszk - powiedział do Rodriga - już nie odlatuje bez ciebie. Oczekujesz od nas jeszcze jakiejś przysługi? A teraz powiedz mi; co zrobiłeś z tamtą parą w penthousie, tymi, których Miravelle i Oberon nazywają matką i ojcem?

Rodrigo powoli się odwrócił i spojrzał na mnie zmrużonymi, przepełnionymi wściekłością oczami; gniew wykrzywił mu usta. Znow otworzył swój mały telefon komórkowy i posłał potok słów po hiszpańsku, z którego dało się zrozumieć jedno: Lorkyn.

Kroki nad nami.

- Hmm. Więc ona też żyje - powiedział Oberon, stojąc za naszymi plecami.

- Och, błagam, błagam - przemówiła lekkim, śpiewnym głosem Miravelle - jeśli przybyliście tu nas ratować, pozwólcie nam iść do pokoju rodziców. Pozwólcie nam ich zobaczyć. Rodrigo - przyrzekał nam, że oni tam są, że spoczywają na lodzie, pozwólcie nam iść! Są bezpieczni i cali na lodzie. Błagam, Oberonie, błagam! Zanim Lorkyn przyjdzie.

- Ty imbecyłu - zgromił ją Rodrigo, patrząc na mnie, a potem biegnąc wzrokiem między Moną i Quinnem, na próżno usiłując zrozumieć, kim jesteśmy, nie wiedząc, jak to rozegrać. Nie miał broni palnej, ale trzymał nóż w cholewce buta i rozpaczliwie czekał na przybycie Lorkyn.

I Lorkyn natychmiast spełniła pragnienia wszystkich obecnych.

Usłyszeliśmy jej kroki piętro wyżej. Potem na balkonie. Wyrosła w otwartych drzwiach apartamentu.

Zanim zrozumiałem w pełni, co oznacza jej widok, usłyszałem pełne rozpacz, głębokie westchnienie Oberona i gorzki śmiech Mony.

Jak należało oczekiwać stworzenie było wysokie prawie na dwa metry i miało delikatną skórę dziecka na twarzy, nagich ramionach i nogach. Lecz jej twarz była okrągła, nie owalna. Zielone oczy migdałowego wykroju były niezwykle piękne, o tak gęstych rzęsach, że wydawały się sztuczne, ale to było tylko złudzenie. Miała mały nos, słodkie, bardzo różowe usta i niewielki, ale silnie zarysowany podbródek.

Odziedziczyła po Monie rude włosy, zgarnięte z lśniącego czoła i chyba przewiązane na czubku głowy, bo spływały jej na kark. Miała skórzaną koszulę bez rękawów, nisko wiszącą minispódniczkę z paskiem, wiązane z tyłu na łydkach skórzane kozaki.

Co nami wstrząsnęło? Była uzbrojona. Nie tylko w wiszący w kaburze pod pachą pistolet, ale i w zwisającego z ramienia kałasznikowa.

Jednym rzutem oka oceniła sytuację. Rodrigo chciał mieć pewność, że rozumie jego intencje, i odśpiewał kolejną arię po hiszpańsku, rozkazując jej zabić nas wszystkich, w tym Oberona, ale oszczędzić Miravelle.

- Sięgnij po broń, skarbie - ostrzegłem ją - a spalę cię na popiół tam, gdzie stoisz.

Oberon dyszał wściekłością.

- Ty brudny śmieciu! - lżył ją. - Ty nędzna morderczyni, zdrajco ukrytego plemienia! - Roztrząsał się i zalał łzami. - Byłaś z nimi w zмовie i pozwoliłaś, żebym gnił w tamtym pokoju na dole! Ty zdradziecka bestio! - Sięgnął po broń i wycelował w siostrę.

Mona wytrąciła mu pistolet z dłoni.

- Skarbie kochany - powiedziała cała drżąca - ona teraz jest obiektem badawczym.

Rowan Mayfair zdecyduje, co z nią zrobić.

- Rowan Mayfair? - powtórzyła Lorkyn łagodnym, pełnym ironii głosem. - Rowan Mayfair znalazła tę wyspę?

- Zastrzel ich! - zaskrzeczał Rodrigo po angielsku.

Lorkyn ani drgnęła.

- I Rowan Mayfair posyła łowców krwi, żeby nas stąd zabrali? - Jej głos przepełniała słodycz, która nie miała żadnego związku z tym, co czuła i myślała.

Zniżyła go do szeptu. - Nic dziwnego, że ojciec zakochał się w tej kobiecie. Jej możliwości są doprawdy zadziwiające.

- Och, nigdy jej nie kochał, on kochał matkę! - zawołała Miravelle. - Proszę, nie powtarzaj tych wstrętnych starych plotek! Oberon jest znów wolny. Jesteśmy razem!

Rodrigo, musisz pozwolić nam zostać razem.

- Wykończ ich! - wrzasnął Rodrigo. Obrzucał Lorkyn hiszpańskimi przekleństwami.

- Czemu go teraz nie zabić? - spytał Quinn, wskazując Rodriga.

- Lorkyn, gdzie są ojciec i matka? - spytałem. - Wiesz?

- Leżą bezpiecznie na łodzi - powiedziała.

- A gdzie to konkretnie jest? - spytała wyczerpana i przejęta Mona.

- Nie będę rozmawiać z nikim oprócz Rowan Mayfair - oznajmiła Lorkyn.

- Pozwólcie mi ich zobaczyć, proszę! - zawołała Miravelle. - Oberonie, każ jej otworzyć penthouse.

- Rodrigo, nie wydaje mi się, żeby był jakiś sens dalej trzymać cię przy życiu - powiedziałem.

- Pozwól mi go zastrzelić - poprosił Oberon.

- Nie - sprzeciwiłem się - skorzystasz z okazji i zabijesz Lorkyn.

Rodrigo chyba oszalał. Próbował zeskoczyć z balkonu. Skręciłem mu kark, zabijając go na miejscu i rzucając na płytki parteru. Spoczął w kałuży krwi.

Odwróciłem się i jeszcze zdążyłem ujrzeć Lorkyn przyciśniętą do ściany, z rozkrzyżowanymi rękami. Wcześniej próbowała wyjąć pistolet z kabury i Quinn unieruchomił ją, używając wyłącznie mocy umysłu. Wpatrywała się w niego. Jej spokój zasługiwał na uznanie.

Mona przyglądała jej się tak, jakby próbowała ją zrozumieć, ale bez powodzenia.

Oberon przeszywał wzrokiem Lorkyn i gorzko płakał. Miravelle trzymała się go kurczowo.

- Cały czas byłaś po ich stronie - z rozpaczą powiedział Oberon. - Kim byłaś, mózgiem operacji Rodriga? Ty, z całym twoim intelektem i sprytem? Mogłaś wezwać pomoc! Mogłaś wywieźć nas z tej wyspy! Bądź przeklęta za to, co zrobiłaś! Czemu to zrobiłaś?

Lorkyn, samica Taltos o pyszczku kotki, nie odpowiedziała. Zachowała łagodny wyraz twarzy, nie reagując; chłonęła to, co się do niej mówiło.

Podszedłem do niej, nie nadużywając siły, odebrałem jej karabinek i połamane go na kawałki. Zabrałem pistolet i cisnąłem go do oceanu. W cholewce buta trzymała nóż. Piękny nóż. Zabrałem go i wsunąłem za swoją cholewkę.

Nic nie powiedziała, a jej piękne oczy przyglądały mi się z takim spokojem, jakbym czytał jej wiersz.

Próbowałem przeskanować jej myśli, ale na próżno.

- Zabierz nas do matki i ojca - poleciłem jej.

- Pokażę ich Rowan Mayfair i nikomu innemu - powiedziała.

- Są w penthousie! Na lodzie! - podsunęła mi Miravelle. - Rodrigo zawsze tak mówił. Na lodzie. Chodźmy. Mogę wskazać drogę. Rodrigo wspomniał, że kiedy wszedł do nich, ojciec powiedział: „Nie zabijaj nas, nie możemy wam w niczym zaszkodzić, trzymajcie nas w lodzie i będziecie mogli nas sprzedać Rowan Mayfair i Mayfair Medical za miliony dolarów”.

- Och, proszę - powiedział przez łzy Oberon - Miravelle, kochanie, raz przynajmniej nie bądź taką skończoną kretynką! Nie mogą być w penthousie na lodzie. Wiem, gdzie są. Wiem, gdzie powinni być. Jeśli uda się wam unieszkodliwić Lorkyn, to pokażę wam, dokąd iść.

Ruszyliśmy jak najszybciej. Quinn mocno trzymał Lorkyn za ramię. Oberon wskazywał drogę. Schodami w dół.

Kolejny raz gigantyczna kuchnia.

Para wielkich drzwi. Lodówka? Chłodnia? Wiele zamków.

Natychmiast je wyłamałem, i Gdy tylko przerzedziły się białe opary, wszedłem do środka w świetle z zewnątrz zobaczyłem na podłodze zamrożone ała.

Wysoki czarnowłosy samiec z siwizną na skroniach i ruda samica, oboje z zamkniętymi oczami, pogodni, czule objęci, białe bawełniane ubrania, nagie stopy, wspólnie śpiące anioły. Pokryci szronem, jakby w długich szponach nieubłaganej zimy.

Na nich rozrzucone kwiaty, twarze odsłonięte. Zamrożone, kiedyś piękne.

Patrzyłem z boku, podczas gdy inni zaglądali przez próg. Patrzyłem na zamrożone na podłodze płyny ciała, na odbarwienia na skórze, na doskonałość uścisku. Zastygli dawno temu.

Miravelle pisnęła przeraźliwie:

- Mamo. Tato.

Oberon westchnął i się odwrócił.

- I tak, po długich wiekach spotkał go taki los z rąk własnych synów i córek -

zamruczał. - I ją, matkę, która mogła przeżyć milenium. A że zapytam, kto obsypał ich kwiatami? Czy to ty, Lorkyn, ty, która zdradziłaś wszystko, w co wierzyli? To musiałaś być ty, prawda? Ty nędzna dezerterko. Niech ci Bóg wybaczy, że zawarłaś pokój z naszym nieprzyjacielem. Czy sama ich tu zaprowadziłaś?

Mona weszła w jasny prostokąt drzwi.

- Moja córka - szepnęła. Nie płakała. Nie łkała.

Poczułem, jak rozwiały się jej nadzieje, marzenia, wreszcie sama miłość. Ujrzałem na jej twarzy gorycz pogodzenia się z losem. Głęboko zapadła się w siebie.

Miravelle płakała.

- Zamieniła ich w twardy lód, zamieniła! - krzyczała. Zakryła twarz dłońmi i płakała, płakała.

Ukląknęłam przy leżącej parze i położyłam dłoń na czole samca. Głęboko zamarznęte. Jeśli kołatała się tam dusza, nie wyczuwałam jej. Ale co mogłem wiedzieć? Takie same odczucie miałem w wypadku rudej samicy, niezmiernie przypominającej Monę przez pryzmat świeżej nordyckiej urody.

Wyszedłem z chłodni, ostrożnie stawiając kroki, aż poczułem ciepłe powietrze, i objąłem Monę. Cała się trzęsła, ale oczy miała suche i mrużyła je, patrząc w białą mgłę. Potem zebrała siły, najlepiej jak mogła.

- Chodź, Miravelle, moja droga - powiedziała. - Zamknijmy drzwi. Zaczekajmy, aż nadejdzie pomoc.

- Kto nam pomoże? - spytała Miravelle. - Lorkyn zmusi nas, żebyśmy jej posłuchali.

A wszyscy inni nie żyją.

- Nie przejmuj się Lorkyn - powiedział Quinn.

Oberon z obrzydzeniem otarł łzy. Znów wziął w ramiona Miravelle i gorąco ją uściskał. Długimi delikatnymi palcami pogładził pochyloną głowę Mony i przyciągnął

ją do siebie.

Zamknęliśmy drzwi chłodni.

- Quinn - poprosiłem go - wybierz w moim imieniu numer przy Pierwszej Ulicy, a potem daj mi ten telefonik.

Spełnił moje życzenie, zręcznie manewrując jedną ręką i nie wypuszczając Lorkyn.

Jej twarz pozostała słodka i zamyślona, nieprzenikniona. Chociaż Oberon tulił do siebie Miravelle i Monę, to spoglądał na Lorkyn z nieukrywaną groźbą.

- Patrz - szepnąłem Monie, po czym odezwałem się do telefonu: - Lestat. Chcę rozmawiać z Rowan o Morrigan.

Jej niski, chrapliwy głos zabrzmiał w głośniczku:

- Co dla mnie masz, Lestacie?

- Opowiedziałem jej wszystko i skończyłem pytaniem:

- Jak szybko możesz tu być?

- Mona odebrała mi telefon.

- Rowan, może oni żyją! To może być zawieszenie czynności życiowych!

- Oni nie żyją - powiedziała Lorkyn.

- Mona oddała mi telefon.

- Zostaniesz tam do mojego przylotu? - spytała Rowan.

- Jesteśmy nocnymi stworzeniami, ukochana - powiedziałem. - Jak to mówią śmiertelni: przybywaj na jednej nodze.

Była druga w nocy, kiedy odrzutowiec wylądował. Ledwo się zmieścił na długim pasie.

Do tego czasu Mona i ja - zostawiwszy Oberona i Lorkyn pod strażą Quinna - dwie godziny usuwaliśmy trupy z wyspy. Nasyciliśmy żarłoczne morze nawet ohydnyymi szczątkami szerniałego, dymiącego helikoptera. Byłoby to ponure zadanie, gdyby nie spokojne, potężne fale karaibskich wód, szybko wybaczące nawet wyjątkowo nieczystym ofiarom.

Tuż przed wylądowaniem samolotu Mona i ja odkryliśmy kwaterę Lorkyn -

znakomicie urządzone, z komputerem podłączonym do Internetu, mającym pełny zasób informacji na temat handlarzy narkotyków i dostęp do co najmniej kilkunastu rachunków bankowych.

Najbardziej zdumiało nas bogactwo informacji na tematy medyczne - niezliczone artykuły załadowane z wiarygodnych źródeł, a dotyczące każdego aspektu opieki zdrowotnej, od analizy diet po neurochirurgię, od tajemnic operacji na otwartym sercu po usuwanie guzów mózgu.

Prawdę mówiąc, tyle było tych informacji, że nie zdołalibyśmy przejrzeć ich wszystkich.

Nagle natrafiliśmy na materiał dotyczący Medical Mayfair.

I właśnie tam i wtedy, w tym dziwnym miejscu, w momencie zawieszonym między przemocą a tajemnicą, zdałem sobie sprawę, jak ogromnym przedsięwzięciem jest centrum, jak wielokierunkowym, śmiałym i obiecującym. Zobaczyłem rozkład szpitali i laboratoriów. Zobaczyłem

listy lekarzy, oddziałów, programów i zespołów badawczych.

Na dodatek Lorkyn ściągnęła kilkanaście artykułów, które pojawiły się w czasopiśmie medycznych.

Na koniec trafiliśmy na ogromny zbiór materiałów o samej Rowan - jej karierze, osiągnięciach badawczych, osobistych planach związanych z centrum, jej najukochańszych przedsięwzięciach, postawach, celach.

Nieprzebrane bogactwo wiadomości.

Zdecydowaliśmy się zabrać twarde dyski. Nie było wyboru. Musieliśmy także zabrać dysk z komputera Oberona. Nikt obcy nie powinien trafić na ślady tragedii.

Rowan i Stirling pierwsi zeszli z pokładu samolotu, Rowan w dżinsach i zwykłej białej koszuli, Stirling w tweedowym garniturze. Natychmiast dojrzeli trójkę Taltos.

Rowan zastygła i zaniemówiła.

Przekazałem jej twarde dyski; powierzyła je asystentce, która umieściła je w bezpiecznym miejscu w samolocie. Obserwująca to wszystko Lorkyn miała równie nieprzenikniony wyraz twarzy jak Rowan. Jeśli wydawała się łagodniejsza, to może dlatego, że cały czas chowała się za maską słodkiego kociaka. Milczała podczas oczekiwania na samolot i nadal nie otworzyła ust.

Miravelle łkała. Oberon pozbył się opaski i przeczesał włosy. Wyglądał znakomicie i zdecydował się pozdrowić Rowan lekkim skinieniem głowy.

W końcu Rowan spytała Monę:

- Gdzie są ciała?

Jakby te słowa były jakimś znakiem, z pokładu zszedł zespół sanitariuszy, ubranych w białe bawełniane kitle. Znieśli po metalowym trapie coś, co wyglądało jak gigantyczny nosik. Mieli również inne wyposażenie, nie znane mi i trudne do opisanie.

Wróciliśmy do chłodni.

Przez cały ten czas Lorkyn nie protestowała, chociaż Quinn trzymał ją mocno, ale wlepiła swoje niesamowicie wielkie oczy w Rowan, tylko od czasu do czasu zerkając na Oberona, który nie przestawał spoglądać na nią z czystą nienawiścią.

Rowan weszła do chłodni, zachowując taką samą ostrożność jak wcześniej ja.

Dokładnie zbadała trupy. Dotknęła zamrożonych kałuży. Uważnie przyjrzała się przebarwieniom na skórze zmarłych. Obmacała ich głowy. W końcu cofnęła się i pozwoliła sanitariuszom zabrać ciała do samolotu.

Spojrzała na Monę.

- Oni nie żyją - powiedziała. - Od dawna. Najprawdopodobniej od chwili, w której tu spoczęli.

- Może nie! - wykrzyknęła z rozpaczą Mona. - Może potrafią przeżyć w temperaturach, które dla nas są nie do przeżycia. - W lekkiej czarnej sukience wydawała się krucha i wyczerpana. Jej usta drżały.

- Odeszli na zawsze - stwierdziła Rowan. W jej głosie nie było śladu okrucieństwa, tylko powaga. Wiedziałem, że sama starała się opanować łzy.

Miravelle znów się rozplakała.

- Och, matko, och, ojciec...

- Są ślady ogólnego rozkładu - powiedziała Rowan. - Nie utrzymywano stałej temperatury. Nie udusili się. Zasnęli jak ludzie, którzy ugrzęźli w śniegu. Pod koniec zapewne poczuli ciepło i umarli w spokoju.

- Och, to takie urocze - westchnęła z autentyczną szczerością Miravelle. - Nie uważasz, Mono? To takie śliczne. Lorkyn, kochana, nie uważasz, że to słodkie?

- Tak, kochana Miravelle - powiedziała łagodnie Lorkyn. - Nie martw się więcej o nich. Ich cel został spełniony.

Nie odzywała się tak długo, że te ciepłe słowa mnie zaskoczyły.

- A jaki on był? - spytałem.

- Chcieli, żeby Rowan Mayfair dowiedziała się o ich losie - rzekła ze spokojem. -

Żeby ukryte plemię nie zniknęło.

Rowan westchnęła. Nieopisany smutek malował się na jej twarzy. Rozłożyła szeroko ramiona i wyprowadziła nas z kuchni, jak lekarz odprowadzający rodzinę zmarłego od łoża śmierci.

Wyszliśmy na ciepłe powietrze, zanurzyliśmy się w spokojnym otoczeniu, ukołysanym w rytmie fal i bryzy, oczyszczonym przez bezlitosną przemoc.

Spojrzałem za oświetlone budynki, na wielkie, wysokie kłębowisko dżungli.

Szukałem śladu czyjejś obecności - ludzkiej lub Taltos. Gęsta roślinność ukrywała zbyt wiele żywych stworzeń, abym mógł wyodrębnić jakąś konkretną istotę.

Moja dusza była chora i pusta. Równocześnie byłem bardzo przejęty losem trojga Taltos. Co właściwie ich czekało?

Zespół z zamrożonymi trupami przebiegł obok nas, udając się do samolotu, i z wolna ruszyliśmy w tym samym kierunku.

- Czy ojciec naprawdę prosił, żeby go zamrożono? - chciał wiedzieć Oberon.

Porzucił wszelkie szyderstwo. - Czy z własnej woli poszedł na śmierć? - spytał bez nuty ironii.

- Tak zawsze mówił Rodrigo - odparła Miravelle, która teraz stała w ramionach Stirlinga, łkając żałośnie. - Ojciec kazał mi skryć się przed złymi ludźmi, więc nie było mnie przy nim. Znaleźli mnie dopiero następnego dnia. Razem z Lorkyn ukrywałyśmy się w przebieralni przy korcie tenisowym. Nie wiemy, co się wydarzyło. Nigdy więcej nie zobaczyłyśmy ojca ani matki.

- Nie chcę wchodzić do tego samolotu jak więźniarka - z wielką uprzejmością sprzeciwiła się Lorkyn. - I chcę wiedzieć, dokąd lecę. Nie bardzo się orientuję, kto tu podejmuje decyzje. Doktor Mayfair, czy byłaby pani tak łaskawa i mi to wytłumaczyła?

- Nie przejmuj się tak, Lorkyn, to szkodzi zdrowiu - powiedziała Rowan takim samym łagodnym tonem jak jej rozmówczyni.

Włożyła rękę do kieszeni dżinsów, wyjęła strzykawkę i podczas gdy Lorkyn przyglądała się temu ze zgrozą i rozpaczliwie szamotała w uścisku Quinna, wbiła jej igłę w ramię. Lorkyn osunęła się na pas startowy, czepiając się Quinna, aż w końcu upadła; sen zmorzył kocią twarzyczkę, kanciaste biodra, kolana i pajęczne dłonie.

Oberon przyglądał się temu z lodowatym uśmiechem, zmrużywszy oczy.

- Powinna pani jej poderznąć gardło, doktor Mayfair - rzekł, unosząc brew. -

Powiem więcej, zgruchotałbym jej kark, gdyby była pani tak dobra i mi na to pozwoliła.

Miravelle wyrwała się z czulego objęcia Stirlinga i spojrzała z gniewem na Oberona, mówiąc:

- Nie, wara ci od Lorkyn! Żadnych okropności. To nie jej wina, że jest mądra i uczona. Oberonie, nie wolno ci jej krzywdzić, nie teraz.

Mona roześmiała się gorzko.

- No i masz swój cenny obiekt badawczy, Rowan - powiedziała łamiącym się głosem. - Podłącz ją do każdej maszyny, którą zna nauka, zrób wiwisekcję, zamroź ją i potnij na próbki, wyciągnij z niej cudowne mleko Taltos!

Rowan spojrzała na nią tak lodowatym wzrokiem, że nie dało się powiedzieć, czy usłyszała te słowa. Wezwała pomoc z samolotu.

Złożono śpiącą Lorkyn na noszach, unieruchomiono pasami i zaniesiono do środka, podczas gdy czekaliśmy w milczeniu.

Stirling poszedł z Miravelle, która nadal płakała za rodzicami.

- Gdyby tylko ojciec wezwał Rowan Mayfair, kiedy chciał to zrobić. Ale matka była zbyt zazdrosna.

Wiedziała, że ojciec kocha Rowan. Och, gdyby tylko ojciec jej nie usłuchał. A teraz z ukrytego plemienia zostaliśmy tylko my troje.

Rowan dosłyszała te słowa, spojrzała na mnie, a potem na Monę. Również Mona zwróciła na nie uwagę, patrząc krzywo na Rowan. Ta spochmurniała.

Oberon stał w swobodnej pozie, wzór luzu, przekrzywiając biodra, z kciukami wsuniętymi w tylne kieszenie. Przyglądał się uważnie Rowan, znów nieco opuściwszy powieki. Policzki nadal miał wilgotne od łez.

- Nie mów - wycedził, odchyliwszy głowę - że również mnie chcesz wsadzić do tego samolotu i zawieźć do twojego centrum cudów medycznych.

- A gdzie indziej się wybierasz? - spytała z równym chłodem Rowan. - Zostawisz Miravelle i Lorkyn?

- Rowan jest twoją krewną - powiedziała głosem napiętym i niecierpliwym Mona. -

Zaopiekuje się tobą, Oberonie. Jeśli masz choć szczyptę zdrowego rozsądku, opanuj swój miażdżący sarkazm i kostyczne poczucie humoru, wsiadaj do samolotu i zachowuj się jak należy. Jeszcze się przekonasz, że jesteś członkiem niesłychanie bogatego klanu niezwykle hojnych ludzi.

- Twój optymizm mnie wzrusza. Czy mamy zakładać, że przywiązanie do tego niezwykle hojnego klanu kazało ci uciec z parą łowców krwi i przemienić się w to, czym teraz jesteś?

- Oberonie - powiedziałem. - Dałem ci wolność, czy nie tak?

- Widzę, na co się zanosi - rzekł, przewracając oczami. - Mam przysiąc na różyczki świętego Juana Diego, że będę słuchał Rowan Mayfair, jedynej ludzkiej istoty, którą ojciec szczerze kochał. Nie wydlubię oczu Lorkyn przy pierwszej lepszej sposobności i nie popełnię żadnego równie rozkosznego okrucieństwa, czy tak?

- Właśnie. Będziesz ściśle współpracował z Rowan. Nic na tym nie tracisz. I nie łap się za Miravelle i nie rób bachorów. Okej? A kiedy najdzie cię chętką, wspomnij świętego Juana Diego.

Oberon parsknął śmiechem, wyrzucił w górę ręce i opuścił je bezradnie, po czym ruszył do drzwi samolotu.

- To musi być święty jak cholera - powiedziała pod nosem Rowan.

- Na pokład - rozkazałem. - Oberon może ci o nim wszystko opowiedzieć.

- Zaczekajcie, zapomniałem posążka! - od drzwi zawołał Oberon. - Jak mogłem?!

- Przyniosę ci go, obiecuję - powiedziałem. - Poza tym Mayfairowie kupią ci wszystko, na co będziesz miał ochotę. Ląduj się do środka.

Wszedł posłusznie, po czym znów się wynurzył, mówiąc:

- Ale pamiętaj, ten posążek sprawił cud! Musisz go zabrać!

- Nie zamierzam o nim zapomnieć.

Zniknął. Na pasie zostaliśmy tylko my: Rowan, Mona, Quinn i ja.

- Dokąd się teraz wybieracie? - spytała Rowan.

- Do Blackwood - wyjaśnił Quinn. - Nasza trójka trzyma się razem.

Rowan spojrzała na mnie. Nikt nigdy nie patrzył na mnie tak jak ona.

Skinęła głową. Odwróciła się, gotowa ruszyć, po czym odwróciła się z powrotem i objęła mnie, ciepły, wręczony mi z ufnością kłębuszek życia. Wszystkie moje wewnętrzne barykady runęły.

Całowaliśmy się, jakbyśmy byli zupełnie sami, bez pamięci, aż pocałunki stały się własnym językiem, jej gorące piersi napierały na mój tors, moje ręce zaciskały się na jej biodrach, moje oczy zamknięte, mój umysł w końcu ucichły, jakby na rozkaz ciała lub tak przytłoczony falą wrażeń, że nie potrafił mi powiedzieć, co mam czynić. W

końcu oderwała się ode mnie, a ja się odwróciłem. Głód krwi był paralizujący.

Pożądanie było paralizujące. Aż ogarnęła mnie miłość, czysta miłość.

Stałem bez ruchu, uświadamiając sobie to uczucie. Czystą miłość. Nagle i bezradnie uświadomiłem sobie, że to samo czułem, całując fantom Patsy na skraju mokradeł -

czystą miłość.

Mój umysł cofnął się w głąb wieków, jak drażący świder sumienia, szukający grzechów, tyle że nie grzechów szukał, a ich - chwil c z y s t e j m i ł o ś c i . I ujrzałem je, sekretne, nieme, nieliczne, nieziemskie. Cudowne na swój wyjątkowy sposób, bez względu na to, czy ci kochani wiedzieli o tym, czym są dla mnie, czy nie, cudowne, bo czyż jest coś cudowniejszego, niż kochać...

Obraz w rozbłysku. Wpółobjęta para. Ash i Morrigan w białych oparach. Symbol czystej miłości.

Czar się rozwiął. Quinn wziął mnie pod ramię i odprowadził poza strumień powietrza wypychany silnikami odrzutowca. Zeszliśmy z pasa.

Milczeliśmy skapani w huku startującej maszyny. W końcu uniosła się, gładko sunąc, i po chwili zniknęła w chmurach.

Odśloniła się wiekowa tajemnica tej karaibskiej wysepki - jeszcze jednej wysepki skapaniej we krwi. Ze też ta cudowna część świata musiała być świadkiem tak okrutnej sagi.

Mona spoglądała na morze. Wiatr unosił gęste rude włosy. Wypłakała już wszystkie łzy. Była żywym obrazem żałoby.

Czy mogła teraz na nowo zacząć? Naprawdę zacząć, moja doskonała?

Przysunąłem się do niej. Nie chciałem przeszkadzać w tej chwili opłakiwania.

Wyciągnęła jednak rękę, wzywając mnie do siebie, i wsparła się na mnie.

- Tego szukałam - wyznała, patrząc w dal - o tym marzyłam, z tym marzeniem przyjęłam mroczną krew, dzięki niemu przetrwałam wszelki ból, którego wcześniej zakosztowałam.

- Wiem - powiedziałem. - Rozumiem cię.

- Wyobraziłam sobie, że znajdę Morrigan, że odnajdę ich żyjących w szczęściu, że znów zakosztuję pełni szaleństwa mojej córki i przegadamy długie noce, wymieniając pocałunki, zejdziemy się, a potem rozstaniemy. A teraz... wszystko runęło.

Milczałem, tak składając hołd temu wyznaniu. W końcu przemówiłem:

- Przecież żyli w szczęściu przez bardzo długi czas. Oberon to opisał. Żyli przez lata jako ukryte plemię. - Przypomniałem jej opowieść Oberona najdokładniej jak potrafiłem.

Z wolna przyjęła moje słowa, skinęła głową, patrząc na spokojny, ciepły ocean.

Muzyka fal nie przyniosła jej ukojenia.

- Powinni wyciągnąć do nas rękę po ratunek! - szepnęła. - Michael i Rowan też by pomogli! Och, co za szaleństwo! I pomyśleć, że Morrigan nie pozwoliła mi zadzwonić do Rowan. Z zazdrości! Och, Rowan, Rowan.

Zatrzymałem swoje przypuszczenia dla siebie.

- Wracajmy do domu - powiedział Quinn. - Do Blackwood. Czas odbyć żałobę i czas poznać Miravelle, Oberona, a nawet Lorkyn.

Potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała. - Ci Taltos są nie dla mnie, nie teraz. Miravelle to czyste i wątle stworzenie bez mojego ognia, bez ognia swojej matki. Ciągłość została zerwana.

Morrigan zgasła w bólu. Oni zajmą się Miravelle. Biedna czuła istota, dziecię wiekowej istoty i mutanta. Nie mam nic do dania Miravelle. Oberon jest dla mnie zbyt mroczny, cóż mogę mu przekazać? Wcześniej czy później zabije Lorkyn, nie uważasz?

I jak Rowan usprawiedliwi uwięzienie Lorkyn? To nie moja sprawa. Nie budzi moich namiętności. Chcę być z wami, wy jesteście moim plemieniem.

- Nie decyduj pochopnie - poradziłem jej. Było mi jej bardzo żal. A równocześnie całym sercem przeżywałem niepokoje i zadania, które leżały przed Rowan.

- Maharet wyraziła się jasno. - Mówiła wciąż tym samym, rwącym się głosem, nie patrząc ani na mnie, ani na Quinna. - Natura doszła do głosu. To było nieuniknione.

- Może tak, może nie - powiedział Quinn. - Ale to za nami. Odwróciłem się i patrzyłem na odległą willę i jej rozjaśnione okna. Popatrzyłem na rozległą ścianę skalistej dżungli wyrastającej za jaskrawo oświetloną plażą. Szukałem. Wyczułem drobną dziką zwierzynę, tamaryndowce, ptaki, może daleko zaszytego dzika. Nie wiem.

Miałem jednak opory przed odejściem. Nie wiem czemu.

Chciałem przejść tę dżunglę. Nie przeszukałem jej, a była gęsta. Tyle że nie mieliśmy na to czasu.

Pożegnaliśmy się z wyspą. Quinn wziął w ramiona Monę i ruszyli ku chmurom.

Ja wróciłem po posążek mojego ukochanego świętego i wkrótce byłem w drodze do bezpiecznej kryjówki w Blackwood.

Zatrzymałem się u siebie, zdjąłem skóry, włożyłem elegancką lawendową koszulę, purpurowy krawat, lekki czarny garnitur z kamizelką, nowe wysokie buty. Ruszyłem prosto do dworu Blackwood, zapadłem się w łóżko ciotki Queen i zasnąłem głęboko.

(Święty Juan Diego stał na stolyczku obok mnie.) Niewyraźnie pamiętam Monę, która przysłała przed wschodem słońca i powiedziała, że wysłała pocztę elektroniczną do „tajemniczej Maharet”, opisując całą historię.

- Brawo. Kocham cię. Zjeżdżaj stąd - wymamrotałem.

O zachodzie słońca, kiedy się obudziłem, wyszedłem z domu i odkryłem, że przybył

Oliver Stirling. Zjadł wczesną kolację z Tommym i Nashem, który na wieczór wybrał

się do Nowego Orleanu, i teraz czekał na mnie na „wiklinowym tarasie”, z boku domu.

Czułem się tak błogo we dworze i w towarzystwie jego ludzkich mieszkańców, że aż zbierało mi się na płacz, ale nie uroniłem łzy. Zrobiłem krótką przechadzkę po wielkich pokojach. Nigdzie śladu zjawy Juliana. Czyżby miał mi dać spokój? Byłem uradowany, nawet nie znając powodów jego zachowania. Tu, w Blackwood, wyspa Świętego Ponticusa wydawała się daleka, groza ostatniej nocy zmyślona.

Oszalaniające Duo jeszcze się nie obudziło.

Zabrałem posążek świętego Juana Diego i wyszedłem na dwór.

Wiklinowy taras to było dzieło Quinna, który jako młodzieniec kazał wynieść wszystkie stare, stojące na strychu mebelki, odnowić je i ustawić w tym miejscu. W

ten sposób powstał uroczy, mający własną atmosferę zakątek.

Reflektorów nie włączono. Płonęły jedynie niskie lampy. Stirling, ubrany w lekką, tweedową marynarkę z paskiem z tyłu, palił papierosa. Wiatr zmierzwił starannie uczesane siwe włosy. Ale poza tym był wzorem elegancji, ten śmiertelnik, w którego towarzystwie czułem się swobodnie i z którym mogłem rozmawiać, jakbym nie był

potworem.

Usiadłem naprzeciwko niego, postawiwszy posążek z boku, gdzie nie rzucał się w oczy.

W powietrzu czuło się kąśliwy powiew jesieni. Podałem mu się i wciągnąłem w płuca czysty, świeży powiew wiatru, zaczepiwszy oczy o perłowe chmury, a także przerażające i wieczne gwiazdki, które przez nie prześwitywały.

- No, wal śmiało, skarbie - zachęciłem Stirlinga.

- Cóż - zaczął, w jego młodych oczach od razu zapłonęło światełko czujności. -

Samolot z naszymi ludźmi wylądował na wyspie tak szybko, jak się dało. Zabrał

laptopy i wszystkie inne komputery, jakie udało się znaleźć w bibliotece na półpiętrze, opisanej nam przez Oberona, pozostałości po ukrytym plemieniu, które Oberon chciał

uratować. Samolot był gotów do startu, gdy pojawiła się motorówka z podejrzanymi indywiduami. Mieliśmy eskortę pięciu czy sześciu żołnierzy fortuny, że tak ich nazwę, rozumiesz, nie członków Talamaski, ale oddanych nam pracowników, tak więc nastąpiła pewnego rodzaju wymiana zdań. Podejrzone indywidua uznały, że przezorność nakazuje im się oddalić. Prawdę mówiąc, nie potrzebowały wiele czasu na dojście do tego wniosku. Rzekłbym, że uznały, iż ich czas na wyspie dobiegł końca.

Samolot Talamaski wystartował bez kłopotów. Można to przypisać postawie i zdecydowaniu naszych żołnierzy. Tymczasem kancelaria Mayfair i Mayfair prześledziła całą historię wysepki i ustaliła poza wszelką wątpliwością, że tytuł

własności przeszedł z Uzdrowiska Raj Utracony do spółki z ograniczoną odpowiedzialnością Tajna Wyspa, której jedynym udziałowcem i zarządającym był

Ash Templeton. Prawnicy spółki w Nowym Jorku powiadomili innych prawników, ci kolejnych, prawdziwych nadzorców interesów Asha. Przylecieli po południu. Obejrzeni jego zwłoki w Medical Mayfair. Przedstawili ostatnią wolę spisaną cztery lata temu, przekazującą wszystko Michaelowi Curry'emu i Rowan Mayfair, członkom zarządu funduszu powierniczego majątku dzieci Asha do czasu ich pełnoletności. Wszystko to zorganizowano kilka lat po tym, jak Ash w towarzystwie Morrigan opuścił Nowy Orlean. Do tego dołączono listy. Polecenie głosiło: „Przekazać Michaelowi Curry'emu i Rowan Mayfair na wypadek mojej śmierci lub utraty samodzielności”. Zostały wręczone Michaelowi i Rowan.

- Trochę się pogubiłem w tym wszystkim - przyznałem się.

- Ash podjął kroki zapobiegawcze - wytłumaczył mi Stirling. - Wiedział, że ukryte plemię jest w tarapatach. Tylko że po prostu podjął te kroki nie dość szybko.

Komunikował się sporadycznie. Prawnicy zarządzający majątkiem nie wiedzieli, gdzie przebywa ukryte plemię, nie znali danych osobowych jego członków. Ash powinien podać jednej z kancelarii harmonogram działań. Na przykład: „W wypadku braku wiadomości przez dłużej niż pół roku...”

- Rozumiem. Coś wiadomo o treści tych listów?

- Z tego, co Michael mi powiedział, są pełne ostrzeżeń i obserwacji. Zawierają też uprzejme prośby pod adresem Rowan, Michaela i rodziny Mayfair, żeby zajęli się jego dziećmi. Ash był bajecznie bogaty. Główna część majątku przeszła na Rowan i Michaela, którzy mają się nim zająć w imieniu Oberona, Lorkyn i Miravelle. To korzystne rozwiązanie. Nie wiem, czy ktoś cię wtajemniczył, ale

Rowan i Mona przysporzyły ogromnych zysków Dziejstwu Mayfair. Rowan pracuje w zarządach inwestycyjnych Medical Center Endowments i jest uznawana za niezwykle skutecznego gracza giełdowego. Chcę przez to powiedzieć, że fortuna Mayfairów nadal rośnie, mimo kosztów utrzymania

Mayfair Medical, które otrzymuje

najprzeróżniejsze granty. Tak więc nie wątpię, że kancelaria Mayfair i Mayfair wywiąże się co do joty z obowiązków wynikłych z testamentu Asha.

- I uważasz, że jesteś mi winien to wyjaśnienie? - spytałem.

- Tak, z pewnych względów. Faktycznie to ty uratowałeś Taltos. I oczywiście możesz przekazać te wszystkie informacje Monie, gdy poruszy ten temat. A ułam, że poruszy.

Skinałem głową.

- Jak już o tym rozmawiamy, to czy mogę cię zapytać, jak dajecie sobie radę? -

spytał.

- Pijąc krew - wyjaśniłem.

- Nie, chodzi mi o stronę finansową.

- Stirling, zajrzyj do „Kronik” i własnych akt Talamaski. Zabiedzonych nieśmiertelnych można zobaczyć tylko w podrzędnych filmach. Mam tyle bogactw, że nie wiem, co z nimi począć. Są zarządzane z Paryża i Nowego Jorku przez pewnego śmiertelnego, który zna tylko mój głos. Jeśli popadam w ruinę, to tylko moralną, żadną inną.

- Fascynujące - rzekł. - Mów dalej, co się tam dzieje. - No cóż, Rowan jest tak zajęta ciałami w laboratorium, że nie miała czasu zapoznać się z papierami. Michael je przegląda. Pokaże mi je później. Oczywiście Talamaska zwróciła rodzinie Mayfair wszystkie komputerowe dane z porannego przeszukania. Decyzją Asha są własnością Michaela i Rowan. Nie mamy wyboru, tylko musimy je zwrócić. Być może później pozwoli się nam zbadać ten materiał.

- Czy kancelaria Mayfair i Mayfair podjęła jakieś działania w sprawie samej wyspy, żeby nie dopuścić do niej handlarzy narkotyków?

- Sądzę, że skontaktowano się ze wszelkimi ośrodkami władzy, kontrolującymi tę część świata, ale jak mi się wydaje, to bardzo skomplikowana sprawa.

Zaproponowaliśmy powtórne wysłanie najemników. Mogą nas tam zabrać. Wysłano prywatną ochronę. Także brygadę do zrobienia porządków. Wygląda na to, że motorówka oceaniczna i samolot były własnością Asha. Ten Rodrigo, którego byliście tak łaskawi załatwić, był na celowniku wielkiej agencji antynarkotkowej.

Powiadomiono o tym rodzinę, gdy poprosiła o ochronę wyspy. Rodzina nie współpracowała - z

władzami ani ich nie zapraszała. To wszystko załatwiono prywatnymi kanałami.

- Hmm. - Niepokoiłem się o wyspę. Ta cała dżungla nie dawała mi spokoju.

Żałowałem, że nie miałem czasu się po niej przejść. - Gdzie są Taltos?

- Odpowiedzieć krótko czy dokładnie?

- Żartujesz?

- No cóż, Miravelle i Oberon spędzili przedpołudnie i wczesne popołudnie w domu przy Pierwszej Ulicy w towarzystwie Dolly Jean i ciotki Oscar - wyjaśnił Stirling. - To było niesamowite. Chwilami wydawało mi się, że śnię. Ciotka Oscar chyba od lat nie wychylała nosa poza próg swojego mieszkania. Pamiętasz, że chodzi ubrana na cebulkę?

- Jak najbardziej, pamiętam. Rozpuszcza o mnie złe plotki. Wyprostowałbym ją, ale jeśli naprawdę ma ponad setkę, jeszcze dostałaby ataku serca.

- Słuszne założenie. Kiedy Dolly Jean do niej zadzwoniła, ciotka Oscar porozmawiała przez słynny telefon lodówkowy i zgodziła się przyjechać na Pierwszą Ulicę, jeśli zostanie po nią wysłany samochód. Spędziła popołudnie z Dolly Jean i Michaeliem, zabawiając opowieściami „duże niemowlaki”, czy też one zabawiały ją, nie wiem, jak to nazwać, ale Michael i ja uwieczniliśmy wszystko dla potomności.

Miravelle była wstrząśnięta opowieściami staruszczy, ale Oberon pokładał się ze śmiechu. Oznajmił, że to najzabawniejsza śmiertelniczka, z jaką w życiu miał do czynienia, tupał nogami i tłukł dłońią w stół. Naturalnie, byłem wniebowzięty, przyglądając się tej galerii niezwykłych stworzeń z ciotką Oscar na czele. - Zaciągnął

się papierosem. - Faktycznie miała na sobie nie wiedzieć ile sukienek pod paltem z futrzanym kołnierzem, czarny kapelusz z różyczkami i woalką, a jej oczy wyglądały jak jajka. Weszła, żegnając się bezustannie, z różańcem w rękę, otoczona batalionem uroczych urwisów, którzy nie opuszczali jej, gdy wdrapała się po marmurowych schodach do jadalni. Chłopcy szybko odkryli basen, otrzymali pozwolenie na kąpiel i byli zachwyceni. Chyba nadal się w nim taplają. Wygląda na to, że nigdy wcześniej nie pływali w basenie.

- Przerwał.

Pojawiło się Olśniewające Duo. Oboje w luźnych bluzach i spodniach koloru khaki, Quinn w rozpiętej koszuli, Mona w oliwkowozielonym golfie - uderzający kontrast w porównaniu z wieczorowymi strojami, które wcześniej zawsze nosili.

Oboje bladzi i nieco wymizerowani. Dzięki niedawnej uczcie nie musieli się karmić, ale mroczna przygoda chyba wyssała z nich energię. Quinn wyglądał, jakby pościł, Mona wydawała się zraniona i krucha.

Przez chwilę zobaczyłem w niej wychudzoną, umierającą dziewczynkę, którą była, gdy pierwszy raz

ją ujrzałem. Przejął mnie lęk.

Pocałunki i uściski dla Stirlinga, który powstał na przywitanie.

Uściskałem jej dłonie i pochyliłem się, by pocałować ją w usta. Poczułem na nich gorączkę, jakby dawne marzenia zawładnęły jej ciałem. Smutek barwy popiołu zasnuł

jej oczy.

Od razu przeszła do rzeczy, jeszcze zanim opadła na wiklinowy fotel i położyła nogi na stole.

- Rowan już na pewno wie, czy są żywi czy nie.

- Kochanie, oni nie żyją - powiedział Stirling - nie ma wątpliwości. Ogrzano ciała do jakichś pięciu stopni i podłączono do wszelkich monitorów, którymi dysponuje Rowan. Wskaźniki ani drgnęły. Teraz to tylko kopalnia złota, którą Rowan chce zbadać, złoża tkanek, krwi i kości.

- Och, tak, oczywiście. - Mona zamknęła oczy. Wydawała się kompletnie nieobecna duchem. - Szalony naukowiec pewnie jest w siódmym niebie.

- A co z tą trucizną? - spytałem. - Oberon powiedział, że dzieci, które podniosły bunt przeciwko Ashowi i Morrigan, truły ich powoli.

Stirling kiwnął głową.

- Znalezione kilka składników we krwi i w tkankach. Wygląda na to, że podawano im arszenik, środki przeciwzakrzepowe i inne działające na mięśnie. Dawki byłyby zabójcze dla ludzi.

Cała ta sprawa nie jest jasna. Być może podano inne trucizny, które uległy rozkładowi. Poza tym znaleziono spore ilości środków uspokajających.

- Zły Silas - szepnęła Mona.

- Czy Miravelle lub Oberon powiedzieli coś jeszcze o życiu ukrytego plemienia? -

spytał Quinn. - Mam wrażenie, że im więcej Mona się dowie, tym lepiej się poczuje.

- Do diabła z tym - powiedziała cicho Mona.

- Tak, oboje dużo mówili - Stirling kontynuował łagodnym głosem. - Podobnie nowojorscy adwokaci, działający w imieniu Asha. Ich życie układało się bardzo dobrze, zanim ten nikczemnik Rodrigo przejął wyspę. Oberon z przyjemnością wspomina wyprawy i naukę. Miravelle staje się coraz bardziej dziecinna. To wyprowadza z równowagi jej brata.

- Gdzie teraz przebywają? - spytał Quinn.

- W Mayfair Medical. Rowan nakazała poddać ich badaniom dziś wieczór.

- Och, wspaniale, i oboje się zgodzili! - powiedziała Mona. - Dlaczego ja się o tym nie dowiedziałam? Dwoje zmarłych Taltos to za mało! Lorkyn to za mało. Ona musi jeszcze mieć żywe osobniki! Cała Rowan. Czy powiedziała, że biedne dzieci wyglądały nieco mizernie? Czy też po prostu wstrzyknęła im coś do żył, a potem kazała rzucić na nosze? Żałuję, że nie mam dość sił, żeby stanowczo się jej sprzeciwić. Więc niech znikną w laboratoriach i tajnych pomieszczeniach Mayfair Medical. Do widzenia, słodka Miravelle! Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? Zegnaj, Oberonie o ostrym języku, obyś nie naraził się zbyt wielu pielęgniarkom swoim dokuczliwym poczuciem humoru, bo zamienią ci życie w mękę. A kimże jestem ja, dziecię krwi, żeby domagać się tego przywileju i spotkać się z tymi niesamowitymi, nie należącymi do naszej epoki stworzeniami, poza tym, że może udałoby mi się je wprowadzić do dzisiejszego świata, w którym niewątpliwie wpadłyby w sidła kolejnego narkotykowego króla, innego podstępnego Rodriga!

- Mono, Miravelle i Oberon nie spędzą życia w centrum - wyjaśnił Quinn. - Sami możemy tego dopilnować. Rowan nie będzie ich więzić. Znów bezzasadnie wyobrażasz sobie, że jest twoim wrogiem. Jeśli chcesz, możemy w każdej chwili jechać do Mayfair Medical i spotkać się z nimi. Nikt nam tego nie zabroni.

- Posłuchaj, co mówisz! - powiedziała Mona z afektowanym uśmiechem. - Wydaje ci się, że znasz Rowan, a zupełnie jej nie znasz. Umiłowany szef, który uległ jej ponurym czarom w takim samym stopniu, w jakim zapewne spotkało to Asha Templetona, gdyż dla niej zrezygnował z osobników swojego gatunku, i nie zdołał ich uratować, ponieważ uniemożliwiła to zazdrość Morrigan... och, o mroku, o żaloszny mroku, Lestacie, jakim cudem nadziejesz się na sople jej serca?!

- Robisz z Rowan chłopca do bicia - spokojnie powiedział Quinn. - Z jakiego to powodu teraz jej nienawidzisz? Bo orzekła, że Ash i Morrigan są martwi? Lestacie, powiedz jej, że już wcześniej byli martwi. Daj spokój. Daj temu wszystkiemu spokój.

Mona potrząsnęła głową i słowa wartko popłynęły z jej ust:

- Gdzie czuwanie przy zwłokach? Gdzie pogrzeb? Gdzie kwiaty? Gdzie rodzina i pocałunki wszystkich? Czy złożą Asha i Morrigan do rodzinnego grobowca?

Ująłem jej dłoń.

- Ofelio - powiedziałem czule - na co im teraz kwiaty czy pocałunki? „Czy podobna, aby dziewczęcy umysł był tak wąły jak życie starca?”* Spokojnie, moja piękna.

- „Tęsknotę, smutek, boleść, piekło samo zamienia ona w wdzięk i lubość”** -

odpowiedziała mi strofą Barda.

- Nie, wróć. Zbierz siły.

Zamknęła powieki. Milczenie się przedłużało. Czulem, jak głęboko oddycha.

- Stirling, opowiedz jej, jak poszło - rzekłem ostrożnie. - Opowiedz zabawne fragmenty.

- Gdybym tylko potrafił - westchnął. - Po popołudniu z ciotką - Oscar i Dolly Jean, i wszystkich ich opowieściach o dużych niemowlętach na bagnach Miravelle i Oberon byli gotowi jechać do szpitala. Michael Curry zapewne odetchnął z ulgą po ich wyjściu.

- Czy w ogóle nie próbowali ucieczki? - spytała.

- Dom jest otoczony przez strażników - przypomniał Stirling. - Ale, Mono, jak ktoś mógłby wypuścić tych dwoje bez opieki między ludzi? Tak, ukryte plemię przetrwało jakieś pięć lat i Oberon i Miravelle opowiedzieli mi cudowną historię o swoim życiu z ojcem i matką, ale ten pomysł od początku był skazany na klęskę. Rebelia Silasa trwała dwa lata. Rządy Rodriga kolejne dwa i tak dochodzimy do bieżącej chwili.

- No, a co się teraz stanie? - spytała porywczo Mona.

- Oberon oddał swój los w ręce Rowan, a po spotkaniu z Michaelem, zwiedzeniu posiadłości przy Pierwszej Ulicy i wysłuchaniu komicznych opowieści ciotki Oscar i Dolly Jean zapewne naciska na Miravelle, żeby zrobiła to samo co on. Można powiedzieć, że Oberon złożył siebie w ofierze na ołtarzu Medical Mayfair i złożył w ofierze swoją siostrę. Tak to teraz wygląda.

- Coś wiadomo o Lorkyn? - spytałem.

* Laertes, Hamlet, akt IV, sc. 5, w przekładzie J. Paszkowskiego.

** j.w.

- Nie - rzekł Stirling. - Zupełnie nic. Tylko Rowan wie, co się z nią dzieje. Michael nie ma pojęcia.

- Ach, to cudowne! - powiedziała z goryczą Mona. Wargi jej drżały. - Ciekawe, czy pokroiła ją żywcem?

- Przestań - poprosiłem ją cicho. - Lorkyn jest zbrukana krwią innych. Była sługą Rodriga. To on zamordował Asha i Morrigan. Zostaw to.

- Amen - poparł mnie Quinn. - Rzadko spotyka się bardziej przerażającą kreaturę niż Lorkyn. Co Rowan miała z nią począć? Przekazać ludziom z agencji antynarkotykowej? Myślisz, że nie dałaby im znać? Rowan stoi ponad prawem tak jak my.

Mona potrząsnęła głową. Słabła z każdą chwilą.

- A co z Michaelem? - spytała z nutą hysterii w głosie. Twarz nadal miała zbielełą, oczy stężałe od bólu. - Co dzieje się teraz z moim ukochanym Michaelem? Czy on wie, że Rowan po kryjomu jest oczarowana wielkim Lestatem!

- Och, a więc o to chodzi - rzekł z powagą Quinn. - Ty, która jeszcze będąc dzieckiem, spałaś z Michaelem i urodziłaś Morrigan, masz za złe Rowan, że całowała się jak opętana. Mono, weź się w garść!

Przeszyła go morderczym wzrokiem.

- Do tej pory nigdy nie powiedziałeś mi złego słowa, Quinn - szepnęła.

Cała ta wymiana zdań bardzo zaskoczyła Stirlinga.

Ja nie odezwałem się słowem.

- Macie za nic miłość Michaela i Rowan i bardzo dobrze o tym wiecie - powiedział z ostrą nutą Stirling. - Żeby tak mógł sprzeniewierzyć się położonemu we mnie zaufaniu, ale nie mogę. Niech wystarczy, że powiem, iż Rowan kocha Michaela całą duszą. Tak, przeżyła ogromną pokusę, będąc z Ashem Templetonem w Nowym Jorku.

Z jednej strony ona, już bezpłodna kobieta, z drugiej on, mądry nieśmiertelny, który tak dobrze ją rozumiał... ale nigdy nie uległa słabości. I teraz dla nikogo nie zrezygnuje z tego, co dla niej w życiu najważniejsze.

- To prawda - ze spokojem potwierdziłem jego ocenę.

Quinn przyciągnął Monę i pocałował ją. Przytuliła się do niego na znak przebaczenia.

- Gdzie jest teraz Michael? - spytała, unikając mojego wzroku.

- Śpi - wyjaśnił Stirling. - Po tym, jak Rowan zabrała ze sobą Oberona i Mirabelle i odjechała, może niepotrzebnie nadając temu dramatyczny wyraz, Michael powlókł się na górę i padł bez czucia do łóżka. Nic wydaje mi się, żeby spokój jego ducha wzrósł

po uwadze ciotki Oscar. Przed wyjściem zajrzała mu głęboko w oczy, mówiąc, że jest

„rodzicielem potomstwa skazanego na zagładę”.

Mona natychmiast wpadła w furję. (Chociaż lepsza furia niż utrata zmysłów.) Łzy pojawiły się w zaczerwienionych oczach.

- Tego właśnie było potrzeba Michaelowi! Jak ta kreatura śmiała wygłaszać takie brednie! Założę się, że Dolly Jean też przyłożyła do tego rękę. Nigdy by nie pozwoliła, żeby taka okazja prześlizgnęła się przez jej paskudne paluszki.

- Masz rację - rzekł Stirling. - Poradziła Michaelowi, że najlepiej zrobi, sypiąc sproszkowane curry wokół łóżka. Mam wrażenie, że po tym miał już dość.

- Wiesz - powiedziała z rosnącą histerią Mona; słowa znów lały się potokiem z jej ust - kiedy nurzałam się w sławie i chwale nominowanej do Dziedzictwa Mayfair, kiedy nosiłam kowbojski kapelusz, szorty i koszule z szerokimi rękawami, rozbijałam się firmowym samolotem wartym miliony dolarów i zajadałam lodami za wszystkie czasy, chciałam kupić rozgłośnię radiową. I jednym z moich marzeń było dać Dolly Jean własny program, tak żeby ludzie mogli do niej dzwonić i rozmawiać z nią o wiejskich zwyczajach i mądrościach. Zamierałam dać własną audycję starej

Evelyne... wiesz, o kim mówię, Stirling, no nie...? Lestat, stara Evelyne nic, tylko szepce i szepce... i zamierzałam przyznać nagrodę temu, kto by ją zrozumiał.

Wyobraziłam sobie, że będą do niej dzwonić szepcący, wiesz, tacy, którzy będą do niej tak samo szeptać jak ona do nich. Mielibyśmy godzinę szeptania. Im też dałabym nagrodę, dlaczego nie, u diabła? A potem byłaby „Godzina Michaela Curry’ego”, podczas której dzwoniłoby ludzie z opowieściami o Irish Channel albo z irlandzkimi piosenkami i śpiewaliby je razem z Michaeliem. Oczywiście, ja też miałabym własną audycję, wszystko o gospodarce światowej i światowych trendach w architekturze i sztuce. - Westchnęła. - Miałam plany związane z każdym świrem w rodzinie. Nigdy ich nie zrealizowałam, za bardzo się rozchorowałam. Ale Dolly Jean wciąż nawija. A Michaela... Michaela zdradza żona, robiąc to z tobą, i on nie ma nikogo, kto by go obronił.

- Och, Mona, daj spokój - powiedział Quinn.

Nikogo nie obchodziło, czy cierpię i ile cierpię.

Zapadła w trans, blada, o szklistych oczach, ale tylko na chwilę.

- A wiesz, co jest najokropniejsze - powiedziała, mrużąc oczy, jakby zgubiła wątek. -

Och, tak, wampiry, to znaczy prawdziwe wampiry, nie mają stron internetowych.

- I niech tak zostanie - stwierdził Quinn. - Nie powinny mieć żadnych stron w Internecie.

- Czas na łowy - powiedziałem. - Dręczy was pragnienie. Po to jest noc, żeby je zaspokoić. Ruszcie na północ. Zajrzyjcie do przydrożnych piwiarni. Wypełnijcie czas polowaniem. Sądzę, że do jutra Rowan będzie gotowa pokazać nam szczątki Asha i Morrigan. Być może spotkamy się też z Miravelle i Oberonem.

Spojrzała na mnie w oszołomieniu.

- Tak, to brzmi pysznie - szepnęła. - Prawdziwa impreza towarzysząca. Nie bardzo palę się do następnego spotkania z Rowan i Michaeliem. Nie bardzo chce mi się oglądać Miravelle i Oberona. Co się tyczy Morrigan...

- Chodź, moja droga Ofelio - przerwał jej Quinn. - Wzbijemy się w powietrze, mała, i zrobimy to, co kazał umiłowany szef. Znam tę drogę wytyczoną grającymi szafami i stołami do bilarda. Czekają nas łycki krwi kierowców ciężarówek i kowbojów i może przystaniemy zatańczyć do muzyki Dixie Chicks*, i napatoczy się facet z sumieniem czystym jak koszula węglarza. Zwabimy go na skraj parkingu, gdzie zaczyna się las, i zaliczymy wygraną bójkę.

Nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- To brzmi brutalnie i prostacko - westchnęła.

Pociągnął ją z fotela.

Odwróciła się, uściskała mnie gorąco i ucałowała. Byłem zaskoczony i szczęśliwy.

Objąłem ją mocno.

- Mój skrzacie - szepnąłem. - Jesteś dopiero na początku diabelskiej drogi. Czeka cię odkrywanie prawdziwych cudów. Bądź przebiegła. Bądź szybka.

- Ale jak prawdziwe wampiry łączą się w sieci? - spytała z bolesną powagą.

- Zabij mnie, słonko. Jeszcze się nie otrząsnąłem po tym, jak zobaczyłem pierwszą lokomotywę parową. Mało mnie nie przejechała. Dlaczego uważasz, że prawdziwe wampiry chcą mieć dostęp do sieci?

- Przestań się ze mnie nabijać - rzekła w rozmarzeniu. - Naprawdę nie chcesz, żebym stworzyła własną witrynę?

- Absolutnie nie chcę! - powiedziałem zimno.

- Ale ty wydałeś „Kroniki”! - zaprotestowała. - Co ty na to? - Wzięła się pod boki. -

Chciałabym wiedzieć, jak to uzasadnisz?

* Najpopularniejszy (wg Wikipedii) żeński zespół muzyki country.

- To była starożytna, uświęcona tradycją forma wypowiedzi. Publiczna spowiedź.

Forma stara jak Egipt. Książka bez hałasu idzie w świat, ma naklejkę „beletrystyka”, ma być przeglądana, oceniana, przekazywana z rąk do rąk, być może odkładana na potem, przypadnie, jeśli okaże się niechciana, przetrwa, jeśli okaże się potrzebna, trafi do kufrów, skarbców, a może do kąta na strychu, kto wie? W każdym razie jestem przygotowany na każdą reakcję. Trzymaj się z daleka od Internetu!

- To mi pachnie na miłą kurzem - zaprotestowała. - Chociaż i tak cię uwielbiam.

Tylko zastanów się nad tym pomysłem z radiem. Może nie jest za późno. Mógłbyś mieć własny program.

- AAAAAAHHHHHH! - wrzasnąłem. - Nie zniosę tego dłużej! Myślisz, że posiadłość Blackwood to cały świat. Nie, Mono! To tylko posiadłość Blackwood, a cała reszta to Bagna Słodkiego Czarta, uwierz mi. I jak długo według ciebie będziemy mieli Blackwood, ty, ja czy Quinn? Mój Boże, masz bezpośrednie połączenie do tej, która ci powiedziała, gdzie znaleźć ukryte plemię, mailujesz do Centrum Mądrości, a pleciesz o stronie internetowej! Zgiń, przypadnij, maro nieczysta! Ratuj się przed gniewem moim!

Chyba ją trochę wystraszyłem. Była tak zmęczona i wycieńczona, że uległa moim wrzaskom.

- To nie koniec dyskusji na ten temat, umiłowany szefie - powiedziała. - Twój problem polega na

tym, że za bardzo się emocjonujesz. Wystarczy, że spytam o byle co, a ty zaraz wybuchasz.

Quinn wziął ją w ramiona i uniósł wysoko, po drodze wirując nad tarasem i śpiewając. Tak zniknęli mi z oczu, a jej śmiech połączył się z delikatnym pomrukiem wieczoru.

Ciepły powiew wypełnił ciszę. Dalekie drzewa wdzięcznie tańczyły. Nagle serce zaciążyło mi w piersiach i poczułem lodowaty niepokój. Wziąłem posążek świętego Juana Diego z kamiennej posadzki i postawiłem go jak należy, na stole. Nic o nim nie powiedziałem. Ach, tandetny faceciku z papierowymi różyczkami, bez dwóch zdań zasługujesz na lepszy wizerunek.

Zapadałem się w otchłań. Pulsująca noc śpiewała mi o nicości. Gwiazdy rozłożyły się na niebie, ukazując pełną grozy prawdę o naszym wszechświecie - kawałkach, szczątkach niczyjego ciała uciekających z monstualną prędkością od bezsensownego nierozumnego źródła.

Święty Juanie Diego, odsuń to ode mnie. Spraw kolejny cud!

- O co chodzi? - cicho spytał Stirling.

Westchnąłem. Dalekie białe płoty pastwiska wyglądały pięknie, a zapach trawy był uroczy.

- Doznałem tu klęski - powiedziałem - poważnej klęski. - Przyjrzałem się mojemu rozmówcy.

Cierpliwy Stirling, angielski uczonec, święty Talamaski. Człowiek, który przestaje z potworami. Nieprzytomny z niewyspania, a mimo to skupiony.

Odwrocił się ku mnie. Mądre, czujne spojrzenie.

- Co masz na myśli? - spytał. - O jakiej klęsce mówisz?

- Nie potrafię jej opisać powagi transformacji, którą przeszła.

- Och, ona zdaje sobie z niej sprawę.

- Zdziwiasz mnie. Chyba nie zapomniałeś, kim jestem. Patrząc na mnie, nie dajesz się zwieść pozorom. Jest w tobie zapas dobroci i mądrości, który nigdy nie pozwala ci zapomnieć, co kryje się za maską, którą oglądasz. A teraz wyobrażasz sobie, że znasz Monę lepiej ode mnie?

- Ona przeżywa jeden szok po drugim - powiedział ze spokojem. - Co można na to poradzić? Czego się po niej spodziewasz? Wiesz, że czci cię jak boga. A może się bawi twoimi skandalicznymi propozycjami? Tak zawsze przeżywała świat. Kiedy jestem blisko niej, nie czuję lęku, instynktownego niepokojem ani mocy, nad którą ona sama nie potrafiłaby zapanować. Czuję coś wręcz przeciwnego. Odnoszę wrażenie, że może przyjść chwila, w której obejrzyś się za siebie i zdasz sobie sprawę, że gdzieś po drodze - Mona utraciła niewinność, a ty nawet nie zdołasz sobie przypomnieć, kiedy to nastąpiło.

Pomyślałem o niedawnej masakrze, bezlitosnej eliminacji lorda Rodriga i jego żołnierzy. Pomyślałem o ciałach wrzucanych do wiecznego morza. Pomyślałem o nicości.

- My nie handlujemy niewinnością, mój przyjacielu - powiedziałem. - Nie kultuwujemy jej w sobie. Zdarza się, że szanujemy honor, bardziej niż to sobie wyobrażasz, i zasady, i cnoty. Uczyłem ją tego. Od czasu do czasu potrafimy wspaniale się zachować. Nawet stać nas na heroizm. Ale niewinność...? Niewinność nam nie służy.

Zastanowił się głęboko, ledwo dostrzegalnie kiwając głową. Wyczuwałem, że pytania cisną mu się na usta, ale nie śmie wypowiedzieć ich na głos. Co go wstrzymywało? Dobre maniere czy strach? Nie wiedziałem.

Przerwano nam i być może dobrze, że się tak stało.

Przyszła Jasmine, niosąc Stirlingowi kolejny dzbanek kawy. Była w obcisłej czerwonej sukience i szpilkach. Głośno śpiewała:

- *Gloria! Gloria! In Excelsis Deo!*

- Gdzieś usłyszała tę pieśń? - spytałem. - Czy tutaj wszyscy się sprzysięgli, żeby doprowadzić mnie do szaleństwa?

- Ależ skądże - zaprotestowała. - Co ci przychodzi do głowy? To katolicka pieśń, nie wiedziałeś? Babcia śpiewają w kuchni przez cały dzień. Mówi, że to stara pieśń z mszy odprawianej po łacinie. Mówi, że we śnie widziała, jak Patsy ją śpiewa. Była przebrana za kowbojkę, cała na różowo, i grała na gitarze.

- *Mon Dieu!* - Przeszedł mnie dreszcz. Nic dziwnego, że Julien dał mi spokój tej nocy. Czemu nie?

Nalała dymiącą kawę do dwóch filiżanek. Odstawiła dzbanek. Pocałowała mnie w czubek głowy.

- Wiesz, co ciotka Queen powiedziała mi we śnie zeszłej nocy? - spytała rześkim głosem, kładąc mi rękę na ramieniu.

Ucałowałem jej atlasowy policzek.

- Nie, co? - spytałem. - Ale, proszę, powiedz mi to ogłędnie. Jestem w proszku.

- Powiedziała, że ujęło ją, że spałeś w jej łóżku, że zawsze chciała mieć w łóżku takiego przystojniaka jak ty. Śmiała się bez opamiętania. Babcia mówi, że kiedy śnisz o kimś zmarłym i on się śmieje, to znaczy, że jest w niebie.

- Myślę, że to prawda - rzekł z całą powagą Stirling. - Ta kawa jest doskonała. Jak ją parzycie?

- Pij - powiedziałem. - Przyjechałeś tym potężnym maleństwem, MG TG, prawda?

- Jak najbardziej. Gdybyś miał oczy z tyłu głowy, zobaczyłbyś, że stoi przed domem.

- Podrzucić mnie w pewne miejsce. Muszę dostarczyć tego oto świętego Oberonowi.

- Mógłbyś potrzymać filiżankę i dzbanek, kiedy będę prowadził? Jasmine, pozwolisz, że wezmę je ze sobą?

- A podstawkę nie? To Royal Antoinette, podstawki są najśliczniejsze. Proszę tylko spojrzeć. Dostaliśmy ten wzór pocztą od Julienu Mayfaira, serwis na dwanaście osób, prezent dla *La Famille*.

Tylko tego brakowało.

- Nie - powiedziałem. - To nie mogło przyjść od Julienu.

- A właśnie że tak! - zawołała. - Mam jego list. Wciąż zapominam go dać Quinnowi.

Czy on był na mszy za ciocię? Nigdy nie spotkałam żadnego Julienu Mayfaira.

- Kiedy przyszła paczka?

- Nie wiem. Dwa dni temu? - wzruszyła ramionami. - Zaraz po tym, jak Mona Mayfair przyjechała dołączyć do reszty menażerii. Który to Julien? Był tu?

- Co jest w tym liście?

- Och, coś w tym guście, że gdyby miał stale odwiedzać posiadłość Blackwood, chciałby korzystać ze swojej ulubionej porcelany. Co ci nie leży? To piękna porcelana!

Nie miałem najmniejszego zamiaru jej tłumaczyć, że Julien Mayfair to duch, a ten właśnie wzór porcelany pojawił się podczas czarów, które Julien rzucił na niczego nie podejrzewającego i aż nazbyt śmiertelnego Quinna, dokładając do filiżanek i dzbanka gorącą czekoladę, ciastka i długą opowieść, jak to on, Julien urzędował w sypialni z prababką Quinna. Niech piekło pochłonie tę przeklętą zjawę.

- Nie podoba ci się? - tymczasem dziwiła się Jasmine. - Ja naprawdę uważam, że to piękny wzór. Ciocia Queen byłaby nim zachwycona. Te różyczki są idealnie w jej stylu.

Sam wiesz.

Stirling coś za bardzo mi się przyglądał. Oczywiście, wiedział, że Julien Mayfair to zjawą. Umarły. Czemu ukrywałem machinację tego demona? Czego się wstydziłem?

- Tak, jest bardzo niezwykły - powiedziałem. - Ma w sobie taką staroświecką delikatność. Stirling, co ty na to, żeby napić się do woli przy stole i jechać?

- Dziękuję, już mi wystarczy - rzekł. Wstał.

Ja również.

Z zuchwałym zapamiętaniem przygarnąłem Jasmine i ucałowałem ją jak szalony.

Wrzasnęła. Ująłem jej twarz w dłonie i spojrzałem w blade oczy.

- Jesteś uroczą kobietą - powiedziałem cicho.

- Czemuś taki smutny? - spytała. - Czemuś taki zmarniały?

- Tak wyglądam? Nie wiem. Może to przez Blackwood. Ta posiadłość to chwila w czasie. Tylko chwila. I przeminie...

- Nie za mojego życia - rzekła, uśmiechając się. - Och, wiem, że Quinn ożeni się z Moną Mayfair i ona nie może mieć dzieci. Wszyscy o tym wiemy. Ale Jerome tu dorasta. To mój chłopiec i syn Quinna, i Quinn sam wpisał swoje nazwisko na jego akcie urodzenia. Ja nigdy o to nie prosiłam. Tommy tu dorasta. I jest Blackwoodem. A Nash Penfield się zestarzeje, doglądając tego domu, strasznie go kocha. I dochodzi jeszcze Terry Sue, matka Tommy'ego. Nie wiem, czyście ją kiedyś widzieli, ale jakbyście kiedyś wpadli na świńskie ucho owinięte w jedwabie, to poznacie Terry Sue.

Ciocia Queen dokonała z nią prawdziwego cudu, mówię wam, i Terry Sue będzie oprowadzać u nas gości w weekendy, a jej córeczka, Brittany, będzie jej za pomoc.

Teraz jest siostrzyczką Tommy'ego. To dopiero urocze, grzeczne dziecko. I chodzi do dobrej szkoły, zasługa Quinna. Wszystko zasługa Quinna. I cioci Queen. Nie macie pojęcia, ile ona nauczyła Brittany. Posiadłość Blackwood kwitnie i będzie kwitła.

Wierzcie mi. Pomogłeś duchowi Patsy przejść przez most do tamtego świata, więc chyba znasz przyszłość, no nie?

- Nikt naprawdę nie zna przyszłości - powiedziałem. - Ale masz rację. Wiesz o wielu rzeczach, o których ja nie wiem. To jasne. - Zabrałem świętego Juana Diego.

- To ty, Quinn i Mona stąd odejdziecie. Czuję waszą niecierpliwość. Ale Blackwood?

Przeżyje nas wszystkich.

Musnęła mnie wargami. A potem odeszła, jej biodra pięknie pracowały pod obcisłą sukienką, szpilki podkreślały linię nóg, niosła wysoko głowę i jasne, krótko ścięte włosy - pani władająca kluczami tego domu. I swoją przyszłością.

Odeszliśmy, Stirling i ja.

Wsiedliśmy do niskiego samochodu. Poczułem rozkoszną woń skóry. Stirling włożył ładne szoferskie rękawiczki z beżowej gienzy i pomknęliśmy podjazdem, podskakując na każdym kamyku i grudce ziemi.

- To jest sportowy samochód! - zawołałem.

Stirling zapalił papierosa i wrzucił wyższy bieg.

- Tak, dziecino! - krzyknął, pokonując huk powietrza. Dwadzieścia lat spadło mu z barków. - A kiedy chcesz się pozbyć papierosa, to gasisz go na drodze. Piękna sprawa.

Pędziliśmy między bagnami.

Rozkoszowaliśmy się prędkością, na nic nie zważając, i dotarliśmy do Mayfair Medical trzy godziny przed świtem.

Długo chodziłem korytarzami, podziwiając malowidła na ścianach, poczekalnie dla rodzin pacjentów, meble i obrazy. I hole z majestatycznymi rzeźbami, i lśniące marmurowe podłogi.

Potem przeszedłem się po korytarzach laboratoriów i pomieszczeń badawczych, gubiąc się w labiryncie tajemniczych sal, w których ludzie w białych kitlach mijali mnie, pozdrawiając skinieniem głowy. Zakładali, że wiem, dokąd idę, przyciskając do piersi figurkę świętego.

Ten pomnik rodziny i jednej kobiety był ogromny, większy niż mogłem objąć umysłem. Pomnik ważny dla życia wielu tysięcy. Wielki ogród z wieloma starannie umieszczonymi sadzonkami, z których miał urosnąć imponujący las, nie potrzebujący już opieki.

Co robiłem na świętej górze tej, która przechadza się z Bogiem?

W aksamitnej ciszy szukałem Oberona.

Stał przy oknie, w białym szpitalnym ubraniu, patrząc na rozświetlone łuki rzecznych mostów. Z dołu bił miękki, przezroczysty blask budynków śródmieścia.

Kiedy wszedłem, Oberon odwrócił się w miejscu.

- Święty Juan Diego - powiedziałem, stawiając figurkę przy łóżku.

- Och, dziękuję ci - rzekł ciepło, bez śladu wcześniejszej pogardy. - Teraz będę mógł zasnąć.

- Czujesz się nieszczęśliwy? - spytałem.

- Nie - odparł łagodnie. - Tylko myślę. W mojej celi powiedziałem sobie, że całe piękno zawiera się w wiecznie zmiennych falach oceanu. Musiałem w to wierzyć. Ale wielki świat to puszcza cudów. Jestem bardzo szczęśliwy. I moja dusza nie kłopotuje się o Miravelle, moją słodką głupiutką Miravelle! Jestem bezpieczny. Ona jest bezpieczna. I jestem wolny.

W pokoju utrzymywano stałą temperaturę, cztery i pół stopnia. Nawet mnie było zimno. Rowan miała sine usta. Stała jednak, nie skarżąc się, tuż przy drzwiach.

Złożyła ramiona na piersi, oparta o ścianę, i nie ponaglała nas. Miała na sobie białą kurtkę z identyfikatorem, białe spodnie, czarne, zwykłe buty. Włosy szesała z twarzy.

Nie patrzyła na mnie. Byłem zadowolony.

Ściany były białe. Podobnie kafelkowa podłoga. W pokoju stał wszelkiego rodzaju sprzęt, monitory, kable, przezroczyste rurki, butle, ale nie pracował, rozstawiony pod ścianami i w kątach. Białe metalowe żaluzje nie wpuszczały do pomieszczenia barw nocy.

Ubrana schludnie w długą różową piżamę Miravelle cicho płakała. Oberon w białej jedwabnej piżamie i szlafroku tylko się przyglądał lśniącymi oczami, spuściwszy powieki.

Mona stała bez słowa, podróżniczka przebrana na safari. Trzymała rękę na plecach Miravelle, w drugiej ścisnęła wielki bukiet dobranych na chybił trafił kwiatów. Oczy miała suche, wyglądała na zmarzniętą i zatroskaną.

Quinn trzymał się przy drzwiach, ze mną. Miał bukiet, o którego przyniesienie wcześniej poprosiła go Mona.

Zapach kwiatów wypełniał pokój. Były to stokrotki, cynie, lilie, róże i gladiolusy, a także inne kwiaty, których nie znam, o różnych barwach.

Ciała leżały na osobnych łóżkach. Ich kończyny jakby nie uległy *rigor mortis* skóra była zielonkawa, policzki lekko zapadnięte. Rude włosy Morrigan rozkładały się na posłaniu, jakby spoczywała w wodzie. Czy to dlatego Mona tym usilniej myślała o Ofelii? Palce i rzęsy Asha były niezwyklej długości. Miał dobrze ponad dwa metry wzrostu i gęste, sięgające do ramion czarne włosy, posiwiałe na skroniach. Piękne usta. Morrigan bardzo przypominała Monę. Widok zmarłej pary zachwycał.

Głowy spoczywały na poduszkach. Żadne płyny ciała nie zabrudziły prześcieradeł.

Nałożono im świeże ubrania, zwykłe białe spodnie z bawełny i rozpięte pod szyją koszule, bardzo podobne do strojów, w których ich znaleźliśmy - co wydawało się, jakby to było lata świetlne temu.

Nagie stopy przypominały nam, że oglądamy trupy. Nie jestem pewien, skąd to wrażenie. Może były w większym stopniu odbarwione, a nawet zniekształcone, niż reszta ciała.

Chętnie ujrzałbym oczy Asha. Chętnie uniósłbym zmarłemu powiekę i obejrzał

źrenice. Nie chciałem się jednak odzywać ani o nic prosić.

Miravelle w końcu podeszła do Asha i pogładziła go po policzku. Pochyliła się i ucałowała martwe usta. Przekonawszy się, że są miękkie, zamknęła oczy i pocałunek był długi i żarliwy. Wyciągnęła drugą rękę i Mona dała jej połowę swoich kwiatów.

Miravelle rozrzuciła je po całym ciele Asha, aż częściowo je przykryły. Wtedy Mona dała jej resztę i uzupełniły kwietny płaszcz, pozostawiając odkrytą tylko twarz. Zanim Miravelle się cofnęła, ucałowała go w czoło.

Widok Morrigan wzbudził w niej szloch.

- Matko - powiedziała. Mona, która do niej przyłgnęła, nie powiedziała słowa. Ale splotła dłoń z dłonią Morrigan.

Quinn podał kwiaty Monie. Ta wręczyła połowę Miravelle. Wspólnie zasłali nimi ciało Morrigan.

Oberon obserwował wszystko w milczeniu, ale łzy napłynęły mu do oczu. Pokryły policzki. Zmarszczki pobruździły czoło.

Nierówny, urywany szloch Miravelle w końcu ucichł. Mona powoli skierowała ją do drzwi. Obejrzała się na progu.

- Zegnaj, Morrigan - szepnęła.

Wyszliśmy gęsiego i udaliśmy się za Rowan krótkim korytarzem, wyłożonym grubą wykładziną.

Weszliśmy do bardzo efektownej sali konferencyjnej. Byli tam Michael i Stirling, obaj w ciemnych garniturach. Ja ubrałem się podobnie, Quinn również.

W tym zadziwiającym pomieszczeniu stały autentyczne krzesła w stylu chippendale; otaczały starannie wypolerowany, owalny stół. Ściany miały chłodną, lawendową barwę, wisiały na nich cudowne ekspresjonistyczne obrazy, tętniące kolorami. Z przyjemnością bym je ukradł i zawiesił u siebie. Za oknami światelka rozjaśniały noc. Przy ścianie stał stół z marmurowym blatem, zastawiony migoczącymi szklankami, kieliszkami i karafkami.

Michael posiłkował się dużymi łykami burbona. Stirling miał szkocką.

Miravelle próbowała powstrzymać łzy, ale z mizernym skutkiem. Rowan naląła jej kieliszeczek sherry i wtedy Taltos roześmiała się, unosząc do światła delikatną nóżkę i pociągając łyceczek. Jednocześnie śmiała się i cicho płakała. Jej różowa koszula nocna była bardzo delikatna.

Oberon gestem odmówił napitku. Wpatrywał się w noc, nad głowami i ramionami obecnych. Nie wstydził się łez. Dopiero teraz zauważyłem, że zmył lakier z paznokci.

- Co z nimi zrobicie? - spytała Mona.

Rowan odchyliła się do tyłu. Przez długi czas rozważała odpowiedź i w końcu rzekła:

- Co byś zrobiła, będąc mną?

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że jestem tobą - rzekła tylko Mona.

Rowan wzruszyła ramionami. Była smutna. Nie ukrywała tego.

- Zrób z nimi, co chcesz, Rowan - odezwał się Oberon. W jego głosie zadźwięczała dawna pogarda.
- Do diabła, ojciec powiedział Rodrigowi, żeby zachował ciała dla ciebie, prawda? To całkiem jasne. Rodrigo nie był ani na tyle mądry, ani nie miał

takiej wyobraźni, żeby wymyślić podobne życzenie. Ojciec chciał się do czegoś przysłużyć. Zgodnie z jego wolą ciała są twoje. Nie ma potrzeby dłużej tego wałkować.

- To wszystko czysta prawda - potwierdziła słowa brata Miravelle, kiwając głową. -

Rowan, ojciec cię kochał. Naprawdę. Zrób to, czego sobie życzył.

Rowan nie odpowiedziała. Siedziała, patrząc w dal, zgodnie ze swoim zwyczajem, po czym nacisnęła guzik pod stołem.

Nie minęło kilka sekund, a otworzyły się drzwi i wkroczyła Lorkyn.

Na widok tego stworzenia przeżyłem kolejny wstrząs, nie dlatego że poruszała się bez obstawy, ale dlatego że nosiła się jak lekarz, w białej kurtce i spodniach, z własnym identyfikatorem. Jej twarz była równie nieodgadniona jak podczas naszego pierwszego kontaktu na Tajnej Wyspie.

Biel stroju podkreślała kocią słodycz jej urody - zadarty nosek, różowe usta, wielkie oczy. Włosy szcesała do tyłu i rozlewały się na plecy, rude jak włosy Mony. Miała również oczy Mony - zielone.

Niezapraszana zajęła miejsce przy stole, naprzeciwko mnie, Oberona i Miravelle.

Mona patrzyła na nią chłodno. Oberon był niezwykle czujny. Miravelle wpatrywała się w nią, jakby była jakimś dziwowiskiem. Tylko Rowan sprawiała wrażenie osoby, która wie, z kim ma do czynienia.

Lorkyn odezwała się pierwsza:

- Powiem to wam raz, Oberonie i Miravelle, i nie będę więcej powtarzać. Nie poddam się żadnym bezlitosnym przesłuchaniom. Sama przedstawię wam to, co za zamierzam ujawnić.

- Lepiej, żeby to były jakieś niezwykle rewelacje, skarbie - powiedział z goryczą Oberon.

- Będą - wtrąciła Rowan. - Proszę, zechciejcie posłuchać tego, co Lorkyn ma do przekazania.

- Przelewałam pieniądze Rodriga na numerowane konta, żebyśmy kiedyś sami mogli nimi rozporządzać. Zawiadamiałam władze w Miami Beach o jego działaniach na wyspie, najszybciej jak to możliwe pozbywając się jego kontaktów. Nie zapominajcie, że nigdy nie miałabym połączenia ze

światem zewnętrznym ani -

dostępu do informacji finansowych, gdyby Rodrigo nie uznał, że mu służę. Poza tym wszelkimi sposobami starałam się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja prawna ojca i matki, kto jest legalnym właścicielem Tajnej Wyspy. Ale nie udało mi się dociec prawdy. Nie znałam nazwiska ojca. Lata temu, kiedy po raz pierwszy zaczął

podejrzewać, że Silas kopie pod nim dołki, zniszczył każdy skrawek papieru, który umożliwiłby Silasowi objęcie kontroli nad rodzinnymi finansami. Adwokaci ojca przylecieli samolotem i wywieźli wszelkie dokumenty. Gdybym znała nazwisko

„Templeton” i nazwę „Raj Utracony”, połączyłabym się z nowojorskimi prawnikami ojca. Teraz co do Rodriga. Nie miałam możliwości go zabić. Zawsze chodził w otoczeniu kilkunastu uzbrojonych ludzi. I tak było do ostatniej nocy, kiedy ten jasnowłosy archanioł wyrznął wszystkich jego zbirów, zanim pozbył się jego samego.

Ja nigdy nie miałam takiej szansy, nie znalazłam się w tak korzystnej sytuacji. Ale przygotowywałam się do tego, gromadziłam pieniądze i planowałam pozbycie się Rodriga i jego matki, uwolnienie ciebie, Oberonie, i ciebie też, Miravelle, oraz wydostanie się z wyspy i bezpieczną podróż do Mayfair Medical, gdzie mogłabym znaleźć pomoc.

Oberon milczał. Miałem wrażenie, że chce uwierzyć Lorkyn, ale nie potrafi zdobyć się na zaufanie.

- W wolnym czasie, którego miałam mnóstwo - mówiła dalej Lorkyn - zapoznałam się wnikliwie z działalnością Mayfair Medical. Jako że ojciec powiedział nam o centrum i o Rowan Mayfair, chciałam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

Nie zamierzałam wzywać pomocy, dopóki nie będę pewna, że mądrze postępuję.

Przeczesałam Internet, szukając informacji o Rowan Mayfair i Mayfair Medical.

Przeczytałam wszystko, co zdołałam zgromadzić. Nie natrafiłam na żadną pewną informację, świadczącą, że Rowan ma władzę, doświadczenie czy środki niezbędne, żeby uwolnić nas od Rodriga i jego przestępczej rodziny. Uznałam, że sama muszę się nim zająć. Potem mogłabym wywieźć nas z wyspy i skontaktowalibyśmy się z Rowan.

Jeśli wy dwoje mi nie wierzycie, to nie mam sposobu, żeby was przekonać. Sugeruję, żebyście ruszyli głową.

- Do diabła, czemu po prostu nie skontaktowałaś się z władzami? - spytał z mocą Oberon. - Czemu nie przesłałaś posiadanych dowodów władzom? Mogłaś to zrobić mailem.

- A gdybym to zrobiła, to gdzie waszym zdaniem byście teraz byli?

Gniew zniknął z twarzy Oberona. Bez drgnienia wytrzymał jej spojrzenie i rzekł:

- Nie wiem.

- No cóż, ja też nie - powiedziała Lorkyn. - Myślicie, że uwierzono by w waszą niewinność? Myślicie, że uwierzono by w opowieść o ukrytym plemieniu? Czy też osadzono by was w areszcie jako podejrzanych? A jak myślicie, czy wrogowie Rodriga nie dorwaliby was jeszcze przed procesem?

- Rozumiem, o co ci chodzi - rzekł z wyrazem znudzenia Oberon.

- Co ty nie powiesz...?! - parsknęła teatralnym tonem, chociaż nadal zachowywała spokój. - Rowan Mayfair wie, kim są Taltos.

- Więc czego szukałaś? - spytała Mona.

- Szukałam bezpiecznej kryjówki - odparła. - Być może jedynej, jaka istnieje. I dopiero, kiedy tu dotarłam i przgadałam z Rowan osiem godzin, nie wychodząc z pokoju, pozbyłam się resztki podejrzeń.

- Zapewne nieco zbyt wcześnie - zauważyła Mona.

Lorkyn spojrzała na nią. Uniosła brwi.

- Och?

Mona nie zareagowała.

Rowan się nie odzywała. Nawet nie popatrzyła na Monę.

- Proszę, wybaczenie Monie - powiedział cicho Quinn.

- Dalej, Lorkyn - zachęciłem ją. - Przgadałaś z Rowan osiem godzin. I co z tego wynika?

- Ze to jest miejsce, w którym Taltos mogą pozostać - stwierdziła.

- Co, żeby być obiektem badań? - zaperzyła się Mona. - Wylądujecie w klatkach laboratoryjnych. Nazywasz to bezpieczną - kryjówką? Ta kobieta wali ci zastrzyk na pasie startowym, a ty ufasz jej bezgranicznie?

Lorkyn wpatrywała się w Monę. To był dziwny moment. Wysoka, długoszyja Taltos była całkowicie zaskoczona zachowaniem Mony. Po chwili się otrząsnęła i mówiła dalej cicho i z przekonaniem:

- Nie rozumiesz mnie, Mono. Traktuję to miejsce jako przyjazne środowisko, jako społeczność, świat, w którym możemy mieszkać, funkcjonować, być bezpieczni i się rozwijać. Ja sama wcześniej pilnie uczyłam się medycyny. Dowiedzieliście się o tym, kiedy zajrzeliście do mojego komputera na wyspie. Przywieźliście Rowan twardego dysku.

Przedstawiliście dowody moich zainteresowań. Chcę je kontynuować. Chcę zostać lekarzem. Takie jest moje życzenie i Rowan przyjęła mnie na uczennicę. Znalazłam przychylność w jej oczach. I są tu możliwości owocnej pracy dla Oberona i Miravelle.

Mamy tu samowystarczalny świat, w którym Taltos mogą być obserwowani bez uciążliwych ograniczeń i łatwo chronieni, świat, w którym znajdą spokój.

- Ach, cóż za cudowna, mądra wizja - powiedział Stirling. - Ze też mnie nigdy coś takiego nie wpadło do głowy.

- Och, cudowny pomysł! - poparła go Miravelle. - I możemy cały czas chodzić w nocnych koszulach, przynajmniej ja mogę. Uwielbiam nocne koszule.

- Jest tu, jak pewnie wiesz - kontynuowała Lorkyn, nie spuszczać wzroku z Mony

- wiele apartamentów połączonych z częścią szpitalną, przeznaczonych dla rodzin pacjentów. Możemy w nich mieszkać, podczas gdy będziemy się uczyć i pracować.

Wcale nie musimy opuszczać terenu centrum, chyba że będziemy mieć jakiś wcześniej ustalony cel. - Odwróciła wzrok od Mony. Skupiła uwagę na Oberonie. - Moje postępy były powolne i sukces niepełny. Ale Rowan ma dowody moich starań. I, Mono...

widziałaś je. Ty, Lestacie, również. Oberonie, czy przyjmujesz do wiadomości to, co powiedziałam?

Nie pozostał obojętny na to wezwanie. Chociaż nie potrafiłem przeniknąć jego myśli, widziałem, jak mienił się na twarzy.

- Dlaczego przez dwa lata nie przyszedłeś do mnie? - spytał.

- Byłeś kochankiem Lucii - wyjaśniła. - Nocami słyszałam, jak wyjesz z rozkoszy. Co miałam ci powiedzieć? Skąd mogłam wiedzieć, czyjej czegoś nie przekażesz?

- Mogłaś dać mi znać, że żyjesz.

- Wiedziałaś, że żyję. Widywałeś mnie. Poza tym poruszałam się wytyczonymi trasami. Prawdziwą wolność miałam w sieci. Poszerzałam wiedzę. Musiałam znaleźć nie tylko bezpieczne miejsce, do którego mogliśmy się udać, ale takie, w którym mogliśmy pozostać.

- Jesteś zimna - rzekł z obrzydzeniem Oberon. - Zawsze taka byłaś.

- Może, ale teraz mogę się nauczyć, jak być ciepłą. Rowan Mayfair mnie tego nauczy.

- Och, to dopiero wspaniałe! - powiedziała Mona. - Oberon, Miravelle, lepiej zamówcie sobie grube futra.

Michael otrząsnął się ze swoich cichych przemyśleń.

- Mono, skarbie, proszę, zaufaj temu, co staramy się przeprowadzić.

- Jeśli tak twierdzisz, wujku Michaelu - powiedziała.

- Czy się nie zgadzacie, że potrzebujemy bezpiecznej kryjówki? - spytała Lorkyn, patrząc na Oberona i Miravelle. - Po prostu nie możemy pokazać się między ludźmi.

- Nie, nie, ja nie chcę iść między ludzi - rzekła Miravelle. Oberon zastanawiał się długo. Jego bajeczne powieki opadły i uniosły się.

- Masz, oczywiście, rację. Gdzie poza tym miejscem możemy odkryć jakieś środki antykoncepcyjne, które pozwolą nam spółkować bez groźby natychmiastowego zapłodnienia? Oczywiście. Jesteś genialna. Znakomicie. - Kolejny raz wdzięcznie wzruszył ramionami. - Czy będziemy mieli pieniądze z rachunków, na które dokonywałaś przelewów? - spytał.

- Mamy bogactwa po ojcu - powiedziała Lorkyn. - Wielkie bogactwa. Rodzina Mayfair je odkryła. To już nie problem. Nie masz już długu wdzięczności wobec innych. Jesteśmy wolni.

- Tak, nie macie żadnego długu wdzięczności - potwierdziła łagodnie Rowan.

- Znakomicie. Czuję, że ta dyskusja jest zamknięta - rzekła Lorkyn.

Wstała. Spojrzała na Rowan i jakiś prąd przepłynął między tymi dwiema kobietami

- akceptacji, zaufania i wiary.

Oberon wstał i wziął za rękę Miravelle.

- Chodź, moja cudowna mała idiotko - rzekł - wrócimy do mnie i dalej będziemy oglądać *Władcę pierścieni*. Już przynieśli nam pomadki z białej czekolady i naprawdę zimne mleko.

- Och, wszyscy są dla nas tacy dobrzy - powiedziała Miravelle. - Chcę, żebyście wiedzieli, że kocham was bez wyjątku. Tak się cieszę, że wszyscy źli ludzie zginęli i że Rodrigo spadł z balkonu. Co to było za szczęście.

- Czy słuchając jej słów, nie czujecie się podniesieni na duchu? - spytał wyniośle Oberon. - I coś mi się zdaje, że się przyzwyczaję do wysłuchiwania tych bredni osiemnaście godzin na dobę. Co z tobą, Lorkyn? Czy kiedyś zajrzysz do brata i siostry i zaszczycisz nas kilkoma minutami inteligentnej rozmowy na temat twoich studiów?

Mogę po prostu zwariować, jeśli od czasu do czasu nie użyję bardziej skomplikowanych słów niż jeść, pić i spać.

- Tak, Oberonie - obiecała. - Będę was odwiedzać częściej, niż to sobie wyobrażasz.

Obeszła stół i zatrzymała się przed bratem. Spłynęło zeń wszelkie napięcie i wziął

Lorkyn w ramiona. Ucałowali się gorąco, po czym rozłączyli, dając wyraz wzajemnemu szacunkowi i splatając delikatne cienkie palce.

- Och, jestem taka szczęśliwa - powiedziała Miravelle. Pocałowała Lorkyn w policzek.

Oberon i Miravelle wyszli.

Lorkyn ukloniła się grzecznie całemu towarzystwu, dała znak mężczyznom, aby znów usiedli, i również wyszła.

W sali zapadła cisza. W końcu przemówiła Rowan:

- Jest niezrównanie inteligentna.
- Rozumiem - skwitowałem tę ocenę.
- Nikt inny się nie odezwał.

Mona przez długi czas siedziała nieruchomo, od czasu do czasu spoglądając na Rowan. Wreszcie bardzo cicho powiedziała:

- To koniec.

Rowan nie zareagowała na te słowa.

Mona powstała i Quinn również. W końcu też wstałem. Michael podniósł się z uprzejmości, natomiast Rowan pozostała w fotelu, zamyślona, daleka.

Przez chwilę wydawało się, że Mona wyjdzie, więcej się nie odzywając, ale gdy dotarła do drzwi, odwróciła się i powiedziała pod adresem Rowan:

- Nie wydaje mi się, żebyś jeszcze wiele razy miała mnie spotkać.
- Rozumiem - odparła na to Rowan.
- Kocham cię, skarbie - rzekł Michael.

Mona zastygła, pochylając głowę. Nie odwróciła się.

- Nigdy cię nie zapomnę - powiedziała.

To mnie zdumiało. Zupełnie się tego nie spodziewałem.

Michael zmienił się na twarzy, jakby dostał mocny cios, ale się nie odezwał.

- Zegnajcie, moi piękni, śmiertelni przyjaciele - powiedziałem. - Gdybyście mnie potrzebowali, to wicie, jak mnie znaleźć.

Rowan odwróciła się i spojrzała na mnie. Trudno mi opisać wyraz, który pojawił się na jej twarzy.

I wtedy zdałem sobie sprawę, co się stało. Nie od razu. Poczułem jakby chłód.

Zniknął powód, który nas związał. Nie tylko Mona się wycofała. Nie było już powodu się spotykać.

Zniknęła tajemnica, która usprawiedliwiała naszą intymność. A honor i cnota, o których przemawiałem z takim przekonaniem, domagały się, byśmy przestali ingerować w nasze życie, przestali się sobą interesować. Nie mogliśmy kroczyć tymi samymi ścieżkami.

Taltos zostali znalezieni, uwolnieni i byli bezpieczni w Mayfair Medical. Lorkyn mówiła za wszystkich.

Musieliśmy się oddalić.

Czemu nie przewidziałem tego wcześniej? Czemu wcześniej tego nie ogarnąłem?

Mona wiedziała - ostatniej nocy i uprzedniej, gdy stała na wyspie, patrząc na morze.

Aleja nie wiedziałem. Zupełnie nie wiedziałem.

Odwróciłem się i ruszyłem za moimi towarzyszami.

Zeszliśmy ze świętej góry Mayfair Medical, zjechaliśmy lśniącą szklaną windą, a potem pokonaliśmy cudowny hol ze zdumiewającymi nowoczesnymi rzeźbami, krocząc po wyłożonej pięknymi płytami podłodze. Znaleźliśmy się na dworze.

Czuliśmy ciepłe powietrze.

Cłem czekał przy drzwiach limuzyny.

- Jesteście państwo pewni, że chcecie jechać do tej części miasta?

- Tylko nas podwieź, jesteśmy oczekiwani.

Jechaliśmy w równym tempie, w ciszy, jakbyśmy nie byli razem.

Nie jesteśmy Taltos. Nie jesteśmy niewinni. Nie należymy do świętej góry Boga.

Nie jesteśmy ochraniani ani zbawiani przez tych, którym służymy. Nie potrafimy podziękować nam łaską. Nie mogą otworzyć drzwiczek tabernakulum.

Dajcie nam podbrzusze miasta, rozdzielimy się tam, gdzie najnędrniejsi mordercy rzucą się na nas w dzikiej płataninie ostów zarastających puste parcele, gotowi użyć ostrza dla dwudziestu dolarów, i gdzie trupy gniją tygodniami w chaszczach, wśród zwęglonych dźwigarów i stosów cegieł. Spalało mnie pragnienie.

Szalejące pnącza, pod niebo komin, czy to dla mnie nie najlepsze komnaty? Powiew zła. Trzask desek splekanych. Za murem zwalonym nóż i pięść jak kamień. Szept w uchu: „Chcesz się zabawić?” Trafiłeś w sedno. Trafiłeś.

Obudziłem się nagle. Słońce zaszło dawno temu. W łozu ciotki Queen czułem się bardzo wygodnie. Zanim położyłem się na spoczynek, zrobiłem coś bardzo dziwnego.

Wygłosiłem Jasmine kazanie na temat mojego znakomitego lnianego garnituru, odwiesiłem wszystkie swoje rzeczy i włożyłem długą flanelową koszulę nocną.

Co miała oznaczać ta wariacka przebieranka? Ja, który sypiałem w aksamitach i koronkach, pod pokrywą trumny i dywanem ziemi, pozwoliłem sobie na takie rozkosze, które gotowe mnie ubezwłasnowolnić? Uciekałem przed słońcem w nagą ziemię. Kiedyś spałem w krypcie pod ołtarzem kościoła.

Przy stoliku siedział Julien. Osadził cienką czarną cygaretkę w złotej fifce, potem ją zapalił. Chłodna elegancka twarz rozjaśniła się blaskiem. Zapachniał dym.

- No, to jest coś.

- Więc jak widzę, wysysasz ze mnie coraz więcej energii - powiedziałem. - Czy robisz to również wtedy, kiedy śpię?

- W świetle dnia jesteś martwy jak kamień - zauważył. - Jednakże w ciągu ostatniej godziny miałeś przepiękny sen. Bardzo mi się podobał.

- Wiem, o czym śniłem. Co mogę ci dać, żebyś zniknął na zawsze?

- Wydawało mi się, że masz do mnie feblik. Czyżbyś wygłaszał tylko próżne słowa?

- A więc zawiodłeś. Pomogłeś Monie zbliżyć się do Michaela i urodzenie Morrigan zniszczyło jej zdrowie. Skąd mogłeś się tego spodziewać? Nie jest twoją winą, że Merrick Mayfair stała się jedną z nas. Ty jedynie powierzyłeś ją Talamasce. Nie rozumiesz, że musisz się oddalić? Nie możesz dalej wsadzać nosa w cudze sprawy i popełniać błędów. Lasher nie żyje. Morrigan nie żyje. Musisz zostawić w spokoju uroczych Mayfairów. Bawisz się w bycie świętym. To niegodne dżentelmena.

- I ty pozwolisz im odejść?! - spytał. - Och, nie mówię o moim skarbie, o mojej Monie. Jest stracona. Muszę to przyznać. Wiesz, o kogo się teraz niepokoję. - Emocje ścisnęły go za gardło. - Czy los całego klanu nie jest zagrożony?

- O czym ty mówisz? - spytałem.

- Czy ta, którą uwielbiasz, nie uratowała całego wielkiego bogactwa rodziny? Czy nie uświęciła jej całej niezmiernie władzy?

- Co mówią ci aniołowie? - zapytałem ponownie. - Módl się do świętego Juana Diego, niech podsunie ci odpowiedź.

- Ty mi odpowiedz!

- Co takiego mogę ci odpowiedzieć, z czym byś się pogodził? Idź do ciotki Oscar, ona wie, kim jesteś. Lub znajdź ojca Kevina w zakrystii. Przedstaw im swoje pytania.

Ale precz ode mnie.

- Błagam cię! - powiedział.

W milczeniu mierzyliśmy się wzrokiem. Był zdumiony swoimi słowami. Ja też.

- A co, jeśli ja będę cię błagał - spytałem - żebyś więcej się nie wtrącał? Żebyś pozwolił im żyć tak, jak każe sumienie i pozwala bogactwo?

- Czy w takim razie zawrzemy umowę?

Odwróciłem się od niego. Przeszły mnie dreszcze. „Czy w takim razie zawrzemy umowę?”

- Niech cię szlag trafi!

Wstałem, zdarłem z siebie nocną koszulę i włożyłem ubranie. Te garnitury z kamizelką mają za dużo guzików. Wygładziłem purpurowy krawat. Przyczesalem włosy. Oczywiście moje świeżo wyczyszczone buty stały pod drzwiami.

Włączyłem główny przełącznik światel w pokoju. Odwróciłem się. Julien zniknął.

Stoliczek był pusty i czysty. Ale dym pozostał. I zapach cygaretki.

Błagam cię!

Kiedy tylko wsunąłem buty na nogi, wyszedłem z domu tylnymi drzwiami i szybko przemierzyłem poleć mokrej trawy, nad brzegiem mokradeł. Wiedziałem, dokąd idę.

Do miasta.

Do centrum.

Po prostu szedłem, szedłem i rozmyślałem jak włóczęga, szedłem. Zapomnieć krew.

Krwi, zapomnij mnie.

Z centrum poszedłem na obrzeża, coraz szybciej, stukając obcasami o chodnik, aż Medical Center wyłoniło się przede mną, rozległa siatka światel na tle nisko wiszącego, nocnego, zachmurzonego nieba.

Co ja robiłem?

To był ogród pacjentów, czy nie tak?

Pusty o tej nocnej porze, płatanina ligustru, róż i wysypanych żwirem ścieżek.

Przechadzka w tym miejscu była bezpieczna. Nie należało liczyć na spotkanie z kimś szczególnym. Nie należało obawiać się czegoś złego. Nie należało...

Wyrósł przede mną Julien, blokując drogę.

- Ach, ty diable! - zakląłem.

- Co ci teraz chodzi po głowie? Co tam knujesz w swoim przebiegłym umyśle? -

spytał podniesionym głosem. - Zamierzasz odszukać ją w środku nocy i znów zaproponować jej swoją krew? Poprosisz, żeby przeanalizowała ją pod mikroskopem, ty zwodniczy diable? Przychodzi ci do głowy jakaś nędzna wymówka, żeby się do niej zbliżyć?

- Czy ty nigdy tego nie pojmiesz? Trzymaj się ode mnie z daleka, człowieku! Szukaj Światłości. Twoje klątwy zdradzają twoje pochodzenie. A teraz uwolnij mnie od mojej klątwy!

Zmierzyłem się z nim - zamknąłem oczy. Ujrzałem tego ducha w sobie, rozdętą wampiryczną zjawę, która poruszała moim ciałem, która pożądała krwi dającej mi życie, i zjawa znalazła się w moich rękach, złapałem ją za gardło i ducha w niej, animusa usiłującego stworzyć wizerunek człowieka, którego nie było, i otworzyłem usta, pochylając nad nią, jak pochyliłem się nad Patsy, i posłałem w nią podmuch, porywisty wiatr odrzucenia, niemiłości, odtrącenia, porzucenia.

Idź ode mnie, zły duchu - rozkazywałem mu bez słów - ty pokracyjny, światowy duchu, wynoś się do tego królestwa, do którego należysz. Jeśli mogę oderwać cię od ziemi, uczynię to.

Rozjarzył się przede mną, namacalny, rozszalały. Uderzyłem go, wkładając w to całą siłę, zatrzęsł się i odleciał daleko, tak daleko, że już go więcej nie widziałem, wydając krzyk bólu i cierpienia, który wypełnił noc.

Byłem sam.

Uniosłem wzrok ku ogromnej fasadzie Medical Center. Odwróciłem się i odszedłem. Otaczająca mnie noc była zwyczajna, hałaśliwa i ciepła.

Pokonałem całą drogę powrotną do śródmieścia.

Podśpiewywałem sobie pod nosem - Masz cały świat. Masz świat do końca świata.

Masz wszystko, czego zapragniesz. Mona i Quinn są z tobą. I jest wielu, którzy cię kochają, braci i siostr krwi. Tu wszystko się zamknęło i musisz iść swoją drogą... Tak, musisz iść swoją drogą i wrócić na łono tych, których nie możesz skrzywdzić...

Była godzina przed świtem, kiedy wróciłem do Blackwood, znużona dusza po bezkrwawych wędrówkach i stęskniona za łóżkiem. Kuchenny komitet, jak go Quinn nazywał, pił już kawę i stawiał ciasto do wyrośnięcia.

Żałowałem, że nie byłem obecny przy wyjeździe Tommy'ego. Zostawił mi list -

bardzo miły i zupełnie nietuzinkowy - z podziękowaniem za to, że pomogłem duchowi Patsy udać się w Światłość. Ach, tak.

Od razu usiadłem przy nawiedzonym biurku i stwierdziwszy, że środkowa szuflada jest otwarta, po tym, jak zgubiono do niej klucz, i że zawiera papier listowy, napisałem Tommy'emu, iż będzie kimś wyjątkowym i dokona wielkich czynów, z których będziemy dumni.

„Strzeż się zwyczajnego życia - napisałem. - Dąż do czegoś doskonalszego, większego. Wierzę, że takie jest przesłanie posiadłości Blackwood”.

Jasmine, która już o tak wczesnej porze była ubrana jak należy, w biały fartuszek na niebieskiej spódniczce i jedwabną bluzkę, zachwyciła się moim charakterem pisma. Gdzie nauczyłem się tych wszystkich zawijasów, zakrętasów i tak błyskawicznego, a przy tym pewnego władania piórem?

Dlaczego byłem zbyt zmęczony, aby odpowiedzieć? Zmęczony jak noc, którą Patsy opuściła. Czy Julien naprawdę oszedł na dobre?

Jasmine zabrała list, wsunęła go do koperty i powiedziała, że zostanie wysłany z pierwszą paczką krówek, które właśnie robi dla Tommy'ego.

- Wiesz, że Quinn i Mona nie wrócą przez tydzień - powiedziała. - W tym wielkim domu mieszkacie teraz tylko wy dwaj, ty i Nash, a ty nawet nie tkniesz kawałka jedzenia, które szykujemy, taki z ciebie dziwak, ale jak wyjedziesz, zostanie sam Nash i wypłaczę sobie oczy.

- Co? - zdziwiłem się. - Gdzie się podzieli Mona i Quinn?

- A skąd ja mam to wiedzieć? - spytała, rozkładając przesadnym gestem ręce. -

Nawet się nie pożegnali. Tylko pojawił się jakiś pan, który powiedział nam, że wyjeżdżają na jakiś czas. W życiu nie widziałam kogoś tak dziwnego, skórę miał białą jak maska. Włosy czarne jak u kruka, długie do ramion i niesamowity uśmiech.

Prawie się go wystraszyłam. Rozejrzyj się w pokoju cioci Queen, kiedy będziesz się kładł. Zostawił ci tam list na stoliku.

- On nazywa się Khayman. Jest dobry. Wiem, gdzie oni się udali. - Westchnąłem. -

Czy pozwolisz mi zostać w pokoju cioci Queen, kiedy ich nie ma?

- Ach, co ty wygadujesz? Twoje miejsce jest tutaj. Myślisz, że skaczą pod górę z radości, że panna Mona buszowała w szafach ciotki Queen jak królowa Saby i zostawiła tylko cztery lisy, a za to buty z kryształami górskimi rozrzucone po całej podłodze? Nie skaczą. Mniejsza z tym, już zrobiłam porządek. Idź spać.

Razem wróciliśmy na korytarz. Pokój okazał się łagodnie oświetlony, tylko lampkami toaletki, i stałem chwilę, wdychając woń perfum i zadając sobie pytanie, jak długo uda mi się nosić tę maskę, którą tutaj przywdziałem.

Łóżko już mi zasłano. Przygotowano świeżą koszulę nocną i jak mówią we dworze Blackwood, jasna sprawa, na stolyczku leżał list.

Usiadłem, rozdarłem pergaminową kopertę i przeczytałem napisany wdzięczną kursywą list.

Mój najdroższy buntowniku!

Twoi ulubieńcy bardzo chcieli mi złożyć wizytę, tak więc zgodziłam się spełnić ich prośbę. Jak wiesz, to wysoce niezwykle przyjmować w moich włościach tak młode istoty. Ale zarówno w przypadku Quinna, jak i Mony jest w najwyższym stopniu zasadne, by spędzili tu ze mną nieco czasu, zapoznając się z archiwami, spotykając innych naszego gatunku, którzy przewijają się przez moje ustronie, i może oceniając z szerszej perspektywy otrzymane dary i czekającą ich egzystencję.

Żywię mocne przekonanie, że ich zakorzenienie w śmiertelnym życiu bynajmniej nie świadczy o mądrości i że ta wizyta, to schronienie się między nieśmiertelnymi im posłuży i zabezpieczy przed wstrząsami, które być może ich czekają. Masz rację, lękając się, iż Mona nie w pełni pojmuje sakramentalną moc krwi. Podobnie jest i z Quinem, stworzonym wbrew swojej woli. Poza tym sprowadzam ich tu po prostu dlatego, że stałam się dla nich kimś bardzo realnym, po tym jak nawiązałaś ze mną łączność w sprawie Taltos, i pragnę rozwiązać wszelkie szkodliwe dotyczące mnie wyobrażenia, które mogły powstać w ich młodych umysłach.

Przybywając tu, poznają mnie taką, jaka jestem naprawdę. Może docenią fakt, że u korzeni naszego drzewa genealogicznego jawi się nie wielka bogini, ale całkiem prosta osobowość, którą udoskonalił czas i której nieobce są wizje i pragnienia śmiertelnych.

Twoje pisklęta robią wrażenie niezwykle utalentowanych i podziwiam to, czego z nimi dokonałaś, jak również Twoją cierpliwość.

Wtem, że teraz cierpisz. Rozumiem to aż za dobrze. Ufam wszelako bez zastrzeżeń, że zachowasz się w zgodzie z najwyższymi standardami, które sam sobie wyznaczyłaś. Poziom moralny, jaki osiągnęłaś, po prostu nie pozwala na nic innego.

Zapewniam Cię, że jesteś tu jak najmilej witany. Łatwo mogłam się postarać, żebyś trafił tu wraz z Quinem i Moną. Ale wiem, że tego nie chcesz.

Teraz możesz spędzić tygodnie w spokoju na modłę śmiertelnych, leżąc w łóżku ciotki Queen i

kolejny raz połykając powieści Dickensa. Zasłużyłeś na ten odpoczynek.

Maharet

Oto miałem przed sobą podwójny dowód. Mojej klęski wychowawczej z Quinnem i Moną i cudownej szczodrobliwości Maharet, która zaprosiła ich do siebie. Czy na całym świecie znalazłaby się świetniejsza nauczycielka?

Przekazałem Quinnowi i Monie wszystko, co mogłem. I okazało się, że jest tego za mało. Po prostu, za mało. Być może winny tego stanu rzeczy był, jak to nazwała Maharet, mój „poziom moralny”. Nie byłem tego do końca pewny.

Chciałem zrobić z Mony „wampira doskonałego”. Mój plan szybko jednak połknęły siły, które nauczyły mnie więcej, niż ja sam mógłbym nauczyć kogoś innego.

Maharet miała wiele racji, przeczuwając, że nie chcę trafić do jej sławnej posiadłości w dżungli. Nie, nie dla mnie były te bajeczne kamienne komnaty i podzielone ekranami pomieszczenia, w których ona, wiekowa dama, bardziej przypominająca alabastrowy pomnik niż żywą istotę, lśniła blaskiem mądrości, mając przy boku niemą siostrę bliźniaczkę. Co się zaś tyczy legendarnych archiwów z wiekowymi tabliczkami, zwojami i kodeksami o niewyobrażalnej wartości poznawczej, to również mogłem czekać wieczność na zapoznanie się z tymi skarbami.

Co nie mogło być ujawnione ludzkiemu światu, nie może być ujawnione i mnie.

Brakowało mi na to chęci i cierpliwości.

Zmierzałem w całkiem innym kierunku, ku temu zagubionemu zakątkowi Południa, w którym rzeczy dużo powszedniejsze miały w moich oczach dużo wyższą cenę. Uległem czarom posiadłości Blackwood.

Pogodziłem się z tym. Poza tym niewątpliwie byłem słaby na duszy. Taki był koszt mojej batalii z Julienem, który, jasna sprawa, wyparował raz na zawsze.

Złożyłem list.

Rozebrałem się.

Starannie powiesiłem ubranie na wieszakach jak poczciwy śmiertelnik, włożyłem nocną koszulę, wyjąłem spod poduszki egzemplarz *Małej Nell* i czytałem, aż słońce zasłoniło horyzont i moją świadomość, spychając mnie w próżnię i spokój.

Ta książka jest zakończona. Wy to wiecie. Ja to wiem. Co więcej można powiedzieć?

Czemu więc nadal piszę? Czytajcie dalej, a się dowiecie.

Ile nocy minęło? Nie wiem. Liczenie marnie mi idzie. Mylę liczby i stulecia. Ale czuję czas. Czuję go tak, jak wieczorne powietrze podczas spaceru, jak korzenie dębu pod nogami.

Nic nie mogło mnie zmusić do opuszczenia Blackwood. Tak długo jak przebywałem na tym terenie, byłem bezpieczny. Nawet na jakiś czas odstawiłem Stirlinga. Po prostu teraz nie mogę mówić o Taltos, chociaż to, oczywiście, niebywale interesujący temat, ale widzicie, ona w nim siedzi, tkwi w samym centrum tamtej sprawy...

Tak więc, gdy nie czytałem *Małej Nell* ani *Dawida Copperfielda*, wychodziłem na spacer po posiadłości, wzdłuż mokradeł, na których spotkałem Patsy, albo na cmentarzyk lub szerokie trawniki, żeby podziwiać kwietne rabatki, które nadal są wiernie uprawiane, chociaż Dziadunio, człowiek, który je założył, nie żyje.

Nie miałem wyznaczonego czasu, chociaż miałem wyznaczoną porę. Zwykle wychodziłem mniej więcej na trzy godziny przed świtem.

Jeśli miałem ulubione miejsce, to był nim cmentarz. Wszystkie te bezimienne groby i cztery otaczające je dęby, i niebezpiecznie bliskie bagna.

Sprzątnięto zwęglone resztki stosu pogrzebowego Merrick Mayfair. Nikt by nie pomyślał, że ogień buchał tu pod samo niebo. Liście regularnie grabiono, a kapliczka, śliczna budowla, była sprzątana każdego dnia.

Nie miała drzwi; okna straciły szyby. To był neogotyck, same spiczaste łuki. W

środku stała ławka, na której można było usiąść i pomedytować. Ale to nie było moje ulubione miejsce. Ono znajdowało się u stóp największego dębu, tego, który konarem sięgał poza cmentarz, nad bagna.

Szedłem tam ze zwieszoną głową. Nie myślałem o niczym szczególnym, może poza tym, że rzadko kiedy czułem się tak szczęśliwy czy tak załamany. Nie potrzebowałem krwi, ale chciałem jej. Czasem pożądałem jej tak, że było to nie do wytrzymania.

Zwłaszcza podczas tych spacerów. Marzyłem o polowaniach i morderstwie. Marzyłem o zbrukanej bliskości - igła mojego głodu wbijana w rozprażoną nienawistność. Teraz jednak brakowało mi na to sił.

Granice posiadłości Blackwood były granicami mojej duszy.

Szedłem do mojego dębu. Zamierzałem tam usiąść i rozglądać się po cmentarzu, patrzeć na żelazną

koronkę ogrodzeń i ozdobne pręty, na groby i wysoki kadłub kapliczki. I kto wie? Może z mokradeł nadciągnie mgła? I niebo zakryje się znajomą i jakże niedościgle czystą purpurą przed nadejściem słońca.

Taki miałem zamiar.

Żyję w przeszłości, w teraźniejszości, w przyszłości. I wspominałem, że kiedyś, bardzo blisko tego miejsca, pod drugim dębem, tym bliższym cmentarnej bramki, spotkałem zupełnie samotnego Quinna po tym, jak zabił Patsy, i dałem mu swoją krew do wypicia.

Nigdy przez całe moje długie lata nie byłem skazany na taką nienawiść, jaką Patsy darzyła Quinn. Obdarzyła go całą nienawiścią, jaką jej dusza zdołała zmieścić. Czy mnie ocenić coś takiego? Ach. Moja matka, otrzymawszy ode mnie krew, po prostu się mną nie interesuje, co w mniejszym czy większym stopniu wyraża jej stosunek wobec mnie od poczęcia. To zupełnie coś innego niż nienawiść. Co to ja chciałem powiedzieć...?

Tak. Ze spotkałem Quinna i dałem mu pić swoją krew. Intymny moment. Smutny i fascynujący moment. Przekazałem mu moc. Przez tamtą chwilę należał do mnie.

Widziałem jego skomplikowaną i ufającą duszę i to, jak mroczna sztuczka ją kradnie, i jak z tego złodziejstwa wyłania się śmiały i nieustępliwy spadkobierca Quinna Blackwooda, zdecydowany nadać sens temu, co się wydarzyło.

Nasza nieodparta twórcza moc.

Kochałem go. Słodkiego, przystępnego. Bez cienia zachłanności czy gwałtownej żądzy. Bez wynikającej stąd pustki. A do tego spełniającego się w uczuciu wobec Mony, szlachetniejszym niż żądza krwi.

Myślałem o tym, zbliżając się do mojego dębu, gdyż marzyłem i wplatałem w marzenia szczątki poezji, tej, którą ukradłem, połamałem i wplotłem w moje żądze;

„Oczarowałaś me serce, siostró ma, oblubienico... Jak piękna jest miłość twoja”. Czy mogłem tego nie zauważyć? Czy mogłem o tym nie marzyć? „Połóż mię jak pieczęć na twoim sercu”.

Jakie to ma dla mnie znaczenie, że wyczuwam zapach śmiercielnika? Posiadłość Blackwood to cytadela śmiertelnych. Jakie to ma dla kogokolwiek znaczenie, że Lestat spaceruje, ten Lestat, którego wszyscy tak serdecznie goszczą? A więc jeden z nich teraz przetnie moją ścieżkę. Mój umysł wraca do swoich spraw i poezji; „Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy”.

Znalazłem moje drzewo, a moja dłoń znalazła pień.

Siedziała tam, siedziała na grubych korzeniach, podnosząc ku mnie wzrok. Jej biała kurtka był zbrzydła zaschniętą krwią, identyfikator wisiał krzywo, twarz miała ściągniętą, oczy wielkie i głodne. Uniosła się, trafiając w moje czekające ramiona.

Obejmowałem ją, to gibkie, rozgorączkowane stworzenie, i moja dusza się otworzyła.

- Kocham cię, kocham cię, jak nigdy nie kochałem, kocham bardziej ponad mądrość, ponad odwagę, ponad sławę i chwałę złą, ponad wszystkie bogactwa i samą krew, kocham moim pokornym sercem, o którego istnieniu nie miałem pojęcia, moja szarooka, moja genialna, mój mistyku medycznej magii, moja marząca, och, pozwól mi, niech cię oplotę ramionami, nie śmiem cię pocałować, nie śmiem...

Wspięła się na palce i wsunęła język między moje zęby. *Chcę cię* - przekazywałem jej w myślach - *chcę cię całą moją duszą. Czy mnie słyszysz, czy wiesz, jaką przepasz przebyłem, aby dotrzeć do ciebie? Nie ma dobra w mojej duszy poza tobą.*

Należałem do chciwych duchów, należałem do potworów stworzonych z mojego ciała, należałem do idei, formuł, marzeń i planów o wielkości, ale teraz należę do ciebie, jestem twój.

Razem spoczęliśmy na trawie, na stoku nad cmentarzem, pod baldachimem dębu, gdzie gwiazdy nie mogły nas zobaczyć.

Moje ręce chciały jej całej, jej ciała pod wykrochmaloną bawełną, drobnych, krągłych bioder, piersi, bladej szyi, warg, intymnych części ciała, niesłychanie mokrych i czekających na moje palce, szczyptałem ustami jej szyję, nie ważąc się na więcej niż poznawanie krwi pod skórą, podczas gdy palcami doprowadzałem ją do orgazmu, gdy jęczała i dyszała mi w twarz, gdy zeszywniała, kończąc, i gdy opadła bezwładnie na moją pierś.

Krew dudniła mi w uszach. Pędziła przez mózg. Mówiłem w myślach: *Chcę jej*. Ale leżałem nieruchomo.

Przyciskałem usta do jej czoła. Sunąca w mnie krew zamieniła się w ból. Ten rósł, w miarę jak rosła jej namiętność. I poznając delikatność jej policzków i warg, poznałem miarę jej słodyczy i spokoju, a poranek był nadal mroczny i gwiazdy starały się rozjarzyć baldachim liści w górze.

Przesunęła ręką po moim ramieniu, torsie.

- Wiesz, czego od ciebie chcę - powiedziała tym głębokim, połyskliwym głosem, zdradzającym ból i zdeterminowanie. - Chcę tego od ciebie i chcę ciebie. Powtórzyłam wszystkie szlachetne powody, przez wzgląd na które powinnam się od tego odwrócić, powtórzyłam wszystkie moralne argumenty, moja głowa stała się konfesjonałem, amboną, miejscem spotkań filozofów. Forum. Dzień po dniu pracowałam na oddziale ratunkowym, aż ledwo trzymałam się na nogach. Lorkyn uczyła się ode mnie, a ja od Lorkyn, i naszkicowano program studiów Oberona i Miravelle, przegadaliśmy noc, wyznaczając kierunki i wysuwając propozycje, utrwalając i uściślając, zabezpieczyliśmy ich materialny byt, żyją w przyjaznym, stymulującym otoczeniu - ale przez ten cały, cały czas moja dusza żyła tylko jednym. Pożądaniem tego cudu!

Pragnieniem ujrzenia twojej twarzy, ciebie! Moja dusza była zawsze z tobą. -

Westchnęła. - Miłości moja...

Cisza. Pieśń mokradeł. Pieśń ptaków, które zawsze zaczynają przed świtem. I chlupot fal, i szelest wszechobecnych liści, drżących w lekkim, niepewnym powiewie.

- Nie spodziewałam się, że jeszcze kiedykolwiek to poczuję - szepnęła. - Myślałam, że nigdy więcej mi się to nie zdarzy. - Czułem, jak drży. - Ze te części mnie wypaliły się ze szczętem. Tak, kocham Michaela i zawsze będę go kochała, ale miłość wymaga ode mnie, żebym dała mu wolność. Michael marnieje w moim cieniu. Michael pragnie prostej kobiety i powinien taką mieć, taką, która będzie mogła mu urodzić zdrowe dziecko. Zbyt długo żyliśmy razem, oplakując coś, co mogło się wydarzyć, gdyby nie to, że potwory nas opętały i zniszczyły. Zbyt długo szeptaliśmy nasze rekwiem. A potem wybuchł ten pożar. Och, nie dlatego, że jesteś, kim jesteś! To mogło przyprawić mnie o przerażenie. To mogło natchnąć mnie obrzydzeniem! Ale dlatego, że jesteś, jaki jesteś. Ze masz duszę, jaką masz, że przemawiasz, jak przemawiasz! Ze masz taki, a nie inny wyraz twarzy i że dzięki niemu rozpoznaję w tobie świadka wieczności! Mój świat się rozpada, kiedy jestem blisko ciebie. Moje wartości, ambicje, plany, marzenia. Stają się rusztowaniem hysterii. A ta miłość zakorzeniła się, ta dzika miłość, która się ciebie nie lęka i chce być tylko z tobą, chce krwi, tak, bo to twoja krew i wszystko inne się rozplywa.

Czekałem. Wsłuchiwałem się w rytm jej serca. Wsłuchiwałem się w jej krew.

Wsłuchiwałem się w jej słodki oddech. Powstrzymałem się na wodzy - to szalejące zwierzę, które tyle razy roztrzaskało klatkę i pochłonęło przedmiot swojego pożądania. Była tak blisko w moich objęciach!

Wydawało się, że tuleją wiek cały.

Potem poczułem, że ją wypuszczam, składam jej ręce na piersi, wstaję i odchodzę, odmawiając jej wyciągniętym dłoniom, odmawiając im pocałunkami, jednak odchodzę i idę samotnie na brzeg mokradeł, czując chłód, coraz silniejszy chłód, jakby jakiś północny wiatr odnalazł mnie w łagodnym cieple i zanurzył w moim ciele kły.

Stałem samotnie, zupełnie samotnie, patrząc na udręczony bagienny gąszcz.

Myślałem tylko o niej i pozwoliłem sobie na wyzbyte wszelkiej dyscypliny szaleństwo wyobraźni, rozkosz miłości i posiadania. Świat odrodzony w miłości, a zwykłe rzeczy wynurzały się z pękających skorup rozpaczki dnia powszedniego, jarząc nieodparcie kolorami. Czym był dla mnie ten punkt w czasie? Czym było to miejsce, zwane posiadłością Blackwood, że nie mogłem jej ze sobą zabrać, otrząsnąć kurzu z jej stóp i wznieść się z nią do krain przemożnego oczarowania? O tak, i jaki to ma związek z czystą miłością, Lestacie? Jaki jest powab czystej miłości? Jaki jest powab tego najmniej powszechnego, które jest gdzieś tam i czeka?

Nie wiem, jak długo stałem, oddzielony od niej. Moje różane marzenia o pałacach, wędrówkach, kołyskach i królestwach miłości były jak dym na wietrze, wielkie, mniejsze i znikające.

A ona była tam, cierpliwa, mądra - skazana przez swoje usta, czy nie tak?

I poczułem smutek tak czysty jak czysta miłość, a potem ból, ból tak prawdziwy jak ten, który usłyszałem w jej pozbawionym natarczywości głosie, jej głębokim i całkowitym oddaniu.

W końcu się odwróciłem i ruszyłem do niej z powrotem.

Spocząłem obok. Jej ramiona na mnie czekały. Jej usta czekały.

- I wierzysz, że to może się wydarzyć? - spytałem powoli. - Wierzysz, że możesz odejść od wszystkich, którzy wyobrażając sobie przyszłość, nie potrafią jej sobie wyobrazić bez ciebie?

Milczała. Po chwili powiedziała z westchnieniem:

- Pozwól mi zapaść się w wieczność. Jestem zmęczona.

Och, rozumiem cię, naprawdę, a lista twoich osiągnięć jest długa!

Odczekałem i spytałem, dobierając starannie słów:

- Wierzysz, że obecny świat, nie dysponując twoją mądrością i intuicją, będzie wiedział, co począć z Lorkyn, Oberonem i Miravelle? Wierzysz, że pchani egoizmem uczeni naprawdę będą potrafili się zająć kimś tak delikatnym, wybuchowym, szlachetnym?

Brak odpowiedzi.

- Wierzysz, że twój ośrodek medyczny pozbawiony twojego kierownictwa osiągnie pełną doskonałość? - Wkładałem w te słowa tyle miłości, ile tylko potrafiłem. - W

twoim sercu są plany, wielkie plany i śmiałe wizje, które jeszcze nie zostały zapisane.

Kto przejmie berło? Kto ma odwagę? Kto ma miliardy Mayfairów połączone z dyskretną władzą? Kto przechodzi od stołu operacyjnego, przez laboratorium, do roju architektów, cały czas działając z precyzją radioaktywnego skalpela? Kto będzie jeszcze śmielszy niż śmiały projektant Medical Center? Kto stworzy coś dwa razy większego? Może nawet trzy razy? Ty masz na to czas. Wiesz o tym. Ja wiem o tym.

Masz go mocą prawości, czystości, energii i cnoty. Jesteś gotowa z tego zrezygnować?

Brak odpowiedzi. Czekałem. Tuliłem ją tak mocno, jakby ktoś zaraz miał mi ją ukraść. Jakby noc była pełna zagrożenia. Jakbym to nie ja był zagrożeniem.

- Co do Michaela - powiedziałem. - Tak, należy mu dać wolność, ale czy jest na to pora? Czy zniesie to, że do mnie przyjdiesz? Nadal jest omotany potwornościami. Po tym, co spotkało Monę, pękło mu serce. Czy naprawdę potrafisz się odsunąć od Michaela? Czy naprawdę potrafisz w tajemnicy napisać list? Czy potrafisz się pożegnać i zostawić go w mroku?

Bardzo długo nie odpowiadała. Czuję, że nie zdołam nic więcej powiedzieć. Moje serce cierpiało ból, jakiego nigdy nie zaznało. Leżeliśmy tak blisko siebie, tak spleceni, tak rozgrzani i sobie oddani, że nie słyszeliśmy żadnych odgłosów nocy.

W końcu poruszyła się leciutko, nieskończenie czule.

- Wiem - szepnęła. - Wiem. - I powtórzyła raz jeszcze: - Wiem.

- To nie może się wydarzyć - powiedziałem. - Nigdy nie chciałem niczego tak bardzo, ale to niemożliwe. Wiesz, że tak jest.

- Nie mówisz tego poważnie. Na pewno nie. Nie możesz mi odmówić! Myślisz, że przyszedłbym do ciebie, gdybym nie wiedziała, co naprawdę czujesz?

- Co naprawdę czuję? - powtórzyłem, trzymając ją mocno w ramionach. - Tak, wiesz, jak bardzo cię kocham. Tak, wiesz, jak bardzo cię chcę i jak chciałbym wraz z tobą odsunąć się od świata, od wszystkich, którzy mogliby nas rozdzielić, tak, wiesz.

Czym w gruncie rzeczy jest dla mnie życie śmiertelnych? Ale czy nie rozumiesz, Rowan, że twoje życie jest wybitne? Ze zupełnie zmieniłaś swoją duszę? I tego po prostu nie można zignorować.

Nadal mnie obejmowała. Przytuliła twarz do mojej. Pogładziłem ją po włosach.

- Tak - powiedziała. - Próbowałam. To był mój sen.

- To jest twój sen. Nawet teraz.

- Tak - powiedziała.

Znów poczułem taki ból, że przez chwilę nie mogłem nawet mówić.

Znów pozwoliłem sobie na marzenie, że spoczywamy w łóżku, okryci tylko mrokiem, ona i ja, i że nic nie może nas rozdzielić, i że znaleźliśmy w sobie wysublimowany sens istnienia i wszystkie kosmiczne niepokoje odbiegły od nas jak zerwane zasłony.

To była wszakże zabawa umysłu, piękny znak słabości.

Przerwała milczenie.

- Tak więc pozostaje mi poświęcić się po raz kolejny, czy też ty poświęcisz się za mnie. To poświęcenie jest tak wielkie, że ledwo potrafię objąć je myślą! Dobry Boże...

- Nie - przerwałem jej. - To ty się poświęcasz, Rowan. Podeszłaś do krawędzi, ale się cofnęłaś. Musisz się cofnąć sama.

Pogładziła mnie po plecach, jakby próbowała znaleźć tam ludzką miękkość.

Przywarła do mnie skronią. Oddychała urywanie, jakby łkała.

- Rowan - powiedziałem. - Nie czas na to.

- Uniosła ku mnie wzrok.

- On nastąpi - dodałem. - Będę czekał i mnie znajdziesz.

- Mówisz to serio?

- Serio. Nie zgubiłaś tego, co mam do dania, Rowan. Jedynie nie czas na to.

Delikatne fioletoworóżowe światło pojawiło się na niebie; liście płonęły mi w oczach. Znienawidzone doznanie.

Unosząc ją łagodnie, usiadłem i pomogłem jej usiąść koło mnie. Przyłgnęły do niej żdźbła trawy, włosy miała w cudownym nieładzie, jej oczy błyszczały w coraz silniejszym świetle.

- Oczywiście, tysiące rzeczy może się wydarzyć - powiedziałem. - Oboje zdajemy sobie z tego sprawę. Będę jednak czujny. Będę czujny i będę czekał. A gdy przyjdzie czas, gdy naprawdę będziesz mogła się odsunąć od tego wszystkiego, wtedy przybędę.

Opuściła wzrok, a potem znów spojrzała na mnie. Na twarzy miała wyraz zamyślenia i łagodności.

- A czy teraz zupełnie stracę cię z oczu? - spytała. - Odejdiesz tak daleko, że nie będę mogła cię dosięgnąć?

- Od czasu do czasu może mnie dosięgniesz. Ale nigdy na długo. Będę cię strzegł, Rowan. Możesz być tego pewna. I przyjdzie noc, w którą podzielimy się krwią.

Obiecuję ci. Dostąpisz mrocznego daru.

Wstałem. Ująłem jej dłoń i pomogłem wstać.

- Teraz muszę iść, ukochana. Światło jest moim śmiertelnym wrogiem. Chciałbym razem z tobą obejrzeć wschód słońca. Nie mogę.

Przyciągnąłem ją do siebie nagle, gwałtownie, całując z takim głodem, z jakim zawsze to czyniłem.

- Kocham cię, Rowan Mayfair - wyznałem. - Jestem twój. Zawsze twój. Zawsze będę blisko.

- Do widzenia, moja miłości - szepnęła. Cień uśmiechu pojawił się na jej twarzy. -

Naprawdę mnie kochasz, naprawdę?

- O, tak, całym sercem - powiedziałem.

Szybko odwróciła się ode mnie, jakby nie potrafiła inaczej tego zrobić, i ruszyła ku podjazdowi. Usłyszałem silnik samochodu, po czym z wolna doszedłem do tylnych drzwi i dojrzałem do mojego pokoju.

Byłem tak głęboko nieszczęśliwy, że prawie nie wiedziałem, co robię. W pewnym momencie nagle uderzyła mnie myśl, że popełniłem szaleństwo. A zaraz potem dotarła do mnie świadomość, że to nie mogło się wydarzyć. Egoistyczny czart mojego pokroju po prostu nie dałby jej odejść!

I kto wygłaszał te wszystkie szlachetne tyrady!

Dała mi chwilę, być może jedyną chwilę. A ja zgrywałem świętego Lestata!

Zgrywałem bohatera! Dobry Boże, co ja zrobiłem! Teraz jej mądrość i siła odsuną ją ode mnie. Czas tylko wzmocni jej duszę i przygasi blask mojego czaru. Wyrzekłem się jej na zawsze. Och, Lestacie, jakżeż cię nienawidzę!

Pozostało mnóstwo czasu na rytualne przywdziewanie flanelowej nocnej koszuli i gdy miałem to za sobą, dręczony pragnieniem i dręczony udręką z powodu tego, co odtrąciłem i być może utraciłem na zawsze, zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam.

„Znowu duchy - pomyślałem. - *Mon Dieu*”. Spojrzałem na stoliczek.

Co za widok.

Dorosła kobieta. Może dwudziesto-, dwudziestopięcioletnia. Lśniące, czarne, ułożone w fale włosy. Jedwabna sukienka nad kolana, długie sznury pereł. Noga na nodze, eleganckie szpilki.

Stella!

Wyglądała monstrialnie; jak znana mi dziewczynka, rozciągnięta we wszystkich kierunkach i nadmuchana; nonszalancko trzymała papieros w fífce.

- Maluszk, nie głuptaskuj! - zawołała. - Oczywiście, że to ja! Wujek Julien teraz ma przed tobą takiego stracha, że się do ciebie nie zbliży. Ale przesyła wiadomość: „To było super!”

Zniknęła, zanim zdążyłem potraktować ją jednym z moich butów z cholewami.

Zresztą i tak bym tego nie zrobił.

Jakie to miało znaczenie? Niech się tam płaczą. Przecież to posiadłość Blackwood, no nie?, a posiadłość Blackwood nigdy nie broniła duchom wejścia.

A teraz układam się do snu i książka zbliża się do końca.

Złożywszy głowę na miękkiej puchatej poduszce, zdałem sobie z czegoś sprawę.

Nawet pogrążony w smutku i samotności byłem z Rowan. Miała pozostać we mnie na zawsze. Moja samotność nigdy więcej nie miała być tak gorzka jak dotychczas. Przez lata mogła się ode mnie oddalić, mogła przekląć chwilę namiętności, która pchnęła ją w moje ramiona. Mogła być mi odebrana drogą trywialnego zbiegu zdarzeń, który miał mi wyciskać łzy z oczu przez wszystkie noce żywota.

Nigdy jednak nie miałem jej stracić. Bo nie miałem zapomnieć lekcji miłości, której mi udzieliła. Tak jak ja jej udzieliłem podobnej nauki.

I tego dnia poranna rosa pokryła trawniki posiadłości Blackwood jak każdego innego, a ja marzyłem, zanim słońce wstało:

...chcę być świętym, chcę zbawiać dusze milionami, chcę wyglądać jak anioł, ale nie chcę mówić jak gangster, nie chcę krzywdzić nawet złych ludzi, chcę być świętym Juanem Diego...

...ale znacie mnie i gdy zajdzie słońce, może przyjdzie czas zapolować na bocznych drogach, w tych małych dalekich spelunkach, jasna sprawa, przyjdzie czas poczuć woń piwska i trocin i tak, zgadza się, zatańczyć do muzyki z szafy grającej, posłuchać kapeli country i może zmiażdżyć paru napakowanych złoczyńców, karków, którzy czekają właśnie na mnie, a kiedy zaróżowię się od krwi i będę miał dość stuków i szelestów bil, i ciepłego światła na zielonym suknie, kto wie, tak, kto wie, jak cudowny firmament z poszarpanymi chmurami i zagubionymi gwiazdkami się objawi, gdy uniosę się nad ziemię, rozkładając ramiona, jakby nie było we mnie żadnego pragnienia ciepła ani dobra.

Odejdźcie ode mnie, o śmiertelni, którzyście czystego serca. Odejdźcie ode mnie moje myśli, o dusze, które śnicie wielkie marzenia. Odejdźcie ode mnie wszystkie hymny chwały. Jestem magnelem potępionych. Przynajmniej na drobną chwilę. A moje serce krzyczy, moje serce nie zazna spokoju, moje serce nie spocznie, moje serce się nie podda...

...krew, która uczy życia, nie uczy kłamstw, i miłość znów stanie mi się kazaniem, przyzwaniem, pieśnią.

Anne Rice

5 października 2002

Nowy Orlean

Table of Contents

1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31